

Kazachstan

Spis treści

All other countries are run by little girls.....	3
Gdy mędrzec zna początek sprawy, zna także jej koniec.....	6
Droga do raju fapiao jest wybrukowana.....	11
Oda do radości.....	18
Katatsja na konkach.....	20
Shopping w Astanie.....	26
Khan Shatyr.....	26
Mega Silkway.....	29
Keruen.....	30
W krainie homines sovietici.....	33
W szponach konsumpcji.....	39
Through endurance we conquer.....	44
Miłość cierpliwa jest, łaskawa jest.....	49
Poczytaj mi, jenocie!.....	50
Call Me By Your Name.....	57
Expo w Astanie.....	61
DichloroDiphenylTrichloroethane - edycja kazachska.....	81
Piramidy na niby.....	87
Astana - miasto przyszłości, czyli jaki step, taki futuroizm.....	98
Muzeum Przyszłości - Futuryzm po kazachsku.....	110
Rodzinny wypoczynek? Tylko w Kazachstanie!.....	116
Borem, lasem.....	128
Springtime sadness.....	146
Ramadan: the beginning.....	164
Astanageddon.....	169
Ż jak Żanat.....	177
Ruhani Zhangiru.....	181
Pyatnica.....	186
KarŁag.....	190
Term of Endearment.....	203
Co za syf, co za katastrofa.....	209
Borat egzaminacyjny.....	215
This means war.....	221
Field on Fire.....	227
Dead of Winter.....	236
Begging for your fatass dirty Tenge.....	243
Do przerwy 0:1.....	249
Wszystkich świętych też wzięłaby cholera.....	254
Tamara Horror GuŁag Show.....	265
A Walk to Remember.....	271

Things to do in Astana when you are dead.....	273
To już jest koniec, nie ma już nic, jesteście wolni, możemy iść!.....	278
Fly me to the moon.....	284
Ludzie to wilki.....	287

All other countries are run by little girls

Powstańcie do hymnu!

Suma doświadczeń życiowych sprawiła, że postanowiliśmy wstrzymać się z opisywaniem radości związanych z życiem w nowym kraju i z uczeniem w nowym systemie edukacyjnym. Standardowo daję sobie miesiąc, żeby ogarnąć się z rzeczywistością i z nową pracą, potem zaczynam komentować. W przypadku Kazachstanu postanowiłem dać sobie nieco więcej czasu, bo nie chcę pisać rzeczy, które musiałbym w kilka dni-tygodni-miesięcy później przekreślać.

Po trzech miesiącach życia w Astanie, tak mi jaja zwiędły, że postanowiłem, iż formuła naszej wymiany myśli z czytelnikami na pewien czas nabierze charakteru nieco odmiennego.



Pięciodniowy areszt za bycie w stanie wskazującym spożycie w miejscu publicznym? JAK ŻYĆ?!

Po prostu, tutejsza rzeczywistość zmienia się tak szybko, że trudno byłoby mi prowadzić zapiski z tej ziemi w sposób jakiegokolwiek strukturalny. Szkoła potrafi wydać polecenie w poniedziałek, żeby w środę się z niego wycofać, a w piątek karać za to, że się je wykonało. Z racji tego, pewna dłuższa forma pojawi się tu za jakiś czas, ale żeby sprawa nie umarła, będziemy dzielić się pewnym ułamkami tutejszej (rozumianej jako ogólnokrajowej) rzeczywistości. W jakimś stopniu powinno to pozwolić na zrozumienie realiów kraju, którego my nie rozumiemy.

To znaczy rozumiemy, bo patologiczna korupcja, ignorancja i chamstwo przesadnie trudne do zrozumienia nie są.

Są jednak przerażające.

Oto kilka wiadomości z Kazachstanu. Nie jest to jakaś wielka selekcja, to są wiadomości z ostatnich paru dni.

Policjantom z Atyrau zaproponowano przesiadkę na wielbłądy. Z powodu katastrofalnego stanu dróg w okolicach naftowej stolicy Kazachstanu, policjantom zasugerowano przemieszczanie się na wielbłądach. Podmiejskie rejony nie mają utwardzonych dróg, nie da się patrolować ich samochodami, konno też nie za bardzo. Jedynie wielbłądzie kopyta dadzą sobie radę z tymi realiami infrastruktury. Pomysł złożono na policyjnym Facebooku.

Za portalem ratel.kz, który w tym przypadku [powołuje się na inny](#): Ludzie w Ałmacie - dawnej stolicy Kazachstanu - jedzą psy, bo 'normalne' mięso na bazarze jest dla nich zbyt drogie. Weterynarze odradzają, mięso bezdomnych psów może zawierać pasożyty i choróbska.

I po raz kolejny za ratel.kz: Agencja S&P zmieniła rating funduszu Samruk, posiadającego większość udziałów w takich skromnych przedsiębiorstwach, jak państwowe koleje, linie lotnicze Air Astana, czy też KazMunayGas, z BB do BB-. Jeden z komentarzy pod artykułem głosi:

Przyjaciel pracuje w ich dziale HR i mówi, że już odchodzą od zmysłów by wymyślić pod jakim idiotycznym pretekstem mają zatrudnić czyjegoś protegowanego.

Kazachstan zajmuje zaszczytne 131 miejsce na 176 krajów w rankingu Transparency International. Zastanawiam się, jak wygląda życie w tych bardziej skorumpowanych i przyznam, że moja fantazja nie wystarcza. W kraju, w którym pensja na poziomie 1500 PLN jest marzeniem większości populacji, na weselu wnuka prezydenta występuje Kanye West i kasuje za to trzy miliony dolarów. Tenże wnusio pojawia się także w Panama Papers! Jednak oficjalne poparcie władzy plasuje się w okolicach 96%.



Kanye z kazachskimi fankami (źródło: stupidcelebrities.net)

Lektura tutejszej prasy jest kabaretem połączonym z horrorem, pokazującym jak ciężko mieszkańcy pracują na to, żeby swojego dobrego miejsca w rankingu korupcji nie stracić. Każdy dzień przynosi opowieści o tym, że coś zbankrutowało, gdzieś coś ukradli, a ktoś poszedł siedzieć.

Przyjechaliśmy tutaj pracować do szkoły, która ma na celu wykuwać przyszłe elity narodowe i pozwolić uczniom na edukację na najlepszych uniwersytetach świata. Krążą legendy o dramatycznie niskim poziomie edukacji krajowej, a szkoła, w której pracuję, ma zapewnić tzw. standardy

międzynarodowe. Pozwolimy sobie jeszcze nie pisać za wiele o naszej pracy, ale ton powyższych przemyśleń może nieco naprowadzić czytelnika na to, jak wygląda życie i praca w elitarnej szkole w Kazachstanie.

Gdy mędrzec zna początek sprawy, zna także jej koniec

Jeszcze pod koniec naszego pobytu w Moskwie rozpocząłem wysyłać nasze cefałki takimi hektarami, że słońce ich nigdy nie zdoła ogarnąć. Suma doświadczeń jest taka, że jeżeli otrzymuje się odpowiedzi na poziomie 10%, to jest dobrze. Odpowiedzi trochę było, rodziły się z tego różne tematy. Bardzo chciało nas zatrudnić Peru, ale po przeżyciu rozmowy o pracę uznaliśmy, że nie mamy odwagi. Dyrektor szkoły sprawiał bardzo miłe wrażenie, ale jedynym, o czym był w stanie mówić, była pogoda i dżungla. Wyglądało to tak:

- *Czy kursy uczą ogólnej znajomości języka, czy też uczniowie są przygotowani do egzaminów?*
- *Słuchajcie, tu jest tak pięknie, piętnaście minut od miasta jest dżungla.*
- *Jakich rozmiarów są klasy?*
- *Różnie, ale tu są wieczne wakacje, lato, po Moskwie będzie wam jak w raj.*
- *Ilu nauczycieli pracuje w szkole?*
- *Będziecie mieli wolne na święta, pozwiedzać Peru!*

Nie odważyliśmy się na życie w raj, chociaż zwiedzanie Peru nas dość kręciło. Do dzisiaj patrzę, czy pojawią się jakieś recenzje z tej szkoły. Inną sprawą jest, że kontraktu nigdy nie zobaczyliśmy - pan Fidel zapomniał go przysłać, chociaż mailowo piłowałem mu dupę. Jest pewien poziom zarządzania, którego przeskoczyć nie jesteśmy w stanie. Jeżeli sprawy tak wyglądały na etapie zatrudniania, to trudno uwierzyć, że nagle potem dochodziło do cudownej poprawy i wszystko było zorganizowane jak w zegarku.

Bardzo długo rozważaliśmy ofertę z Jakucka. 'Najzimniejsze miasto świata z najcieplejszymi ludźmi' - głosiło ogłoszenie. Szkoła wyglądała super profesjonalnie, interview był długi, konkretny, nasze pytania spotkały się z zadowalającymi odpowiedziami. Chcieliśmy tę pracę, czekaliśmy tylko na wymiar finansowy przedsięwzięcia. Z jednej strony trochę przerażało nas życie w temperaturach -40, z drugiej wydawało się, że przeżycie takiego roku będzie czymś niesamowitym. Pewnie i byłoby, ale im więcej czytałem o Jakucku, tym bardziej podbijałem kwotę, jaka musiałaby zagościć na moim koncie, żeby zdecydować się na 10 miesięcy tamże. Mierzyłem wysoko, bo chociaż to środek Syberii, to ludzie żyjący pośrodku tej lodowej pustyni zarabiają solidnie, pracując np. w wydobywaniu diamentów. Nikt nie żyje w Jakucku dla idei życia w Jakucku. Pewnym problemem są ceny wszystkiego, kilkukrotnie wyższe niż w Moskwie. Na miejscu nic nie rośnie, wszystko trzeba importować niezły kawał świata, dlatego np. pomidory to poważny wydatek.

Po kilkunastu dniach proszenia się przyszedł kontrakt. Jaj nie urwało, ale o ile pieniądze bym jeszcze łyknął, to warunki otrzymywania ich były dość specyficzne. Wpłata części pensji uzależniona była od wystąpienia w lokalnej telewizji. Jeżeli telewizja nie chciała by mnie pokazać, przepadałoby mi ileś tam. W wypadku kwarantanny zdrowotnej pensja zostaje zawieszona - sprawdziłem i wyszło, że kwarantanna ogłaszana jest każdego roku, przynajmniej na dwa tygodnie. O ile jeszcze jakoś można przeżyć dwa tygodnie bezpłatnego wolnego, to zimą loty z Jakucka bywają zawieszane, miasto zostaje całkowicie odcięte od świata. Siedzenie dwa tygodnie w ciemnicy bez roboty i w minus 40 brzmi średnio podniecająco. Niestety, nie. Z żalem odmówiliśmy. Gdy kilka miesięcy później widzieliśmy ogłoszenie, że 'najzimniejsze miasto świata z najcieplejszymi ludźmi' znowu szuka, zrozumieliśmy, że zrobiliśmy dobrze i że adaptacja przyjezdnym do realiów Jakucka średnio się udaje.

Nierzadko byliśmy przerażeni poziomem szkół, a raczej pracujących tam ludzi. Gubienie maili i przesłanych dokumentów, nie przychodzenie na umówione rozmowy, wiszące tygodniami proste

pytania, ignorowane pytania; lista grzechów jest długa. Zaczęliśmy się zastanawiać, czy się nie przebranzowić. Wizja życia w kolejnym kraju po jakimś czasie przestaje podniecać, znacznie bardziej przeraża widmo tego, że będzie się pracowało z leniwymi cymbałami. Jeżeli lenistwo i olewactwo widzimy na poziomie rozmowy kwalifikacyjnej, to dziękujemy. Dlatego też aplikowałem raczej do krajów, które są nam bliższe kulturowo - Europa, republiki postsowieckie. Odpuszczałem Afrykę, a Azję traktowałem selektywnie, omijając np. Wietnam i Laos.

Ostatecznie znaleźliśmy sobie prace w Polsce i spokojnie mieszkali na krakowskim Kazimierzu. Chociaż nie jestem wielkim fanem własnej ojczyzny, a zwłaszcza jej rynku pracy, to naprawdę, jest lepiej i łatwiej niż jakieś dziesięć lat temu. Relacja pensja-ceny jest fatalna, ale co człowieka zabija, to koszt wynajmu czegokolwiek. Od biedy możemy zawsze mieszkać z naszymi rodzinami, ale nie jest to sytuacja komfortowa dla żadnej ze stron. Jeżeli człowiek posiada jakiekolwiek mieszkanie w większym mieście w Polsce, to może sobie pracować i za 1500 PLN. Problemem jest, że jak wynajmujesz, to lwia część pensji przepada.

Z bólem stwierdzam, że rynek nauczania języków w Polsce utknął w latach 90-tych i chyba się z nich szybko nie wyrwie, a być może nigdy i po prostu zdechnie. To już nie urocze lata 90-te, gdzie w państwowej edukacji pracowały produkty socjalistycznej edukacji, wredne baby i prymitywni faceci, którzy Londyn widzieli na obrazku z książki, a ich angielski plasował się w okolicach poziomu B1. Siedzę na forum polskich nauczycieli i gęsto piszą tam ludzie pracujący w szkołach publicznych. Oni naprawdę znają się na swojej robocie, mają pasję, przygotowują tysiące ciekawych rzeczy, rozwijają się mimo gównianej pensji i ogólnie są w stanie sprawić, że ich uczniowie wyuczą się języka angielskiego w te kilka lat, mimo tego, że system rzuca im kłody pod nogi. To nie to, co było w czasach mojego liceum, że nasz angielski sprowadzał się do opowieści pani nauczycielki o tym, że życie jej nie wyszło. Oczywiście po polsku. Rynek szkół prywatnych daje sobie radę dzięki dorosłym z mniejszych miast, którzy odkryli, że jednak muszą znać ten cholerny angielski, żeby być awansowanym w pracy. A także dzięki Ukraińcom, którzy myślą o relokacji na zachód.

Jeżeli chodzi o dzieci, to Polska nigdy nie wystartowała i szkoły nie wiedzą jak się zabrać do tematu. Ja trochę wiem, ale też nie do poziomu otwierania własnej szkoły. Z jednego prostego powodu: szkoły w Polsce konkurują cenami, a magnesem mają być lekcje z natywami. W Krakowie, mieście, które widzi miliony anglojęzycznych turystów każdego roku, to ma sprawić, że ludzie rzucą się do szkoły językowej? To nie prowincja Guizhou w Chinach, gdzie laowai robi furorę. Powoli też dociera do ludzi, że imersja językowa nie działa i że siedzenie z natywem w pokoju nie musi sprawić, że nauczą się czegokolwiek.

Co z tego, skoro w jednej ze szkół językowych zadano mi pytanie co to jest CELTA i czy to dobrze, że to mam. Myślę, że jedna z najpopularniejszych kwalifikacji nauczycielskich świata powinna być rozpoznawana przez pracowników szkoły językowej.

Poziom profesjonalizmu sekretariatów to jedno, ale ja takich kontraktów jak w Polsce jeszcze nigdy nie widziałem. Jedna ze szkół przedłożyła mi do podpisania papier, w którym miałem zobowiązać się do zapłacenia kary w wysokości 7000 PLN, gdybym nie przepracował u nich roku. Gdy chciałem zabrać kontrakt do poczytania na spokojnie, zabroniono mi i chciano, żebym go podpisał go od razu. W ogóle byli zdziwieni, że ja to chciałem czytać, bo inni podpisują bez wybrzydzenia. Dzięki tej szkole odwiedziłem PIP (Państwową Inspekcję Pracy) i dowiedziałem się, że jeżeli chcę sobie podpisać kontrakt szkodzący mi i łamiący prawo pracy, to mogę. Państwo Polskie nie wnika w treść umów-zleceń i można w nich zapisać, że pracownikowi urwie się lewe jędro jeżeli nie przyjdzie do pracy w stroju bażanta. Wyszedłem powalony tą logiką.

W innej szkole powiedzieli mi, że reklamowane stanowisko etatowe jest dla niePolaków, natomiast

mnie, jako Polakowi, oferują samozatrudnienie i połowę tej pensji. Nie mówię tu o jakiejś podejrzanej szkole na podkrakowskim osiedlu, a o jednym z większych graczy na rynku szkół językowych. W innej szkole dowiedziałem się, że żadnego syllabusu ani programu nie ma, bo ufają nauczycielom. Braki syllabusów to bolączka niemal każdej szkoły z jaką się zetknąłem. Rozumiem, że można mieć Concept Based Curriculum, rozumiem, że nie trzeba się kurczowo trzymać jednego podręcznika, ale to nie polega na tym, że mówi się każdemu 'rób se co akurat ci wpadnie do głowy'. Bo kolejnym etapem jest 'rodzice przyszli na skargę, że dziecko niczego nie umie, czego ty kurwa uczysz?'.

W końcu znalazłem sobie niegorsze miejsce, gdzie płacili w granicach zdrowego rozsądku i rozpocząłem pracę. Szłochałem wspominając moich przełożonych z Moskwy, bo poziom profesjonalizmu był taki sobie, ale przynajmniej były syllabusy i wiedziano do czego wszystko ma zmierzać. Wielkim plusem była atmosfera na zakładzie, brak zamordyzmu i ogólnie bardzo mili ludzie, od sekretariatu przez dział kadr po opiekę naukową. Rozwinąć się raczej nie mogłem, ale przynajmniej się nie zwijałem. Po latach pracy w innych krajach dość dobrze pracowało mi się z Polakami. Wprawdzie docierał do mnie co jakiś czas nacjonalistyczny bełkot od któregoś z uczniów, ale poznałem też kilka fajnych osób, którym akurat angielski w życiu nie poszedł, ale za to słuchali i oglądali to co ja. Aligator znalazł pracę w innej dziedzinie niż uczenie. Ogólnie nie cierpieliśmy.

Życie w Krakowie miało swoje plusy, odświeżyła się nasza sieć znajomości. Przez dobrą połowę podstawówki siedziałem w ławce z chłopem, którego ostatni raz widziałem w 2009 roku, na jego ślubie. Potem nie było albo mnie, albo jego. W sierpniu 2017 roku obaj spotkaliśmy się w Krakowie. Szedłem na drżących nogach, bo bałem się, że nie będziemy mieli ze sobą niczego wspólnego, skończy się na krępującym milczeniu i drętwej atmosferze. On przepracował lata w Norwegii w sektorze bardzo odległym od mojego. Dwa piwa później okazało się, że tak jak dogadywaliśmy się w wieku 12 lat, tak dogadujemy się po trzydziestce. Każdy weekend był świętem, nie z powodu braku pracy, ale dlatego, że było tyle możliwości spędzania wolnego czasu. Odwiedzali nas ludzie z innych miast, chodziliśmy po muzeach i galeriach, bo jednak w Krakowie zawsze coś się dzieje. Pewnego dnia kolega podarował nam dwa bilety na koncert System of a Down, ubaw mieliśmy taki, że zapalaliśmy niemal miłością do zespołu (który niestety zdycha). Spełniło się jedno z moich marzeń koncertowych życia, byłem na Lanie. Przy okazji też na Wiz Khalifie, ale to akurat trudno mi wpisać do radości. Kino? Może nie Londyn, ale taką 'Dunkierkę' oglądnęliśmy w dniu premiery. Kina studyjne odwiedzaliśmy na pełnej kurwie, przypominały mi się radości z czasów studiów, jak fajnie jest iść na jakiś niezależny film koreański o którym nikt nigdy nie słyszał. Zawarliśmy nieświęty związek małżeński i mieli z tej okazji dwie imprezy. Chodziliśmy na protesty przeciwko rządowi i spotykali na nich znajomych, w tym takich, których nie widzieliśmy przez lata. Przypomniałem sobie, jak jeździ się samochodem i korzystałem z tej umiejętności. Z racji mieszkania na Kazimierzu na nudę nie mogliśmy narzekać (wliczając w to pijatyki pod oknami, co jest średnio radosne, gdy następnego poranka musi się wstać do pracy). Udało nam się poznać ludzi, których znaliśmy wcześniej jedynie przez internet.

Niestety, realia pracownicze w branży nauczycielskiej w Polsce są takie, że nie bardzo miałem ochotę czekać na cykl świąt Bożego Narodzenia, potem ferii zimowych i zarobić w tym czasie żałośnie. Żeby się w to bawić, trzeba mieć stawkę, która pozwoli nam na drapnięcie dobrego hajsu w ciągu tych jakichś ośmiu-dziewięciu miesięcy, gdy szkoły pracują pełną parą. Ta, którą ja miałem, nie pozwalała. Przy przepracowanym pełnym miesiącu mogłem żyć spokojnie, ale gdyby mi odpadły ze dwa tygodnie, to już byłem w realiach przecen Biedronki. Nie mówię nawet o tym, żeby pracować na etacie, bo w polskiej szkole językowej to jest po prostu nierealne. Pracuje się na umowie-zleceniu przy warunkach etatowych. Dostarczaj swoim uczniom standardów pierwszego świata za cenę trzeciego. Przesadnie nie cierpieliśmy, ale miałem poczucie, że da się lepiej. Aplikowałem nas do różnych prac, ale nie desperacko, szukałem czegoś znacznie lepszego, a nie czegokolwiek. Jako 'coś lepszego'

rozumiem pracę, która bardziej by mnie rozwijała, oferowała kursy zawodowe i solidnie lepsze pieniądze niż Polska. Gdzieś pod koniec czerwca rozpoczęła się moja przygoda z pewnym krajem Azji Środkowej.

Jeżeli chodzi o duże rynki uczenia angielskiego, to stawkę otwierają Chiny. Zawsze są tony pracy z Chin, z dobrymi pensjami. Jedynym ich minusem jest konieczność życia w Chinach i pracy z Chińczykami. Inny wielki rynek to Arabia Saudyjska. Ponieważ Aligator dobrze wygląda bez burkini, to tam też postanowiliśmy się nie wysyłać. Znamy ludzi, którzy przepracowali lata w Arabii i kraj nie zbiera zbyt dobrych recenzji. Z tych samych powodów odpadły Emiraty i Kuwejt. Tajwan, Japonia i Korea Południowa rekrutują stada, ale natywów (a jakie mają wyjebane rezultaty tej polityki!). Jeszcze do Japonii można pisać, bo znane są przypadki, że udało się komuś nie z magicznych krajów, ale legalna praca na Tajwanie lub w Korei, to utopia, odpuściłem więc i te rynki. Słyszałem dość dużo opowieści o tym, że w Tajlandii bywa ciężko, więc bardzo selektywnie podchodziłem do sprawy. W pewnym momencie zaczęła pojawiać się inna gwiazda.

Kazachstan.



Wiosną roku 2017 Kazachstan rekrutował nauczycieli jak młody Weinstein aktorki. Na 10 wysłanych CV mieliśmy 11 odpowiedzi z Kazachstanu. Każda oferowała pieniądze więcej niż solidne. Niestety, trudno było znaleźć jakieś konkretniejsze informacje o tym wszystkim, bo tradycje nauczania języka wroga w Kazachstanie są dość krótkie. Trafiały się głównie opowieści o tym, że standardy piątego świata, ale żadna nie odnosiła się do szkół z którymi byłem w kontakcie.

Mój pierwszy poważniejszy kontakt z pracą w Kazachstanie był z Atyrau. Odbylem dwa etapy rozmowy kwalifikacyjnej i była to dobra rozmowa kwalifikacyjna, konkretna, oferująca dobre pieniądze i rozwój zawodowy. Przeraził mnie jednak kontrakt, oczekiwał on 36 lekcji tygodniowo. To jest bardzo, bardzo dużo, na krawędzi wyrobienia się. Pocieszano mnie, że oni mi to fajnie zablokują, ale i tak oznaczało, że codziennie byłbym w pracy przynajmniej osiem, a czasem nawet dziesięć godzin. Zastanawiałem się, ale im więcej czytałem o Atyrau, tym mniej chciałem tam mieszkać. Obcokrajowców nie brak i niemal wszyscy zgodnie pisali, że życie jest przejebane, że lokalni nienawidzą przyjezdnych, że dostać w pysk można o każdej porze dnia i nocy za bycie nieKazachem. Jakies tam przyjaźnie udało im się zawrzeć, oczywiście nie wszyscy są walnięci, ale panuje przeświadczenie, że obcokrajowcy kradną im kobiety. Nie brakowało opowieści ludzi, którzy mieli przyjemność spędzenia czasu w więzieniu, bo policja zdjęła ich spod baru. Okazało się, że lokalne prawo głosi, że w miejscach publicznych musisz mieć 0,0% w wydychanym powietrzu. Jak masz więcej, to jedziesz do więzienia albo musisz zapłacić łapówkę. Policja w Atyrau parkuje się pod barem, wychodzących bierze na alkomat i na dołek. Rewelacja, takiego nightlife'u to jeszcze nie miałem. Najbardziej przerażające było to, że wydzwaniali do mnie dniami i nocami. Codziennie pytali, czy podpiszę kontrakt. To raczej nie jest normalne, zazwyczaj szkołom aż tak nie zależy, a oni chcieli nas oboje, chcieli dużo zapłacić i w kółko pytali czy już podpisaliśmy. Po paru dniach odpuściliśmy i podziękowaliśmy. Obecnie wiem o Kazachstanie nieco więcej niż pół roku temu i gratuluję sobie tej decyzji.

Jeszcze gdy kręcił się ten gig z Atyrau, ruszył temat z Astaną. Pensja wydawała mi się nierealna.

Takich pensji świat nauczycielski nie widuje. Arabia Saudyjska tyle nie płaci. Za taką kasę można zatrudnić ludzi mających o wiele lepsze papiery niż ja. Jakież więc było moje zdziwienie, gdy dostałem zaproszenie na interview. Siedziałem postresowany, przygotowałem się ze wszystkiego czego się można przygotować. Przeuczone syllabusy, podejścia do uczenia, preferowane książki, systemy egzaminacyjne. Przeorałem całą ich stronę, przeorałem internet w poszukiwaniu informacji o nich i wiele nie znalazłem. Przygotowałem się nawet z języka rosyjskiego, gdyby mieli fantazję sprawdzić moją znajomość narzecza Moskali. Jakąś tam wiedzę o Kazachstanie miałem, ale jeszcze się doedukowałem

Rozmowa trwała 30 minut i była o wszystkim. Profesjonalne za bardzo to nie było, ale czegoś tam się o szkole dowiedziałem. Od razu zaproszono mnie na etap drugi. Trochę zdziwiło mnie to, że dostałem do wypełnienia raport z wywiadu. Coś co ewidentnie powinna wypełnić druga strona, bo nigdy wcześniej nie dostałem papieru, w którym miałem ocenić czy warto mnie zatrudnić. Wypełniłem im to na trzy A4. Nastąpiła po tym wymiana maili, która zaowocowała tym, że zechcieli porozmawiać też z Aligatorem.

Z racji różnicy czasu, drugą rozmowę odbywaliśmy się o 7 rano. Od razu okazało się, że ja jestem niepotrzebny, bo dyrektorowi szkoły coś wypadło i nie da rady ze mną pogadać. Aligator przegadał swoje 30 minut, a potem właściwie wkleił mój raport z rozmowy, bo była niemal dokładnie taka sama. Poza pieniędzmi kręciła nas jeszcze jedna rzecz: praca w ramach IB, czyli International Baccalaureate.

W tym wszystkim dziwił nas poziom rozmowy. Była to bardziej pogawędka o życiu i wielkie zaskoczenie, że w miarę wiemy, gdzie ten Kazachstan jest. Jeden z elementów rozmowy:

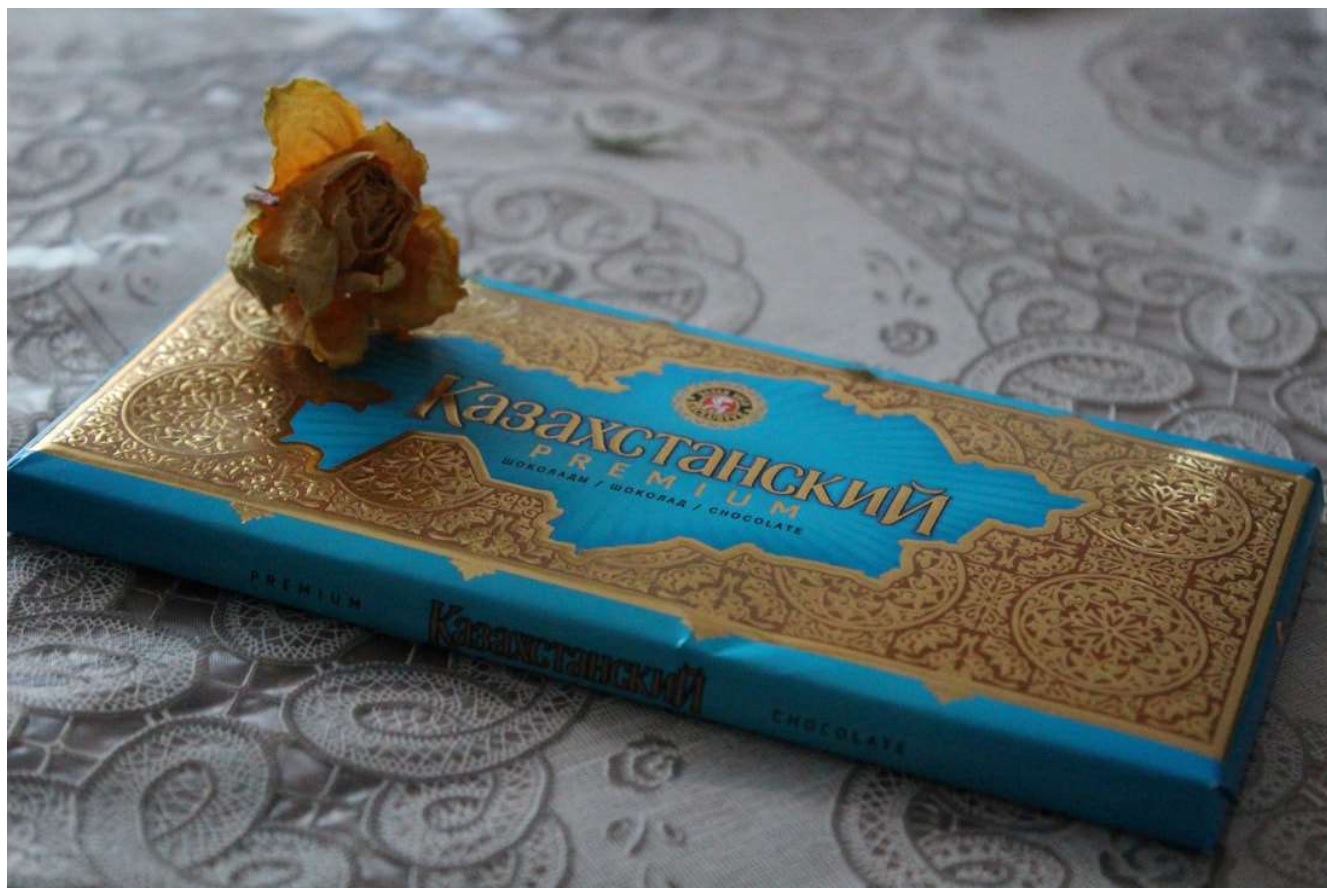
- *Czy macie dzieci?*
- *Nie i w tym roku nie planujemy.*
- *Słuchajcie, w Kazachstanie jest magiczne powietrze, tu jest bóg w powietrzu! Tu zachodzą w ciążę pary, którym nie udawało się to latami.*

Po zobaczeniu kontraktu zrozumiałem sekret tej pasji przyjezdných nauczycieli do reprodukcji. Jeżeli w trakcie pracy w Kazachstanie zajdzie się w ciążę, szkoła wypłaca pięćset plus. Tyle, że w wysokości 4000 USD. Nigdy nie widziałem takich zapisów, większość kontraktów w tej branży koncentruje się na tym, żeby zapłacić człowiekowi jak najmniej, a jak się pochorujesz, to już w ogóle zero. W Polsce naoglądałem się kontraktów rodem z trzeciego świata, gdzie koncentrowano się na tym, żeby mnie ojebać z pieniędzy. I nagle z Kazachstanu dostaję kontrakt tak dobry, że nie mogliśmy w niego uwierzyć. Wiele z zapisów wydawało się pochodzić z jakiegoś bajecznego świata, nawet nie w stylu Kanady, a jakiegoś Saturna. Ja ten kontrakt wydrukowałem, chociaż nie musiałem. Leżał na stole w naszym salonie i pokazywałem go znajomym, a potem piliśmy z niego wódkę. Bo takich warunków nigdy nie widziałem. Opłacone koszty wizy, opłacone loty, płatne święta narodowe, płatne chorobowe, opłacone mieszkanie, a do tego pensja niemalże nierealna. Widzieliśmy, że poziomy profesjonalizmu są niskie, ale warunki były tak dobre, że stwierdziliśmy, że bierzemy. Przecież trudniej niż w Chinach nie będzie. Do tego Astana ma bezpośrednie loty do Warszawy, przy dobrym układzie da się dość tanio przefrunąć, od stycznia 2017 roku Polacy nie potrzebują wiz, więc będziemy mogli bezboleśnie zaprosić znajomych. Kraj ma trzy języki oficjalne - kazachski, rosyjski i angielski. Dwa z nich znamy. Mieszkałem w Gruzji, mieszkaliśmy w Rosji, ogarniamy mentalność sowiecką i postsowiecką.

Wszystko wskazywało na to, że Kazachstan będzie złotym strzałem w naszym życiu.

Droga do raju fapiao jest wybrukowana

Zdobywanie zezwolenia na pracę w dowolnym kraju jest jakimś tam biurokratycznym horrorem. Nie liczyłem, że wiza pracownicza do Kazachstanu będzie wyjątkiem. Nie zawiedli mnie, chociaż dało się rzucać i większe kłody pod nogi. Wejściowa lista dokumentów była dość standardowa i nie przeraziła mnie. Z podobnymi zestawami mierzyłem się w przeszłości. Czy Rosja, czy Chiny chciały mniej więcej tego samego.



Trzeba się najpierw trochę nagimnastykować, żeby później móc zażerać się Kazachskim Premiumem!

Pismo, które otrzymałem, głosiło, że muszę im dostarczyć skany, a po przyjeździe oryginały:

- papierów związanych z wykształceniem. Wielkiej sprawy nie ma, skany i tłumaczenia posiadam od lat, to jest wymagane po prostu zawsze.
- zdrowotne. Robiłem wiele razy. Niestety, trzeba robić nowe za każdym razem. Formularze są oczywiście po angielsku, co niejednego lekarza wprowało w przerażenie. W XXI wieku Polska służba zdrowia nie wie, co robić z takimi dokumentami. NFZ, najlepiej iść prywatnie, zapłacić jakieś 100+ PLN i dostać na poczekaniu, bo nawet jak nie wiedzą, to wypełnią po prośbie. Nikt tych badań nie robi naprawdę (standardowo: EKG, krew, mocz, wzrok, czerep), ale w tym wszystkim ważny jest papier, a nie faktyczny stan zdrowia. Chociaż pewnie jak nie trzymasz kału, to ci to wpiszą.
- niekaralność z tłumaczeniem przysięgłym - Niestety, wydawane na trzy miesiące, robię za każdym razem, gdy gdzieś się pakuję. I tak dziękuję sobie, że nie jestem Amerykaninem, oni

mają o wiele lepszy ubaw, trwa to tygodniami, wymaga pobrania odcisków palców, wysyłki tychże do FBI, poczekania na zwrotkę, że nie jest się synem Osamy bin Ladena i córką Ulrike Meinhoff. Koledze kiedyś zwrócili papiery po trzech tygodniach, że ma źle odbity któryś palec i zaczynamy od zera, miesiąc pracy mu przepadł. Mógł w tym czasie siedzieć w pięknym rodzinnym stanie Michigan i czekać aż wystawią te szlachetne kwity. Bardzo ciepło wypowiadał się o tym po fakcie, dobrze wiedzieli jak wzmocnić jego uczucia patriotyczne.

- **NOWOŚĆ!!!** Akt ślubu. Zachciało się wam żenić i wychodzić za mąż? To nam to wykażecie w języku wroga, i to solidnego wroga. Nie germańskiego oprawcy, ale w tym przypadku wymagano tłumaczenia na rosyjski. Dziko głupie to nie jest, bo jak jedno wpadnie pod buldożer, to są papiery, żeby drugie podpisało dokumenty o przeszczepie rogówek i pobraniu organów do badań dla studentów. Kazachstan solidnie stoi na rosyjskim, urzędy teoretycznie powinny ogarniać angielski, ale wolą rosyjski.



W Kazachstanie miłość wyrażać należy po rosyjsku

Rozpocząłem zbieranie papierów. Przypomina to trochę komputerową grę przygodową z dawnych lat, np. serię 'Monkey Island' Lucasarts; chodzisz po różnych lokacjach w poszukiwaniu dziwacznych przedmiotów, które wykorzystujesz na swoje deko jebnięte potrzeby. Zanim rozpocząłem w to grać, wysłałem na szybko edukację i samozdrowotne. Samozdrowotne robimy tak, że wpisujemy w ten szlachetny formularz, że nie jesteśmy pierdolnięci, nie mamy HIV/AIDS i paru innych radości związanych z byciem człowiekiem, a potem na miejscu sprawdzą nam, jak bardzo ich okłamaliśmy. Mnie zawsze zawieszają sekcje o zdrowiu psychicznym, ale tego akurat nikt nie bada, testują zwyczajowo krew, moczu i serce.

Bardzo ważne jest sprawdzenie sobie, czy kraj, w którym mamy pracować, nie robi badań na spożywanie tzw. substancji nielegalnych. Chiny jakiś czas temu zaczęły. Kij tam z moczem, jeżeli nie

zjaramy bata na chwilę przed badaniem, to wiele z niego nie wyjdzie, przyjmuje się, że po góra dwóch tygodniach abstynencji jesteśmy bezpieczni. Jeżeli jednak jakimś zawodnikom wpadnie kiedyś do głowy robienie krwi lub włosów, to wtedy nauczyciele będą mieli nudniejsze wakacje między kontraktami. Szczęśliwie, badania te są drogie i nikomu się póki co się nie chce. Ale niech pierdolona technologia pójdzie do przodu, niech jakaś złowroga korporacja medyczna wymyśli testy z krwi za grosze, to im bardziej dupiany kraj, tym szybciej zaczną to wszystko ludziom robić. Do tego dochodzi taki cyrk, że jeżeli jesteś np. Holendrem albo masz amerykańską kartę zdrowia i jarasz legalne lele każdego dnia, to jak pojedziesz do Indonezji i ci wytestują, to masz przejebane jak bałwan na Saharze. Chuj, że nie popełniłeś ani grama przestępstwa, jak z lania wychodzi, że jarałeś, to masz ciekawiej. Wracając do tematu, Kazachstan ma głęboko w pompie, czy walimy heroinę w kanał, pudrujemy nosek, odtwarzamy doświadczenia Hofmanna, czy też mamy złotą kartę klienta u Wiza Khalify.



Tak, nawet ten kot mógłby dostać wizę do Kazachstanu! (źródło: catmacros.wordpress.com)

Załatwianie zaświadczenia o niekaralności w Polsce jest dość sprawne, kosztuje 30 PLN i dają na poczekaniu. Jak chcecie załatwić współmałżonkowi, to weźcie upoważnienie. Możecie też je napisać sobie samemu, wtedy nie będziecie zapierdalać po Krakowie w gorący lipcowy dzień z Sądowej na Wielicką i z powrotem. Poza numerem dowodu osobistego, nikt nie sprawdza autentyczności tego wypisywanego z ręki dokumentu. Oczywiście podrobienie podpisu jest przestępstwem, więc lepiej dymać pół miasta za jedną kukłką osoby, z którą dzielicie życie, lodówkę, wyro i spacer do dyskontu.

Drugi krok, przekład zaświadczeń na angielski. Ogarnięci tłumacze przysięgli mają na to wszystko formatki i mogą zrobić nawet na poczekaniu. Złożyłem nasze statusy o nieposzlakowanej opinii w piątkowe popołudnie, już w poniedziałek było gotowe. Kilka złotych zeszło, ale zrobione, bocian, uratowani. Pani nawet powiedziała, że jakby było jedno, to by mi w 20 minut zrobiła.

Akt ślubu na rosyjski to też była dość prosta sprawa, kilka osób w Krakowie ma uprawnienia w zakresie wykonania takiej usługi, odbiór był dzień po złożeniu.

Gdy się w to wszystko bawiłem, wrócił do mnie mail na temat mego wykształcenia. Okazało się, że to

fajnie, że mam dyplom, ale taki dyplom każdy może sobie kupić w sklepie z dyplomami. Doinformowano mnie, że nasze papiery muszą przejść procedurę apostille. Zdurniałem nieco, poczytałem i oto co mi wyszło:

Legalizacja (uwierzytelnienie) dokumentu służy nadaniu dokumentowi urzędowemu wydanemu w danym państwie cech pozwalających na jego uznanie w państwie trzecim. Legalizacji dokonuje się jeżeli dokument urzędowy sporządzony w danym państwie ma zostać wprowadzony do obrotu prawnego na terytorium innego państwa.

Wprowadzenie naszych wyjebranych tytułów magistra do obrotu prawnego na terytorium innego państwa, to chyba w ramach programu 'Benny Hill'.

W przypadku Państw-Stron Konwencji znoszącej wymóg legalizacji zagranicznych dokumentów urzędowych, sporządzonej w Hadze dnia 5 października 1961 roku (Dz.U. z 2005 r. poz. 938), uwierzytelnienia dokonuje się w wyznaczonym urzędzie państwa, z którego pochodzi dokument, poprzez opatrzenie dokumentu klauzulą, zwaną również pieczęcią, apostille.

O tym będzie za chwilę.

W Polsce polskie dokumenty urzędowe na potrzeby ich uznania w innych państwach legalizuje i wydaje apostille Dział Legalizacji w Ministerstwie Spraw Zagranicznych (Al. J. Ch. Szucha 21, Warszawa).

Zarówno Kazachstan jak i Kirgistan są stroną konwencji haskiej z 5 października 1961 roku. W 1961 roku Kazachstanu, jako państwa, to nie było nawet w heroicznej fazie największych regionalnych nacjonalistów (coś mi mówi, że Kirgistanu też nie). Jakoś tak sobie można zrobić dziedzictwo ZSRR, ale jednak, sprawa jest skomplikowana. Ambasada Polska w Astanie głosi, że nasze papieren tu uznają. Wygląda na to że 5 kwietnia 2000 roku podpisano coś, co od 30 stycznia 2001 roku wcielono w życie. Niestety, do lokalnych ta wiedza nie dotarła lub też mają lepsze regulacje wewnętrzne. Mnie pracodawca kazał zrobić apostille naszych magistrów, co teoretycznie zrobiono w roku wydania Kid A. Mimo oficjalnych dagaworów, musieliśmy się w to zabawić.

Wykonanie apostille nie wygląda na bardzo trudne: trzeba udać się do MSZ, zapłacić 60 PLN za legalizację i 26 PLN opłaty skarbowej. Dokumenty otrzymujemy jeszcze tego samego dnia. Schody zaczynają się jeżeli mieszkamy w mieście innym niż Warszawa. Wówczas musimy albo sami pojechać do stolicy, albo zapłacić za pośrednictwo. Dobrze wypierdolone kilka stów na papierologię. Jak będziecie kiedyś czytali kolejny dramatyczny raport, że Polska małych miast się wyludnia i za chuj nie wiadomo dlaczego, to wiedźcie, że właśnie dlatego (na tyle na ile Kraków jest małym miastem). To nie pierwszy raz, kiedy okazuje się, że poza Warszawą wiele nie załatwisz albo kursu nie zrobisz, a o lotach to lepiej nie mówić. W sumie i tak dobrze, że można zapłacić za pośrednictwo i dać jakieś miejsce pracy, mogli przecież wymyślić, że trzeba stawić się osobiście. Informatyzacja kraju postępuje z zawrotną prędkością. Zauważmy też, że w Kazachstanie swego czasu pracował były Prezydent Polski, Aleksander Kwaśniewski. On nie musiał się tak męczyć z biurokracją, bo magistra nie ma, więc nie miał niczego do uwierzytelnienia. Znowu widzimy, że wbrew temu co mówią nam na każdym kroku, kształcić się nie opłaca.

WZÓR	
APOSTILLE (Convention de La Haye du 5 octobre 1961)	
1. Państwo:	
Niniejszy dokument urzędowy	
2. podpisany został przez	
3. działającego w charakterze	
4. zaopatrzony jest w pieczęć/stempel	
.....	
Poświadczony	
5. w	6. dnia
7. przez	
8. Nr	
9. Pieczęć/stempel:	10. Podpis:

Taką prestiżową naklejkę wlepia się w dyplom (źródło:

<http://mojafirma.infor.pl/poradniki/1154,14,Legalizacja-dokumentow.html>)



To musiał być ciężki kac. Ciekawe, czy chociaż częściowo moralny. (źródło: <http://www.newsweek.pl/polska/nursultan-nazarbajew-aleksander-kwasniewski-lobbowal-za-dyktatorem,artykuly,365060,1.html>)

Co mnie zirytował Kazachstan życząc sobie tego apostille to jedno, ale ojczyzna dowaliła do pieca znacznie lepiej. Profesjonalizm biur tłumaczeń, biur pośrednictwa... Płacisz jak za woły, a obsługa jest do dupy. Umówiona cena różni się od ostatecznej i wielki szok, że klient się robi taki niekulturalny, no przecież miało być 79, a wyszło nam 158, źle nam się policzyło, bo masz pan za długie nazwisko. Tak, sześć liter, Aligator siedem. Imiona po sześć i cztery litery, bardzo długie. Gdyby pojawił się Stanisław Pragłowski z Anastazją Szczęsną-Potocką, to pewnie by i trzy strony wyszły. To biuro tłumaczeń na ruski. Biuro od apostille nagle powiedziało, że kasują nas podwójnie, bo oni NIE WIEDZIELI, że trzeba wnieść 26 PLN opłaty skarbowej. Na pytanie jak biuro zajmujące się tym zawodowo mogło tego nie wiedzieć, powiedzieli, że się pomylili i nie wiedzieli. Chuj, kurwa, pierdol się, płac i płacz. Bodajże 117 PLN razy dwa mnie ta pomyłka kosztowała. Polska, jak ciężko byś nie pracował, to będziesz na dnie. Zaczynj jednak kombinować z pośrednictwem i nagle są pieniądze! Zawsze lubię płacić za jakość mojego państwa i za to, jak bardzo dba o mnie jako obywatela.

Tyle, że pani przysięgła od angielskiego była super, poza tym, że miała solidną ilość obrazków z Jezusem, ale może to dzięki nim nie próbowała mnie wyruchać (finansowo, chociaż tradycyjnie też nie).

Chyba jest jasne, że przerabiając to wszystko, Kazachstan zaczynał wydawać się całkiem fajną opcją na spędzenie życia. Nasze papiery przyjmowali bez bólu i bez większych cierpień, a nawet nam za nie dziękowali. Że tak szybko, że tak sprawnie, że zawsze na mailu.

W końcu mieliśmy wszystko, wysłaliśmy ostatnie hałdy papieru dla hołdu składanemu papierowi i czekali co będzie dalej. Powinno było być zaproszenie, które potem należy załączyć do wniosku

o wizę. Rozpoczęło się oczekiwanie.

Był 3 sierpnia.

Nie wiedzieliśmy, czy za niecały miesiąc będziemy w Kazachstanie, czy nadal w Polsce, bo przecież mogło się okazać, że coś nie tak z papierami, że jednak nas nie chcą, że wojna, że nie dadzą wiz. Czekaliśmy prawie dwa tygodnie. Zgranie było idealne, kończyłem pisać, że trochę to kurwa długo i że jak oni to wszystko widzą, gdy dzwonię, że przyszedł mail, a tam w załączniku był obiekt pożądania, zaproszenie do pracy w Kazachstanie. Wszystko było tak na datach, że nie mogło się udać, więc pozostawało tylko jedno pytanie: czy będą dramatyzować, że nie przyjedziemy 2 września jak się umawialiśmy, czy też spokojnie to łykną.

Łyknęli.

W sprawie pomógł 1 września, który wypadł w piątek. Jest to wielkie kazachskie święto narodowe, nic nie pracuje, ambasada oczywiście też nie. Wcześniej jeszcze, 25 sierpnia, pojechaliśmy na ulicę Królowej Marysienki, odnaleźli ambasadę i złożyli aplikacje o wizy pracownicze. Wszystko trzeba zrobić osobiście, nie można skorzystać z pośrednika (a przynajmniej mnie z lektury zasobów internetowych tak wyszło). Nasze dokumenty okazały się być jak najbardziej w porządku, obsługa zaskakująco miła i pomocna, a cała procedura zajęła naście minut (mam w żywej pamięci kilkugodzinne kolejki do ambasady ChRL). Opłata za takie чудо wynosi tylko 170 euro.

Tak, 170 euro za wizę pracowniczą.

Pobiliśmy tym samym życiowy rekord opłaty urzędowej. Oczywiście nie jest za łatwo, pieniędzy ambasady nie biorą, więc należy iść do banku i to konkretnie banku Millenium. Daleko nie jest, ale poza opłatą za wpłatę – bo takich czasów dożyliśmy, że bank chce od nas pieniędzy za danie mu pieniędzy - albo nas rzną na kursie euro i opłacie za wniesienie opłaty. Albo dajemy w euro i nas rzną tylko na opłacie. Ludzie tyle lat mówili mi, że w socjalizmie to było gówno i chujowe podejście do klienta. Odkąd wszyscy możemy odkrywać szczodrość banków, jakoś tak ciszej nad chujowizną czasów minionych. Taka różnica, że nie można palić w centrum obsługi klienta, a kawkę napierdala się z kubka ze Starbunia, a nie ze szklanki.

Na wizę pracowniczą czeka się tydzień. W święta narodowe obu krajów ambasady nie pracują. Pani z ambasady raj z zaproponowała nam odbiór 31 sierpnia. Wtedy dalibyśmy radę przybyć 2 września, jak wcześniej planowaliśmy.

Trochę nas to kusiło, ale ostatecznie stwierdziliśmy, że nie.

Mieliśmy taką ilość tematów życiowych do zamknięcia, że ledwo daliśmy radę do 4 września. Na pociechę, jak z papierem walczyliśmy zacięcie, tak pozostałe tematy poszły dość bezboleśnie, wliczając w to odbiór kaucji za mieszkanie. Myśleliśmy, że nam przepadnie, bo wypowiadaliśmy przed terminem, ale nie, powiedziano nam, że jeżeli znajdziemy nowych lokatorów, to dostaniemy z powrotem. Jeżeli narzekacie na samotność, to wrzucicie na OLX ogłoszenie 'Mieszkanie Kraków-Kazimierz tanio wynajmę!'. Przez następne dni będziecie mieli po naście telefonów dziennie. Z jedną panią ze Śląska, która szukała mieszkania dla syna, to się na odległość zaprzyjaźniłem. Poza tym spotkaliśmy stada zainteresowanych, mniej zainteresowanych i zdegustowanych. W końcu razem z właścicielem zaakceptowaliśmy parę, która rozpoczęła wprowadzanie się zanim my wyszliśmy, nawet nam pomogli się wytachać. Jak chcecie wynajmować mieszkanie, to musicie nauczyć się kłamać.

Zamordowałem kilka tematów mówiąc jasno, że bywa, że o 3 w nocy ktoś piłuje dupę, ale takie radości życia w centrum. W końcu jak ktoś nie piłował dupy o 3 w nocy w centrum, to nie może się nazywać człowiekiem. Nie zawsze ta logika chwytała i po jakimś czasie Aligator wychodził na pierwszą linię frontu, koncentrując się mniej na działalności stolarskiej, a bardziej na tym, że to centrum miasta i że tanio.

3 września odebraliśmy wizy, pojechali na Okęcie i odlecieli w stronę nieznanej przygody. Coś nam jednak mówiło, że nie będzie to Indiana Jones, a Aleksander Sołżenicyn. Byłem tak zmęczony ponad miesiącem zabaw w to wszystko, że marzyłem jedynie o tym, żeby dotrzeć do Kazachstanu. Byłem pewien, że trudniej niż w Polsce nie będzie.

Podczas naszego pobytu w ojczyźnie, byliśmy na tyłu piwach połączonych z dramatem życia, że wiedzieliśmy dobrze, że jeżeli zostaniemy, to zastanie nas marazm, dramat i katastrofa. Nie byliśmy na to gotowi. Mawiają, że tonący brzytwy się chwyta. W naszym wypadku, to nie była brzytwa. To był uśmiech losu. Tak właśnie myśleliśmy w sierpniu roku pańskiego 2017.

Oda do radości

W oparciu o ratel.kz:

Rozpoczął się proces Iriny Żurawliowej, kobiety oskarżonej o zamach bombowy na dworcu w Aktobe. 7 listopada 2017 roku policja otrzymała telefon od oskarżonej. Powiedziała, że podłożyła na dworcu bombę. Jako że dzwoniła z niezastrzeżonego numeru i przedstawiła się z imienia i nazwiska, to znalezienie jej nie zajęło bardzo długo. Zajęło nawet krócej niż mogło, bo policja miała kłopoty z ustaleniem jej adresu. Na szczęście życzliwa Irina wyszła do nich, żeby im pokazać, gdzie też mieszka i poinformować ich, że to dokładnie jej szukają. Biedna policja nie mogła znaleźć na własną rękę, co bardzo nie dziwi przy tutejszym systemie adresowania. Pani natychmiast przyznała się do winy i poprosiła, żeby nie męczyli jej procesem ani wyrokami, tylko natychmiast odesłali do więzienia-kolonii karnej. Po zaznajomieniu się z tymi wydarzeniami (żadnej bomby nigdy nie było), sędzina Gulnar zobaczyła, że Irina Żurawliowa była już karana. Zadała więc najbardziej banalne w takiej sytuacji pytanie: za co?

W roku 2013 pani ze swym konkubentem sprzedali z domu wszystko, co sprzedać mogli. W końcu postanowili spieniężyć i swoją czteroletnią córkę, Arinę. Poprosili znajomego, żeby znalazł im kupców, początkowo zażyczyli sobie 7000 USD. Gdy ostatecznie zobaczyli 700K tenge (obecnie to jakieś 7000 PLN, w 2013 było to znacznie więcej), zgodzili się i na taką sumę. Mieli pecha, bo cała sprawa okazała się policyjną ustawką. Konkubent wyjaśniał, że tylko żartowali i to oni sami chcieli zobaczyć jakie to bydlaki by ich dziecko kupiły. Irina mówiła, że Ariny wcale nie chcieli sprzedawać, tylko wypożyczyć na weekend. Niestety, cała sprawa została zarejestrowana na video i to arcyciekawe tłumaczenie nie zostało uznane za wiarygodne. Podczas pobytu w więzieniu skazana zasypywała sąd listami, w których pisała, że zrozumiała swoje błędy, pragnie wrócić do córki i ją przytulić. Z zasądzonych jej początkowo ośmiu lat, odsiedziała trzy. Po wyjściu z więzienia na wolności spędziła trzy miesiące. Swoje dość ekscentryczne zachowanie wyjaśniła następująco:

- Myślałam, że wyjdę na wolność, córkę wezmę do siebie, ustanowimy prawa rodzicielskie, będę z dzieckiem resztę życia. Ale ona już została ucórowiona przez kogoś innego. Do pracy nie chcieli mnie nigdzie przyjąć. Pieniądzy na życie nie miałam, to pomyślałam, że zadzwonię, powiem o bombie, wezmą mnie z powrotem do więzienia na jeszcze cztery lata. A teraz wyszło, że sobie dołożyłam kolejną odsiadkę.

Po tym oskarżona poprosiła o szybkie zakończenie procesu i wydanie wyroku.

- Dla mnie nie ma już życia na wolności.

Witamy w Kazachstanie - kraju, gdzie łatwiej jest żyć w więzieniu niż poza nim. Trochę losowych danych finansowych, które pomogą nieco zrozumieć decyzję pani Iriny. Ceny znane z Astany, w Aktobe jest raczej taniej, a w takim Ekibastuzie to pewnie za darmo, ale o takim rzędzie wielkości orientacyjnie mówimy. Obecnie 1000 tenge to niemal dokładnie 10 PLN.

- wynajem mieszkania dwupokojowego - 100K tenge.
- rachunki do ww. mieszkania - 25K tenge.
- podstawowa pensja nauczyciela w szkole państwowej - od 80K tenge
- pensja doświadczonego nauczyciela w szkole państwowej - do 130K tenge

- opłata za półprywatne-półpaństwowe przedszkole - 19-25K tenge miesięcznie
- godzina korepetycji - od 1800 tenge
- pensja w sklepie - 80-140K tenge. Troszkę więcej godzin niż w szkole, ale tu raczej młynu w sklepach nie mają.
- pensja stróża/ochroniarza - 50-80K tenge
- najniższa emerytura: 40K tenge.
- bezrobocie - oficjalnie 5%

Jeżeli ktoś jest samotny, to może jakoś tam się z pracy nauczycielskiej lub w sklepie utrzymać. Jeżeli ma dziecko, to już musiałby dokonywać cudów akrobacji finansowych. Miliony ich dokonują, pani Irinie jednak nie będzie to dane.

Niektóre sumy (takie ryby) są zasłyszane w rozmowach z krajowcami, którzy nie zawsze mówią prawdę.

Poniżej ceny zweryfikowane własnym portfelem, stan na grudzień 2017. W niektórych wypadkach solidnie różnią się od tych z września.

- tani obiad na mieście - 700 tenge (jakiś miesiąc temu burmistrz Ałmaty powiedział, że można zjeść za 500 i ludzie się wściekli. Strasznie wyglądająca nora na drodze do szkoły ma przylepioną orzyganą kartkę KOMPLEKSOWY OBIAD 700 TENGE. Nie odważyłbym się, ale skoro reklamują...).
- butelka coli 1l - 210-230 tenge
- zestaw w McDonalds/Burger King - około 2000 tenge
- makaron - od 140 do 300 tenge. Ten tani to muszelki do gotowania dwie minuty, za 300 coś przypominającego nasz makaron
- ser od 1000 tenge za kilogram wżwż. Zaznaczam, że tego za 1000 jeść się nie da.
- serek do smarowania, 180g - jakieś 500 tenge (to solidnie podróżowało).
- papier toaletowy - od 50 tenge, chociaż chyba lepiej liściem niż czymś poniżej 100.
- przybory toaletowe - porównywalnie do Polski, tanie są fatalne, ale da się myć mydłem w kostce, myć zęby proszkiem do zębów i prać ciuchy w proszku za 300 tenge. Jakość takiego życia jest obłędna, ale niestety, nawet i ono nie jest dla wszystkich dostępne.
- jabłka - od 600 do 1200 tenge, te tańsze to katastrofa, droższe to Granny Smith. Bywają lepsze ruskie jabłka w niezłych cenach, ale trzeba się za nimi nachodzić.

Używki:

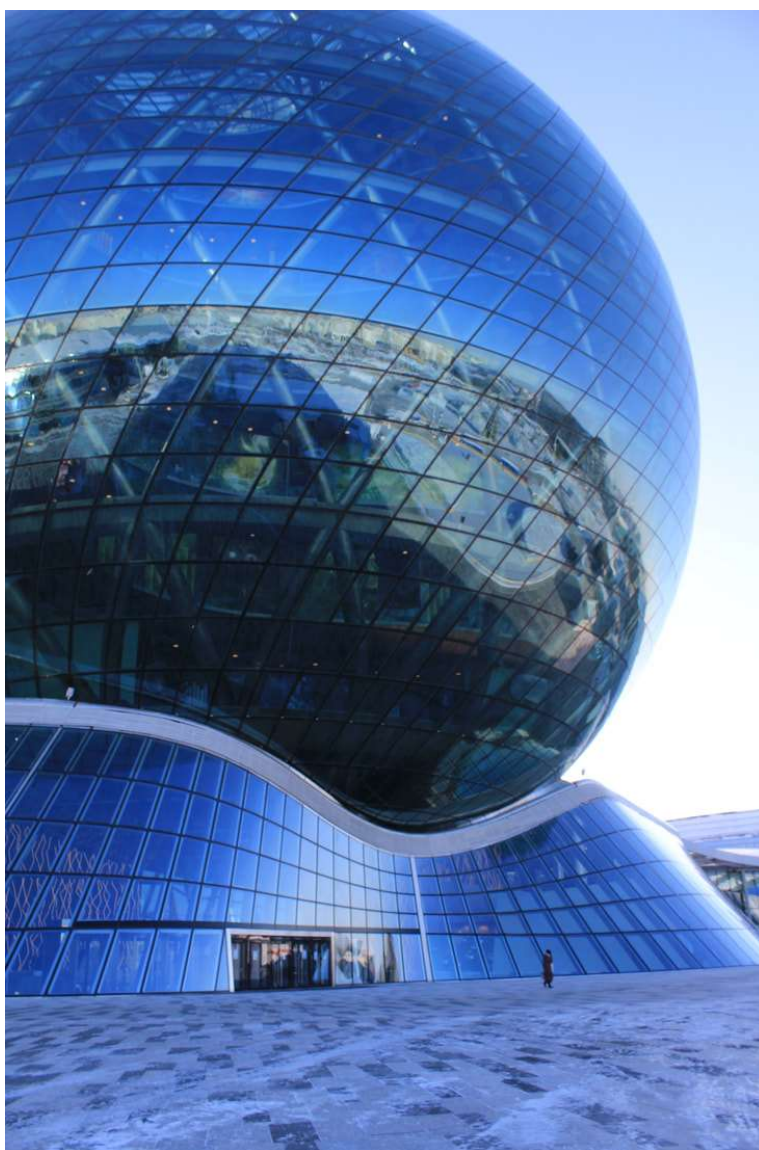
- paczka papierosów Parlament - 420 tenge (było 400)
- tania wódka - 1000 tenge
- bieda piwo - 180 tenge
- kawa Nescafe 200g - 800 tenge w promocji, 1200 normalnie
- herbata - 150 tenge za azerską w torebkach, około 500 za Liptona, Greenfield lub Ahmad
- bieda słodycze - lokalne batoniki i wafle to około 100 tenge za małe opakowanie
- czekolada - 300-450 tenge
- guma do żucia - 130 tenge (10 drażetek)

Większość mieszkańców Kazachstanu po otrzymaniu wypłaty nie śpiewa hymnu Unii Europejskiej. Mimo tego, że Kazachstan chce zaliczać się do krajów europejskich, a nie azjatyckich.

Katatsja na konkach

Oto typowa opowiadka z życia w Kazachstanie. Konkretnie w stolicy - Astanie - czyli mieście nowoczesnym. Kazachstan reklamuje się jako pomost między Europą a Azją. To i tak skromnie, bo moi uczniowie mają bite do głowy, że nie ma takich kontynentów Europa i Azja, jest jeden: Eurazja. W Rosji dowiedziałem się, że Skłodowska była Rosjanką, w Chinach, że kaczka nie jest ptakiem, a w Kazachstanie, że Japonia i Portugalia leżą na jednym kontynencie!

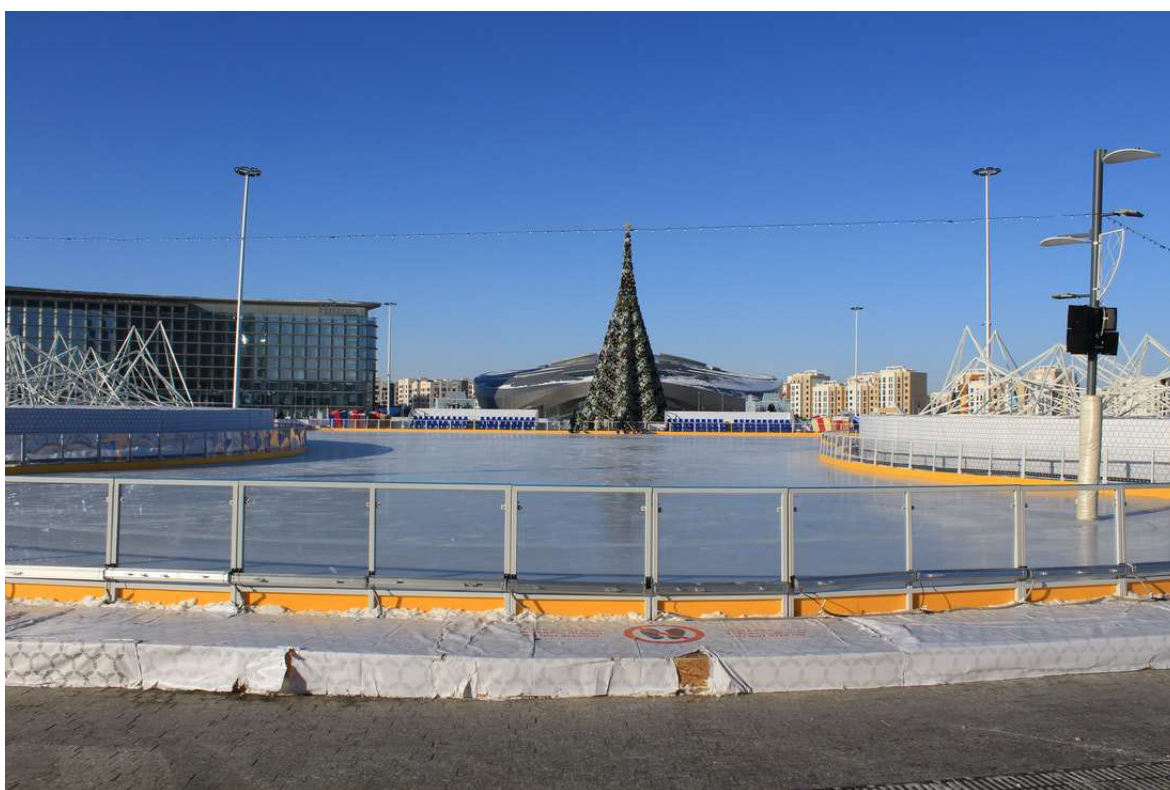
Z racji nadejścia zimy (znacznie późniejszego niż się wszyscy spodziewali) otworzyły się lodowiska. Hokej jest tu sportem narodowym, katatsja na konkach lubią wszyscy, więc w promieniu dwóch kilometrów od domu mamy trzy lodowiska. W sobotę przeszedłem się obok dwóch i wybrałem lodowisko Expo. Na świeżym powietrzu, duże, wyglądało na radość.



Kazachska Gwiazda Śmierci zimową porą



Lodowisko podczas przerwy technicznej



Widok na najwyższą choinkę w Astanie - bezcenny!

Aligator nie jeździ na łyżwach, bo kto to widział Aligatora na lodowisku? Z racji tego napisałem do

współpracowników, jedna osoba zebrała się, żeby iść ze mną. Była podekscytowana, bo nigdy w życiu nie jeździła, a bardzo chciała się nauczyć. Ja jeździłem lata temu, ale założyłem, że chyba pamiętam jak to się robi. 'W najgorszym razie obiję sobie tyłek, ale będzie to jakiś ubaw' - takie oto było moje nastawienie.

Otwarcie lodowiska Expo było szeroko reklamowane, nawet w gazetach były artykuły, że zapraszają. Wyszukałem, że wstęp kosztuje 1000 tenge (10 PLN z małą okładką), wypożyczenie łyżew drugie 1000. Dobra, przeżyję taki wydatek! Wybraliśmy sesję od 14 do 17. Trzy godziny, pewnie po godzinie będziemy mieli dosyć, ale fajnie, że jest tyle czasu.



Designerskie kasy biletowe

Spotkałem się z koleżanką i poszliśmy kupić bilety. Była 14 z kopiejkami. Działały trzy kasy.

W kolejce przed nami stało pięć osób.

Już o 14:27 kupiłem bilety. Jak można tyle czasu sprzedawać bilety pięciu osobom? Nie wiem. Byłem, widziałem i nie wiem. Nie było żadnego dramatu, nikt się nie rzucał, nie chciał kupić niczego specjalnego. Coś co powinno zająć poniżej minuty, zajmowało dobre pięć. Gdy poprosiłem o bilety, po rosyjsku, pani odezwała się po kazachsku. Poprosiłem o wersję rosyjską.

- A nic, nic.



Po jeździe na łyżwach można napić się lokalnego piwa. Na mrozie :D



Wypożyczalnia łyżew

Poszliśmy wypożyczyć łyżwy. 45 hokejowe dla mnie, 39 figurowe dla koleżanki. Szok, oba rozmiary dostępne.

- *Gdzie macie bilety na łyżwy?*
- *To, ten.*
- *Nie, nie, to są bilety wstępu na lodowisko.*
- *Myśleliśmy, że jak tu się pożycza łyżwy, to i tu się płaci.*
- *Nie.*
- *Nie mógłbym pani zapłacić za te łyżwy?*
- *Nie, muszę mieć bilet.*

Zrozumiałem o co mnie pytali po kazachsku... Wróciliśmy do kolejki. Przed nami stało siedem osób. Mówię do Leny:

- *No to pół godzinki z głowy.*
- *Może nas puszczą bez kolejki? Przecież mamy bilety, chcemy tylko te na łyżwy.*
- *Zwariowałaś? Takie pomysły to można mieć w Kanadzie, a nie w Kazachstanie. Nikt nas nie przepuści, gdyby to były Chiny, to może na magię obcokrajowca by się udało, ale tu? Nie, postoiimy.*

Ale może będzie lepiej.

Było.

Po jakichś dziesięciu minutach liczba osób przed nami nie uległa większej zmianie. Przyszedł za to dyrektor lodowiska opierdolić kasjerki, że sprzedają bilety ze złymi datami, w efekcie bramka nie wpuszcza ludzi i stoi kolejka rodziców z dziećmi, wszyscy dziko wkurwieni. Po pierwsze niech mu wymienią te bilety, co ma, bo ludzie go rozszarpią. Po drugie niech zaczął sprzedawać bilety z dobrymi kodami. Po trzecie dlaczego on musi ponosić konsekwencje ich błędów. Obstawiam, że paniom zostały bilety z innego dnia i chciały się ich pozbyć. A że klient zapłaci, a potem nie wejdzie, będzie dym, a ostatecznie trzeba mu będzie dać dobry bilet? E tam.

Wizyta dyrektora tak wstrząsnęła kasjerkami, że wywiesiły tabliczki 'PRZERWA TECHNICZNA' i przestały sprzedawać bilety.



A lodowisko czeka...

Postaliśmy jeszcze 20 minut, nic się nie zmieniło, kolejka za nami dobijała dwudziestu pacjentów. Kasa obok się otworzyła, nasza nadal miała przerwę techniczną. Przed nami niezmiennie było jakieś pięć osób. Lena rzuciła pomysłem:

- *Sprzedajmy komuś nasze bilety i chodźmy stąd.*

Pan za nami okazał się znać na tyle angielski, że rzucił się kupować, bo miał swoje łyżwy.

Łącznie spędziliśmy około siedemdziesięciu minut na mrozie. Było minus siedem, jeszcze do 14:30 przebijało słońce, potem zrobiło się szaro. Kupiliśmy i sprzedaliśmy bilety. Ona nie nauczyła się jeździć na łyżwach, a ja sobie nie przypominałem jak to jest. Coś co miało być przyjemnie spędzonym niedzielnym popołudniem, stało się kuriozum i stratą czasu. Już nie wspomnę jak było nam zimno, a zwłaszcza jej... Nastawieni byliśmy na wysiłek fizyczny, więc nie ubraliśmy najcieplejszych ciuchów. Wysiłek był, tylko nieco odmienny od oczekiwanego...

Shopping w Astanie

Festiwal dobrej przygody trwa w Kazachstanie niezależnie od dnia czy miejsca. Najfajniej bywa w sklepach.

Astana oferuje szeroki wachlarz centrów handlowych. Większość z nich składa się z obowiązkowego marketu spożywczego i galerii butików odzieżowych - głównie sieciówek znanych z Europy, ale bywają też bardziej designerskie marki lub sklepy z cyklu "Kogo na to stać?" (centrum handlowe Saryarka ma bogatą ofertę sukni balowych...) oraz "Na co to komu?" (pobliski Mega Silkway posiada w ofercie salon firmowy Moleskine).

Przyjrzyjmy się wybranym miejscom, aby wiedzieć lepiej, gdzie warto oddawać się szaleństwom konsumpcyjnym, a gdzie raczej nie.

Khan Shatyr



Proszę Państwa, oto namiot.

Khan Shatyr (polska nazwa to Chan Szatyr, ale jakoś wolimy się trzymać transkrypcji oficjalnej) to duma Astany. Jeżeli wydaje Wam się, że wygląda to jak sen szalonego architekta, to w zasadzie macie rację - bryła ta została zaprojektowana przez Normana Foster, autora londyńskiego Ogórka i biurowca Metropolitan w Warszawie; budowla ma nawiązywać do tradycyjnych namiotów kazachskich. Bo i

sama nazwa oznacza właśnie 'namiot chana'.

Chociaż bryła budynku robi wrażenie, wewnątrz jest troszkę rozczarowujące.



Konstrukcja podtrzymująca szklany dach



I widok na galerie handlowe

Khan Shatyr otwarty został w 2010 roku i przez kilka lat nie miał większej konkurencji wśród centrów handlowych stolicy Kazachstanu. Przyciągał zresztą też atrakcjami niezwiązanymi z zakupami - otóż na ostatnim piętrze budowli mieści się... nadmorska plaża!

Jeżeli zaś chodzi o sklepy - dość zaskakujący jest fakt, że znajdują się tam głównie sieciówki z niższej i średniej półki, co sprawia, że jest to dość dobra lokalizacja do zakupu ubrań na jeden sezon.

Mega Silkway



Nie wiemy, czy ten bałwan ma obrażać klientów, czy zachęcać do zakupów...

Mega Silkway otwarto w 2017 roku i nieoficjalnie piastuje on miano największego centrum handlowego w Azji Środkowej. Zlokalizowany jest tuż obok terenów Expo i naprzeciwko Uniwersytetu Nazarabajewa. Według oficjalnej strony kompleksu, projekt budowli wykonało biuro Chapman Taylor.

Silkway to oczywiście nie tylko sklepy, ale także centrum rozrywki: znajduje się tam kino, park trampolin, szklany labirynt, lodowisko, i wiele innych atrakcji, na które biedni rodzice małych Kazachów musząłożyć grube pliki tenge. Tak jak w przypadku poprzedniego centrum, i tutaj większość sklepów to sieciówki. Dla nas największą atrakcją jest market Ramstore, bowiem jest to jedno z nielicznych miejsc w Astanie, w którym można kupić cydr (z Polski) i wafle z nadzieniem wiśniowym (z Turcji).

Ramstore jest też oczywiście miejscem większych i mniejszych dramatów.

Cena na półce nie zgadza się z ceną faktyczną?

Drobiazg.

Karta zniżkowa jednak nie oferuje zniżki?

Codziennosc.

Trzeba czekać 5 minut na ekspedientkę sprzedającą pieczywo?

Ale co w tym dziwnego?

Przy kasie leży mielonka na promocji?

No i co z tego, że nie jest w lodówce, ktoś i tak się na nią skusi!



Lodowisko i świąteczna oprawa Mega Silkway

Keruen



Na pierwszym planie ekscentryczna instalacja artystyczna, w tle centrum handlowe Keruen

Keruen położony jest w najbardziej centralnym miejscu stolicy, tuż przy deptaku biegnącym od Pałacu Prezydenta Republiki, poprzez wieżę Baiterek, aż do Khan Shatyr-a. Otwarto go w 2008 roku. Na jego popularność składa się głównie wspomniana lokalizacja, albowiem wybór sklepów jest tam dużo mniejszy, niż w wymienionych wyżej świątyniach konsumpcji.

Atrakcją dla mieszkańców jest jednak mieszczący się tam market Galmart, który posiada sporą kolekcję importowanych dóbr (z jakiegoś powodu Kazachowie nie mają zaufania do własnego przemysłu spożywczego...), do tego w zaskakująco rozsądnych cenach. Oczywiście zawsze można tam solidnie przepłacić za jabłka czy pomidory, ale za to francuskie wina można tam znaleźć już od 1500 tenge.

Tak. Jeździmy tam głównie po trunki.

Czy to koniec listy? Oczywiście, że nie! Jednak pozostałe pozycje z niej są dużo mniej atrakcyjne dla przeciętnego konsumenta.

Kolejnym centralnie położonym domem handlowym jest Saryarka, w której bywaliśmy tylko i wyłącznie z jednego powodu - był tam JEDYNY w mieście oddział banku, w którym założono nam konta. Sklepy w Saryarce to dla nas jedna wielka zagadka - poza marketem spożywczym, wszystko jest tam obłędnie drogie. Mówimy o sukniach na poziomie 200 000 tenge (ponad 2 tys. złotych) czy też salonach futer naturalnych. Co ciekawsze, nigdy nie widzieliśmy żadnych klientów w tego typu butikach, tak więc nie bardzo wiemy, z czego właściwie się utrzymują. Saryarka ma też kino, które podobno czasem wyświetla filmy po angielsku, ale jak dotąd nie udało nam się trafić na żaden seans.

Również centralnie położony jest Asia Park, który, wbrew nazwie, nie jest typowym azjatyckim pierdolnikiem, a kolejnym zwyczajnym kompleksem handlowym. Jego największym plusem jest supermarket Alma, który sam zasługuje na nieco uwagi. Otóż Alma jest marketem dość niskobudżetowym, większość oferowanych przez nich towarów ma ceny dużo niższe niż w innych sklepach. Czasem różnica może sięgać nawet 500 tenge, np. w przypadku win. Jednak wszystko musi mieć swoją cenę, a ceną za niskie ceny jest tutaj... jakość obsługi i ogólny chaos. Połowa towarów nie ma cen. W przypadku działu gospodarstwa domowego można śmiało powiedzieć, że około 70% produktów jest bezcennych. To samo w przypadku importowanych przetworów (oliwki, kapary, ryby w puszkach itp.). Czy wynika to z braku personelu? Ależ skąd! Personelu jest mnóstwo, problem w tym, że nie ma on zielonego pojęcia, czym ma się zajmować. Nierzadko widzimy tam grupki pracowników stojące pośrodku jakiejś alejki i wesoło gaworzące w oczekiwaniu na jakiegoś managera, który przyjdzie i powie im, co właściwie mają robić.

Innym popularnym miejscem jest Mega Astana, do której zawitaliśmy raz i zgodnie stwierdziliśmy, że nigdy więcej. Miejsce to jest dość depresyjne, spędziliśmy w nim około 20 minut, nie znaleźliśmy niczego wartego uwagi. Do tego położone jest kawałek od centrum, tak więc nie ma wielkiego sensu tam się wybierać.

Ale zaraz, zaraz. Czy wszyscy Kazachowie biegają codziennie na zakupy do centrum handlowego?
NIE!

Większość magii zakupowej zbierają oczywiście osiedlowe sklepiki. Te zazwyczaj położone są w podziemiach budynków mieszkalnych, lub też na parterze apartamentowców. Ze względu na dość małe metraże tychże przestrzeni handlowo-usługowych, właściciele starają się wcisnąć jak najwięcej towaru w jak najmniejszą przestrzeń. Co oczywiście powoduje dramaty.

Piątkowy wieczór, wchodzę do sklepu po wino. Dobra, jest Casillero del Diablo, produkt znany mi

bardzo dobrze. Cena? Nie no, 1850 tenge? Jakaś promocja chyba, niecałe 20 PLN, taniej niż w Polsce czy Irlandii! Biorę.

Przy kasie wybija dokładnie dwukrotność ceny. 3700 tenge.

- *Proszę pani, tu jest nalepiona cena 1850.*

- *To jest źle nalepione. Bierzesz pan czy nie?*

- *No za 3700 to niekoniecznie.*

- *Patrzcie, chciałbyś pan takie dobre wino za tak mało? Przecież to niemożliwe!!!*

Jest to standard. Nalepione ceny są często niższe niż ostateczne. Jeżeli różnica nie przekracza 10%, to nawet się nie odzywam, ale czasem mówimy o przebitkach właśnie dwukrotnych. Obsługa jest zawsze dziko zaskoczona i uważa, że jestem chamski, bo się czepiam o jakieś grosze, a inni pokornie płacą.

Pewnego dnia kupowałem gumę do żucia. Wypisana cena 130 tenge na całym stojaku. Nie jakimiś małymi cyferkami, po prostu wywalone 130!!!

- *150!*

- *Przecież jest napisane, że 130.*

- *Podrożało.*

Bywa, że zdolności matematyczne sklepikarzy wprawiają w niemy podziw. Miałem do zapłaty 370 tenge. Dałem pani 500. Popatrzyła na wyświetlacz i wydała mi 370. To był ten sklep, co kilka dni wcześniej podrożała guma, więc nie miałem skrupułów. Aligatorowi jedna apteka wydała o 1000 tenge za dużo, tak więc zlitował się i oddał nadmiar pieniędzy zaskoczonej farmaceutce.

Najwięcej przygód mamy obecnie ze sklepikiem położonym w garażu naszego bloku. Sklepik początkowo był malutki - około 12 metrów kwadratowych powierzchni. Z początkiem grudnia rozrósł się o dodatkowe pomieszczenie, ale niestety zmienił też obsługę. Jesteśmy jak najbardziej za aktywizacją zawodową emerytów i rencistów, aczkolwiek kiedy po raz piąty w tygodniu patrzymy, jak 70-letnia niedowidząca kobieta dzwoni do swojej córki, żeby dowiedzieć się o cenę czwartego z kolei produktu, to zaczynamy mieć pewne wątpliwości na temat sensu tego przedsięwzięcia...

W krainie homines sovietici

W Polsce rozpad Związku Radzieckiego ocenia się dość jednoznacznie pozytywnie. Bez wątpienia dla Polski, Czech, Słowacji, Rumunii, Bułgarii, Węgier czy NRD nadeszły czasy o wiele lepsze, pod właściwie każdym względem. Cena transformacji ustrojowej niska nie była, ale z wysokości roku 2018 nie ma wątpliwości, że życie obywateli stało się łatwiejsze i bardziej dostatnie, nie tylko dlatego, że wynaleziono telewizor plazmowy.

Sprawa nie jest tak cudownie prosta, gdy spojrzymy na piętnaście nowych krajów, które powstało na gruzach byłego ZSRR.

Pribłytka z pewnością nie szłocha za ZSRR, a stopa życiowa obywateli znacznie się podniosła, to rejestry krajów wymienionych powyżej. Mołdawia jest biedna jak mysz kościelna, ale jakąś tam wolnością się cieszy, np. nikt nie broni Mołdawcom nielegalnie pracować w Europie (w tym w prostytucji). Ukraina to bardzo skomplikowana sprawa, kraj podzielony na prorosyjski wschód, nacjonalistyczny zachód, z ekonomią na kolanach, za to z bardzo bogatą klasą polityczną i populacją opuszczającą raj na ziemi, najczęściej w kierunku zachodnim. Białoruś pozostaje dyktaturą z ekonomią o której słyszałem różne rzeczy (ale mieszkańcy Szwajcarii jeszcze się tam nie pchają). Coś mi mówi, że wielu jej mieszkańców może mieć lepsze wspomnienia z czasów ZSRR niż Łukaszenki. Na Kaukazie wiele razy mówiono mi o tym, że za ZSRR



Centrum Heydara Alieva w Baku



źródło: 9gag.com

było lepiej. To 'lepiej' nierzadko oznaczało, że była jakaś praca, w której wiele się nie robiło, ale coś tam płacili, więc od 1-go do 1-go dało się przeciągnąć. O ile Azerbejdżan nie gorzej wyszedł na ropie, o tyle Gruzja i Armenia cieszą się takim bezrobociem, że można się popłakać. Gruzja jest proeuropejska, wielu obywateli marzy o życiu w UE i jakoś tam może je osiągnąć, kraj się rozwija, przechodzi modernizację za modernizacją, wybory są demokratyczne, turyści walą stadami i przywożą względnie łatwe pieniądze, więc jednak wypada wpisać ojczyznę Józefa Stalina do krajów, które solidnie zyskały. Z rozpędu kusi też dodać tu Armenię, chociaż jest bieda, bezrobocie, ale przynajmniej Erywań wygląda jak 'normalne' miasto.



Widok na stolicę Armenii z Muzeum Sztuki Cafesjiana

Jeżeli chodzi o Rosję, to bardzo ładnie powiedział kiedyś sam Wołodia, że tylko człowiek bez serca może nie kochać Związku Radzieckiego, ale tylko człowiek bez mózgu może chcieć jego restauracji. Po dramatycznych latach 90-tych, Rosjanie nacieszyli się niezłym wzrostem gospodarczym i przynajmniej dwa duże miasta to miejsca całkiem dobre do życia (a rosyjska prowincja tkwi w XIX wieku). Długość życia za szalowa nie jest, ale to nie do końca wina Wołodii, że wiele osób pije dość solidnie. Z pewnymi zastrzeżeniami, można powiedzieć, że europejska część ZSRR zyskała na wydarzeniach z lat 1989-1991 roku. Dowodem na to stada Rosjan w różnych rajach wakacyjnych. Nie są to pracownicy moskiewskiego metra, ale jednak, jakaś klasa średnia powstała i życiem może się mniej lub bardziej cieszyć.



Moskiewski Pasaż Tretiakowski w którym zlokalizowane są jedne z najdroższych butików w mieście

Optyka nieco się zmienia, gdy przeniesiemy się do Azji Środkowej. Tylko Kirgistan ma coś na kształt demokracji, cała reszta to mniej lub bardziej autorytarne reżimy. Do tego nie samą demokracją człowiek żyje, a Kirgizowie jeszcze niedawno mieli wątpliwą przyjemność żyć zamieszkami na tle etnicznym. Życie młodych kobiet to pasmo uciech - te poniżej 23 roku życia mają zakaz podróży zagranicznych bez prawnego opiekuna; do tego niezamężne dziewczyny mogą żyć w ciągłym lęku przed porwaniem, albowiem jest to całkiem popularny sposób kojarzenia par. Szacuje się, że ponad połowa małżeństw zawartych w Kirgistanie powstała w wyniku porwań, zazwyczaj przy ostrym sprzeciwie panny młodej.

Turkmenistan siedzi na surowcach naturalnych, więc ekonomia nie umarła, ale obywatele mają przerąbane. Za ZSRR mogli przynajmniej jeździć na leczenie do lepszych szpitali poza swoją republikę, obecnie nie mogą, a narodowa służba zdrowia jest legendarnie fatalna. Opozycji wobec władzy nie ma, kraj może nie jest tak totalitarny jak Korea Północna, ale niewiele mniej. Turystyka jest właściwie żadna i władza dokłada starań, żeby taka pozostała. Obłęd byłego władcy był legendarny, najfajniejszy jego pomysł to zmiana nazwy miesiąca na imię matki. Jego następca jest podobno nieco mniej ekstremalny, ale to nie zmienia faktu, że jakość życia jest żalosna i bardziej zbliżona do czasów Chruszczowa niż Putina. Gurbanguly Berdimuhamedow kocha konie, niestety jak możemy zobaczyć na [poniższym filmie](#), one chyba troszkę mniej kochają jego.

Tadżykistan jest legendarnie biedny i nieco mniej totalitarny. Może poszczycić się najmniejszą liczbą ludzi otyłych ze wszystkich krajów postsowieckich - jest to tylko 9.2% wśród mężczyzn i 15.6% wśród kobiet. Obawiamy się jednak, iż to zaszczytne miejsce wynika raczej z biedy niż ze świadomości na temat zdrowego stylu życia.

Chociaż o polityce tego kraju zbyt wiele się nie słyszy, o i tutaj nie ma wielu powodów do radości - w 2003 roku zamknięto stronę internetową JEDYNEJ partii opozycyjnej. Kwitnie za to handel ludźmi, tortury w więzieniach i przemoc w armii.

Tadżycy uciekają stadami ze swojej, podobno bardzo pięknej, ojczyzny. Do Rosji, bo tam mogą coś zarobić, a nawet przesłać rodzinie.

Uzbekistan jest trochę bogatszy i - niespodzianka - ma dyktaturę, chociaż od 2016 roku ulegającą pewnym złagodzeniom. Starożytna kraina Jedwabnego Szlaku boryka się obecnie chociażby z drugim największym na świecie procentem niewolnictwa - niemalże 4% obywateli (1.2 miliony ludzi) zmuszanych jest do zbierania bawełny, przez którą z kolei borykają się z problemem katastrofy naturalnej, czyli wymarłego Jeziora Aralskiego. Standardy pracy przy zbieraniu bawełny są tak dobre, że niektóre firmy, np. Tesco i C&A, zrezygnowały z kupowania tejże. Niestety, Uzbekistan pozostaje mimo wszystko najciekawszym turystycznie krajem regionu, a to za sprawą Samarkandy i Buchary.

No i pozostaje zagadka, do której się udaliśmy, czyli Kazachstan. Z jednej strony, od 1991 roku u władzy siedzi jedna osoba - Nursultan Nazarbajew. Z drugiej strony, kraj bardzo stara się poprawić swój wizerunek. Nie tylko Olek Kwaśniewski tu hakował i robił lipę, ale także Gerhard Schroeder, Romano Prodi, Tony Blair; lista jest dość długa, a pieniędzy na to poszło wcale niemało. Szczerze mówiąc to nie wydaje mi się, żeby wizerunek prezydenta bardzo się ocieplił, a skandale towarzyszące temu, jak sobie synowie różnych narodów europejskich dorabiają, jak najbardziej przyciągnęły do Astany uwagę, tyle że negatywną.

THE FATTEST PEOPLE IN THE POST-SOVIET WORLD

640 million people in the world are obese



RadioFreeEurope
RadioLiberty

Source: Research by Imperial College London and the World Health Organization.
The percentage of obese men and women is approximate.

źródło: <https://www.rferl.org/a/obesity-in-post-soviet-countries/27662595.html>

Oczywiście Kazachstan to nie Kanada, czasem trzeba rozstrzelać jakichś górników, zmienić konstytucję, a wybory wygrać większością ponad 90% głosów. Nie jest to też Turkmenistan, turystycznie można jeździć niemal wszędzie, Kazachowie również mogą sobie jeździć dokąd w świecie chcą. Oficjalne doktryny mówią, że kraj chce spełniać rolę pomostu między Europą a Azją, mieć dobre kontakty z Rosją, Chinami i całym światem. Właściwie to idylla. Na tle sąsiadów Kazachstan nie wygląda źle. Jednak jeżeli skalę odniesienia zmienimy, to robi się solidnie kiepsko. Zanim tu dotarliśmy, zastanawiało nas na ile kolorują rzeczywistość, a na ile to naprawdę tak wygląda.

Intrygowało nas jak wielki wpływ na życie ma Islam - około 70% populacji wyznaje tę religię. Trochę się obawialiśmy, ale byliśmy w paru krajach islamskich i poważniejszych problemów nie mieliśmy. Może niekoniecznie należy rozkręcać imprezę z wódką w centrum miasta, a zaufanie do pracujących w turystyce lepiej mieć ograniczone, ale to samo można napisać o np. Tajlandii. Wiedzieliśmy też, że nasza szkoła ma laickość wpisaną w status, więc nie oczekiwaliśmy, że zaśpiew muezina będzie wyznaczał nasz rytm życia. Po paru miesiącach mogę napisać, że religia na życie mieszkańców Astany nie ma większego wpływu, poza tym, że meczety widzi się częściej niż kościoły i cerkwie, a niektóre z nich sponsoruje państwo. O ile 70% to przeważająca większość, to jednak 30% to nie jakieś stłamszone jednostki. Kraj boi się islamskiego terroryzmu, zwłaszcza dlatego, że u sąsiadów bywa nieco ekstremalnie. Podobno zachód Kazachstanu jest bardziej konserwatywny, ale w Astanie jest laicko - nawet w urzędach i szkołach nie ma niczego związanego z żadną religią. Bary? Są, lepsze i gorsze, ale nie wygląda na to, że ktoś je będzie próbował podpalać. Sklepy? Właściwie każdy ma alkodział (zapewne koncepcja zezwoleń na handel trunkami tu nie dotarła, bo nie sądzę, żeby ktoś płacił podatki za to, że ma na półce cztery butelki wódki i jedno wino).



Aligator spacerujący po meczecie Hazret Sultan w Astanie

Zastanawialiśmy się, czy w niemal trzy dekady po rozpadzie Związku Radzieckiego język kazachski wyparł rosyjski. Z tego co wiem, na zachodzie kraju (Aktobe, Atyrau) już raczej tak (a gdzie było bardziej islamsko?), ale Astana jest solidnie rosyjska. Kierunek jest taki, że kraj ma być trójjęzyczny. Nie brakuje osób, które znają rosyjski i kazachski. Jak kiedyś przeczytałem: stare pokolenie zna rosyjski, młode zna kazachski, a już za 50 lat wszyscy będziemy mówić jednym językiem. Angielski ogarnia raczej mało osób - wiemy o tym mniej, bo nawet nie próbujemy, ale gdy nasi współpracownicy słyszą, że angielski jest tu językiem oficjalnym, to się pukają w czoło. W naszej szkole uczniowie muszą wybrać język wiodący - rosyjski lub kazachski - i w tymże języku mają wszystkie przedmioty, a drugiego języka uczą się jako obcego. Większość wybiera rosyjski, nie wiem zupełnie dlaczego, na pewno nie przez uniwersytety i światowy zasięg.



Emoji w barwach narodowych

No i dochodzi nieszczęsny angielski. U nas nie ma sprawy, zarówno nami jak i uczniami to się orze pole, ale w Ałmacie szkoła niemiecka musiała usunąć niemiecki na rzecz kazachskiego. Bo już nie wystarczało godzin. W efekcie są zapewne pierwszą na świecie szkołą niemieckiego, która od

września nie uczy tego języka, ale za to ma kazachski. Co ciekawe, według statystyk językiem niemieckim posługuje się w Kazachstanie 958 tysięcy ludzi!

Tendencje nacjonalistyczne są stosunkowo nowe. Kazachstan reklamuje się jako kraj mający w swych granicach ponad 120 narodów i wspólny język ma je wszystkie spajać. O ile rosyjskiemu się to kiedyś udawało, to obawiam się, że kazachski może potrzebować nieco więcej czasu. Gdy w roku 2006 mennica wydrukowała nowe banknoty o nominale 2000 i 5000 tenge, to po rosyjsku napisali idealnie, no a po kazachsku z błędami. Walnęli się w słowie 'bank', złe 'K' sobie wpisali, takie z łapką, a nie zwykłe. Jeżeli państwowa mennica drukując pieniądze wali błędy w pisowni słowa raczej dość często spotykanego, to kto ma ten język znać? Górnik spod Karagandy? Będzie weselej, bo język kazachski przechodzi na alfabet łaciński, łącznie, jak to ładnie nazywają. Znaczący mówią, że efekty będą raczej opłakane, bo wybrano nie do końca najbardziej intuicyjną transliterację z cyrylicy zmodyfikowanej na potrzeby języka z grupy tureckich. Niektóre słowa mogą ulec groteskowemu wydłużeniu, inne będą praktycznie nie do rozpoznania. Zapowiada się wesoło, bo już różne wypowiedzi polityków pokazują, że w tańcu się tu nie pierdoli i będzie jak wymyślili, rzeczywistość się będzie obrabiała pod wizję polityczną. Szczęśliwie, nasze życie jest po rosyjsku i angielsku.



Centrum stolicy Kazachstanu

Myśleliśmy, czy będą problemy z internetem. Idealnie nie jest, poblokowane są niektóre platformy blogowe (w tym Tumblr), serwisy hostujące obrazki, strony z pornografią i erotyką, do tego z jakiegoś absurdu Soundcloud; ogólnie da się czytać wiadomości ze świata i ściągać właściwie wszystko, w tym filmy z najlepszymi rolami Mii Khalify. Łączy się ogólnie świetnie, w mieszkaniu mamy rakietę, w szkole też nie ma bólu. Telefon miesięcznie kosztuje poniżej 20 PLN i pozwala na dostęp do internetu w rozmiarze 15GB, ilości niemal nie do wyróżnienia na rozsądne przeglądanie sieci poza domem. Chodzą słuchy, że może coś jeszcze zablokują, ale póki co sprawy nie mają się źle, na pewno o wiele lepiej niż w Chinach.

Gdy pakowaliśmy się przed wyjazdem do Astany, pod wielkim znakiem zapytania stało, gdzie będziemy mieszkać. Prosiłiśmy o jakieś zdjęcia mieszkania, ale sprawa się rozwijała, potem zawijała, potem sami zapomnieliśmy i zastanawialiśmy się, czy nie przysłali tych zdjęć, bo burdel i zapomnieli, czy też to mieszkanie jest takie dobre, że woleli nam nie psuć niespodzianki. No cóż, przyznam, że chyba tylko raz wiedziałem w czym będziemy dokładnie mieszkać, zazwyczaj była to wielka zagadka, ale nie płakaliśmy, jakoś dawało się to wszystko ogarnąć.

Byliśmy pewni czego innego: pogodowo będzie ciężko. Klimat, który idealnie opisują słowa $-40/+40$, czyli krańcowe temperatury zimy i lata. Do tego przeczytałem gdzieś, że ludzie tłukli komary wielkie jak szybownce. Astana położona jest na samym środku stepu, więc wieje przez nią cały czas. To akurat nas nie przerażało, bo jak wieje, to znaczy, że powietrze będzie świeże. A co do zimy... No cóż, z jakiegoś powodu przysyłano tu całe narody, i to nie na turnusy zdrowotne. Poza tym człowiek nie jedzie do pracy na budowie w krzakach, tylko w dość drogiej szkole. Jest pewien plus krajów cholernie zimnych: mieszkający tam ludzie wiedzą jak sobie z tym zimnem dawać radę, budują na tę pogodę i zapewniają ogrzewanie. Bo gdyby tego nie zrobili, to by nie przeżyli.



Dziwne, że nie ma chętnych na siedzenie na ławeczce przy -25°C ...

W tych wszystkich przemyśleniach najmniej czasu i miejsca poświęcaliśmy zasadniczej pracy. Osoba, która nas zatrudniła, sama powiedziała z rozbijającą szczerością, że na uczeniu się nie zna. Analiza strony internetowej i jakichś podesłanych materiałów nie pozwalała na dokonanie jakichkolwiek ustaleń. Wchodząc 4 września do szkoły, wiedzieliśmy tylko, że uczyć będziemy angielskiego.

Te przewidywania się sprawdziły.

W szponach konsumpcji

Każdy wie, że nie samą pracą człowiek żyje. W końcu jeżeli zarabia się kokosy, to trzeba je też gdzieś rozłupać. Dzisiaj przybliżymy scenę restauracyjno-barową Astany.

Restauracje w Astanie można znaleźć właściwie wszędzie - czyli nie tylko w samym centrum miasta, ale też na pomniejszych osiedlach. Przy czym lokalizacja często nie odpowiada cenom, czyli lokal gdzieś na szarym końcu metropolii może okazać się być z wyższej półki, niż te położone bardziej centralnie. Dla przykładu - w naszym kompleksie mieszkalnym otworzyła się restauracja marokańska Casablanca, w której biznes lunch zaczyna się od 2345 tenge (około 25 zł). Tymczasem w restauracjach położonych w okolicach Khan Shatyr lub alei Respublika ceny lunchów zaczynają się w okolicach 1500 tenge. Oczywiście Casablanca może oczekiwać lepszego hajsu z racji tego, że jest jedyną (prawdopodobnie) restauracją marokańską w mieście, ale coś nam mówi, że nie przekonuje to zbyt wielu ludzi, albowiem lokal świeci pustkami.



źródło:

[instagram.com/casablanca.resto.astana](https://www.instagram.com/casablanca.resto.astana)

Jedną z cech wspólnych wielu przybytków gastronomicznych jest to, iż z zewnątrz wyglądają straszliwie nudno. Dekoracja ogranicza się najczęściej do nazwy lokalu - czasem jest to neon, czasem zwykła tablica; w połączeniu z przyciemnianymi szybami pozbawionymi cech charakterystycznych i brakiem wystawionego menu, najczęściej nie ma niczego co mogłoby zachęcić potencjalnego konsumenta, aby zajrzeć do środka. Wnętrza jednak - na szczęście - bywają już całkiem rozmaite, czasem odpowiadające profilowi lokalu, czasem będące odbiciem czyjejś szalonej fantazji.



Średnio zachęcający z zewnątrz Espresso Bar (źródło: sxodim.com)



I całkiem urokliwe jego wnętrze! (źródło: sxodim.com)



Popularna sieć Coffee Boom też wygląda zupełnie nijako z zewnątrz

Co do profili restauracji - znaleźć można właściwie wszystko, od kuchni śródziemnomorskiej (tutaj najlepszy ponoć jest lokal Foccaccia, położony tuż obok pałacu prezydenckiego), poprzez rosyjską (te po życiu w Moskwie omijamy szerokim łukiem...), gruzińską (raczej z wyższej półki, jak Daredżani), kazachską (te też omijamy, ponieważ serwują głównie mięso lub plov z mięsem), aż do kuchni chińskiej (tak!), japońskiej (TAK!) czy koreańskiej (TAK!!!). Wybór jest spory, tak więc jeżeli tylko odczuwa się nadmiar pieniędzy, to spokojnie można codziennie jeść obiad z innej części świata.

Niestety, jest pewna luka na rynku - nie znaleźliśmy ani jednej 100% wegetariańskiej restauracji, co po Moskwie nas nieco zaskoczyło.



*Podobno najlepsza włoska pizza w Astanie!
(źródło: tripadvisor)*

Zapomnijcie też, że będąc gdzieś na mieście możecie chwycić coś na szybko z ulicznej budki. Streetfood w Astanie nie istnieje, co w sumie nie jest dziwne, jeżeli weźmie się pod uwagę, że większość zimy temperatury wahają się między -10 a -40. Kto chciałby jeść coś na ulicy w takich warunkach? Oczywiście latem otwierają się budki z lodami, podobno bywają też jakieś kebabownie, ale niestety nie ma żadnego lokalnego przysmaku do odkrycia.

Czy na wyjście do lokalu trzeba się zrujnować? Cóż, z tym bywa już bardzo różnie. Wspomniane Foccaccia ma pizzę (porcje raczej jednoosobowe) od 800 do 2500 tenge za porcję (8.50 - 26 zł), czyli całkiem przyzwoicie, zwłaszcza że jest to pizza włoska-neapolitańska, a nie kazachska. W gruzińskim Daredżani ceny zaczynają się raczej w okolicach 2000 tenge, więc jeżeli do dań głównych dołożymy jakieś napoje czy sałatkę, to rachunek może podskoczyć dość wysoko. Lokale azjatyckie nie rozmieniają się na drobne - sieciówka Korean House oferuje wołowinę za 18000 tenge (około 190 złotych), a różnego rodzaju zupy w przedziale 2000-5000 tenge.

Opcją bardzo budżetową są wszelkiego rodzaju stolovaye, czyli przaśniejsze bufety - sieć Kaganat, która jest bufetem z mniej więcej średniej półki (czyli jest tam czysto i można skorzystać z toalety), oferuje zupy po 200-400 tenge, porcje mięsa (tfu!) po 500-800, kaszę za 250-350, sałatki-surówki w przedziale 150-300 i ciasta między 150 a 300 tenge. Za zestaw lunchowy płaci się zazwyczaj mniej niż 1000. Większość supermarketów również posiada dania tego typu, często można nawet poprosić o odgrzanie posiłku i nie ma problemu z tym, żeby zjeść go przy stoliku na sali sklepowej.



Patrząc na logo raczej trudno się domyślić, że Kaganat to sieć bufetów (źródło: Foursquare)

Jak możecie zobaczyć, dla przybysza z Europy wyjście na miasto w Astanie nie będzie wiązać się z jakimś dramatem finansowym - ceny są dość zbliżone do polskich, nierzadko bywa taniej. Pamiętajcie jednak, że przeciętny mieszkaniec Astany (czyli: nauczyciel, pracownik sklepu, ochroniarz, kierowca, fryzjer itp.) zarabia około 100-200 tysięcy tenge miesięcznie, co oznacza, że wieczorki w lokalach są dla niego raczej pewną abstrakcją, ewentualnie może sobie pozwolić na nie raz w miesiącu. Obcokrajowcy zazwyczaj zgarniają dużo wyższe pensje, więc mogą szaleć do woli. Z tego też powodu niektóre lokale są raczej wypełnione ekspatami zamiast bardziej rdzennymi mieszkańcami stolicy.

Istnieje też dość ciekawa opcja, by wydać o wiele więcej pieniędzy, niż się zaplanowało. Otóż niektóre lokale posiadają cennik określający kary za zniszczenie zastawy stołowej! Szklaneczki to zazwyczaj 500 tenge, ale już kufel do piwa - 1500!



Hasło "Kto bogatemu zabroni?" nabiera tutaj nowego znaczenia

Mogłoby się wydawać, że skoro ceny wyglądają na przystępne, to nic tylko codziennie biec do innego przybytku gastronomicznego. Niestety, istnieje jeszcze druga strona medalu, a tą jest... jakość obsługi.

Jeżeli w restauracji zamówisz kieliszek wina wytrawnego, a przyniosą półslodkie, to zapomnij o tym, iż uda się kelnerowi zwrócić uwagę na tę pomyłkę. Przecież i to wino, i to wino, co się czepiać? Jeżeli też przyniosą ciepłe białe wino, to nie pytaj, czy nie mają zimnego. Nie mają. Po co chłodzić białe wino?

Jeżeli w restauracji zamówisz sałatkę, a po 25 minutach dalej jej nie dostaniesz, to zapomnij o tym, że przypomnienie o niej kelnerowi coś zmieni. Prawdopodobnie na kuchni pracuje jedna osoba, no więc na sałatkę trzeba poczekać, bo ktoś 40 minut temu zamówił burgera z frytkami, i teraz kucharz właśnie obiera ziemniaki.

Jeżeli poprosisz, żeby colę z zestawu pizza + cola zmieniono na colę zero, obsługa zgodzi się na to entuzjastycznie, a następnie dostaniesz jednak zwykłą colę, to zapomnij, że obsługa przyzna się, że nawaliła.

Jeżeli w azjatyckiej fastfoodowni zamówisz zupę z makaronem, to zapomnij, że dostaniesz ją wcześniej niż po 20 minutach. Wyobraźcie sobie, że McDonald's albo KFC mieliby takie tempo pracy. Wyjaśnia to przy okazji dlaczego w tych lokalach jest zazwyczaj nieco gęściej niż w innych.

Jeżeli zamówisz piwo w piątkowy wieczór, i nie dostaniesz go po 20 minutach, to zapomnij o tym, że je zamawiałeś. Po prostu.

Czy to jakiś szczególny wybór pechowych przygód? Niestety nie. Coś podobnego przydarza się nam za każdym razem, kiedy jesteśmy w jakiejś restauracji czy barze.

Jakość obsługi jest fatalna. Oczywiście domyślamy się, że kelnerom świetnie płacą, więc ich motywacja do wykonywania usług na wyższym poziomie jest zerowa - podobnie jest w Polsce, podobnie było też w Moskwie. Można rzec, że plusem jest to, że obsługa nie próbuje oszukiwać poprzez dopisywanie fikcyjnych zamówień do rachunku - to było na porządku dziennym w Moskwie.

Irytuje nas jednak, że wszystkie restauracje i bary dopisują 10% do rachunku - za wspomnianą obsługę!!!

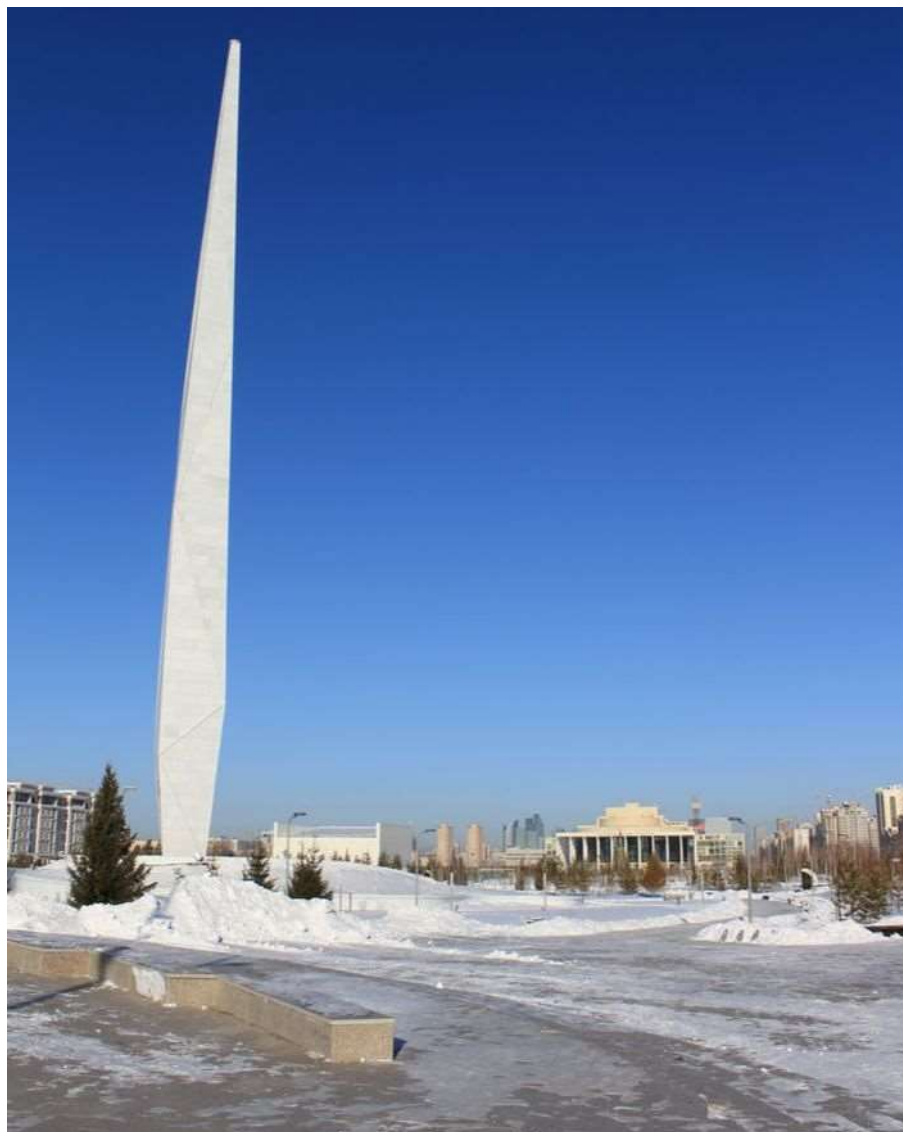
Nawet jeżeli zamówicie samą colę czy piwo, czy jakieś orzeszki, to i tak doliczą do tego 10%. Przez to robią się dziwadła, bo kupujesz coś za 399, więc dobijają 40, więc wychodzi 439. W obiegu są monety 1 tenge, ale praktycznie się ich nie używa, zaokrągla się do 5 lub 10, nawet staruszki na straganach nie liczą jedynek, więc oczywiście tej jedynki nigdy nie dostaniecie z powrotem. Tak, są to grosze w przypadku jednego klienta, ale w skali miesiąca lokale kręcą na tym solidną kopiejkę.

Dopisywanie tych 10% prowadzi też do dramatów, bo kelnerzy wszędzie liczą na napiwek - co z tego, że 10% jest za obsługę, jeżeli obsługa nigdy nie zobaczy tych pieniędzy. Przez to kelnerzy nie chcą wydawać reszty, wychodząc z założenia, że skoro rachunek z dopisanymi 10% był na 4500, a dajesz 5000, to znaczy, że te 500 już dla niego. Doprowadziło to do tego, że wszędzie płacimy kartą, albo staramy się mieć dokładnie wyliczoną kwotę z rachunku. W efekcie zdarzyło się już, że jakiś kelner był na nas strasznie obrażony i nie powiedział nam 'do widzenia' kiedy wychodziliśmy. Na bogów, ale za co my wam mamy dawać napiwki? Za podanie ciepłego piwa po 20 minutach czekania?!

Koniec końców już po dwóch miesiącach życia w Astanie uznaliśmy, że im mniej mamy kontaktów z rzeczywistością przygotowaną dla klasy średniej-wyższej, tym lepiej dla nas. Wolimy albo chodzić do miejsc dla klasy pracującej (czyli stolovaye - tam nigdy nie mieliśmy dramatów z rachunkami), albo gotować sami, bo mamy dość wieczorów zepsutych przez niekompetentnych pracowników niby-eleganckich lokali, którzy myślą, że jak rachunek oscyluje na 8000, to rzucimy 10 tysią i reszty nie będziemy chcieli. Kiedyś, mieszkając w Chinach, usłyszeliśmy dość dobrą frazę opisującą tamtejszą rzeczywistość - "Third world quality at first world prices" - "Jakość trzeciego świata z cenami pierwszego" - i niestety scena restauracyjno-barowa Astany również wpisuje się w tę poetykę.

Through endurance we conquer

Astana jest drugą najzimniejszą stolicą na świecie (pierwsze miejsce piastuje Ułan Bator). Tegoroczna zima przyniosła nam nieco rozczarowań w tym zakresie - wszyscy poznani ludzie opowiadali, że w ubiegłym roku zaczęła się już w październiku i trzymała ostro do marca. Straszono nas fatalnymi mrozami ciągnącymi się pół roku. Kiedy więc pod koniec września ujrzelismy za oknami pierwszy w sezonie śnieg, nastawialiśmy się na to, iż temperatury plusowe nie powrócą aż do wiosny.



Park Pokoju i Zgody z widokiem na teatr baletowy

W praktyce było nieco inaczej.

Pogoda poprawiła się w październiku. Zima przyszła dopiero w listopadzie, ale nie rozwinęła swojego wachlarza możliwości - temperatury wahały się między 0 a -10, do tego było dość słonecznie. Dopiero w połowie grudnia termometry zaczęły wskazywać okolice -20 stopni. Po dwóch zimach spędzonych w Moskwie nie robiło to na nas bardzo dużego wrażenia - przyzwyczailiśmy się do tego typu atrakcji i

pokornie ubieraliśmy ocieplane majty przed wyjściem z domu. Spacery przestały być przyjemnością, ale Aligator wciąż twardo chodził 20 minut pieszo do Ramstore po ser sulguni i wino Gatto Negro.



Grudniowy poranek taki piękny!

W końcu jednak nadszedł ten magiczny czas, kiedy gradusnik pokazał nam wyczekiwane -30 stopni. A następnego dnia -40. Jenot niemal popłakał się ze śmiechu, kiedy porównał warunki pogodowe z tymi na Antarktydzie.



Jak wygląda życie stolicy w takiej pogodzie? Oto garść wiadomości z ostatnich dni:



*Herbata z mlekiem dla każdego zmarzniętego!
(źródło: astana.gov.kz)*

Na ulice Astany wysłano policjantów, aby pozbierali bezdomnych i przewieźli ich do ośrodków pomocy. W ciągu jednego dnia służby pomogły 30 osobom. Trochę nas zastanawia, dlaczego czekali aż temperatura zejdzie do -40 stopni, a nie zaczęli walczyć z problemem kiedy zeszła z +1 do 0.

Odwołano wszystkie zajęcia szkolne i uniwersyteckie. Wszyscy posiadacze kazachskich kart SIM, w tym i my, zostali o tym poinformowani SMS-owo. Czy to oznacza, że w naszym miejscu pracy nie ma uczniów ani nauczycieli? Ależ skąd! To prywatna szkoła, tak więc nie można rodzicom zabronić przyprowadzenia

dzieci. I niektórzy to robią. Bo najwyraźniej nie lubią swoich dzieci. A wszyscy pracownicy szkoły muszą w niej przebywać, bo a nuż ktoś przyjdzie na zajęcia.

Odwołano kursy wszystkich autobusów podmiejskich. Nie podano konkretnej przyczyny tego stanu rzeczy, ale krążą pogłoski, że paliwo jest tak dobrej jakości, iż zamarza.

Zniesiono opłaty za parkingi przy dworcach i lotnisku! To dość pozytywne zaskoczenie. Przecież można było je podnieść i zarobić więcej...

28 osób trafiło do szpitali z odmrożeniami, w tym dwie osoby z odmrożeniami drugiego i trzeciego stopnia, a jeden człowiek z czwartego i piątego. Współczujemy i mamy nadzieję, że te 28 osób to nie ekspaci, bo inaczej Astana będzie kolejnym miastem świata z mitem o ekspacie-idiocie.

60 wolontariuszy rozdawało gorącą kawę i herbatę na przystankach autobusowych oraz pomagało odwiedzić do domów 300 ludzi. To też pozytywne zaskoczenie - nasze relacje z Kazachami póki co nie sprawiły, że uważamy ich za przesadnie empatycznych.

W internecie krążą filmiki ukazujące oblicza kazachskiej zimy. Niektóre są zabawne, inne raczej smutne. Jednym z hitów jest pani pokazująca najbardziej asekualny striptiz świata. Inny to niestety zamarznięte zwierzęta w stolicy. Są też filmiki ukazujące odmrożenia u bezdomnych, ale nie będziemy tego linkować.

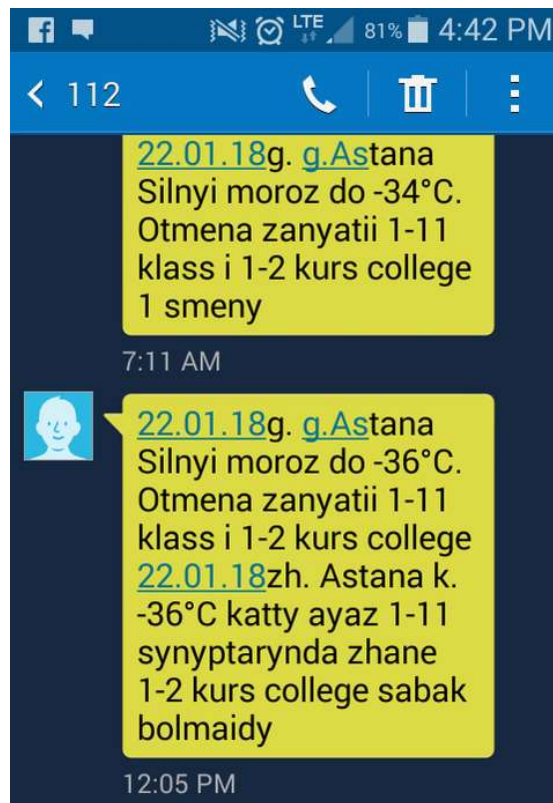
Teraz jak to wygląda w doświadczeniu bardziej personalnym. Dramaty pogodowe w najmłodszej stolicy świata (ranking psuje nieco Sudan Południowy, ale lubią tu ignorować Dżubę) nabierają różnych wymiarów. Gdy wróciliśmy z noworocznych wakacji, na dzień dobry czekał nas przeskok z dubajskich 21 stopni do astańskich -23, i to jeszcze o 4 w nocy. Następne kilka dni przebiegło względnie normalnie, ale 11 stycznia zaczęło wiać. Nie mówimy tu o jakiejś popierdółce w stylu halnego, mówimy o wietrze, który przestawiał przystanki, zerwał kilka balkonów, obalił choinki stojące przed centrami handlowymi, miotał billboardami reklamowymi, a nawet zabił przynajmniej jedną osobę.

Gdy pracuje się dla bogatych pojebów, to występuje u nich często taka ścieżka rozumowania: mamy pieniądze, więc zasadniczo to już równi bogom, a nasi pracownicy to niewolnicy. Nad ranem 11 stycznia operatorzy komórkowi przysłali wszystkim ostrzeżenia, że wieje tak, że się idzie popłakać i że

jak ktoś nie musi, to niech nie wychodzi z domu. Dzieciom odwołano szkołę. Administratorzy placówki prywatnej uznali jednak, że ich prawo nie obowiązuje i nakazali przyjść do roboty wszystkim - dzieciom, nauczycielom, kucharkom, sprzątaczkom, ochroniarzom, szatniarzom, każdemu mającemu szczęście pracować w elitarnej szkole. Spacer o 7:40 był doświadczeniem wielce egzystencjalnym, śnieg miałem dosłownie wszędzie, padało z każdej strony, także z podłoża do nieba, a wiatr wywracał ludzi. Nie dało się patrzeć pod nogi, więc droga do szkoły zajęła ze dwa razy dłużej niż zwykle.

Dopiero koło godziny 12 do administracji dotarło, że czyjś anioł stróż mógł się zagubić w tej zamieci. Prościej sprawy ujmując: ktoś w końcu wyjaśnił w sposób, który dotarł do decyzyjnych cymbałów, że ich wewnętrzne regulacje szkolne nie mogą stać w sprzeczności z kryzysowymi zarządzeniami władz lokalnych. Do tego - o tym doczytałem później - w przypadkach, gdy ktoś w trakcie takiego buranu straci życie lub zdrowie, to wtedy policja i prokuratura przychodzi sprawdzić, czy ta osoba na pewno musiała być w pracy lub drodze do niej. Trudno żeby elektrownie i wodociągi dały pracownikom wychodnie, ale jednak, nauczyciele i szatniarze? Kaganek oświaty cenna rzecz, angielski kaganek jeszcze cenniejsza, ale jednak, nie aż tak, żeby składać życie na ołtarzu z tenge, a innych wysłać z tej okazji na odsiadkę. Jakoś ta wiedza dotarła do przełożonych. W efekcie o 12 z kopiejkami odprawiono nas do domów, przy okazji błagając, żebyśmy na siebie uważali. Myślę, że gdyby jedna z pracowniczek, która jest w ciąży, upadła przez ten buran i straciła dziecko, to wtedy mogłoby się okazać, że przysługuje jej jakieś więcej niż symboliczne odszkodowanie. A przelatującym koszem na śmieci w głowę mógł dostać każdy, niezależnie od bycia w stanie błogosławionym.

Drugi raz walenie głupa przyszło niewiele później. Jak już wspominaliśmy, władze stolicy starają się myśleć i nierzadko już wieczór wcześniej piszą mieszkańcom, że będzie po chuju kurwa i że odwołują zajęcia dla klas np. 0-4, albo też dla wszystkich, w tym i uniwersytetów. Bo jak jest -35, to lepiej żeby ludzie nie łazili po mieście, choćby dlatego, że - jak już wspomnieliśmy - autobusom zamarzało paliwo i przez jakiś czas nie kursowały, a na taksówkę czekało się ponad godzinę. O ile my mieszkamy spacer od szkoły, o tyle jednak to miasto parę kilometrów ma, więc niektórzy po prostu nie mają się jak dostać na swój zakład. Sensowniej odwołać przynajmniej szkoły i uniwersytety - mniej osób będzie snuło się po mieście - ale oczywiście, prywatna placówka wie lepiej. Dalej, wiedząc wieczór wcześniej, że pogoda nie z tych spacerowych, rodzice mają czas, żeby poszukać niani i zastanowić się, jakie mają plany dla dziecka na nadchodzący dzień. Nasza szkoła twierdzi, że nie musi się temu podporządkowywać, więc pisze nam o tym dopiero o 7-7:15 rano. Czekać na nie wiem co, że nagle przez noc skoczmy z orzeźwiających -35 do miłych +20? Czy choćby -20? Prognoza pogody w miarę się tu sprawdza, a jak się myli, to o 2 stopnie, nie o 10. Czy będzie -36, czy też -33, to naprawdę nie zmienia już wiele. Od 21 do 26 stycznia zajęcia dla wszystkich były odwołane, mimo tego cały kolektyw nauczycielski siedział w szkole, odchodząc od zmysłów co ze sobą robić. Rozegrano turnieje ping-ponga, siatkówki, oglądano filmy, żarto, pito po cztery kawy, a przede wszystkim wkurwiano się do łez na debilizm administracji, która trzyma ponad setkę osób w pracy, gdzie niczego zrobić się nie da. Bywały koncepcje szkoły bez nauczycieli, ale bez uczniów? Z jednej strony, każdy woli uczyć, bo przynajmniej czemuś to służy. Z drugiej, każdy ma też



Najpiękniejszy sms jakiego można dostać.

doświadczenie spania na szkolnej ławce. Dzięki tej polityce mogłem zgłębić tajniki gry Cthulhu Virtual Pet i popisać sobie o nominacjach do Oscarów. Przy okazji snując przemyślenia: jakim cudem ktokolwiek przeżył zesłanie do Kazachstanu?



I Ty możesz sterroryzować miasto swoim małym Cthulhu!

Waląc w metaforyczny bambus, pracownicy szkoły zostali pasjonatami pogody, a konkretnie ekstremów. Prognozy czytamy na kilku różnych portalach. Wypatrujemy zwłaszcza buranów, ale i tymi mrozami z okolic -36 nie gardzimy. Spotykasz kogoś z kim cztery miesiące nie gadałeś, a tu ci zagajają:

- Widziałeś? Widziałeś? Jutro też -34! Nie przyjdą!!!

Poza tym że wyjść z mieszkania za bardzo się nie da, zakupy robi się na biegu w drodze z pracy, to są plusy. Za to siedzenie w pustych klasach i granie w Cthulhu płacą.

Hardkorowy mróz ma potrwać do 26 stycznia. Potem temperatury mają wrócić do cieplarnianych -20-kilku stopni. Już nie możemy się doczekać, stroje plażowe gotowe, ponton nadmuchany...

Oto mapa do szczęścia!

Инфографика подготовлена
Управлением образования г. Астаны

ПРИ КАКОЙ ПОГОДЕ ОТМЕНЯЮТ ЗАНЯТИЯ?

ТЕМПЕРАТУРА	СКОРОСТЬ ВЕТРА	ОТМЕНА ЗАНЯТИЙ ДЛЯ
-25-29 °C и ниже	2 - 4 м/с	0-4 классов
-25-29 °C и ниже	5 м/с и более	0-9 классов
-30-34 °C и ниже	2 - 4 м/с	0-9 классов
-30-34 °C и ниже	5 м/с и более	0-11 (12) классов в колледжах (для 1-2 курсов)
-35 °C и ниже	2 м/с и более	

просим одевать детей соответственно погодным условиям

В СЛУЧАЕ УСИЛЕНИЯ МЕТЕЛИ И УХУДШЕНИЯ ВИДИМОСТИ ЗАНЯТИЯ ОТМЕНЯЮТСЯ В 0 - 11 (12) КЛАССАХ, КОЛЛЕДЖАХ (ДЛЯ 1 – 2 КУРСОВ)

ВНИМАНИЕ!

ИНФОРМАЦИЯ ПО ОТМЕНЕ ЗАНЯТИЙ ПЕРЕДАЕТСЯ СТРОГО В УКАЗАННЫЙ ПРОМЕЖУТОК ВРЕМЕНИ:

С 6.15 – 6.30 для I смены
(а также если уроки начинаются с 11 или 12 часов)

С 12.15 – 12.30 для II смены

АКТУАЛЬНАЯ ИНФОРМАЦИЯ ДОСТУПНА НА ИСТОЧНИКАХ:

- 109 (бесплатно с мобильного телефона),
- сайт УО г. Астаны - www.bilim.astana.kz
- приложение "Smart Астана" (уведомления)
- информационные порталы новостей
- страница www.facebook.com/bilimastana
- у классного руководителя или администрации школы

Miłość cierpliwa jest, łaskawa jest...

Nikt nie zaprzeczy, że miłość jest piękna. Niestety czasem może też być niezdrowa.



źródło: Little Big - Hateful Love

36-letnia Żanna Nurżanowa nie miała zaufania do wybranka swojego serca. Któregoś dnia postanowiła przejrzeć zawartość jego telefonu i natknęła się na - jej zdaniem - niezbite dowody jego niewierności. Otóż wiarołomny kochanek w smsie do swej siostry odważył się pochwalić urodę jakiejś obcej kobiety! W pamięci telefonu znajdowały się też zdjęcia innych pań (niestety nie podano, jaki był stopień odziania tychże). Żanna postanowiła nie załamywać się i nie wylewać swych żali na vkontaktie, zamiast tego przystąpiła do zemsty.

Pod pozorem miłosnych zabaw nakłoniła swego lubego, aby pozwolił się przywiązać do łóżka. Kiedy człowiek był już obezwładniony, Żanna wepchnęła mu do buzi tabletki nasenne. Nieprzytomnego mężczyznę najpierw obila aluminiowym prętem, a następnie znieczuliła okolice jego krocza przy pomocy zastrzyków z lidokainą. Chwilę po tym chwyciła skalpel i wycięła jądra mężczyzny. Być może miała jeszcze jakieś inne ciekawe pomysły, ale ze względu na nadmierne krwawienie postanowiła przerwać operację i odwiozła kochanka do szpitala. Tamże została zatrzymana przez policję.



źródło: yaplakal.com

Historia ta stała się podobno hitem na WhatsAppie i była przekazywana pomiędzy mieszkańcami Astany jeszcze zanim oficjalnie podano ją mediom. Co ciekawe, do internetu wyciekły też dokumenty policyjne na temat sprawy, co pomaga wyobrazić sobie profesjonalizm pracy kazachskich służb.

Poczytaj mi, jenocie!

Różne pomysły i trendy dotyczą systemy edukacyjne na całym świecie. Jednym z najbardziej uniwersalnych poglądów jest ten mówiący, że uczniom niesamowicie poprawiają się wyniki naukowe gdy czytają. Placówka, w której przyszło mi zarabiać tenge, od jakiegoś czasu została fanatykiem tego poglądu. Kusiło powiedzieć, że znani są ludzie, którzy nie tylko czytali, ale nawet i parę rzeczy napisali (np. Adolf Hitler, Włodzimierz Lenin, Józef Stalin, Mao Zedong), ale ludzkości słabo się podniósł poziom życia od ich talentu pisarskiego...



Stalin też był mołem książkowym za młodu! Jako dowód niech posłuży ten piękny obraz autorstwa Apollona Kutateladze (źródło: irishtimes.com)

Zaczął się od tego, że w listopadzie nakazano zabierać uczniów do biblioteki. Żeby czytali. Co się dzieje, gdy wrzuci się jednocześnie grupę dwunastu uczniów, która spotka drugą grupę podobnych rozmiarów na przestrzeni dość zamkniętej?

Dzieje się zoo.

Zwłaszcza, że program był taki: dzieci wchodzi i same wybierają, co też mają ochotę czytać, byle po angielsku. Mam pewne opory przed puszczeniem na żywioł uczniów w wieku 8-9 lat, ale co ja tam wiem, hamowałbym tylko asekuracyjnie rozwój dzieci, a w nich jest dobro i pęd do wiedzy, którego nie można ograniczać jakimś konserwatywnymi regulacjami. Po pięciu minutach okazało się, że część uczniów ma książki po kazachsku i rosyjsku, a z angielskich to najchętniej Garrego Pottera, którego może za dekadę będą w stanie przeczytać, obecnie jest o kilka poziomów za wysoko dla nich.



Biblioteka to duma szkoły, każdy regał opisany jest w trzech językach!



Jest nawet wygodny kąt do czytania, w którym czasem przysypiają nauczyciele



O, można sobie wziąć książkę! Co też ciekawego tu wystawili...



O, biografia prezydenta. Toż to musi być bestseller!



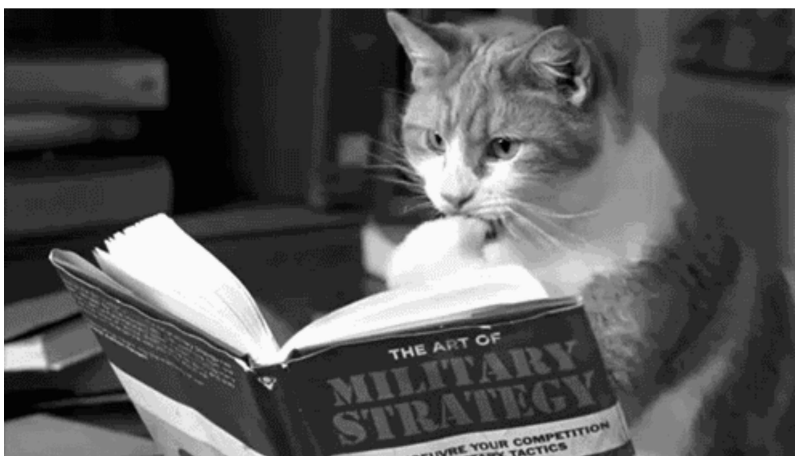
Ta publikacja na pewno została nagrodzona Pulitzerem...

Cała kłanada związana z wychodzeniem do biblioteki skończyła się po pierwszej wizycie. Myślałem,

że wystarczy takich pomysłów, ale jeszcze wtedy nie do końca rozumiałem, w jakim miejscu pracuję, i nie doceniłem determinacji kierownictwa.

Koncepcja powróciła w grudniu, ale tym razem nie chodziło o samo czytanie, ale już o pisanie książek. Ogłoszono szkolny konkurs na młodych pisarzy. Do dzisiaj nie został rozstrzygnięty, według mojej wiedzy z powodu zerowej liczby zgłoszonych prac.

Na początku stycznia rozpoczęto więc męczenie nas, żebyśmy piłowali uczniów do pisania, oczywiście najlepiej po angielsku. Możemy powołać się na przypadek Anne Frank, a historia zna nawet i młodszych autorów, ale jednak literatura tworzona przez dziewięciolatków nie ma większego wzięcia. Zwłaszcza jeżeli miałoby tworzyć w języku, który ledwo znają i w którym nie są w stanie napisać więcej niż kilka linijek (z błędami rozmiarów kazachskich wielbłądów z okolic Szymkientu). Rozwieszono plakaty propagandowe, ale i tak nikt niczego nie przyniósł, więc pomyślano co by z tym można jeszcze zrobić. Musiały to być wielkie debaty najtęższych umysłów - ja znam tych ludzi i wiem o czym mówię. Okna musiały zaparować, gdy w końcu postawiono diagnozę: dzieci nie piszą, bo nie czytają! (To akurat dyskusyjne, bo mam uczniów, którzy czytają i to niemało, ale owszem, więcej mam takich, którzy lubią gry video, co bardzo nie dziwi.) Promocję czytelnictwa zrzucano więc na barki nauczycieli.



Powierzenie tej misji kotu mogłoby przynieść więcej efektów

W ostatnich dniach stycznia wydano dekret ogłaszający luty miesiącem czytania. Przez nadchodzące tygodnie o godzinie 11:50, w chwili rozpoczęcia przerwy obiadowej, [trzykrotnie odgrywana jest melodia](#), która oznacza, że jako nauczyciel mam się ustawić w jakimś widocznym miejscu i czytać przez następne dziesięć minut.

Efekty są takie, że pierwszego dnia niektórym się jeszcze chciało z tego śmiać i kolega czytał 'Wspomnienia z domu umarłych', a inni gazetkę na telefonie. Przy okazji wiele osób oskarżało się nawzajem o brak zaangażowania w słuszną misję promocji czytelnictwa pośród uczniów i że 'Jak nie napiszą książki w tym miesiącu to twoja wina, bo nie czytasz z wystarczającym zaangażowaniem!!!'.

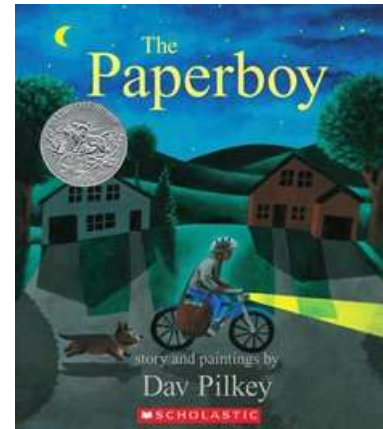
Niektórzy jednak okazali się bardziej zapaleni do walki z przerażającym analfabetyzmem. Jedna z mych współpracowniczek wymyśliła, że nic tak uczniów nie zachęci do czytania jak trochę okołokorporacyjnej papierologii. Stworzyła więc log, w którym uczniowie mają zapisywać co, gdzie i kiedy przeczytali, oczywiście po angielsku. Ponieważ tak wrażliwych kwestii, jak rozwój czytelniczy ucznia, nie można powierzyć ślepemu losowi, wszyscy muszą czytać to samo i to na akord, podług

olimpijskiej logiki, czyli kto pierwszy, ten lepszy.

Na chrzest bojowy poszła książka 'The Paperboy'. Nie podobala się absolutnie nikomu poza osobą, która ją wybrała (mnie też nie, ale ja przynajmniej nie musiałem na nią wypełniać tabelki). Jeden z uczniów próbował przechytrzyć system i wpisał, że czytał ją już pięć razy, log ma pełen, więc przecież jasne, że nie musi już więcej czytać w tym semestrze. Oczywiście takie tłumaczenie nie przeszło i będzie mógł on w dalszym ciągu rozwijać pasję czytelnictwa.

Według dyrekcji szkoły, gdy uczeń zobaczy swojego ulubionego nauczyciela z książką w ręku, to żyjąc dzikim marzeniem zostania takim samym człowiekiem, jak jego kochany pedagog, rzuci się samemu czytać, a potem jeszcze i coś napisze. Wiedząc dobrze, jakie tu są szalone kadry, postanowili nie przeszarżować, więc dlatego wyznaczono zmianę trwającą całe dziesięć minut. Piętnaście mogłoby przecież niejednego nauczyciela zabić...

Nie wpadli jednak na to, że efekt może być dokładnie odwrotny od zamierzonego. Dla moich uczniów idolami są ludzie w stylu Messiego, Ronaldo i Neymara. Kadra nauczycielska stanowi dla nich taki wzorzec i obiekt podziwu jak mniej więcej kolonia karaluchów. W efekcie cały plan może spowodować, że na widok ukochanych pedagogów z książkami w dłoniach, czytanie obrzydzi się uczniom do końca świata. Natomiast ci, którzy czytają - przestaną, bo będzie im wstyd.



Ale jak zachwyca, kiedy nie zachwyca?! (źródło: scholastic.com)

Legenda lutowa - Kozy i Bayan

Duża część świata Zachodu obchodzi dzisiaj Dzień Świętego Walentego, czyli Święto Zakochanych. W Kazachstanie oczywiście musi być trochę na opak - chociaż wielu młodych obdarowuje się w ten dzień kwiatami i czekoladkami, to jednak tradycyjnie święto miłości wypada dopiero 15 kwietnia, na cześć Kozy (nie, nie chodzi o rogate zwierzę) i Bajan.



Portret bohaterów opowieści. Autor nieznany. (źródło: obozrenie.kz)

Kozy-Korpesz i Bajan-sulu to bohaterowie miłosnej legendy z Kazachstanu. Dawno, dawno temu, za stepami, za nieużytkami, za przyszłymi poligonami nuklearnymi, żyli dwaj przyjaciele - Sarybaj i Karabaj, którzy tak bardzo się lubili, że przysięgli sobie, iż ich przyszłe dzieci zostaną poślubione. Szczęśliwym trafem po kilku latach Sarybaj doczekał się syna imieniem Kozy, zaś Karabaj córki imieniem Bajan-sulu. Los był jednak okrutny dla Kozy - jego ojciec zginął nagle podczas polowania, pozostawiając syna i żonę bez środków do życia. Karabajowi było oczywiście żal przyjaciela i jego rodziny, ale znał życie i wiedział, że hajs się musi zgadzać, a córki nie ma sensu wydawać za biednego sierotę. Złamał więc przysięgę daną kumplowi i znalazł córeczce nowego narzeczonego - Kodara.



Mauzoleum Bajan-sulu i Kozy Korpesza w Ajagöz (autor: Mikhail Antonov, źródło: wikipedia)

Bajan-Sulu i Kozy żywili do siebie płomienne uczucie. Zazdrosny Kodar postanowił przypilnować cnoty swojej przyszłej żony i pozbyć się potencjalnego rywala, tak więc zwabił go w zasadzkę i ukatrupił. Bajan była tym solidnie wkurzona i postanowiła zemścić się na przyszłym mężu. Wymyśliła chytry plan: oznajmiła Kodarowi, iż wyjdzie za niego tylko wtedy, jeżeli zejdzie on do studni trzymając się warkoczy Bajan i nabierze wody z dna. Trudno powiedzieć, dlaczego Kodar zgodził się na tak idiotyczne wyzwanie, zwłaszcza że wtedy jeszcze nie dało się go nakręcić i wrzucić na Youtube. Kodar zszedł więc do studni, trzymając się warkoczy przyszłej żony. Nie przewidział, iż chytra niewiasta obetnie swe włosy, kiedy będzie on już zbyt daleko by się wydostać, a następnie razem ze swoimi służkami zasypie studnię kamieniami.

Czyn ten niestety nie zdołał ukoić zbolełego serca Bajan-Sulu. Uznała, że najlepszym lekiem będzie więc przebicie go sztyltem.

Legenda ta zrobiła podobno ogromne wrażenie na Aleksandrze Puszkynie. Obecnie próbuje się chyba nieco na siłę promować jej bohaterów, ogłaszając co jakiś czas konkursy na dzieła artystyczne odnoszące się do ich historii. Pod koniec grudnia ubiegłego roku w telewizji narodowej pojawił się serial opowiadający o losach Bajan i Kozy. Stał się on takim hitem, że... już w styczniu pojawiła się petycja podpisana przez ponad 200 osób związanych z filmem i telewizją, aby przerwać emisję tego dzieła!



Aktorzy wcielający się w główne role serialu "Қозы Көрпеш-Баян сұлу" (źródło: qazaquni.kz)

Zarzutów wobec produkcji jest wiele - nietrzymanie się realiów czasowych, uboga scenografia, problemy językowe (aktorzy mówią po kazachsku ze złym akcentem), zatrudnienie odtwórczyni głównej roli po znajomości zamiast po castingu. Producentka broniła się, że na nakręcenie serialu otrzymała... 54 miliony tenge, co po opłaceniu podatków oznaczało budżet w wysokości około 21 tysięcy dolarów na odcinek (nawet taki hit jak 'Korona Królów' ma budżet ponad dwa razy większy). Dla porównania - każdy z odcinków nowego sezonu 'Gry o tron' ma kosztować 15 milionów dolarów.

Call Me By Your Name

Pomysły na imię dla dziecka potrafią wywołać dzikie dyskusje w niejednej rodzinie. W Polsce sprowadzają się one często do debaty, czy bardziej skrzywdzi się chłopca nazywając go Brajanem czy też Swarogiem, a dziewczynkę - Dżesiką czy Dobrawą. Jest też stała pula imion, która zazwyczaj nie wzbudza kontrowersji: Jakuby, Katarzyny, Marciny, Natalie... Lecz cóż jest w nich ciekawego? Czy chcecie, aby Wasze dzieci chodziły do klasy z pięcioma innymi Karolami? Dlatego dzisiaj proponujemy nową jakość życia - zapewnijcie swym pociechom 80 lat ciężkiego życia, nadając im imię kazachskie!

Pewnego zimowego dnia naczelny redaktor Jenot przesiadywał w swoim miejscu pracy i oczekiwał na rozpoczęcie zajęć. W klasie panował pewien harmider, ponieważ uczniowie postanowili umilić sobie czas oczekiwania na lekcję grą w karty. Gra wydawała się nie mieć większego sensu, ale karty zdobiły wizerunki różnych zwierząt. Naczelny Jenot przyglądał się zabawie swoich podopiecznych, kiedy nagle dostrzegł kartę ze swoim imiennikiem.



Karta wydana przez narodowe linie lotnicze Air Astana

Po głębszej inspekcji, odkrył on jednak coś przerażającego. Jenot po kazachsku to: Жанат. Wymawia się 'żanat'. Żanat to imię jednego z kazachskich pracowników szkoły.

Po dokonaniu śledztwa okazało się, że w szkole pracuje trzech Żanatów. Trzy kazachskie jenoty!

Kazachskie imiona mają w sobie pewną melodykę. Jest to melodyka przypominająca nieco Czarną Mowę z Mordoru. Do wymawiania bardzo przydaje się nieżył gardła, ale spokojnie - jeżeli go akurat nie macie, to na pewno będziecie mieli po paru próbach czytania na głos. Nie przypominają one zbyt tych znanych z kultury europejskiej, chociaż czasem pojawiają się wpływy rosyjskie lub greckie. W większości wywodzą się jednak z języków turekowskich lub z arabskiego, często są to też imiona koraniczne.

Chyba każde kazachskie imię ma jakieś znaczenie - trochę tak, jakby wziąć losowe rzeczowniki i połączyć je w abstrakcyjną całość. Zazwyczaj lepiej tego znaczenia nie znać, zwłaszcza jeżeli musimy tak zwracać się do niepełnoletnich ludzi. Przykładowo - istnieje garść imion pochodzących od księżycy - 'ai'. Dlatego mamy:

- Aibeka, czyli Księżycowego Mistrza,
- Aidai, czyli Księżycowe Dziecko,
- Aiman, czyli Księżycową Piękność,
- Aisulu, czyli również Księżycową Piękność,
- Aidanę, czyli Księżycowego Geniusza,
- Aigerim, czyli Wdzięczną jak Księżyc...

Inny przyrostek to 'gul', czyli kwiat. Daje on nam równie poetyckie efekty:

- Aigul, czyli Księżycowy Kwiat,
- Bibigul, czyli Kwiatową Damę (lub... słowika),
- Gulim, czyli Mój Kwiat,
- Gulnar, czyli Kwiat Granatu,
- Gulzhan, czyli Kwiatową Duszę,
- Gulnaz, czyli Dumny Kwiat,

Jest nawet Nazgul! Oznacza Delikatny Kwiat. Ciekawe, czy Tolkien o tym wiedział.

Poniżej przedstawiamy subiektywny wybór najciekawszych/najdziwniejszych kazachskich imion:

- Abai - znaczy 'uważny'. Nadaje się je na cześć Abaya Kunanbajewa, kazachskiego narodowego wieszczka. Niemal w każdym mieście jest jakiś Prospekt Abaya.
- Akbota - znaczy 'białe dziecko wielbłąda'. Nie znamy nikogo o tym imieniu, ale chyba każdy przyzna, że jest piękne.
- Akmaral - znaczy 'biały jelen'. Nam kojarzy się bardziej z jakimś żyjątkiem morskim.
- Alikhan - znaczy 'Wódz'. Świetne imię dla naturalnego przywódcy. Wyobrażacie sobie wołać do dwulotka: "Wodzu, czas zmienić pieluchę?"
- Anara - znaczy 'granat', w sensie owocu. Dla Aligatora owoce granatu plasują się dość wysoko w Aligatorzej Tabeli Potrzeb Owocowych, dlatego wszystko, co się z nimi łączy, jest na prosiu.
- Arslan/Aslan - znaczy 'lew'. Zupełnie jak w Narnii! Łatwe do wymówienia i pasujące do wielu cech charakteru. Polecamy nazywać tak koty domowe.
- Ayaulum - znaczy 'ukochana'. Opanowanie wymowy tego imienia zajęło Aligatorowi miesiąc. Sama pisownia nie pomaga. Trochę też głupio mówić do dziecka 'Ukochana, przeczytaj czwarte zdanie!'.

- Dastan - znaczy 'przekaz ustny', w sensie eposu. Mózg eksploduje.
- Inkar - znaczy 'pożądanie'. Czy to jest normalne, żeby nazywać swoje pacholę takim imieniem? Czy na pewno chcielibyście, żeby jakiś stary przyk zwracał się tak do Waszej córki?
- Madina/Medina - znaczy 'miasto', wiadomo które. Imię niesamowicie popularne wśród 30-latek - trzy nauczycielki lokalne tak się zwa.
- Miras - znaczy 'dobre dziedzictwo'. Na ogół uczniowie o tym imieniu byli całkiem spoko.
- Nazerke - znaczy 'szlachetna'. Imię popularne wśród mniej więcej 25-latek.
- Nurana - znaczy 'lśniący'. Nam raczej przychodzi inne skojarzenia. Takie z nurzaniem.
- Nurasil - znaczy 'szlachetne światło'. Może firma Osram powinna rozważyć zmianę nazwy?
- Timur - znaczy 'żelazo', pochodzi od wodza tureckiego Tamerlana. Bardzo popularne i niezmiennie wzbudza naszą radość. Mieszkając w Moskwie poznaliśmy kilku Timurów. Każdy był alkoholikiem. Sentymentalistom polecamy przeczytać "Timura i jego drużynę".



*Okładka pierwszego wydania
trzymającej w napięciu opowieści
(źródło: Wikipedia)*

Oczywiście im bardziej szlachetne imię, tym większy rozjazd z rzeczywistością. Uczeń Arslan ma więcej wspólnego z byciem niepozbitym pierdołą niż z odwagą lub lwem, a Raigul (Niebiański Kwiat) raczej nie wygra w najbliższym czasie lokalnego konkursu piękności. Z racji dość burzliwych dziejów okolicy, nie brakuje też imion bardziej słowiańskich - typu Wład, Bogdan czy Rusłan (który oznacza rudego). Jeżeli ktoś ma nazwisko Tsoy lub Tjo, to znaczy, że ma korzenie koreańskie (i pewnie średnio radosną historię osiedlenia się w Kazachstanie kilkadziesiąt lat temu). Chwilami jest to nawet ciekawe, tyle że nauczanie się imion uczniów zajmuje więcej czasu niż gdzie indziej. Czasem odnoszę wrażenie, że starano się wynaleźć najmniej popularne imiona, żeby dziecko było jedyne w grupie rówieśników. Z drugiej strony podejrzewam spisek - w jednej klasie mam trzy Aruzhan, w pięciu pozostałych zero. W innej dwóch Omarów, w pozostałych zero. Nazwiska potrafią tu być dość długie (Gabdulaieva i Mukhamedzanova to moje ulubione), więc pozostaje dziękować za cokolwiek krótszego niż sześć liter.

Gdy już człowiekowi uda się zaprzyjaźnić, a potem spotka z bardziej zaufanymi lokalnymi i nagle wpadnie na pomysł tłumaczenia imion, to pompa jest pełna: "Delikatna, podaj proszę Rajskiemu Kwiatowi sałatkę z koniny. Czy Ukochana już piła, czy jej polać?". Zaś redaktor Jenot od tygodnia wprawia kazachskich współpracowników w zdumienie pytając, gdzie się podział kazachski Jenot i czy

dzisiaj przyszedł na zakład. Pochodzenie tego imienia nie jest do końca jasne. Może wywodzić się od arabskiego 'raj, niebo', lub perskiego 'dusza'. Po kazachsku nazwa zwierzęcia znaczy dosłownie 'duże oczy', co potwierdza naszą teorię - opartą o badania terenowe - że jenota ani szopa nigdy tu nie widzieli.

Sądzymy, że dzięki tej kolekcji już nigdy nie będziecie musieli szukać pomysłów na imię dla swoich pociech. A także kotów, piesków, królików, rybek czy firm.

Expo w Astanie

W 2017 roku Astana miała niezły powód do dumy. Chodzi oczywiście o Expo, którym przez 3 miesiące, od 10 czerwca do 10 września, żył cały Kazachstan. I jakaś garstka ludzi w pozostałych częściach kuli ziemskiej.

Expo to oczywiście wystawa światowa organizowana od 1851 roku. Pierwsza miała miejsce w Londynie i była niezłym hitem, częściowo przez to, że specjalnie dla niej zbudowano Crystal Palace, czyli niesamowitą na tamte czasy konstrukcję z żeliwa i szkła. Zapoczątkowano tym samym tradycję, z którą większość kojarzy Expo, czyli: stawianie imponujących budowli wykorzystujących najnowsze zdobycze technologiczne. To dlatego w Paryżu można podziwiać Wieżę Eiffla - która, jak wiadomo, wzbudziła ogromne kontrowersje i ogólny bulwers wśród Paryżan - a w Brukseli urokliwe, lustrzane Atomium. Każdy kraj projektując tereny pod wystawę światową wykładał spory hajs na stworzenie hiperzeczywistości, w której na każdym kroku odwiedzający mieli robić "WOW" podczas oglądania budynków i ekspozycji.



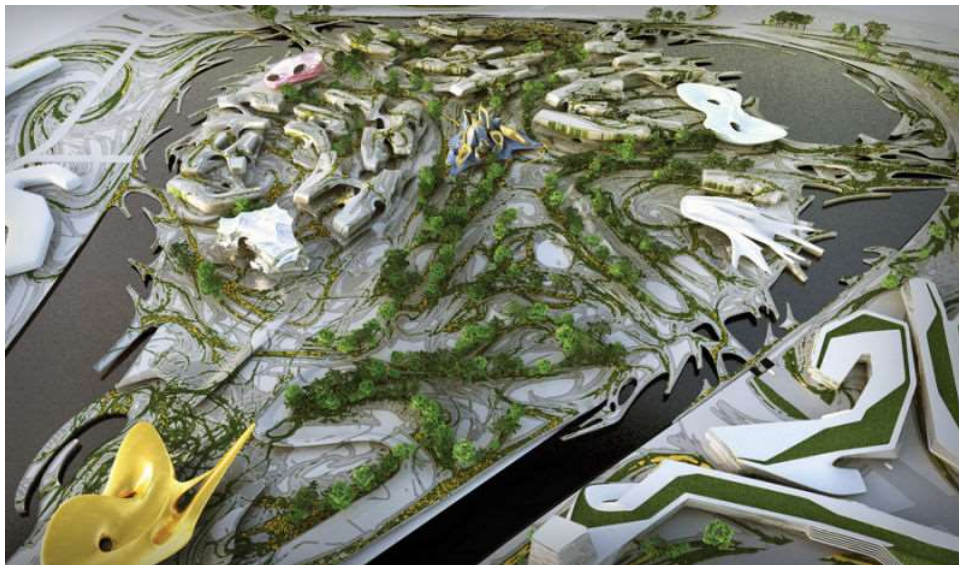
Tak prezentowało się brukselskie Atomium gdy odwiedziliśmy je w 2014 roku

Kazachstan nie mógł przecież odejść od tej tradycji. Konkurs na zagospodarowanie terenów pod Expo, położonych na obrzeżach miasta, w dogodnej odległości od lotniska, wzbudził zainteresowanie biur architektonicznych z całego świata. W sierpniu 2013 roku swoje projekty w Astanie pokazały biura m.in. Zaha Hadid Architects, Safdie Architects, Snohetta, Kokkugia... Ostatecznie wygranym okazało się być biuro Adrian Smith + Gordon Gill Architecture z USA, które stworzyło koncepcję czterech

budynków okalających pawilon centralny, wyraźnie górujący nad pozostałymi. Według projektu teren wokół miał obfitować w zielone aleje, pośród których mieszkańcy i odwiedzający wystawę mogliby znaleźć schronienie od stepowych upałów.



Projekt J Mayer H Architects z Niemiec zakładał najwyraźniej permanentnie fruwające wokół balony. Pennywise by zaaprobował!



Biuro Kokkugia z Wielkiej Brytanii stworzyło coś, co wręcz ciężko opisać. Przypomina trochę estetykę z "Obcego". H. R. Giger byłby dumny.



Dzieło Safdie Architects z USA wyraźnie stawia na wertykalizm



Projekt grupy Snohetta z Norwegii to znowu inna bajka - dużo zieleni i budynki harmonizujące z krajobrazem



Studio Pei Zhu z Chin wybrało kształty opływowe i elementy zielonej fasady



Projekt Zaha Hadid Architects z Wielkiej Brytanii. Wyraźne kontrasty między bryłami i strzeliste wieże na których brakuje tylko Oka Saurona



Zwycięski projekt Adrian Smith + Gordon Gill wygląda wręcz konserwatywnie przy pozostałych - budynki zakomponowane na okręgu z centralnym pawilonem pomiędzy nimi

Do realizacji projektu przystąpiono w 2014 roku. Wedle słów prezydenta Nursultana Nazarbajewa, wszystkie budowle miały być ukończone do września 2016 roku - czyli na mniej więcej rok przed otwarciem wystawy. Konstrukcja futurystycznego centrum wystawienniczego w Azji Środkowej nie jest łatwa. Już pod koniec 2014 roku [odbył się protest pracowników](#) dwóch firm budowlanych, którym nie wypłacono trzymiesięcznego wynagrodzenia.

Tymczasem w połowie 2015 roku postępy w budowie wzbudziły niezadowolenie prezydenta, które pogłębione zostało poprzez odkrycie, iż Talgat Yermegajew, jeden z przewodniczących komitetu organizacyjnego Expo w Astanie, z budżetu przedsięwzięcia zgarnął do własnej kieszeni 4.2 miliardy tenge - około 22.4 miliona dolarów. Wkrótce potem aresztowany został kolejny przewodniczący zarządu Expo, Sulambek Barkinkhojew, oraz zarządzający budową Kazhymurat Usenow. Panowie zostali oskarżeni o sprzeniewierzenie jedynie 214 milionów tenge (1.15 miliona dolarów). Sam Usenow zrezygnował nie tylko ze względu na mactwa finansowe, ale również z powodu swojego syna, którego wyczyny w jeździe po pijanemu doprowadziły do zabicia przechodnia w Ałmaty. Kilku innych oficjów profilaktycznie zrezygnowało ze swoich urzędów związanych z organizacją wystawy, w tym Saltanat Rakhimbekova, która nagle oznajmiła, iż poszukuje innych opcji kariery. Chwilę po niej z urzędu zstąpiła Vera Kobalia, była minister ekonomii w Gruzji, która zrobiła niesamowitą karierę za czasów Saakaszwilego (tutaj można przeczytać wywiad z nią z tamtych czasów). Kobalia miała zajmować się marketingiem i kampanią PR wystawy światowej, ale załamała ręce po ujrzeniu swojego zespołu współpracowników, z których każdy jeden dostał tę fuchę tylko i wyłącznie dzięki koneksjom, a nie merytorycznej wiedzy.

W tym samym czasie - w lipcu 2015 roku - agencja Bloomberg umieściła Kazachstan na liście 10 najsłabszych ekonomii świata.

16 listopada 2016 roku, na 7 miesięcy przed otwarciem imprezy, fragment jednego z pawilonów uległ zawaleniu.

W połowie 2015 roku szacowano, że budżet Expo wyniesie 3 miliardy dolarów. W sierpniu 2017 roku Akhmetzhan Yessimov twierdził, że sama budowa kosztowała 452 miliardy tenge, czyli około 1.4 miliarda dolarów, a więc o miliard mniej niż szacowano! Nie wszyscy jednak wierzą jego słowom - zagraniczni obserwatorzy szacują, iż budżet wystawy został solidnie przekroczony i sięgnął 5 miliardów dolarów. A to wszystko w kraju, gdzie przeciętna pensja wykształconych mieszkańców miast to około 1500 zł. Zarobki mieszkańców wsi szacuje się na 800 zł miesięcznie.



Niechaj pejzaż Karagandy pomoże w przybliżeniu warunków życia wielu Kazachów

Początkowo Nazarbajew obiecywał, iż Expo odwiedzi 7 milionów gości. Ostatecznie oczekiwania spadły do 3 milionów, które udało się nawet przekroczyć. Dla porównania - Expo w Korei Południowej w 2012 roku przyciągnęło ponad 8 milionów odwiedzających. Kazachstan próbował wielu sposobów by zachęcić ludzi do oglądania wystawy. Linia lotnicza Air Astana obiecywała darmowe wejściówki dla wszystkich pasażerów, niestety automaty wydające je na lotniskach w Ałmaty i Astanie były zepsute. Bilety na ekspozycję kosztowały od 4 do 10 tysięcy tenge - czyli mniej więcej między 40 a 100 złotych, a więc nie skandalicznie drogo, jednak dla wielu mieszkańców Kazachstanu była to cena zaporowa, zwłaszcza jeżeli mieli doliczyć do tego koszt dojazdu do stolicy i noclegu w hotelu. Pojawiły się pogłoski, iż wielu pracowników budżetówki zostało zmuszonych do kupna biletów. Donieśli o tym nauczyciele z regionu Zaysańskiego oraz anonimowi pracownicy sektora medycznego. Artykuł z marca 2017 roku wspomina o 20 przypadkach przymuszania do kupna biletów. Było to na 3 miesiące przed rozpoczęciem wystawy.

Expo w Astanie nie należało do serii głównych wystaw światowych - ostatnia z nich miała miejsce w Mediolanie w 2015 roku, a następna odbędzie się w Dubaju w 2020 roku. Expo 2017 było wystawą tematyczną skupiającą się na energiach odnawialnych i nowych technologiach które ją wykorzystują.

Centralny pawilon kompleksu, zwany przez wielu "Gwiazdą Śmierci", a noszący oficjalne imię Nur Alem, przeznaczono na wystawę poświęconą Kazachstanowi. Bryła zaprojektowana została przez

kazachską architekturę Aigerim Akenową. Według oficjalnej strony Expo jest to pierwszy na świecie budynek w kształcie pełnej kuli o średnicy 80 metrów. Jedną z atrakcji wnętrza jest szklany pomost, na którym niemal każdy odwiedzający koniecznie musiał zrobić sobie zdjęcie.

Ekspozycje na temat innych krajów umieszczono w okalających budynkach. Jeden z pawilonów przeznaczono na ukazanie 17 najlepszych projektów związanych z energią odnawialną. Część przestrzeni przeznaczono również na otwarcie tymczasowej (niestety) filii moskiewskiej galerii Garage, a także na scenę dla teatru Cirque du Soleil. Budowie terenów wystawienniczych wtórowała też konstrukcja centrum handlowego Mega Silkway, hotelu Hilton, a także aranżacja Alei Pokoju i Porozumienia (o bardzo niefortunnej angielskiej nazwie: Alley of Peace and Consent). Z okazji wystawy uruchomiono specjalne linie autobusowe, obsługiwane przez nowiutkie pojazdy, łączące tereny Expo z centrum oraz dalszymi zakamarkami stolicy.



Nasze bilety, opłacone naszą ciężką pracą!

Ceremonia otwarcia odbyła się 10 czerwca 2017 roku.

Przez cały czas trwania wystawy na jej terenie odbywały się różnego rodzaju imprezy, które miały ją dodatkowo uatrakcyjnić. Pojawiła się Rihanna z koncertem, występował cyrk Cirque du Soleil, zaśpiewał kazachski muzyk popularny

w Chinach, a każdy z prezentujących się krajów obchodził swój dzień narodowy.

Wybierano najlepsze pawilony w różnych kategoriach i o dziwo pawilon pewnego kraju znad Wisły został dość dobrze przyjęty przez odwiedzających z całego świata.

Nam udało się odwiedzić Expo dopiero w ostatnim dniu trwania imprezy, 10 września. Wystawa szykowała się już wtedy do zamknięcia, co miało swoje plusy i minusy.

Plusem była mniejsza ilość odwiedzających niż w poprzedzających dniach - rozważaliśmy odwiedzenie wystawy na kilka dni wcześniej, ale wielogodzinne stanie w kolejce do kasy biletowej zniechęciło nas do tego.

Minusem niestety było to, iż wiele pawilonów nosiło pewne ślady zmęczenia, a niektóre kraje zdecydowały się spakować swoje kantorki przed oficjalnym zamknięciem. Inne zaś zmieniły swój profil na bardziej bazarowy i zaczęły masowo wyprzedawać przywiezione suveniry.



Materiały propagandowe



Wszystkie drogi prowadzą do Gwiazdy Śmierci!



Pawilony okalające Nur Alem ozdobione zostały przez wystawiające się kraje



Pawilon - chyba - Litwy. Kafejka z porcelaną i ciastkami, nieco przaśny film i futurystyczna bryła z wirtualną rzeczywistością



Pawilon Grecji utrzymany w klasycznej tonacji niebiesko-białej. Grecy oczywiście też mieli swoją restaurację.



Pawilon Wielkiej Brytanii z magicznym grafenem który po dotknięciu zmieniał kolor

Pawilon ojczyzniany zrobił na nas całkiem pozytywne wrażenie. Spodziewaliśmy się hurrapatriotyzmu i prząsnego folku, ale na szczęście zamiast tego było drewno, lasy, natura, pachnące kwiaty i odgłosy zwierząt. Na tle wielu innych krajów Polska wypadła naprawdę nieźle.



Orzełek musi być.



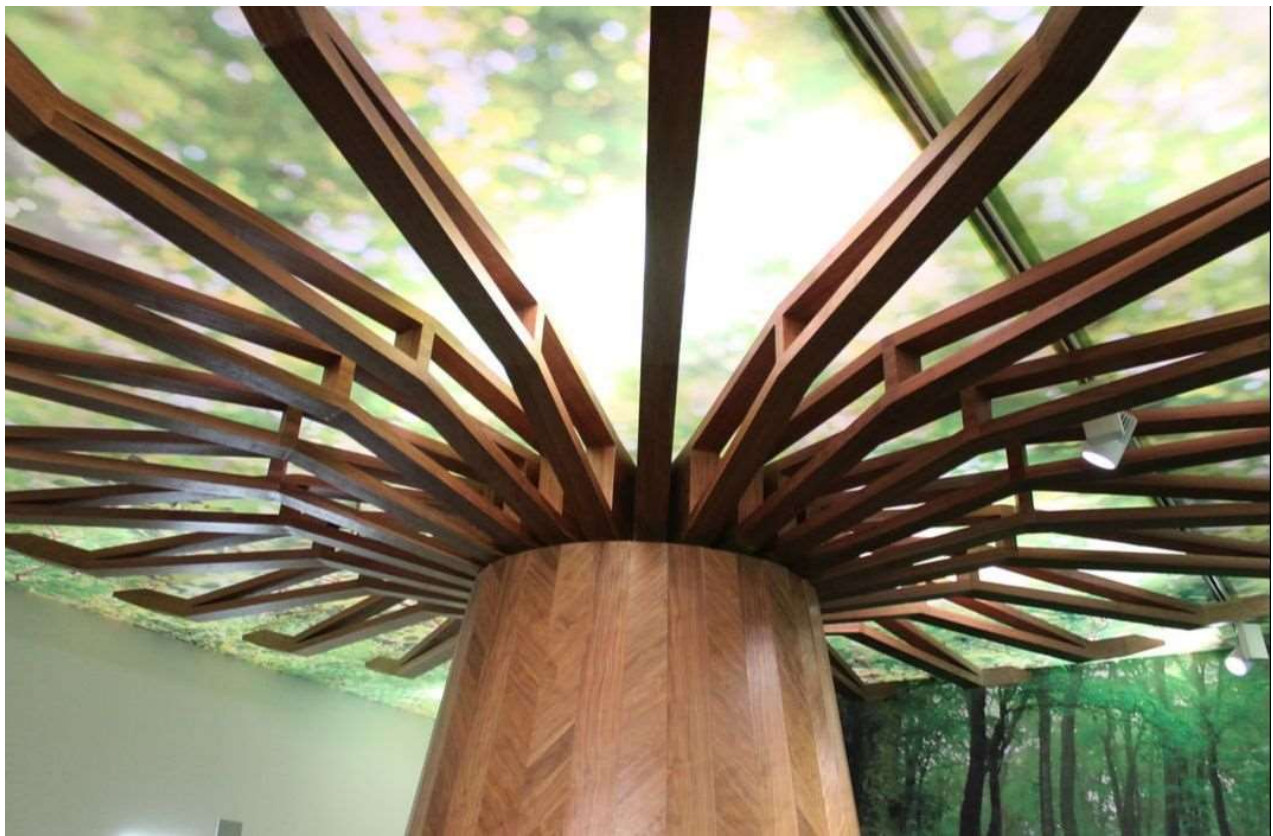
Lisy zawsze na prosię!



Jedna z najbardziej urokliwych atrakcji wystawy - naciśnij przycisk by powąchać konwalie!



Trochę informacji o polskiej przyrodzie



Drzewo ze sklejki. Naturalne drzewo miałoby chyba więcej sensu?

Na Expo nie zabrakło też kuriozów.

Jednym z nich był pawilon Watykanu.

Watykanu.

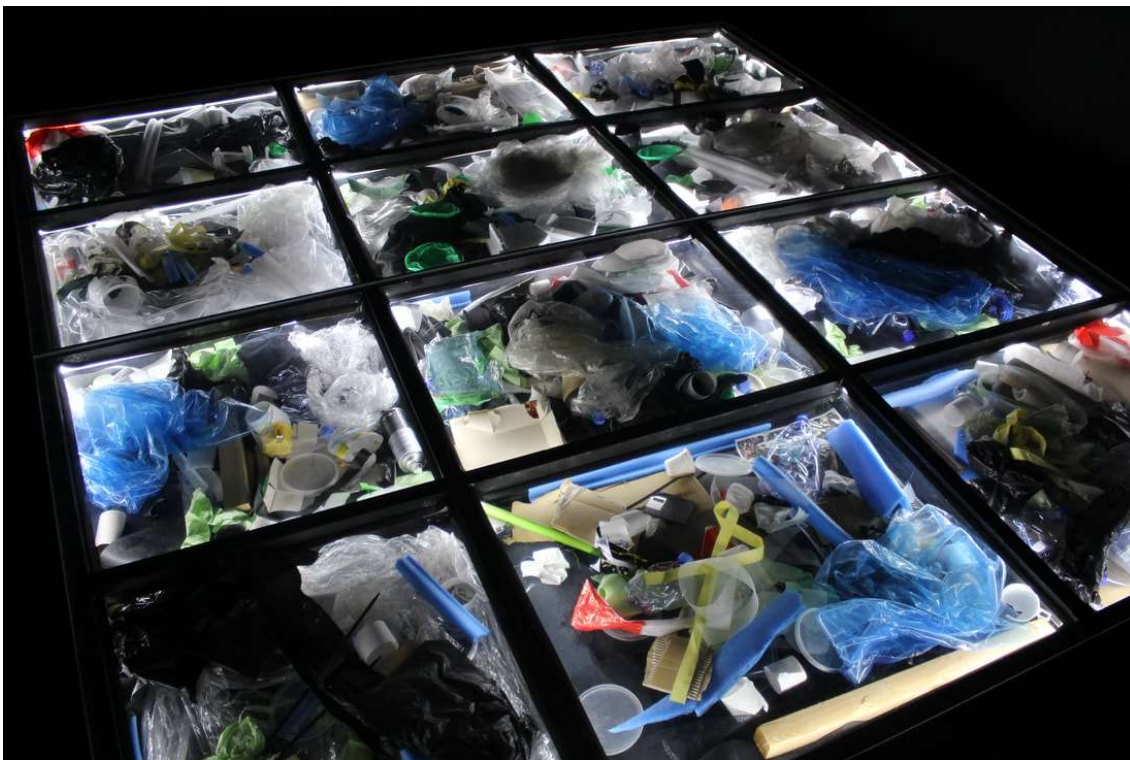
Na wystawie na temat energii odnawialnych.

Czyżby dało się generować prąd z modlitwy?

Pawilon Watykanu był też jednym z najnudniejszych, które odwiedziliśmy. Na początku zwiedzania należało zasiąść na krzeselku i poczekać na seans, który oczywiście się opóźniał, bo organizatorzy chcieli upchnąć jak najwięcej ludzi na jeden strzał. Trudno powiedzieć nawet, o czym był wyświetlony film, bo ani o działalności Kościoła, ani o ekologii. Trochę o stworzeniu świata, trochę o przyrodzie. Wszystko o niczym. Dobrze wiedzieć, że datki wiernych z całego świata idą na takie fantastyczne cele.



Całe szczęście że na fasadzie pawilonu umieszczono jedynego słusznego papieża!



Niektórzy za mocny akcent w pawilonie Watykanu uznali podłogę wyłożoną popularnymi śmieciami, które mogłyby być przetwarzane zamiast bezrefleksyjnie wyrzucane



Katar stworzył chyba najbardziej efektowną fasadę - ozdobioną czymś w rodzaju cekinów, które zmieniały położenie wraz z podmuchami wiatru



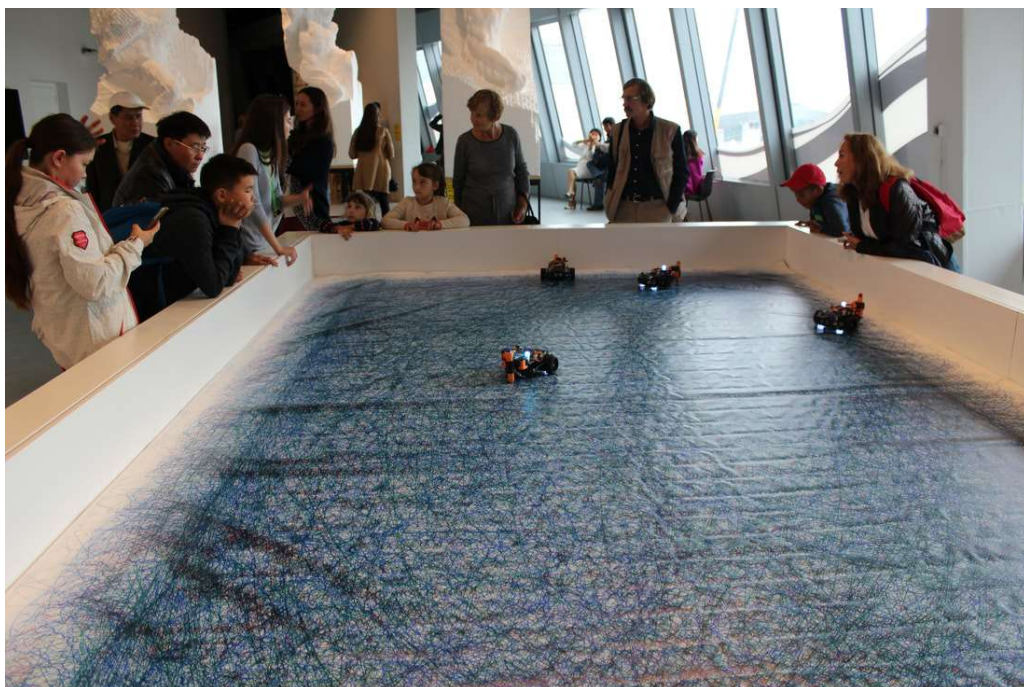
Iran połączył nową technologię z tradycjami ilustratorskimi by zaprezentować swoją kulturę muzyczną



Azerbejdżan stworzył deszcz w kolorach flagi narodowej

Jedną z najciekawszych wystaw towarzyszących Expo była tymczasowa filia galerii Garage z Moskwy,

prezentująca wykorzystanie nowych technologii dla twórczości artystycznej. Oczywiście sztuka współczesna to temat rzeka i nie będziemy się teraz rozwodzić nad tym, że prawdziwy artysta to Leonardo da Vinci, a nie jakiś robotyk. Galeria prezentowała swe eksponaty/instalacje z dystansem, którego chwilami brakowało w pawilonach narodowych.



Samochodziki zaopatrzone w tusz kreśliły na sporej powierzchni tysiące linii



A oto kamery rejestrujące obraz i przetwarzające go tak, by mechaniczne dłonie mogły go nakreślić na papierze.



Jenot i Aligator na podejrzanym monitorze

Spędziliśmy około czterech godzin na terenie wystawy i w tym czasie nie zdążyliśmy zobaczyć wszystkich ekspozycji. Do wielu pawilonów - w tym do centralnego Nur Alem - ustawily się kolejki, przy których ustawiono tabliczki gloszące "Czas oczekiwania na wejście: powyżej 2 godzin". Chcieliśmy je obejrzeć, ale jednak nasza cierpliwość ma swoje granice. W przypadku Gwiazdy Śmierci można powiedzieć, że to dobrze, iż zdecydowaliśmy się nie czekać na wejście - dwa miesiące później odwiedziliśmy ją bez kolejki.



Pawilon Nur Alem

Powyższy opis dotyczy tego, co zobaczyliśmy i jak nam się podobało. Nie daje on jednak pełnego obrazu Expo 2017, bo poziomy podniety towarzyszące organizacji w Polsce Euro 2012 błędną przy tym, w jakie nastroje popadła ludność w Astanie, gdy ich kraj obdarowano tak rewelacyjnym wydarzeniem. Nie było nam dane być tutaj, gdy cała sprawa się rozkręcała, ale i we wrześniu 2017 spokojnie nie było. Jeszcze nie dojechaliśmy z lotniska do naszego mieszkania, a już rozmawialiśmy o tym, że mają Expo. Pierwsze dni w szkole upłynęły nam na pytaniach, czy już widzieliśmy Expo i kiedy w końcu zobaczymy. Wielu uczniów zamiast na popołudniowe zajęcia dodatkowe biegło oglądać wiadomą wystawę. Dzięki odwiedzeniu jej, do dzisiaj mamy temat do rozmowy z ludnością lokalną.

W tym wszystkim chyba mało kto zauważył, że motywem przewodnim były odnawialne źródła energii. Najważniejsze było to, że Kazachstan ma najlepszy pawilon. Już to, że cała impreza kosztowała pięć miliardów dolarów mniej się tu przebiło do powszechnej świadomości.

Chyba nie do końca też zrozumiano, że jeżeli jakiś biznesmen ma zakochać się w stolicy i postanowić zainwestować swojego dolara, rubla, jena lub kuaia, to najpierw musi tu w ogóle przyjechać. Nie znam nikogo, kto pojechałby na drugi koniec świata oglądać Expo. Kazachowie też zbyt wielu takich osób nie poznali. Obawiam się, że przymuszeni do kupna biletów nauczyciele mogą mieć mało aktywów gotowych do inwestowania. Oficjalna liczba gości to ponad 3,860,000 ludzi. Prawdziwej pewnie nigdy nie poznamy. Nie powstała żadna aplikacja na telefony, więc niektórzy skarżyli się, że nie mogą niczego odnaleźć. Artykuł opisujący fiasko Expo został w Kazachstanie zablokowany, a autorowi zarzucono, że nigdy tu nie był. Gdy pokazał paszport, że owszem, był, to powiedziano, że to była taka emocjonalna reakcja i że nieważne.

Zamknięciu wystawy towarzyszył wielki pokaz sztucznych ogni. Dość ciekawe, że hasła energii odnawialnych powiązano ze strzelaniem w niebo kilogramami fajerwerków, zadymieniem terenów wokół wystawy i włączeniem alarmów we wszystkich możliwych samochodach. Do dzisiaj wszyscy, którzy coś sobie na Expo kupili, obnoszą się z tym. A to torba, a to kubek do kawy, a to jakaś przypinka. Najsmutniejsze jest to, że myślą, że ich kraj odniósł wielki sukces i że wszyscy wiedzą, że Kazachstan to zrobił takie Expo, że na lata pokazali światu, kto jest najlepszy, a ludzkość leje krokodyle łzy z żalu, że nie są tak wspaniali. A przynajmniej taka jest oficjalna linia, którą większość moich współpracowników podziela. Mają w tym wszystkim jeden powód do radości: Kazachstan ubiegał się też o organizację zimowych igrzysk olimpijskich 2022. Przegrali nieznacznie z Pekinem. Expo kosztowało zapewne około 5 miliardów dolarów. Nawet małe igrzyska olimpijskie mają budżety kilkunastu miliardów, a przy tym jak tu kradną, to samym torem saneczkarskim przyćmiliby całość budżetu Soczi 2014.

W kilka miesięcy po Expo kompleks straszy pustkami. Nie siedzimy tam ciągle, ale co jakiś czas przechodzimy. Wtedy widzimy, że do gwiazdy śmierci czasem prowadzą wycieczki wojskowych i pielgrzymki szkolne, indywidualnych zwiedzających jak na lekarstwo. Wieczorami z naszego balkonu możemy podziwiać świecącą gwiazdę śmierci, która wyświetla różne hasła, obrazki, a nawet życzenia urodzinowe dla pana prezydenta. Przestrzeń biurowa stoi raczej pusta, ostatnio likwidowano też sklep z pamiątkami.

Co pokazuje ostateczną klęskę inicjatywy - zamknięto nawet darmową, ogrzewaną toaletę publiczną!

Dla chętnych i ciekawskich garść artykułów z których korzystaliśmy przy pisaniu:

- Wizualizacje projektów Expo pochodzą stąd: <https://www.arch2o.com/world-expo-2017-competition/>

Źródła informacji na temat Expo:

- https://en.tengrinews.kz/politics_sub/Nazarbayev-criticises-EXPO-2017-preparations-261226/ - Nazarbayev criticises EXPO-2017 preparations
- <https://thediplomat.com/2015/07/expo-in-kazakhstan-nepotism-and-corruption-unveiled/> - EXPO in Kazakhstan: Nepotism and Corruption Revealed
- <https://thediplomat.com/2015/06/expo-in-kazakhstan-becomes-corruption-show/> - EXPO in Kazakhstan Becomes Corruption Show
- <http://foreignpolicy.com/2017/06/15/kazakhstan-spent-5-billion-on-a-death-star-and-it-doesnt-even-shoot-lasers/> - Kazakhstan Spent \$5 Billion on a Death Star and It Doesn't Even Shoot Lasers
- <https://astanatimes.com/2017/08/expo-2017-receives-2-5-million-visitors-boosts-national-economy-executive-says/> - EXPO 2017 receives 2.5 million visitors, boosts national economy, executive says
- <https://thepeninsulaqatar.com/article/20/06/2017/US-news-site-blocked-in-Kazakhstan-after-stinging-expo-review> - US news site blocked in Kazakhstan after stinging expo review
- <http://eurasianews.info/en/important/kazakhstan-state-workers-made-to-buy-expo-2017-tickets.html> - Kazakhstan: State Workers Made to Buy Expo-2017 Tickets
- <https://www.nur.kz/1451023-uchitelya-iz-vko-pozhalovalis-chto-ikh-zastavlyajut-pokupat-bilety-na-ekspo-2017> - Учителя из ВКО пожаловались, что их заставляют покупать билеты на ЭКСПО-2017
- https://bnews.kz/en/news/obshchestvo/building_under_construction_in_the_expo_2017_territory_in_astana_failed_video - Building

under construction in the EXPO 2017 territory in Astana collapsed

- http://www.inform.kz/en/one-of-expo-2017-constructions-collapsed-updated_a2970201 - One of EXPO 2017 constructions collapsed
- <https://www.timesca.com/index.php/news/26-opinion-head/17380-astana-expo-2017-a-race-against-time> - Astana Expo-2017: a race against time
- <https://www.rferl.org/a/kazakhstan-economic-crisis/27125331.html> - Kazakhstan: Economic Crisis, State Companies, And The Nation's Image
- <https://link.springer.com/article/10.1057/s41254-017-0074-6> - Soft power's next steppe: National Projection at the Astana EXPO 2017

DichloroDiphenylTrichloroethane - edycja kazachska

Kilka tygodni temu spytałem trochę przekornie o jakieś ciekawe kazachskie zespoły - no bo jak to słuchać ruskich muzyków będąc w Kazachstanie?! Tu przecież musi być na tony sceny lokalnej! Pytałem więc upierdliwie o jakiegokolwiek zespoły, choćby folkowe, chociaż najchętniej rockowe, a może i punkowe, bo naiwnie założyłem, że jakaś alternatywa tu musi istnieć. Do dzisiaj odpowiedzi nie otrzymałem. Kazachstańczykom (Kazachom?) chyba jest obojętne, co leci - czy popsa, czy cokolwiek z hitów światowej muzyki rozrywkowej. Chwilę później odkryłem, że i z muzyką rosyjską za bardzo się nie znają, co już poważnie mnie zdziwiło. Okazję do tego miałem z powodu wielkiego wydarzenia koncertowego, które trafiło się Astanie.

Jeżeli pójdziesz na koncert Nine Inch Nails, możesz potem o nim opowiadać latami, ludzie będą pytali o to, jaka tam była setlista i czy Finck jebnął gitarą.

Jeżeli wybierzesz się na Tori Amos, to nawet w cztery lata po tym wydarzeniu znajdziesz ludzi zainteresowanych twoimi opowieściami o tym, jak ustawiła pianino.

Jeżeli pójdziesz na nikomu nieznany zespół grindcore z Izraela, który zagra czterdziestominutowy koncert, to i tak kogoś ta opowieść zainteresuje.

Jeżeli pójdziesz na legendę rosyjskiego rocka, która regularnie wyprzedaje największy stadion w Moskwie, a i w innych miastach świata nie gra do pustych sal, to nikt nawet kurtuazyjnie nie zapyta jak tam było.

Ludzie często mówią, że to straszne, że popkultura jest w barwach amerykańskiej flagi, czasem brytyjskiej, może niemieckiej i od wielkiego święta na chwilę jakiejs Belgii albo Szwecji, a to i tak będzie po angielsku. Chyba jedyną rosyjską kapelą, która za mojego życia przebiła się w Polsce, było t.A.T.u. Od dzikiej biedy Leningradu parę osób słucha. Jeżeli dołożymy Ukrainę, to powiedzmy, że Okean Elzy i 5'nizza . Na tym koniec sukcesów. Niestety. Wspominam o tym, bo w ciągu ostatniego roku próbowałem paru osobom w kraju sprzedać DDT. Łatwiej byłoby mi sprzedać pawia albo złamany ogon jenota. No cóż, Polska wychodzi z założenia, że rosyjska kultura nie jest nam przesadnie potrzebna, bo przez parę lat było jej więcej niż ktokolwiek chciał. Jednak w życiu bym się nie spodziewał, że i w Kazachstanie bardzo mało osób słyszało o DDT, co jest o tyle dziwne, że np. Kino kojarzą wszyscy, nawet niektórzy dziesięciolatkowie, a koncerty ku pamięci Wiktora Coja odbywają się tu we większych miastach dość regularnie. Nikt z moich współpracowników nigdy o DDT nie słyszał, na koncert towarzysko też nie chciał iść, co potwierdza moje przypuszczenia o horyzontach ludności lokalnej. 'Jak to jest rosyjska muzyka, to nie dziwne, że nie znam' - usłyszałem. Przez dobre kilka lat kariery DDT byliście w jednym kraju, a i dzisiaj jakoś daleko od Rosji nie jesteście, ale mało mnie tu już dziwi.

Koncertów w Astanie przesadnie wielu nie ma, więc gdy w styczniu odkryłem, że ma grać DDT, to odleciałem ze szczęścia. Początkowo obawiałem się, że będziemy mieli przyjemność przejechać się na ten koncert do Karagandy, bo najpierw ogłoszono występ tamże, 6 marca. Szczęśliwie, kilka dni później dołożono stolicę imperium, a co jeszcze lepsze, w niedzielę - 4 marca. Tym samym Kazachstanowi udało się przebić pod względem oferty kulturalnej Chin - tam przez 2,5 roku życia nie udało nam się pójść na żaden koncert, a w Kazachstanie już w siódmym miesiącu życia mogliśmy wybrać się na coś nas naprawdę interesującego!

ТИКЕТОН
Онлайн-покупка билетов

DDT в Астане



7591319686942214



Дата и время: 4 марта в 20:00
Место проведения: Дворец спорта «Казахстан», г. Астана, улица Кажымукан, 7
Тип билета: Ледовый стадион, Танцпол, Обычные
Стоимость билета: 8 000 тенге

ВНИМАНИЕ! Билеты необходимо распечатать.

Билеты не обмениваются на кассе, их необходимо предъявить контролёру на входе.

Не допускайте копирования ваших билетов!
В случае обнаружения дубликатов при проверке штрихкода, билеты будут аннулированы.

О jaki piękny bilet, prawdziwy unikat, ozdoba każdej kolekcji!

przed wejściem. Szczęśliwie, ochrona od drugiego wejścia była na tyle humanitarna, że nie robiła wielkiego problemu ludziom, którzy wchodzili ogrzać się. Ponieważ centrum sportu działało normalnie, co jakiś czas przemykał ktoś w kąpielówkach lub dresie. Koło 19:30 czekający na otwarcie drugiego wejścia solidnie utrudniali ludziom wejście na trybuny, ale co było robić? Zamarznąć? Gdy w końcu udało nam się wejść, okazało się, że można było spokojnie iść przez trybuny, a nawet ilekroć szło się do toalety, to nie miało się wyboru i trzeba było przez nie przejść. O godzinie 20 z punktu widzenia płyty wyglądało to biednie, obiekt był pełen w może 50%.

Mając w pamięci występ DDT w marcu 2017 w Moskwie, tym razem kupiłem lepsze bilety, na tancewalnyj parter. Fortuna to nie była, 8000 tenge, czyli jakieś 80 PLN. Wiedziałem, że o zespół bać się nie muszę, ale bardzo obawiałem się kazachskiej organizacji wszystkiego. W Rosji imprezy masowe organizowane są od linijki, z zaangażowaniem policji, a czasem i wojska. W Kazachstanie króluje lipa i prowizorka.

Pałac sportu w Astanie parę lat już ma, trochę się sypie, ale zanim mogliśmy to zobaczyć, postaliśmy sobie dobrą godzinę do wejścia. Koncert miał zacząć się o 20, a wpuszczanie na płytę rozpoczęło już o 19:40. Wcześniej można było bez problemu wejść na trybuny, ale posiadacze biletów na tancewalnyj parter i fan zone (czyli golden circle) mogli sobie postać w jakichś -14



Trzeba było zostać w domu, kupić kilka piw i posłuchać sobie z telefonu...

Na płycie było zimno, a że nie było szatni*, to ludzie stali w kurtkach, futrach i futrzanych czapach. Takiej publiki jeszcze na okółrockowym koncercie pod dachem nie widziałem.



"Nie, to chyba odmrożenia drugiego, nie trzeciego stopnia. Owiń rękę kołnierzem z jenota, to pomoże!"

O 20:10 wyszedł Szewczuk i powiedział, że wie, że są ludzie pod klubem, ale skoro my już tu weszliśmy, to oni zaczynają dla nas grać, bo jesteśmy pierwsi i jakoś się dało. Ruszyła maszyna.



DDT dalej gra trasę История Звука, którą mieliśmy przyjemność oglądać niemal równo co do dnia rok wcześniej w Moskwie (5 marca 2017 roku). История Звука czyli objazdówka z największymi hitami z 37 (właściwie już 38) letniej kariery zespołu. W jakimś sensie wolałbym coś innego, z drugiej strony trudno narzekać, to jest super setlista i świetne aranżacje wizualne. Do tego w Kazachstanie koncertu wcześniej nie grali, ale nam trudno nie porównywać tego wieczoru z moskiewskim. Setlista uległa zmianom właściwie kosmetycznym, za to jednej bardzo dla mnie smutnej: wyleciał z niej Pogrom. Całość uległa pewnemu skróceniu, w sumie o jakieś 20 minut. Odpadła też wizualka ze Stalinem. Z jednej strony szkoda, z drugiej jakoś za pieniądze jest rewelacyjna: ponad dwie godziny koncertu, gdzie zespół solidnie gra, ma wszystko przemyślane i zaaranżowane w najmniejszym drobiazgu. Pewne różnice jednak były, Szewczuk lubi poprzemawiać do publiczności, więc korzystał z realiów stolicy Kazachstanu. Już в Рожденный в СССР, zamiast Здравствуй, древняя Русь, było Zdrastwuj Kazachstan. Rzucił kilka słów w tutejszym języku - witamy, dziękuję - co wywołało radość zebranych. Wspomniał ZSRR - "czas, gdy co drugi chciał być kosmonautą, a portwajn kosztował dokładnie 1,20 rubla!". Poza tym powiedział, że był kilka lat temu w Astanie i jak to miasto się niesamowicie zmieniło:

- *Ile wyście pobudowali! Budujcie tak dalej, aż prześcigniecie Moskwę* - tu chyba parę osób zdało sobie sprawę, że robi sobie jaja i chyba trochę napierdala się ze skopiowania Teatru Balszoi i jednej z cór Stalina (ciekawe, czy widział paryską piramidę i muzeum pierwszego prezydenta). Podobnie szydził, gdy chwilę po 22 powiedział, że o tej godzinie to już nam metro nie będzie jeździło. Poza tym mówił o tym, że nic się nie zmienia i że takie Я получил эту роль wydane w 1988 roku (o radościach związanych z powołaniem do wojska) dzisiaj, niestety, pozostaje aktualne. Kiedy indziej rzucił, że każdy ma się za najmądrzejszego na świecie i dlatego niczego nie udaje się poprawić. Przed Любовь не пропала zachęcił samotnych ludzi do znalezienia sobie partnera-partnerki: "może będą z tego dzieci, potem pojedziecie do Petersburga i zanieście dziadkowi Jurze kwiatki na mogiłkę, a dzieciom powiecie, że poznaliście się na koncercie DDT". Mówił to już do solidnie wyludnionej sali - gdy zespół zszedł przed pierwszymi bisami, dość dużo osób uznało, że to koniec i sobie poszło. A na sam finał została chyba połowa stanu z 21 - bo wiele osób się spóźniło, a inni zaczęli wychodzić przed końcem. Gdy koło 22:30 wybrzmiało 'Это всё', było dość pusto. Wręczono zespołowi trochę kwiatów, chyba raczej dla oferującej dodatkowy wokół Alisy, nie Jury. Jeszcze wsparliśmy solidnym tenge zespół kupując koszulki i płyty. Przy zachodnich cenach, to istne kopiejkki, płyty po 3-4K KZT (30-40 PLN), koszulki po 6000KZT. Ciekawostka: zeszłoroczne były robione w Rosji. Tegoroczne w Uzbekistanie.

Zespół, czyli tak naprawdę Jura, jest w super formie. Odniosłem wrażenie, że nieco przytył od zeszłego roku. Image sceniczny go przesadnie nie frapuje na starość, wychodzi sobie w rozwalonym sweterku, czasem coś poskacze po scenie, ale głównie dzierży wiosło i śpiewa. Śpiewa naprawdę dobrze, no nie Cohen, ale wszystko brzmi jak powinno, nie ścina niczego. W pewnym momencie spytał, czy wszystko dobrze brzmi, bo dla nich jakoś koncertu jest bardzo ważna i że chyba było dobrze? Radosny wrzask potwierdził, że tak. Pewnie ktoś ze słuchem



Zestaw wiosenny fanata DDT.

absolutnym nie skakałby pod sufit stadionu hokejowego, ale na możliwości mojej głuchoty, było dobrze.

Jeżeli chodzi o publikę, Kazachowie ubierają się raczej konserwatywnie, czytaj: nudno, banalnie i w to, co akurat było tanio w sklepie. Miło było stanąć na koncercie, gdzie tłum wystroił się nieco bardziej kolorowo, że dwie osoby nawet miały kurtki jeansowe i naszywki. Chwilę to potrwało, ale gdy się ludzie rozkręcili, to ruszało się to wszystko całkiem żywo. Chciałbym, żeby było tu więcej koncertów, jakoś lepiej się myśli o ludziach, gdy się wspólnie pokrzyczy, że Metel czy Osień. W temacie okrzyków Osień, królem publiki został pijany pan, który z krzesełek dość regularnie krzyczał: *Juraaaaa!!! Juraaaaaaaa!!! OSIEŃ!!!*. Nawet po tym jak zagrali *В последнюю осень*, pan się nie mógł uspokoić, ale ostatecznie zniknął przed końcem koncertu, więc chyba chodziło mu o tę *Poslednią Osień*, a nie o np. *Что такое осень*, bo tego nie grali.



Uwielbiam oglądać koncert przez pryzmat ekranów telefonów komórkowych!

Po zeszłorocznym koncercie trochę DDT posłuchałem, więc już mogę mieć trochę dłuższą listę zali co do setlisty. Nie ma Czarnego Psa, nie ma Martwego Miasta, Larioka, Czetyre Akna też się nie łapią, oczywiście szkoda, chociaż nie mam żadnego kandydata do wywalenia, nawet solowe zaśpiewy Alisy i basowe solo pasują do tego wszystkiego. Jura zapowiedział, że w kwietniu wydadzą nową płytę, więc może pojedą na jakieś tournee z nią? Ale nawet jeżeli, do 18 sierpnia grają *Istorię Zwuka*. Przyznam, że nie kojarzę innego zespołu, który grałby takie trasy - Karaganda, a potem Berlin i Dusseldorf, ale też festiwal Czarnoziem w Tambowie.

Pierwsze spotkanie z zespołem nas powaliło, bo mieliśmy zerowe oczekiwania. Drugie jedynie zachwyciło, bo wiedzieliśmy na co idziemy. Że nie będzie to jakaś emerytowana rosyjska bieda, która gra z desperacji o rubla lub tenge, tylko na kapelę-Jurę, który doskonale wie czego chce, po co wychodzi na scenę i co chce ludziom sprzedać. A szczęśliwie, na składzie mieli jakąś, pasję i solidnych rozmiarów dorobek.

*po koncercie okazało się, że szatnia była. Koło wejścia na trybuny. Ludzie z płyty nie mieli do niej

dostępu. Była tak dobrze ukryta, że chyba nikt nie skorzystał z jej usług.

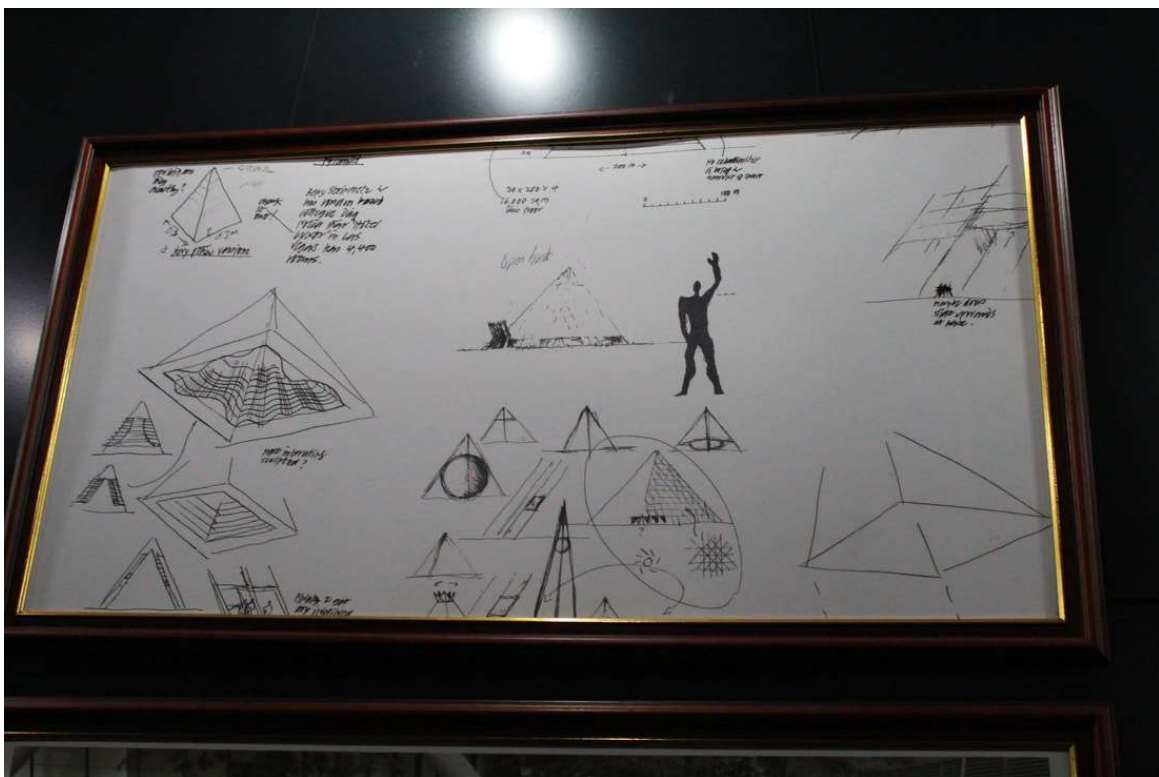
Piramidy na niby



Nie tylko na pustyni wyrastają piramidy!

Astana bywa polecana jako destynacja dla miłośników architektury współczesnej. Faktem jest, iż trudno znaleźć w stolicy Kazachstanu przykłady architektury wcześniejszych epok. No chyba, że ktoś ma ochotę oglądać perły budownictwa mieszkalnego z czasów Breżniewa - wówczas polecamy spacerować z kaskiem ochronnym i w gumiakach, a wcześniej wykupić ubezpieczenie od spadających cegieł. Astana została stolicą w 1997 roku (wówczas nosiła nazwę Akmoła), tak więc wszystkie znaczące obiekty skonstruowano jeszcze później. Wiele z nich posiada dość ekscentryczne kształty, bowiem ich wizje narodziły się w wyobraźni słońca narodu - prezydenta Nazarbajewa.

Jednym z symboli stolicy jest położona na prawym brzegu rzeki Iszym piramida zwana Pałacem Pokoju i Pojednania. Ekscentryczną budowlę zaprojektowało biuro Foster and Partners z Wielkiej Brytanii, dowodzone przez Normana Fostera, a prace budowlane poprowadziła w latach 2004-2006 turecka firma Sembol Construction (nie ma to jak wspierać krajowe biznesy... Z drugiej strony lokalni słyną z jakości, tylko nie w tę stronę, którą by się chciało). Koszt przedsięwzięcia wyniósł 8,74 miliarda tenge, czyli około 58 milionów dolarów (dla porównania - mniej więcej trzy razy wyższy wieżowiec Rondo 1 w Warszawie kosztował 200 milionów euro, a wrocławski Sky Tower - 400 milionów dolarów).



Wstępne szkice koncepcyjne Piramidy



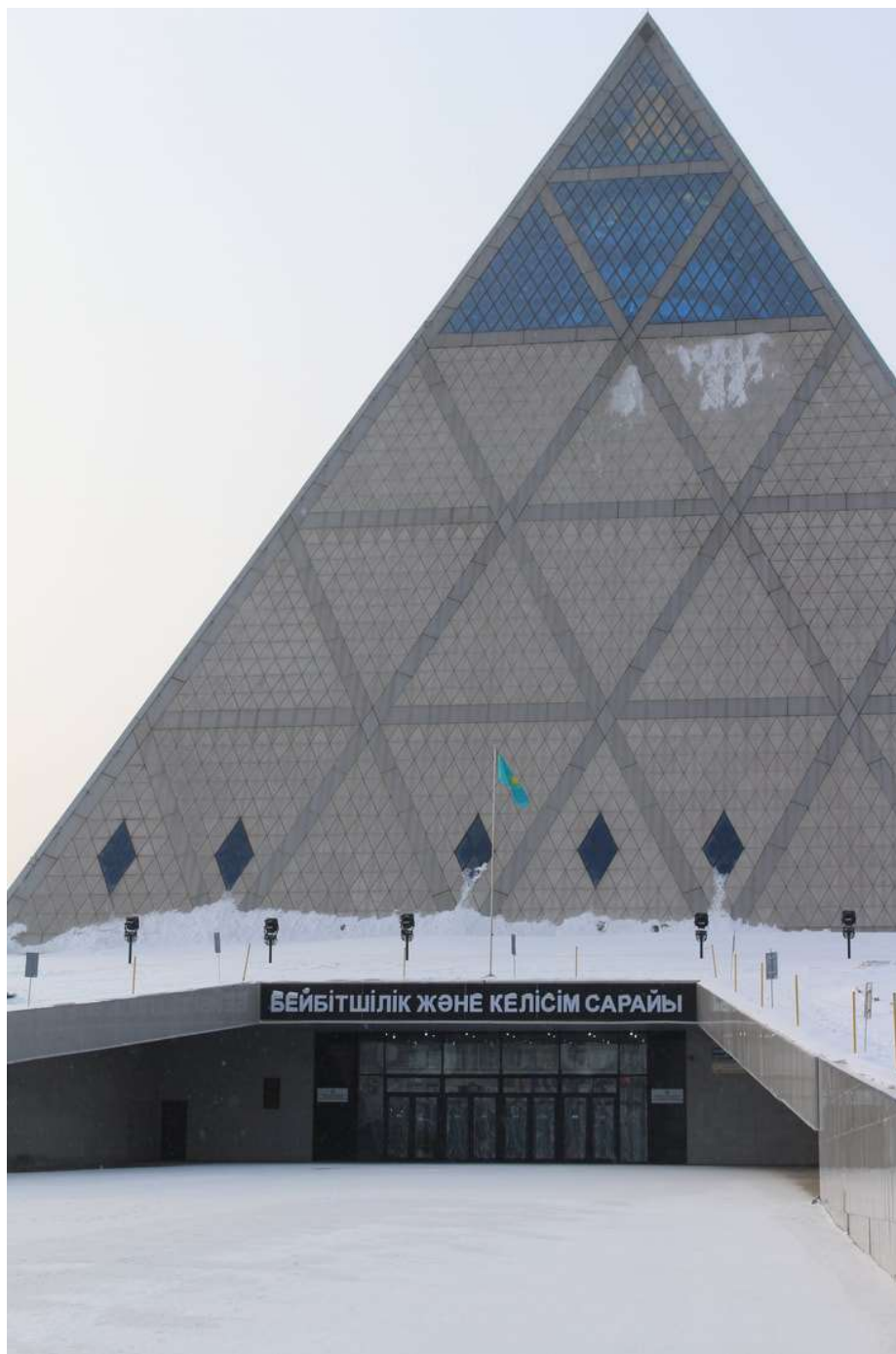
Tak prezentował się Pałac Pokoju i Pojednania pewnego wrześniowego dnia 2017 roku



A tak prezentował się w styczniu 2018 roku!



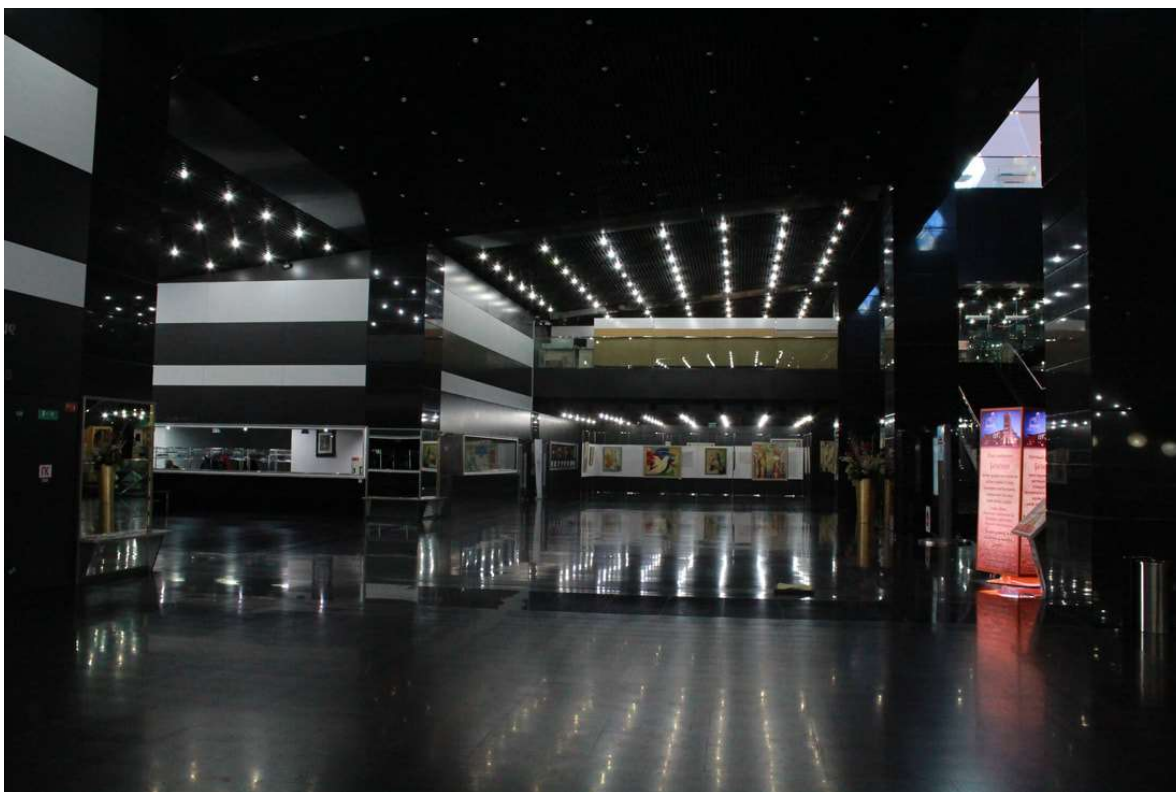
Redaktor Jenot w poszukiwaniu zaginionej cywilizacji Turbokazachów



Wejście do Piramidy

Co kryje w sobie wnętrze kazachskiej piramidy? Przede wszystkim trzy najważniejsze pomieszczenia, czyli:

- całkiem nieźle zaprojektowane audytorium ukryte w podstawie bryły;
- wyłożoną marmurem salę atrium pośrodku budowli;
- salę kongresową z okrągłym stołem, umieszczoną blisko szczytu zdobionego witrażem ze 130 gołębiami (autorstwa brytyjskiego artysty Briana Clarke)



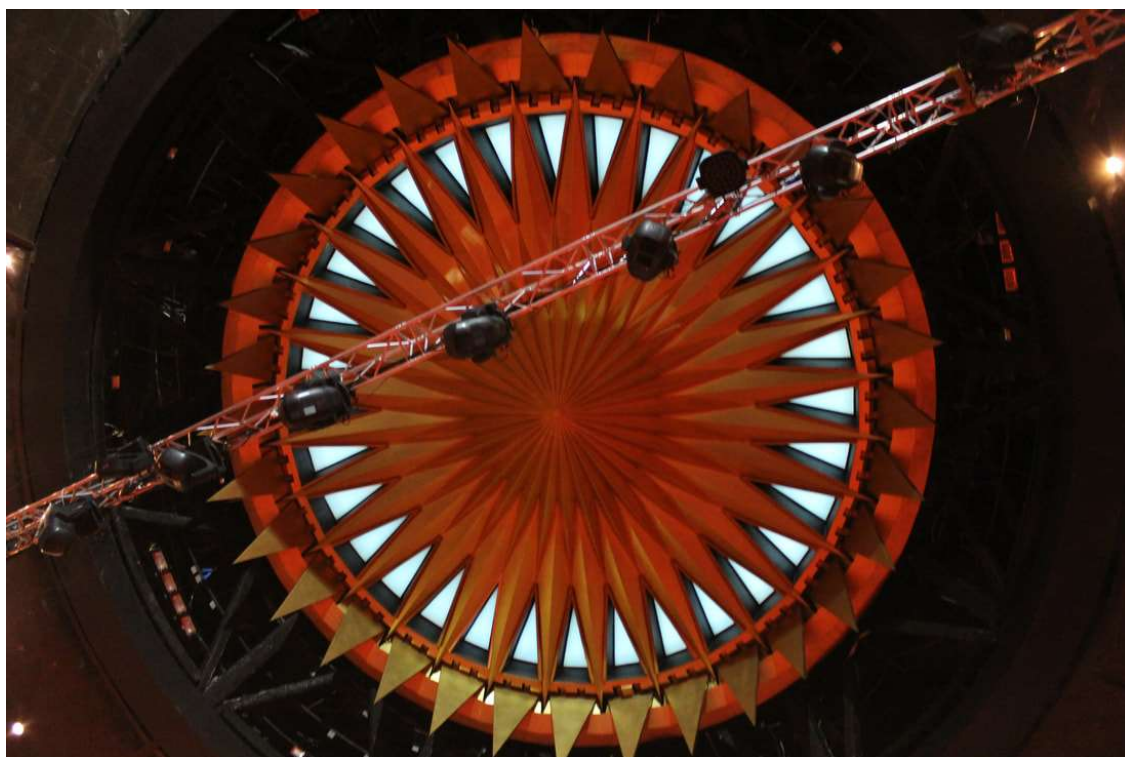
Hall Piramidy. Po lewej szatnia, na wprost wystawa czasowa, po prawej schody.



Piramidalna kawiarnia, niestety zamknięta



Nastrojowe audytorium, rozplanowane dużo lepiej niż opera w Astanie



Sufit audytorium



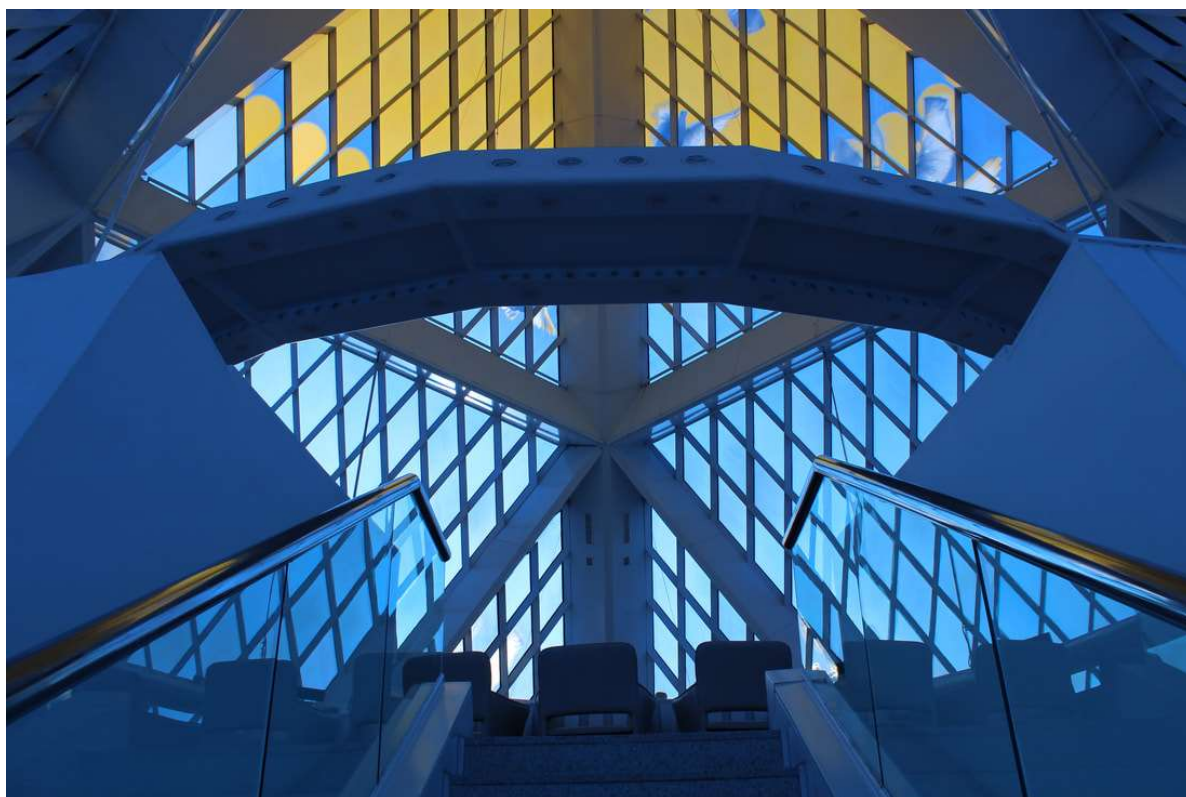
Sala atrium, w której zbyt wiele się nie dzieło



Schody i platformy prowadzące na szczyt Piramidy



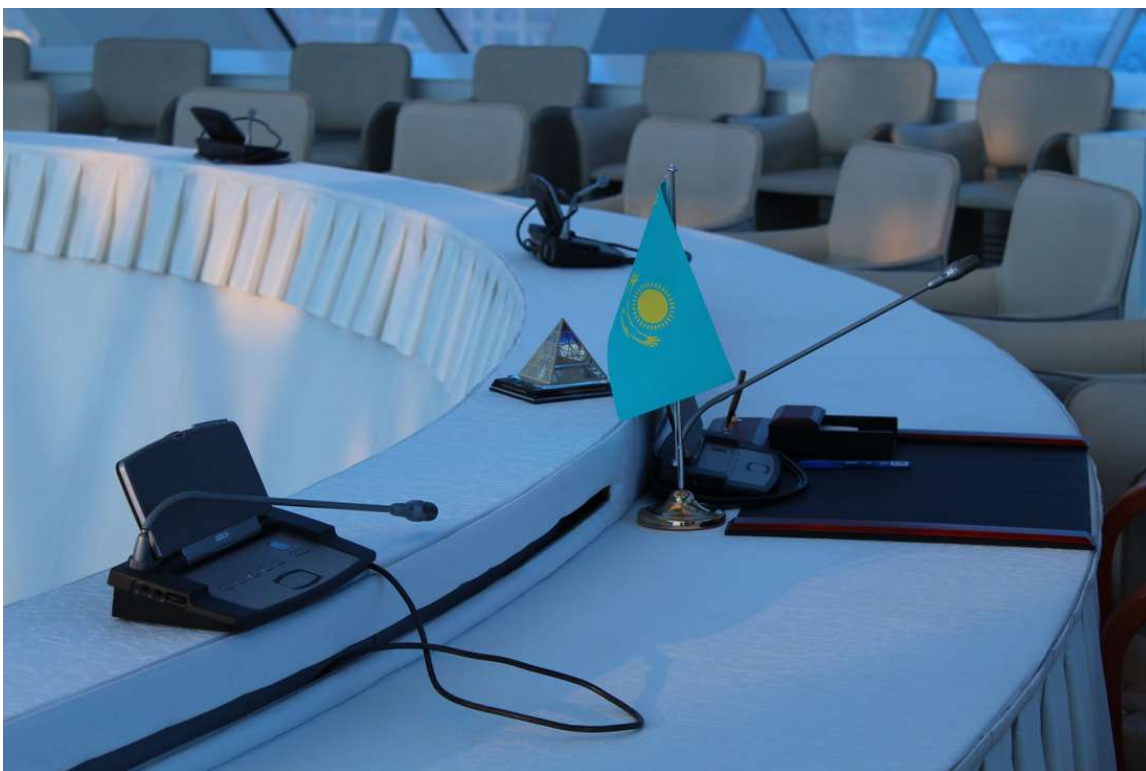
Coraz bliżej, coraz bliżej!



Już prawie szczyt!!



Ściany zdobione zielenią - prawdopodobnie ze względu na fatalny klimat kazachskich stepów mieszkańcy mają dość duże zamiłowanie do sadzenia roślin gdzie tylko się da



W końcu! Stanowisko Prezydenta Kazachstanu!

Poza tym w podziemiu mieści się też wystawa etnograficzna, przedstawiająca kostiumy wszystkich mniejszości narodowych Kazachstanu (tak, nasi też tam byli!) i pomniejsze wystawy czasowe. We wnętrzu znajdują się też oczywiście windy - w tym jedna oszklona, której używa tylko i wyłącznie prezydent Nazarbajew. Pozostałe rozmieszczono w ścianach bocznych piramidy, tak więc poruszają się one po skosach zamiast w pionie.



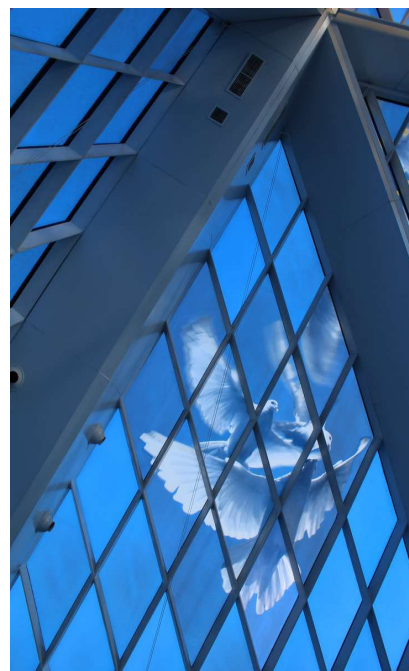
W Kazachstanie mieszkają też oczywiście Żydzi, ale jakoś nie spotkał się nikogo odzianego w podobne stroje

Ludzkość od tysięcy lat zadaje sobie pytanie, w jakim celu powstały piramidy egipskie.

Mieszkańcy Kazachstanu mogą sobie zadawać bardzo podobne pytanie od 12 lat.

Oficjalnie budowla powstała aby stać się siedzibą Kongresu Liderów Religii Świata - odbywają się one co 3 lata przy wspomnianym okrągłym stole.

Ich ranga musi być niesamowita, biorąc pod uwagę, że oficjalna strona kongresu zapomniała aktualizować info o tych, które odbyły się w 2012 i 2015 roku. Wydarzenie ma oczywiście promować



I kilka ze 130 gołębi symbolizujących wszystkie narody Kazachstanu.

porozumienie pomiędzy religiami, pokój, tolerancję i walkę z ekstremizmem religijnym.



Tak się bawiła szlachta w 2009 roku (źródło: www.religions-congress.org)

A co poza tym? No, dalej kręcą się eventy światowego formatu. Otwarcie sali operowej uświetniła hiszpańska śpiewaczka Montserrat Caballe. Miała wówczas 73 lata. W 2011 i 2013 roku odbył się w piramidzie Astański Festiwal Filmów Akcji. W 2018 roku z okazji walentynek można było pójść na warsztaty malarskie dla par. Poza tym odbyły się tam m.in.: międzynarodowa naukowa konferencja na temat wkładu prezydenta Nazarbajewa w światowe bezpieczeństwo (pewnie potrwała z 15 minut...), jołka (czyli postsowieckie jasełka), trochę przedstawień teatralnych i baletowych, w tym Fedra i Medea, parę wystaw kazachskich artystów, koncert z okazji 25-lecia nawiązania kontaktów dyplomatycznych z Hiszpanią, Dzień Księgowego...



My załapałiśmy się na wystawę czasową z tym intrygującym eksponatem

Czy Pałac Pokoju i Pojednania to miejsce warte odwiedzenia? Można się o to spierać - z jednej strony, na tle innych atrakcji Astany, jest to dość ciekawe miejsce. Wstęp kosztuje 600 tenge (ok. 6 zł), gratis dostaje się oprowadzanie z przewodnikiem - dostępne wersje językowe to kazachski, rosyjski i angielski (teoretycznie, bo gdy pani się dowiedziała, że mówimy po rosyjsku, to z ulgą oprowadziła nas w języku Dostojewskiego). Zwiedzanie trwa około 20-30 minut. Tłumów raczej nie ma. Pewnego sobotniego popołudnia oprócz nas była jedna osoba. Spędziliśmy w piramidzie jakąś godzinę i nikt więcej nie przyszedł. Obsługi było z pięć osób, w tym dwie w absolutnie pustej szatni.

Z drugiej strony - jeżeli ktoś spodziewa się niesamowitych przeżyć i zdobycia kilogramów nowej wiedzy, to raczej się zawiedzie wizytą w Pałacu.

Piramida Pokoju i Pojednania usytuowana została w miejscu strategicznym - na wschodnim krańcu osi biegnącej przez centrum miasta, wzdłuż której znajdują się budowle o znaczeniu symbolicznym: Pałac Prezydenta, Wieża Baiterek oraz centrum handlowe Khan Shatyr. Umieszczenie piramidy po prawej stronie rzeki miało zapewne ożywić kolejną część miasta i zachęcić deweloperów do stawiania w tamtej okolicy nowych osiedli mieszkaniowych. Tak też się w pewnym sensie stało - wyrosło tam mnóstwo raczej luksusowych apartamentowców, którym nadano nazwy kojarzące się z europejskim stylem życia. Powstało też Muzeum Narodowe o imponującej bryle, największy w Azji Środkowej meczet, Hazret Sultan, i kolejne centra kongresowe. Problem w tym, że nie pojawiło się zbyt wiele obiektów pomagających w życiu codziennym - jedyny większy sklep w tamtej okolicy to zazwyczaj pusty Interfoods stawiający na raczej drogie importowane produkty, z lokali jest drogi craft bar, a ze szkół - prywatna brytyjska placówka edukacyjna Haileybury (wybitnie droga). W związku z tym okolice Piramidy zazwyczaj świecą pustkami.



Można zbudować miasto na stepie, ale nie da się usunąć stepu z miasta!

Astana - miasto przyszłości, czyli jaki step, taki futurozizm

Na liście irytujących mnie - jako czasowego zarobkowego imigranta do Kazachstanu - rzeczy jedno z pierwszych miejsc zajmują opowieści o Astanie jako niesamowitym mieście przyszłości. Po dobrze ponad pół roku mieszkania w tym raju jestem gotów na podzielenie się przemyśleniami o stolicy Kazachstanu. Zaczniemy jednak od początku, czyli jak, skąd, gdzie (a raczej dokąd) i kiedy.

Po pierwsze, w swej historii Kazachstan (a raczej chanaty znajdujące się na terenach lokalnych, bo państwowość tutaj to dopiero jako republika Związku Radzieckiego) miał dziewięć stolic.

- Suzak - południe, między Kyzylordą a Szymkientem, XV wiek i potem w XVI
- Sygnak - południe, między Kyzylordą a Szymkientem, zapewne XV-XVII wiek
- Turkestan - XVI i XVII wiek. Turkestan jest między Kyzylordą a Szymkientem.
- Taszkient - obecnie w Uzbekistanie. XVII wiek, utracony na początku XVIII wieku. Południe poza pojęcie współczesnego Kazachstanu.
- Semey - 1917-1920 - północ. Miejsce wygnania wielu osób w czasach cara, które dzięki takiej ludności wyrosło na krynicę mądrości.
- Orenburg - dzisiaj w Rosji, czyli de facto też północ.
- Kyzylorda (Czerwona Stolica, ciekawe kto tak mógł przemianować miasto...). Stolica w latach 1925-1927. Południe.
- Ałmaty - 1929-1998. Oczywiście Ałmaty są na południu.



Centrum stolicy. Zdjęcie to prezentuje dużą część atrakcji miasta - pośrodku widać Baiterek, czyli pomnik lizaka.

Jak widać, ogólnie stolice i życie tych rewirów położone były na południu współczesnego Kazachstanu.



POŁUDNIE!!! NIE PÓŁNOC!!! (z <https://en.wikipedia.org/wiki/Kazakhstan>)

W 1994 podjęto decyzję o przeniesieniu stolicy z Ałmat do ówczesnej Akmoły, a wcześniejszego Celinogrodu/Tselinogrodu. Trochę historii okolicy: syberyjscy kozacy założyli tu fortyfikację obronną w roku 1830 pod nazwą Akmoły. W 1832 nazwę kosmetycznie zmieniono na Akmolinsk. 20 marca 1961 roku Akmolinsk stał się Celinogradem (do dzisiaj nasz bagaż leci do lotniska oznaczonego w systemie IATA TSE). Nazwa miała honorować znaczenie miasta w Kampanii Zagospodarowania Nieużytków - celina znaczy stepowy ugor, więc nazwa Celinograd oznacza stolicę stepowych ugorów. W wolnym przekładzie na ludzki brzmi to 'stolica pizdy świata'.

Cała kampania była pomysłem Chruszczowa, w latach 1954-1960 orano nieużytki na sowieckim dalekim wschodzie (także na Syberii, nie tylko tu. Inna bajka, że wtedy te tereny w pewnym sensie wpadały w kategorię Syberii). Chciano zwiększyć liczbę gruntów ornych na terenie ZSRR, plan zakładał 43 miliony hektarów, ostatecznie osiągnięto 41,8. Znając sowiecką miłość do walenia głupa, to pewnie nawet nie połowę tego. Prace rolnicze wykonywano dłońmi Komsomolców, zaangażowano w to obłądne siły ludzkie i pieniądze. Możliwością zamieszkania w tej pięknej części świata wabiono Ukraińców i Rosjan. Zaskakujące, ale gdy już tu docierali, to nie mieli w czym mieszkać, bo nie nadążano z budownictwem mieszkaniowym.

Niestety, siła robocza okazała się być nieco pośledniej jakości - zaskakujące, gdy angażuje się byłych więźniów, sieroty i biedotę wszelaką, podobnie jak to, że fachowcy tak jakoś dziwnie woleli pracować bliżej cywilizacji. Brakowało sprzętu, a jak już był, to siła robocza nie dawała sobie z nim rady. Próbowano ich szkolić, ale nie do końca to poszło, więc ostatecznie rozpoczęto płacenie doświadczonym rolnikom z POŁUDNIOWEGO Kazachstanu, żeby po ogarnięciu swoich pól na POŁUDNIU kraju przyjeżdżali na te gościnne ziemie i popracowali sobie tutaj. Oczywiście tutejszy klimat, suma opadów i zasolenie gleby były przeciwko rolnictwu. Wiedzieli o tym nomadzi przez stulecia. Ponieważ ZSRR nie wierzył w ekologię, dość szybko doszło do erozji gleb. Plan początkowo był sukcesem i dowodem na wyższość gospodarki socjalistycznej nad niesocjalistyczną (a także ideologii nad zdrowym rozsądkiem), ale w latach 1963-64 przyszła susza i sprawę solidnie szlag trafił. Oczywiście każdy tutejszy niepiśmienny powiedziałby Nikicie Chruszczowowi 'sorry, taki mamy klimat, to se ne da', no ale Kreml wiedział lepiej, a Chruszczow pewnie myślał, że skoro stepy ukraińskie są żyzne, to kazachskie też.



Ku naszej pamięci też takie zrobię. (z
https://upload.wikimedia.org/wikipedia/commons/thumb/f/f7/25th_anniversary_of_conquering_virgin_land._USSR_block._1979.jpg/800px-25th_anniversary_of_conquering_virgin_land._USSR_block._1979.jpg)

Wielu osadników zostało po zakończeniu kampanii, bo nie mieli do czego wracać - jak jesteś sierotą, to twoje opcje dziedziczenia są dość ograniczone, a i byli skazańcy za wiele nie mieli. Po rozpadzie ZSRR jednak i ci ludzie w większości znaleźli jakieś miejsca do powrotu, bo obywatelstwo rosyjskie to może nie kanadyjskie, ale jednak, nie kazachskie. Rosjanie i Ukraińcy wrócili na te swoje banalne ukraińskie i rosyjskie ziemie, gdzie da się coś uprawiać, a i korupcja życia codziennego jakby mniejsza.

Na północy jednym z najstarszych miast jest Pawłodar (założony w 1720 celem wydobywania soli z pobliskiego jeziora). Trochę bardziej położona na południe Karaganda została miastem w 1934 roku, dlatego że wyngiel przywieźli (i była potem wojna!). Po prostu, jest to część świata, w której ludzie nigdy nie żyli w celu innym niż eksploracja jakichś surowców. Bo żyć się nie dało. Nawet sowietci, którzy często wymagali od ludzi rzeczy nieludzkich, wiedzieli dobrze, że są to tereny nie do życia.

Znaczy oczywiście, wujek Stalin szczerze przysyłał tu kontyngent ludzki, w pobliżu Astany leży Malinowka z gułagiem Alżyr, w którym trzymano matki i dzieci wrogów politycznych. Dostojewskiego zesłano do Semey (Semipałatyńska), Sołżenicyna do Ekibastuzu.

Podkreślmy słowo ZESŁANO.

I jeden i drugi wyjechali, gdy tylko mogli. Suma doświadczeń ludzkości z ostatnich paruset lat jest taka, że północ Kazachstanu nie nadaje się do życia. Stalin zsyłał tu ludzi, których chciał wybić. No co kurwa, meteorolog Stalin się nie znał na klimacie ZSRR? To po prostu nie jest miejsce do życia, tylko do śmierci. Ba, poza Astaną w okolicach mieszka więcej wilków niż ludzi. Północ Kazachstanu nękana jest mrozami, śniegiem i wiatrami, które czasami stają się buranami, a wtedy w okolicach wzrasta śmiertelność.

Dlatego stolice chanatów były na południu. Na południu Kazachstanu da się żyć. Nie jest to życie usłane różami, ale ma więcej sensu.

W roku 1994 stało się wiadome, że stolica zostanie przeniesiona z Ałmat do wówczas Akmoły (Celinograd został Akmołą po rozpadzie ZSRR). Akmoła znaczy biały grób. Nazwa pochodzi od skalnej mogiły pradawnego władcy kawałek od miasta, albo od tego, że umiera się tu z zimna. Skłaniamy się do odpowiedzi B. Grobu władcy nie udało nam się zlokalizować, a śmierć z zimna lokalizuje tu każdego i to na kilka miesięcy w roku. Datę ustalono na 10 grudnia 1997 roku. W 1998 nazwę miasta zmieniono na Astanę, czyli 'stolicę' po kazachsku. Zapewne uznano, że trochę chujowo mieć stolicę w 'Białym grobie', a lepiej mieć stolicę w 'Stolicy'. Mniej konfuzji na lokalnym PKPie. Myślę, że ludzie skakali pod sufit, najpierw w 1991 roku mogli sobie wymienić dokumenty, żeby im przepisano Celinograd na Akmołę, a w 1998 Akmołę na Astanę. Do tego na pewno doszły zmiany nazw ulic, więc ubaw mieli pełen. Albo po prostu to olali, bo surowość prawa ZSRR i późniejszych państw powstałych na jego zgliszczach łagodził brak konieczności jego przestrzegania.

Przeniesienie stolicy z Ałmat jakiś tam sens miało. Zazwyczaj mówi się o tym, że w razie wojny Ałmaty są blisko Chin lub Kirgistanu. Trochę to nie ma sensu, bo Astana jest z kolei blisko Rosji, chociaż to przyjaciel, a Chiny to wróg. Ale o czym mówimy, to nie czasy, gdy armie przemieszczały się na konikach, jakiś myśliwiec spokojnie fruwa ponad 2000km/h, więc czy sobie polecą z Chin do Ałmat czy do Astany, to wielkiej różnicy nie robi. Według mojej wiedzy, prawdopodobieństwo wojny



Wielki rybak łowił i w Kazachstanie.

z kimkolwiek w okolicy po 1991 roku było raczej nikłe. Drugi naczelnny argument głosi, że Ałmat się już nie da więcej rozbudować. No cóż, jest to dość gęste miasto, ale wiele miast na świecie jest gęste i w takim Bangkoku czy Londynie nie wszyscy mieszkają w centrum. Ałmaty są bardziej zagrożone trzęsieniami ziemi. Tak, ale ostatnie większe trzęsienie było w 1911 roku, a takie Tokyo sobie stoi mając ten problem cały czas. Słyszałem jeszcze, że stworzenie nowej stolicy miało dać impuls rozwojowy. Na pewno dało, tyle że podobny dałoby na południu kraju.

Z wersji mniej oficjalnych, ale mających więcej sensu: w roku 1990 Sołżenicyn napisał esej 'Rebuilding Russia'. W tymże esej pojawiają się tezy, że po rozpadzie ZSRR Rosjanie powinni stworzyć trzy republiki etnicznie rosyjskie. Być może prezydent przestraszył się, że pewnego dnia coś takiego się wydarzy i z tej okazji postanowił umocować władzę w terenach na których mieszkało bardzo wielu Rosjan. Skłaniałbym się do tej wersji, ale jej od Kazachów nie usłyszycie. W 1989 roku Rosjanie stanowili około 70% mieszkańców obecnej Astany.

Dnia 10 grudnia 1997 roku stolicę relokowano na północ. Miasto miało wówczas trochę ponad 300 tysięcy ludności. Obecnie Astana powoli dobija do miliona mieszkańców a może go przekroczyła. Rosjan jest obecnie zapewne około 40% - wyliczenia oficjalne nie uwzględniają ludzi pracujących tu na nielegalu. Rosjanie do Kazachstanu raczej nie emigrują, ale Uzbegy, Kirgizi i Tadżykowie już tak.

Oczywiście relokacja stolicy dała niesamowity impuls ekonomiczny, wszystkie wskaźniki wystrzeliły pod niebiosa, jak to się lubi dziać, gdy budujemy w całkowitej dziczy. Skoro wartość produkcji podniosła się 90-KROTNIE, a inwestycji 30-krotnie, to znaczy, że tu po prostu niczego nie było i za wiele się nie produkowało.



Gdzieś pomiędzy 1994 a 1998 rokiem. (źródło:

https://history.ceu.edu/sites/history.ceu.hu/files/main_image/event/2357/spss.jpg)

Astana dzieli się na trzy części (Saryarski, Jesilskij i Almatinskij Rajon), z czego żyjąc tutaj myśli się w dwóch kategoriach - prawy i lewy brzeg rzeki Iszym.

Na prawym brzegu, od strony północnej, jest starsza część miasta, jest biedniej, ale też 'normalniej'. Ulice są raczej wąskie, przestrzeń zagospodarowana rozsądnie - sklep, restauracja, jakiś punkt usługowy. Bywa jakaś lokalna patologia, budynki się czasem sypią, błoto, nierzadko spękane chodniki, bieda restauracje. Po prostu, takie postsowieckie miasto średniej rangi.

Za to na lewym brzegu jest nowoczesna architektura i bizantyjski przepych. Ulice mają po kilka pasów szerokości, budynki są ogromne, a dystanse między biznesami znacznie większe. Ten lewy brzeg został zlokalizowany na osuszonych bagnach, na bagnach lubią żyć komary, więc w lecie można sobie je potłuc. Z powodu podmokłych gruntów nie można tu zbudować metra, więc budują tramwaj w stylu Skytrain z Bangkoku, ale to jeszcze trochę wody w Iszym upłynie - miał być gotów na Expo, ale nie oczekujemy terminowości w Azji Środkowej. Podłoże sprawia, że budynki siadają, wszędzie widzi się popękane ściany. Jakość budownictwa też nie powala - w końcu co tam ludzie zachodu wiedzą, w -20 stopniach można lać beton - co dodatkowo sprawia, że ma się poczucie prowizorki, które wzmagają np. wiecznie odpadające klamki od drzwi wejściowych do mego budynku.

To poczucie czasowości wzmacnia krótki żywot biznesów wszelakich. Z powodu trudności klimatyczno-geograficznych, zimową porą w wielu sklepach straszyły puste półki, bo dostawcy albo nie mogli, albo nie chcieli dowozić produktów. Oczywiście w sklepach



Typowo kazachski motyw zdobniczy

wielkopowierzchniowych było wszystko, ale już na osiedlu chwilami brakowało gazowanej wody mineralnej i serów innych niż wyroby seropodobne z Rosji. Stolica...



Sklep? To miał być sklep!

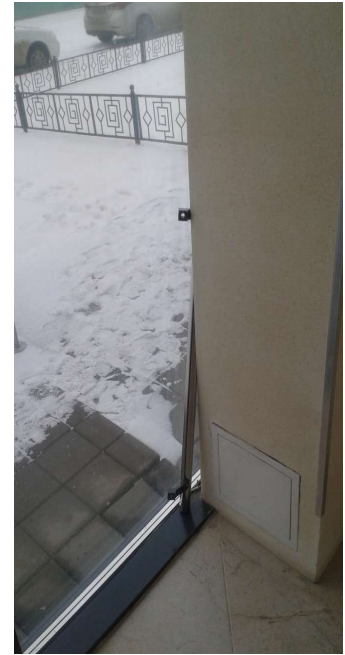
Astana chce się rozwijać, ale cena za metr kwadratowy jest dla przeciętnego obywatela zaporowa (3-4,5K PLN), więc nie ma się kto osiedlić. W końcu mieszkańiec Karagandy z pensją 1200 PLN (jak nie 1000 PLN) nie odłoży na apartament tutaj. W efekcie powstają osiedla-duchy, gdzie wieczorami świeci się w może 20-30% mieszkań, ale budują dalej jakby to był Hong Kong. Przybywa też powierzchni biurowej, która ma przyciągnąć zagranicznych inwestorów. W kazachskich marzeniach są firmy z Europy. Jednak klimat korupcji i specyfika lokalnego rynku sprawia, że inwestują raczej Chińczycy i Hindusi, czasem Bliski Wschód. A gdy już to robią, nierzadko zwożą własną siłę roboczą, bo lokalna jest taka wspaniała. W efekcie narastają klimaty "wykupują naszą ziemię i nas okradają!". Informacje o tym, że to patologia władzy skutecznie odstrasza ludzi z zachodu jakoś do większości populacji nie dociera.

Jednym z zabawniejszych pomysłów na rozwój Astany było ogłoszenie w 1998 roku międzynarodowego konkursu na stworzenie planu rozwoju urbanistyczno-architektonicznego nowej stolicy. Wygrał go Kisho Kurokawa, uznany architekt, autor m.in. nowego skrzydła muzeum Van Gogha w Amsterdamie czy lotniska w Kuala Lumpur.

Według planów Kurokawy nowe budownictwo mieszkaniowe miało skupić się wokół rzeki Iszym, aby podkreślić symbiozę miasta z przyrodą. Zakładał też otoczenie nowego dworca kolejowego (prawy brzeg miasta, daleko od centrum) pasem zieleni, który miał rozciągać się aż do parku nad rzeką, tworząc las w kształcie trójkąta. W tymże lesie miały znaleźć się nowe budynki rządowe i administracyjne. Same bryły budowli miały być możliwie geometryczne i uproszczone, ale nawiązujące też do symboli Kazachstanu. Na południu miasta miał też powstać las, który chroniłby mieszkańców od stepowych wiatrów i pyłu.

Ile z tego udało się zrealizować?

Zgodnie z planem architekta, centrum miasta zbudowane jest na jednej osi, która ciągnie się aż od Piramidy do centrum handlowego Khan Shatyr. Wytyczone przez architekta szlaki komunikacyjne ogólnie pokrywają się z rzeczywistością. Nie ma jednak mowy o żadnej symbiozie z naturą ani otoczeniu zielenią - jasno widać, że przez minimum 15 lat nikt się nią nie interesował, a istniejące parki i drzewa nasadzone zostały na przestrzeni ostatnich 5 lat. Budynki rządowe i administracyjne na pewno nie realizują też postulatu prostoty brył.



*Oczko się odlepiło temu misu.
Trzeci raz w tym miesiącu.*

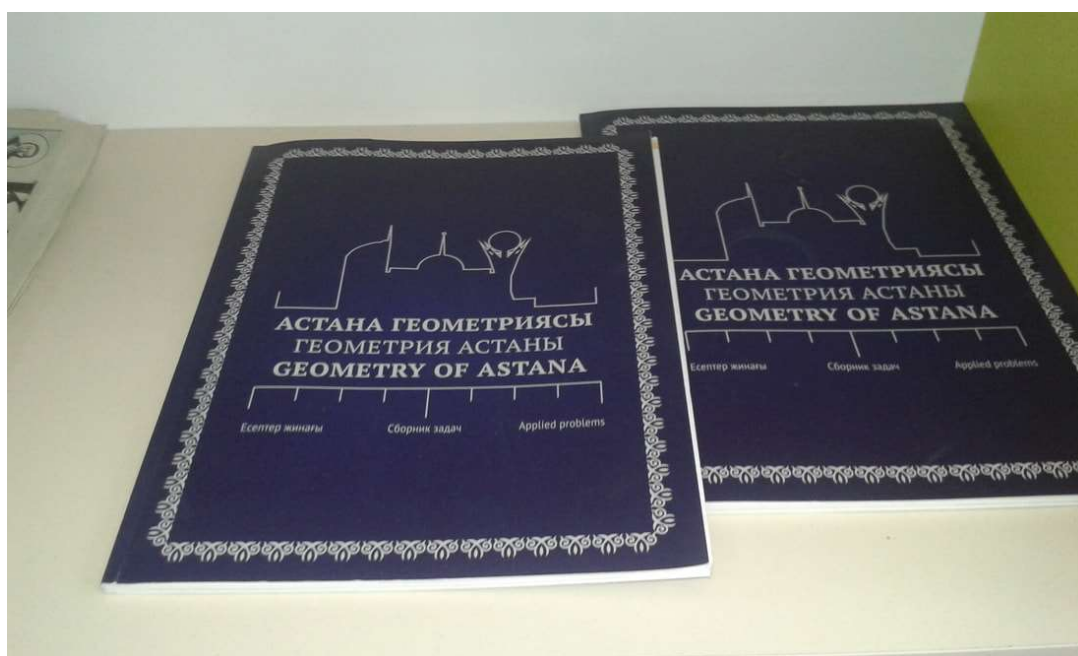


Plan Kisho Kurokawy (źródło: astanatopia.wordpress.com)

Nie spotkałem osoby, która powiedziałaby, że lubi Astanę. Obcokrajowcy nierzadko jej wręcz dziko

nienawidzą, ale i moi uczniowie w przeważającej większości stanowią ludność napływową z innych miast, podobnie współpracownicy. Absolutnie każdy woli Ałmaty, miasto solidnie sowieckie i takie właśnie na możliwości Kazachstanu. Przywykłem do tego, ale gdy pewnego dnia dowiedziałem się, że uczennica preferuje Uralsk*, to już zbladłem. Astana wygrywa u niektórych z Karagandą, ale ja akurat wolę tamto miasto, bo przynajmniej na piechotę da się ogarnąć co potrzebne. Usłyszałem, że jest lepiej niż w Pawłodarze, ale to dlatego, że są lepsze pensje.

Astana jest nonsensownie wielka, zwłaszcza na tym futurystycznym lewym brzegu. Wszędzie trzeba jeździć taksówką lub komunikacją miejską, a jakiekolwiek spacerowanie są nudne i długie. Gęstość zaludnienia jest niska, więc ma się poczucie betonowej pustyni połączonej z placem budowy. Poza paroma parkami roślinności właściwie nie ma, bo taka specyfika stepu. Nawet w tych parkach nierzadko jest się wyższym od drzew. Do spacerów nie zachęcają nierzadko kuriozalnie działające światła. W pobliżu naszego mieszkania jest skrzyżowanie, na którym zielone dla pieszych zapala się średnio co trzecią zmianę świateł samochodowych. Wszyscy przechodzą na dziko. Zapewne dałoby się to naprawić w kilka minut, ale po co? Tak jest fajniej, przebiec sobie przez sześciopasmówkę w drodze do pracy. Czasem stoi policja, więc wtedy czekam karnie na zielone, ale lokalni przebiegają i tak, a stróżowie prawa przyjmują to ze spokojem. Chwała niebiosom, ruch uliczny w Astanie jest dość cywilizowany, więc przynajmniej nie trzeba mieć oczu dookoła głowy jak w Chinach czy w Indiach.



Astana jest bardzo geometryczna, tylko co z tego?

Przy drogach ciągle widać służby komunalne. A to odśnieżają, a to skuwają lód, a to ładują to na ciężarówki, które wywożą cały ten dobrobyt z miasta. Dla mieszkańca jest to dość wygodne, zwłaszcza przy tym ile śniegu potrafi napadać w ciągu nocy - służby czasem pracują i w tak atrakcyjnych godzinach jak piąta rano. Nie wiem ile osób zatrudnionych jest w tym sektorze, ale na pewno więcej niż to rozsądne. Z jednej strony pomaga to maskować bezrobocie i dobrze, że ludzie mają pracę. Z drugiej, to są wydatki budżetowe, a pensji za szalowych na pewno nie mają.

Miejska komunikacja autobusowa nie ma rozkładów, tylko podane są interwały kursów, więc np. jeżdżący na lotnisko autobus numer 100 oficjalnie jeździ co 12-14 minut. Kiedyś czekaliśmy na niego minut 46 i w końcu pojechaliśmy taksówką. Gdy temperatury spadły poniżej -20, przestaliśmy

całkowicie używać komunikacji zbiorowej, bo wizja czekania nierzadko ze 20 minut na przystanku przerażała, zwłaszcza, że tabor uległ poważnemu ograniczeniu, bo część autobusów nie zdołała wyjechać. Są wprowadzane przystanki zamknięte, ale to głównie w centrum i przy centrach handlowych. Na plus można wpisać, że jest tanio, bilety kosztują 90 tenge, a na autobusy ekspresowe 150. W każdym autobusie jest bileter, który pobiera pieniądze i wydaje bilet (co jest pewnym wyznacznikiem światowości, bo np. w Ałmacie biletów zazwyczaj nie dają, a pieniądze biorą do kieszeni).

Funkcjonuje system kart miejskich, a raczej nie funkcjonuje. Teoretycznie wsiadając do autobusu powinniśmy się taką kartą wklikać i cześć. W rzeczywistości należy podać ją bileterowi i on nas wklikuje. Nie mają możliwości sprawdzenia, czy pasażer naprawdę skasował, czy nie, a że tu nikt nikomu nie ufa, to sprawa jest jasna. Życie trochę ułatwia aplikacja Astrabus, która pokazuje trasy autobusów. Lokalnych nie ma o co pytać, trasy zmieniają się dość często i mało kto za tym nadąża. Co lepsze, ludzie wsiadający do autobusu często pytają kierowcę dokąd on dzisiaj jedzie, bo nierzadko wypisana pętla nie ma sensu - kierowcom jakoś nie udało się opanować tej na pewno skomplikowanej technologii zmiany przystanku końcowego. Z drugiej strony, czasem pętla jest akurat dobrze wypisana, ale jak nie zapytasz, to nie będziesz wiedzieć.

Na przystankach są mapki, którym zazwyczaj można ufać, ale bywają na nich błędy lub stare trasy autobusów. Dlatego zastanawiam się, czy miasto dobrze przemyślało, że chce tutaj przyciągnąć turystów i im to wszystko pokazać. Jak sobie ktoś pobłądzi po sporych rozmiarach mieście, to może mieć słabe wspomnienia z wakacji. Podobnie może się nie ubawić jeżeli przyjdzie mu korzystać z lotniska w jednym z miesięcy zimowych (możliwe, że wliczając w to kwiecień): rekord, który widziałem na własne oczy, to 14 godzin opóźnienia. Pewnej marcowej niedzieli wyglądało na to, że standardem jest opóźnienie od dwóch do sześciu godzin. Sorry, taki mamy klimat. Wymyśliliśmy sobie lokować stolicę w takim miejscu, to się nie da latać. Warto zaznaczyć, że opóźnienia mają głównie loty krajowe, o międzynarodowe dbają bardziej.



Typowy przystanek autobusowy i typowe zagubienie przeciętnego obywatela

Jednak największym problemem stolicy jest klimat, który najlepiej oddaje termin '40'. -40 zimą, +40

latem, z krótkimi okresami przejściowymi. Oczywiście ludzie czasem mówią, że to przesada, że góra 35 w lecie, a te -40 to tylko trochę, nie cały czas. Do tego dokłada się obłądny wiatr, a w lecie burze piaskowe. Człowiek jest w stanie zrozumieć, że ludzie mieszkają i pracują w takim Norylsku czy Jakucku, bo są tam surowce naturalne i dobry pieniądz. W Astanie jest tylko pieniądz.

Pytacie o atrakcje turystyczne Astany?

Oto pełna lista miejsc prawdziwie interesujących w Astanie.

1.

Koniec.

Dobrze, trochę na siłę, ale dokąd wysyłamy ludzi, którzy tu wpadają turystycznie:

- Bayterek, czyli gniazdo z jajem mitycznego ptaka Samruka. Lokalni czasem mówią, że to pomnik lizaka Chupa Chups. Zaprojektował to sam prezydent, miał natchnienie i naszkicował na serwetce podczas bankietu.
- Muzeum narodowe, które jest raczej nudne i chaotyczne, ale da się w nim zabić ze 2 godziny i ma odjechany pomnik ptaka Samruka pod sufitem.
- Muzeum Pierwszego Prezydenta, gdzie zwożone są wycieczki szkolne i gdzie można poczytać o wodzu
- Pałac pojednania i zgody, czyli piramida
- Meczet, największy w Azji Środkowej.
- Pałac prezydencki, który można podziwiać z pewnej odległości. Kiedyś podobno można było podejść bliżej, ale po jakichś protestach płot oddalono od samego budynku. Zaskakujące skoro 97,7% wyborców przy frekwencji 95,5% poparło pana prezydenta. Dwie złote wieże bywają nazywane puszkami piwa. Sam pałac jest osiem razy większy od Białego Domu, ergo Kazachstan jest osiem razy potężniejszy od USA.



Czy jest ktoś, na kim tyle złota nie robi wrażenia?!

- Khan Shatyr, czyli centrum handlowe udające namiot Chana i mające sztuczną plażę.
- Gwiazda śmierci, raczej z zewnątrz, bo w środku za wiele nie ma, chyba że kogoś podnieca szklana podłoga na ósmym piętrze i miejsce do robienia selfie
- Można się pośmiać ze skopiowanego z Moskwy Teatru Balszoi i jednej córki Stalina.
- Autentycznie ciekawe muzeum gułagu dla rodzin wrogów ludu Alzhir w Malinowce pod Astaną, na mej liście jedyne miejsce naprawdę warte odwiedzenia.
- Można zobaczyć ministerstwo finansów w budynku stylizowanym na banknot.
- Można zobaczyć łuk tryumfalny. Po jego zbudowaniu zmieniono nazwę dość długiej ulicy - z Orynbor na Mangilik Yel, czyli łuk tryumfalny. Zapewne symbolizuje tryumf Astany nad zdrowym rozsądkiem.
- Jest chiński hotel z kuriozalnym chińskim domkiem na dachu.



Wnętrze kuli pozostałej po Expo



Chińska enklawa pomiędzy wieżowcami Ritza-Carltona

Od biedy można zabić tu ze dwa dni. Wielkim problemem jest właściwie brak żyjącego centrum - po pierwsze pogoda większość roku nie zachęca do wychodzenia, a po drugie takie miejsca kształtują się latami koło dobrych restauracji i sklepów. Od biedy można by tak nazwać ulicę Respublika, ale na poziom krakowskiego Kazimierza nie ma co liczyć. Właściwie to w Myślenicach jest lepsze centrum. Oczywiście Respublika leży na prawym brzegu.

Gdy stolica trafiła do Astany, uznano, że rzeka Iszym jest jakaś taka mała, więc zbudowano tamę, a rzekę pogłębiono i poszerzono. Można sobie po niej jeździć na łyżwach, zrobiono też sztuczną plażę. Na bulwarach nadrzecznych wielkiego życia nie stwierdziłem, ale - powtórzmy to - jest zima. Samej wody w Iszym nie wystarczyłoby na tak wielką rzekę, więc przepompowuje się wodę z Irtyszu. Są plany dalszego poszerzania rzeki, żeby mogły po niej pływać łódki, to wszystko dla rozrywki, bo po takiej przebudowie osiągną żeglowność na oszałamiającym dystansie 22 kilometrów. Coś mi mówi, że jeżeli to zrobią, to pieniędzy z tego nie będzie, ale to jest wpisane w poetykę Astany.

Przy tym wszystkim oczywiście nie ma wstydu w oficjalnym propagowaniu Astany jako hubu między Europą a Azją (tu oficjalnie Eurazja to jeden kontynent). Jako miasta przyszłości. Rodzą się terminy w stylu architektura etno-postmodernistyczna. W Lonely Planet piszą o mieście-mirażu wyrastającym pośród stepów. Różne są szacunki, ale wydać na coś takiego 10-40 miliardów dolarów w kraju, gdzie wiele osób zarabia jakieś 1300 PLN miesięcznie? Przy okazji, 10-40, nikt nie wie ile naprawdę. Ogrzanie wszystkich instytucji rządowych i klimatyzowanie ich w lecie musi kosztować fortunę, wydatek, którego dużej części dałoby się uniknąć, gdyby stolica była na południu. Kilkanaście kilometrów od Astany są obrazki rodem z XIX wieku, w całym kraju nie brakuje ludzi żyjących bez prądu, wody i ogrzewania. Co z tego? Ano nic, pan prezydent jest zadowolony i gdy chciano mu zbudować pomnik, powiedział, że jego pomnikiem jest Astana. Nie zdziwię się bardzo jeżeli po jego śmierci miasto zmieni nazwę na honorującą swego twórcę. Również się nie zdziwię, gdy nagle do władzy dojdzie ktoś kto będzie chciał stolicę przenieść dokąds indziej. Zastanawia, czy artykuły polecające Astanę nie są pisane na zamówienie i za drobną opłatą. Większość relacji z odwiedzin tutaj jest umiarkowanie entuzjastycznych. Dla turysty miasto jest po prostu nudne, nawet na tle innych w regionie.

Gdy przyjechaliśmy do Astany, byliśmy jej bardzo ciekawi, bo naczytaliśmy się o mieście przyszłości, pieniędzy, pomocy międzykontynentalnym. Już piątego dnia mój entuzjazm zgasił jeden ze współpracowników z Południowej Afryki mówiąc, że Astana to miejsce, gdzie się pracuje, śpi i zarabia pieniądze. Wydaje się że całkiem gdzie indziej.

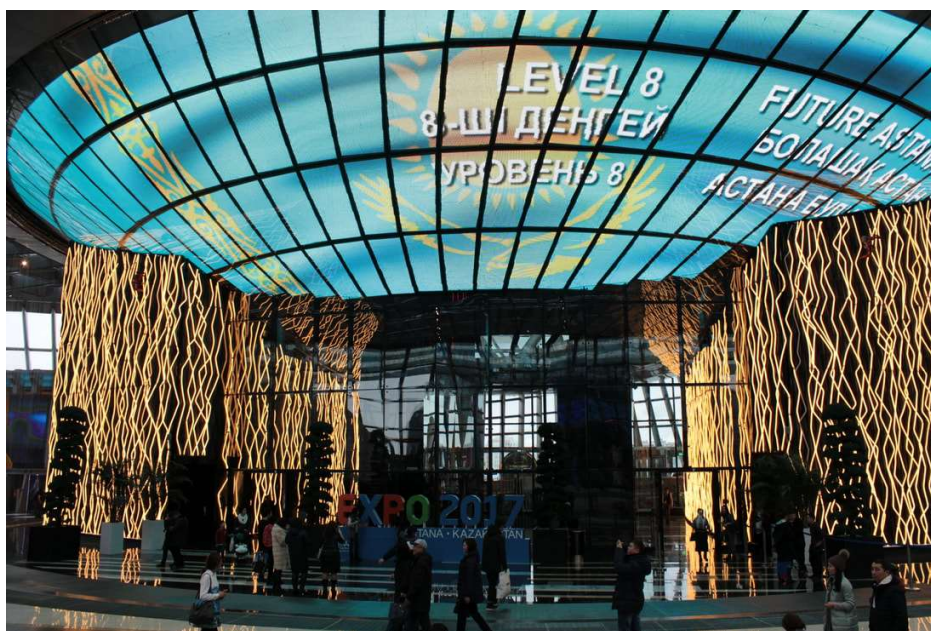
*Uralsk obecnie nazywa się Oral. Nie jestem pewien, czy przemysleli tę zmianę nazwy.

Muzeum Przyszłości - Futuryzm po kazachsku

Na początku listopada dopadła nas przypadkowo wiadomość, iż 11-go dnia tegoż miesiąca zostanie otwarta ponownie Gwiazda Śmierci, czyli pawilon Nur Alem z Expo. W weekend otwarcia wstęp na wystawę miał być darmowy. Chwilę podrapaliśmy się po głowach i uznaliśmy, że nie wypada nie pójść, zwłaszcza że nasza siedziba mieści się jakieś 300 metrów od tejże atrakcji.



Park Pokoju i Pojednania z widokiem na Expo



Hol pawilonu z niezwykle efektownymi świetlówkami

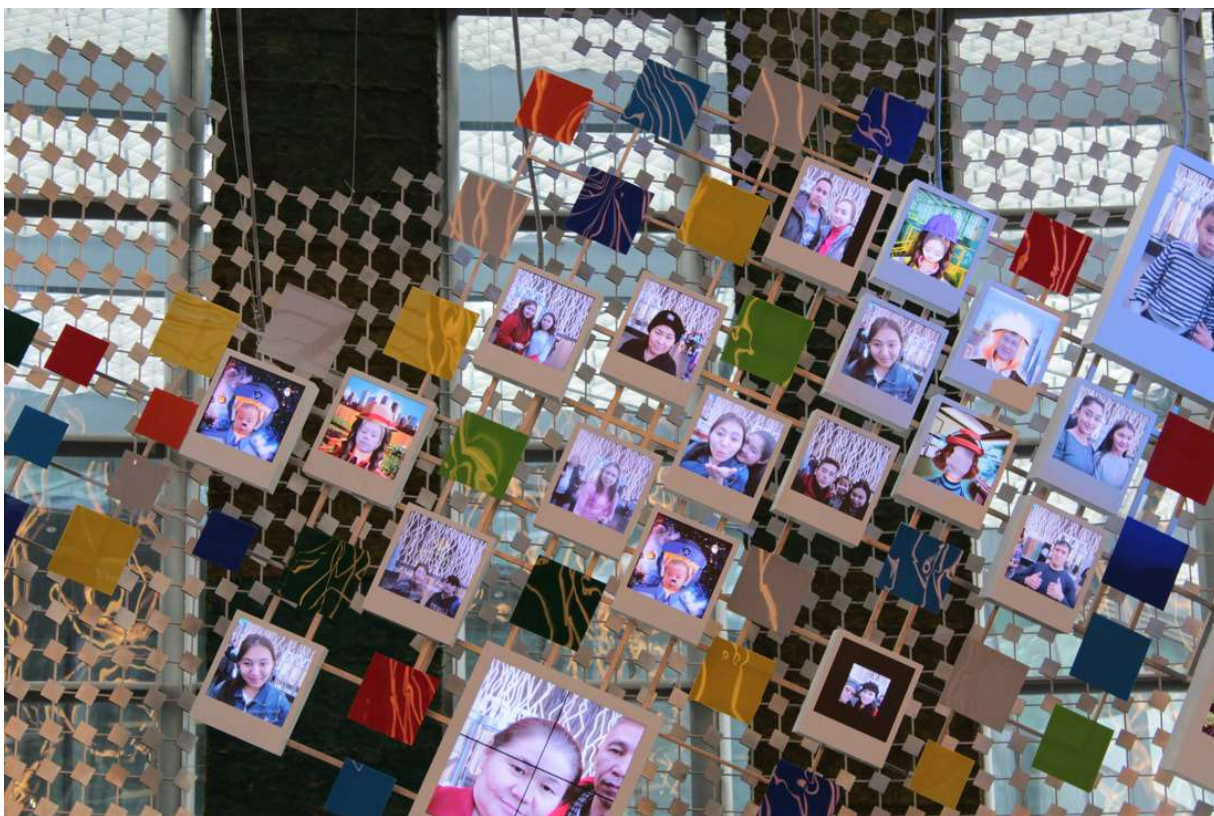


Musimy odwołać się do Einsteina, inaczej nikt nam nie uwierzy, że jesteśmy intelektualistami!

Darmowy wstęp przyciągnął nieco odwiedzających, w związku z tym mogliśmy poczekać w około 5-osobowej kolejce przed wejściem do pawilonu. W godzinach późniejszych kolejka nieco się wydłużyła, dlatego gratulowaliśmy sobie, że chciało nam się zebrać o poranku (czyli o 11-tej...), albowiem pogoda zdecydowanie nie rozpieszczała Astany.

Szczęśliwie w krajach postsowieckich każdy budynek użyteczności publicznej wyposażony jest w szatnię, niestety zazwyczaj panuje tam dziki szal ciała. Kula nie stanowiła wyjątku od reguły.

Tuż za szatnią roztaczały się multimedialne i interaktywne ekspozycje prezentujące przeszłość i przyszłość Kazachstanu. Tradycje i historia kraju wyglądały jednak właściwie na pretekst do zorganizowania niesamowicie efekciarskiej wystawy, na której można było zrobić miliony selfie, posłuchać prezydenta Nazarbajewa, wyświetlić swoje selfie w wyznaczonym miejscu, obejrzeć niezliczoną ilość filmów o ekologii i technologii, zrobić jeszcze więcej selfie, i zakończyć zwiedzanie z pytaniem: "O czym to właściwie było?".



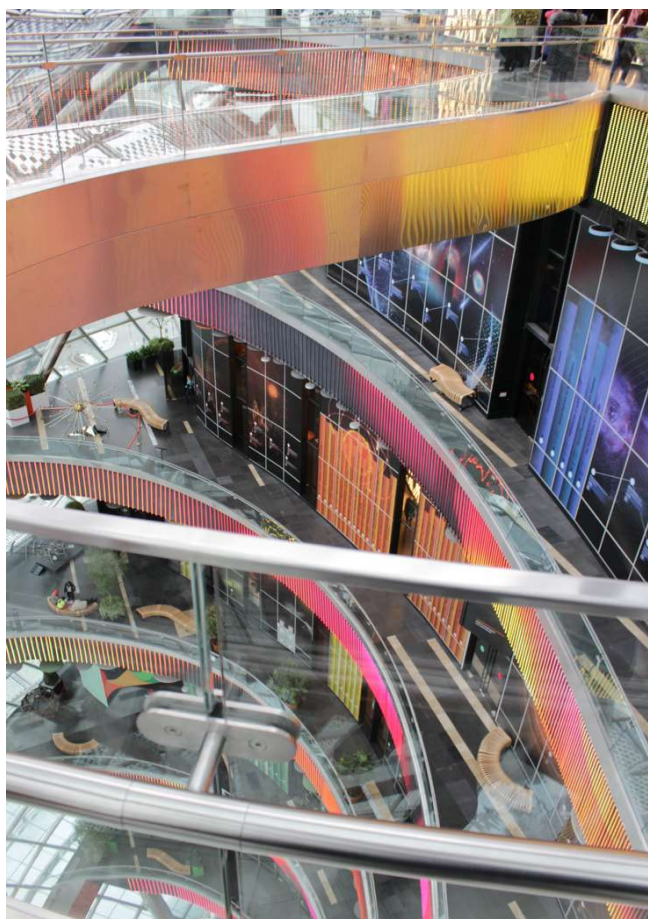
Miejsce do zaprezentowania swojego selfiaczka



Urokliwa blacha. Fani metalu, łączcie się!



Nie są to great balls of fire, ale zawsze coś...



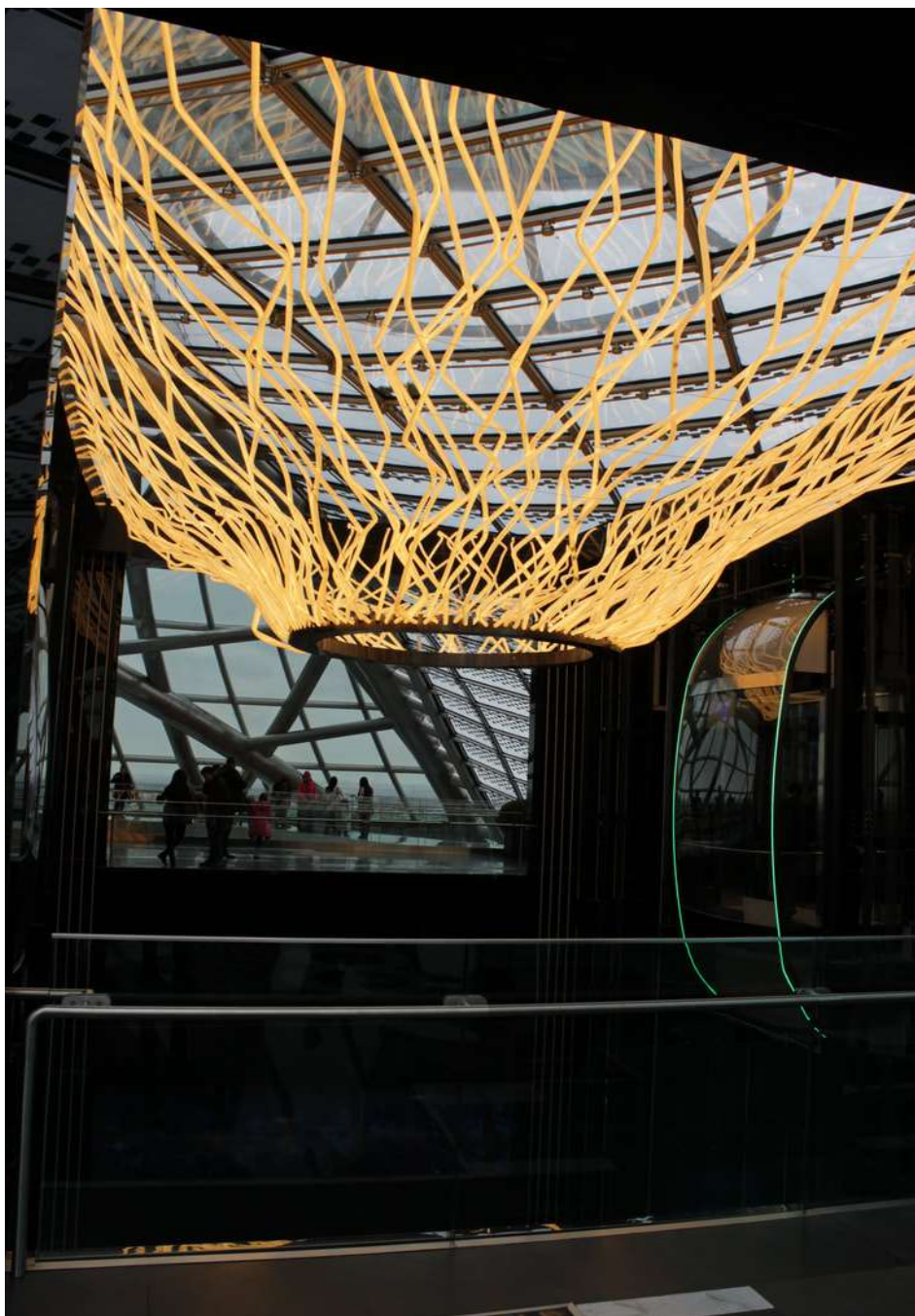
Szklany pomost - Żeromski aprobowałby!

Teoretycznie Nur Alem zostało Muzeum Przyszłości, a każde piętro skupia się wokół żywiołów - mamy więc wystawy o wodzie, o powietrzu (można poczuć prawdziwy, stepowy wiatr... i zrobić sobie selfie z rozwianym włosiem), o ogniu, o ziemi, ale także trochę info o tradycyjnych instrumentach muzycznych czy o jurtach.

Całość oglądało się nam całkiem przyjemnie, bo co chwilę zaskakiwani byliśmy ciekawymi instalacjami paraartystycznymi wykorzystującymi najnowsze technologie. Jednak po około 1.5 godzinie podziwiania kolejnych ciekawostek zaczęliśmy odczuwać zmęczenie tematem, a do tego troszkę męczyło nas poczucie, że czytamy o wspaniałych technologiach, które prawdopodobnie nigdy nie wejdą w użycie na szeroką skalę, ponieważ za dużo hajsu tkwi w ropie i gazie.



Ostatnie piętro Gwiazdy Śmierci umożliwia podziwianie panoramy Astany



WINCYJ ŚWIETLÓWEK! Wszyscy muszą wiedzieć, że lubimy nowoczesność!



Fruwający muślin, jedna z bardziej subtelnych instalacji artystycznych

Od strony praktycznej: Znalezienie w internetach informacji na temat tego muzeum to wielka sztuka. Nie istnieje chyba żadna oficjalna strona internetowa tejże ekspozycji, dlatego próba uzyskania informacji na temat godzin otwarcia i cen biletów może zakończyć się niepowodzeniem. Dla nas nie stanowiło to problemu, ale większość turystów odwiedzających Astanę raczej nie ma powodów, żeby zapuszczać się w te regiony miasta, bo poza Expo nie ma tam niczego ciekawego, tak więc jeżeli ktoś pojedzie specjalnie po to, by odwiedzić Muzeum Przyszłości, i zastanie drzwi zamknięte na głucho, to będzie mógł co najwyżej iść utopić smutki w centrum handlowym Mega Silkway. Najlepiej chyba odwiedzić tereny Expo w drodze z lub na lotnisko - chcąc nie chcąc i tak trzeba przejechać w pobliżu tego obiektu.

Rodzinny wypoczynek? Tylko w Kazachstanie!

Z nielicznych atrakcji Astany i jej okolic, zdecydowanym zwycięzcą na mej liście jest Alżyr/Alzhir - znajdujące się około 30 kilometrów od Astany muzeum poświęcone rodzinom wrogów narodu. Akronim ten w luźnym przekładzie oznacza Akmolinski Oboz Internowania Żon Zdrajców Ojczyzny.

Za tym intrygującym terminem skrywali się bliscy więźniów politycznych - podług tajnego rozkazu NKWD z dnia 15 sierpnia 1937 roku. W oparciu o niego aresztowano najbliższych krewnych zdrajców ojczyzny, a wiele z tych osób - około ośmiu z osiemnastu tysięcy - trafiło do obozu Alzhir.

Sprawa jest o tyle (relatywnie) rzadko spotykana, że ludzi ci dostawali wyroki za bycie w rodzinie kogoś skazanego na obóz za bycie wrogiem ojczyzny. Nie mieli nawet żadnych procesów, z automatu dostawali gułag - co na tle historii ZSRR jest o tyle dziwne, że przecież zrobienie sądowej pokazówki, nieważne jak beznadziejnie niewiarygodnej, było wielką pasją różnych służb.

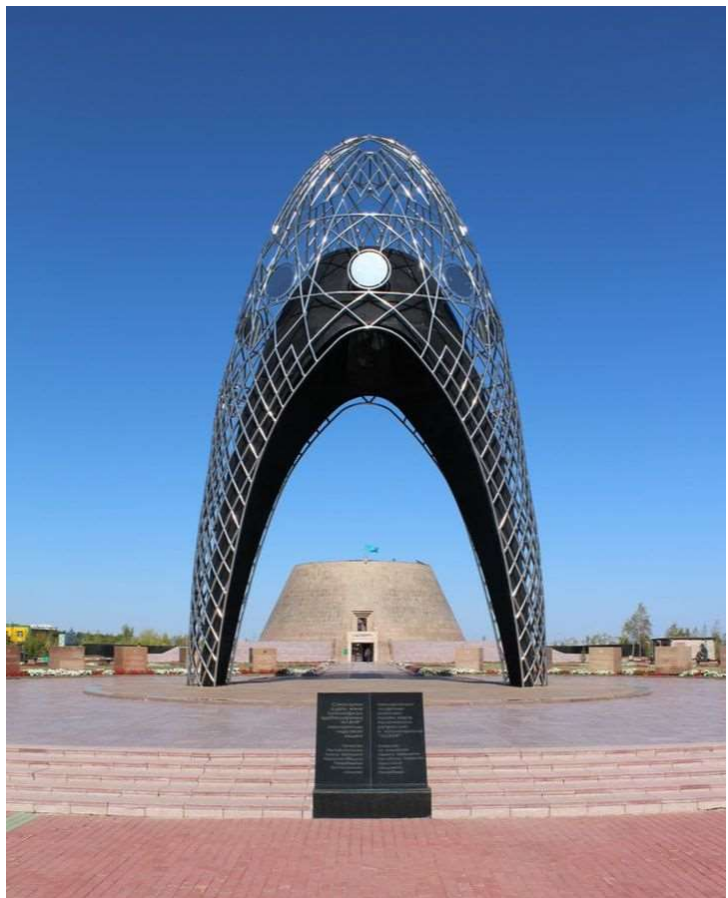
Dla kobiet uczyniono wyjątek, więc wiele żon, siostr i matek wysłano do Kazachstanu. Nierzadko były to osoby mające wyższe wykształcenie i wykonujące zawody w stylu lekarza lub aktorki, czyli niekoniecznie rokujące dobrze w kontekście obozu pracy.

Powtórzę się, łącznie aresztowano ponad 18 tysięcy osób, z tego około 8000 trafiło do Alzhiru. Wyroki na tle swoich członków rodzin miały wręcz humanitarne, pięć do ośmiu lat (wrogowie właściwie z automatu dostawali 25 lat).

Kazachstan nie jest jakoś dziko dumny z tego, że był miejscem, do którego zsyłano wrogów Związku Radzieckiego w czasach największych czystek. Nie ukrywają tego, sprawa nie jest jakimś tabu, ale nie oczekujcie, że pytania na ww. temat rozkręca lokalnych interlokutorów. Sprawdzając serwisy turystyczne można znaleźć jakieś informacje o tym kawałku historii, ale raczej nikogo tam na siłę nie wypychają.

Samo muzeum powstało stosunkowo niedawno, 31 maja 2007 roku, oficjalnie z inicjatywy prezydenta.

Znaczy się też nie do końca, bo już w roku 1989 ludzie, którzy przeżyli Alzhir, spotkali się, postawili pomnik i porozmawiali o tym, co ich spotkało. Potem pewnie uznano, że lepiej poczekać aż umrą, bo jeszcze powiedzą coś niewygodnego, a gdy nastał odpowiedni czas, oficjalnie otwarto muzeum.



Witamy w piekle, prosimy nie wystawiać rąk przez okna.

Odwiedzających wita pomnik, który nawiązuje do narodowego kazachskiego ślubnego nakrycia głowy. Jakiś pomysł w tym jest, chociaż początkowo myślałem, że to stylizowana litera A, od nazwy miejsca.

Pomnik mógłby być gorszy, co można bardzo szybko stwierdzić, gdy tylko zobaczy się okolicę. Bo tuż obok monumentu oczom ich ukazał się strażnik z psem.



Drapieżny owczarek kazachski.

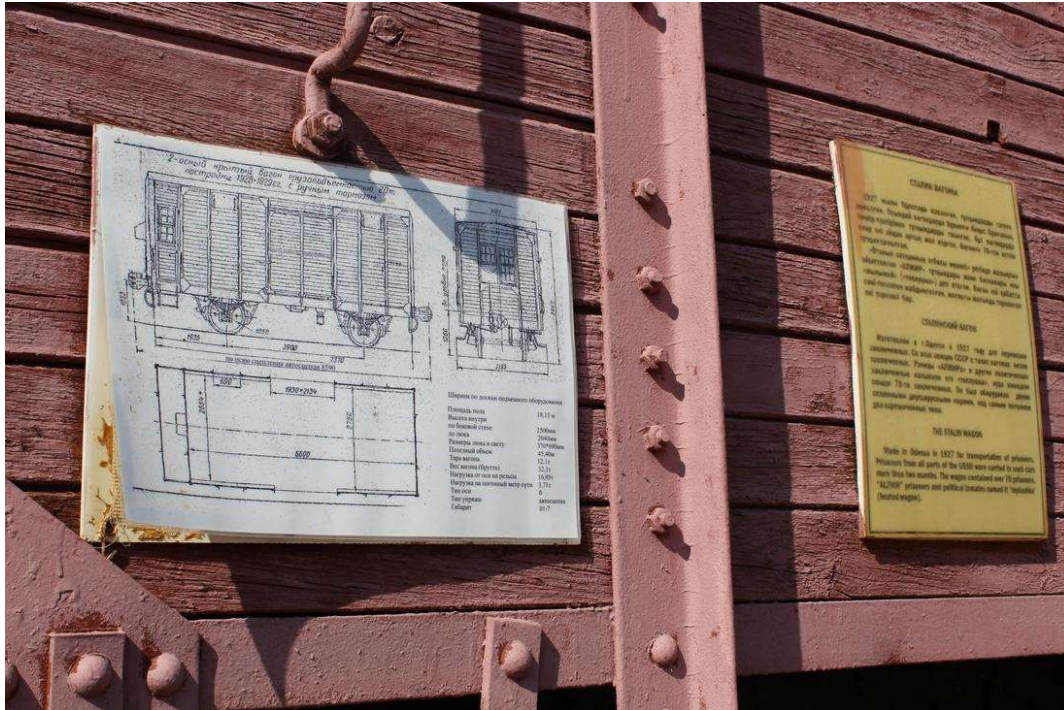


Wystraszony Krasnoarmiejec aż uciekł od swego pupila na wysokość.



Przerazający widok.

O ile wagon nazywany Stalinowskim daje pewien obraz tego, jak ludzi traktowano, o tyle pracownik безпеki i jego czworonożny przyjaciel, to jednak doświadczenie innego rodzaju, chociaż też z tych strasznych. Na pewną pociechę, w wagonie Stalina jest całkiem ładny, mało dosłowny obrazek oraz manekiny mające ukazać nam, że ludzi brano jak ich chwycono i że nierzadko były to przedstawicielki pewnej elity społecznej (bo robotnice raczej takich ciuchów nie miały).



Wsiąść do pociągu byle jakiego...



Nie dbać o bagaż, nie dbać o bilet...



Ściskając w rękę kamyk zielony, patrzeć jak wszystko zostaje w tyle...

Dookoła muzeum rozstawione są nagrobki w alfabetycznej kolejności, w których tu zsyłano i którzy zginęli. Można poćwiczyć się z solidnej liczby języków świata, w tym większości kaukaskich. Jeżeli się nie mylę, nagrobki kiedyś znajdowały się w Astanie, ale po otwarciu muzeum przeniesiono je w te okolice.





Jeszcze przed wejściem zobaczyć możemy dwa inne pomniki, mężczyzny i kobiety; mężczyzna siedzi załamany i

zrezygnowany, a kobieta z nadzieją patrzy w przyszłość, co ma symbolizować różne dla obu płci podejścia do tragedii.

Tłumy nie walą do Malinowki, przynajmniej nie w weekendy. Podczas wizyty tamże spotkaliśmy grupę szkolną, która akurat wychodziła. Poza tym był spokój i cisza. Oczywiście jest dyżurna szatnia, a potem poważna decyzja: muzeum, czy muzeum i kino? W kinie leci kilkunastominutowy film, z którego możemy dowiedzieć się raczej niewiele. Z mowy pana prezydenta, że to nie wina Kazachstanu, że lokowano w nim gułagi. W pewnym momencie film nabiera odcienia komediowego, gdy dowiadujemy się od jakiegoś wiekowego pana, że on wiedział, że gułag ukształtuje ludzi, którzy przez to zniewolenie będą mieli takie umiłowanie wolności, że zbudują miasto tak wspaniałe jak Astana. Poszedłbym dalej, to zapewne Stalin postanowił założyć Astanę i cały ten rozkaz dla NKWD z 1937 to był bardzo dalekosiężny projekt urbanizacji północnego Kazachstanu. Wprawdzie ze stolicą machnął się o parę kilometrów, ale z Moskwy dobrze nie było widać, więc i tak był blisko. A na drugim planie miał wykuć homo kazakstancusa, który stworzy najlepsze miasto świata, a kraj to już w ogóle. Z filmu z mową pana prezydenta dowiemy się też, że chociaż ludzie tacy jak Hitler zabijali narody, to tylko Stalin zabijał swój własny, co czyni jego zbrodnie wyjątkowo podłymi. Tu człowiek mający jakąkolwiek wiedzę o historii XX wieku robi "o ja pierdole, gdzie by tu zacząć wyliczać..." I w ten sposób z podniosłego nastroju schodzimy w rejestr "Ech..."



Wejście do muzeum i trochę lokalnego kolorytu.

Potem jest w miarę standardowo jak na te realia robienia muzeów, czyli całkowity burdel. Tradycyjna czapka i album o Astanie, a gablotę obok zdjęcia z czasów gułagów. Medal z Łotwy upamiętniający 500-lecie zamku w Rydze i listy deportowanych. Dywan, bicz dla konia, ale i serwety, które kobiety utkały na zesłaniu. Wspomnienia ruchu Alash, czyli rodzenie się świadomości narodowej w Kazachstanie, wyciętego przez Sowietów, i książki o Katyniu, oczywiście po polsku. Drugie piętro jest bardziej koherentne i rzeczywiście traktuje o obozie, są rekonstrukcje cel, listy więźniów, listy wymieniane przez osadzonych z dziećmi, które siedziały w sierocińcach - bo zazwyczaj tak kończyło potomstwo wrogów narodu. Po Wielkiej Czystce ZSRR miał przepełnione sierocińce, tam oczywiście patologia, przestępczość nieletnich... Po prostu radosne życie czasów stalinowskich.



Symboliczna czarna róża w symbolicznie rozerwanej ziemi. Piramida, dajcie jakąś piramidę!

Jest wspomnienie, że mieszkający w okolicy bardzo wiele pomagali zesłańcom. Brzmiało to średnio wiarygodnie, do tego jeżeli ktoś by pomagał wrogom narodu, to mógł się solidnie wpakować. A tu napisane, że przywozili im jedzenie, w tym ryby, śmietanę, chleb. Trochę trudno mi sobie to wyobrazić, żeby w trzaskającą zimę jakiegoś 1938 roku ludzie sami dla siebie mieli takie frykasy. Już nie mówiąc o czasach II Wojny Światowej, gdy nawet żyjący na wolności umierali z głodu. W książce "Głodne Stepy" autor Jerzy Górski wspomina, że handlowali z lokalnymi, ale niczego o tym, żeby kiedykolwiek coś od nich dostali. Był on w nieco innym miejscu w Kazachstanie, więc oczywiście może akurat tu pośrodku stepu ludzie mieli ryby i śmietanę do dzielenia się.

Podobnie trudno do końca ustalić jak do osadzonych odnosili się strażnicy więzienni. Twierdzono, że z empatią, bo wiedzieli, że te kobiety niczego złego nie zrobiły. Jednak ponad 1500 dzieci urodziło się w obozie, co sugeruje, że gwałty były na porządku dziennym, chociaż oczywiście można wierzyć w historie miłości strażników i uwięzionych, takie historie pewnie też się zdarzały, ale nie sądzę, że w ilościach 1500.



Motywy zdobnicze Kazachstanu: osadzone kobiety jako element dekoracyjny



Spontaniczny Stalin, uczeń Wielkiego Lenina.

Życie w obozie było oczywiście koszmarem, panował tłok, ścisk, brakowało jedzenia, w zimie okrutny mróz, w lecie upał. Osadzone szyły mundury, pracowały na budowach i zajmowały się szeroko rozumianym rolnictwem.

Są chusty, są naczynia, są grzebienie, są listy osadzonych, są dokumenty śledczych, są dioramy, są dzieła sztuki upamiętniające ofiary. Czytając wszystko dokładnie i refleksyjnie oglądając, zobaczenie całości zajmuje około godziny. Muzealny sklepik oferuje breloczki i notatniki, ale niczego do poczytania. Szkoda, bo jakieś wspomnienia mogłyby odpowiedzieć na parę pytań.



Rekonstrukcje dramatycznych wydarzeń z użyciem manekinów zawsze wyglądają bardziej surrealistycznie niż refleksyjnie



Ktoś w tym muzeum wyraźnie nienawidzi psów.



Prawdopodobnie istnieje prawo głoszące, że w każdym muzeum musi być harmoszka.

Po ustaleniu naszego kraju produkcji, obsługa muzeum poinformowała nas, że kilka dni przed nami był tam prezydent Andrzej Sebastian Duda. Pokazano nam nawet jego podpis w księdze pamiątkowej. Byliśmy kilka dni po nim (odwiedzał on Kazachstan pod koniec Expo), więc obawiamy się, że pamięć o jego wizycie mogła nie przetrwać więcej niż kilka tygodni.

Idąc piechotą do pobliskiej wsi Malinowka można jeszcze zobaczyć pomnik ofiar represji lat 30-50-tych. Wzniesiono go podczas pierwszego spotkania byłych więźniów, w 1989 roku. Podobno powstał w trzy dni. Sama Malinowka jest ze trzy świąty od Astany, wygląda jakby niektóre budynki zatrzymały się w latach 60-tych, inne w 90-tych.



Cała wizyta, z dojazdami, nie powinna zająć więcej niż pół dnia. Bilet we wrześniu kosztował 300 na ekspozycję i chyba 200 na film. Co do transportu, to nie jest bardzo łatwo - pojechaliśmy zbiorczą taksówką z parkingu przed centrum handlowym Keruen (obok łaźni) za 500 KZT od osoby. Podobno jeżdżą tam też autobusy miejskie, ale próby znalezienia ich zaprowadziły mnie donikąd.

Nie znam ani jednego obywatela Kazachstanu, który odwiedził Alzhir.

Borem, lasem

Od pierwszych dni pobytu w Kazachstanie słyszeliśmy, że prawdziwym rajem jest Borowoje, zwane także Burabaj. Że to najpiękniejsza część kraju, że pobyt tam regeneruje ciało i duszę.

Mówili nam to ludzie, którzy kursują tam regularnie, a czas wypoczynku spędzają w hotelu Rixos. Noc w dwojce w okolicach świąt narodowych kosztuje tam jedyne 81K KZT, więcej niż połowa średniej krajowej. Zresztą sam hotel Rixos wygląda jak wszystko czego można nienawidzić w turystyce - zamknięty w sobie betonowy kompleks, gdzie ładnie ubrani ludzie zamiatają za nami i podają wykwinne jadlo.

Oczywiście można przeprowadzić tam badania w imieniu Baudrillarda i opisać jak się kreuje hiperrzeczywistość w kraju, gdzie średnia pensja nie wystarczyłaby na dwie noce w tym hotelu.

Szczęśliwie, Borovoye to bardzo popularne miejsce, więc nie brakuje przybytków dla ludzi, którzy niekoniecznie muszą mieć spa, Laplandię i trzy mięsne posiłki dziennie.



Działało, mieliśmy cztery kanały.



Nasza mała, prywatna jurta.



Więcej jurty!

Dostawanie się z Astany do Borowoje przesadnie skomplikowane nie jest, można nawet wybrać spośród kilku środków transportu.

- pociąg do stacji Kurort Borowoje. Oczywiście stacja jest oddalona od samego kurortu o jakieś 20 kilometrów i znajduje się w miasteczku Szczukińsk. Zaraz koło dworca kolejowego jest i autobusowy, z niego co 30 minut jeździ marszrutka do rzeczywistego kurortu. Opcja wybitnie ekonomiczna i w miarę czasowo rozsądna, pociąg to trzy godziny z okładką, bus potem to jakieś 30 minut.
- jest JEDEN autobus dziennie z Astany, nie wiem niestety o której. W marcu 2018 powrotny był koło 13.
- są taksówki dla ludności lokalnej, które podobno odchodzą sprzed dworca głównego w stolicy, odjeżdżają, gdy zbierze się full. Cena podobno powinna oscylować w okolicach 2-3K KZT, ale znam obcokrajowców, którzy płacili bardzo słono, jakieś 10K KZT, bo przecież nie każdy wie, że tu taksówki długodystansowe są tanie. Ja jednak lubię mieć rozkład jazdy i bilet, więc wybrałem wersję bardziej usystematyzowaną.



Napis jest bardzo dobrze ukryty, wypatrzenie go z pociągu nie jest możliwe.

Ze stacji kolejowej w Szczukinsku pojechaliśmy taksówką za 2000 KZT, co pewnie nie jest najlepszą ceną świata, ale było po 15, nie chciało nam się kombinować, a taksiarz był miły. Opowiedział nam, że gdy relokowano stolicę z Ałmat, to rozważano Borowoje, ale ostatecznie wybrano ówczesną Akmołę. Bo żeby zrobić jakieś lotnisko tam, trzeba byłoby wyciąć wiele drzew. Zgaduję, że potem budowa hoteli nie musiała zmagać się z tym dylematem.



Witamy w kurorcie!

W samym Borowoje właściwym wita nas jedna większa ulica i parę pobocznych. Ciągają się hotele, restauracje, kilka sklepów. Ku naszemu zaskoczeniu, większość tych przybytków była zamknięta, więc nie udało nam się spróbować kuchni uzbeckiej. Zarezerwowaliśmy sobie hotel wcześniej, ale nawet 8 marca przy drodze stali ludzie z tabliczkami, że komnaty.

Słyszeliśmy, że jest dramat z bankomatami, ale te czasy już minęły - jest bankomat Sberbanku w muzeum przyrodniczym, a w centrum handlowym są dwa lokalne. Większość miejsc nie ma problemu z przyjęciem kart płatniczych.

Co można robić w Borowoje?

Dla nas hitem był spacer po zamrożonym jeziorze. Było jakieś -12 stopni, trasa do ikonicznych skał zajęła nam około 30 minut. Był to pierwszy raz, gdy chodziliśmy po jeziorze, trochę jak Jezus, tylko w wersji nieco oszukanej i właściwej tutejszemu klimatowi.



Muzeum historyczno-przyrodnicze w Borowoje. Niestety część wystawy była zamknięta :(



Jak Luke na Hoth.



Śniegi. Skały.



Wincyj śniegu, wincyj skał!

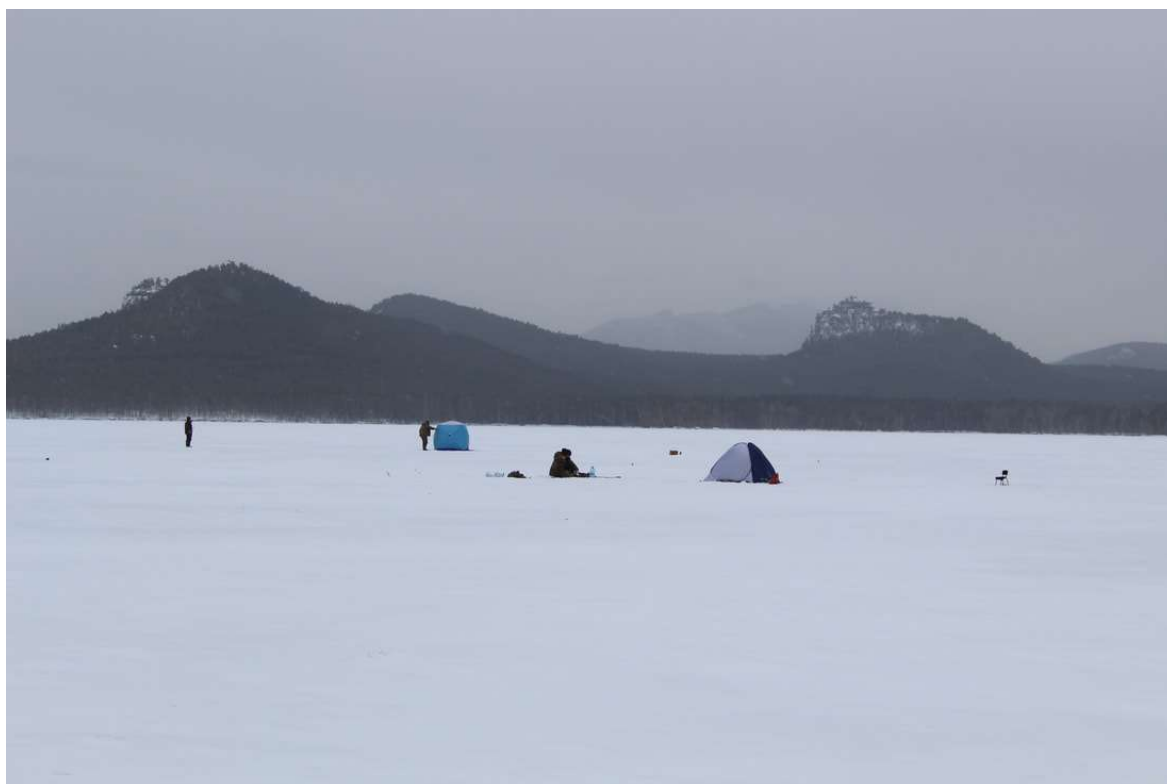


Dwa flagowe szczyty, które odnajdziecie na każdej pocztówce z Borowoje

Z atrakcji to lokalni rybacy łowią ryby spod lodu, mają przy sobie świdy, piły, siedzą i co jakiś czas coś powiercą, a potem zarzucają wędkę. Mają też zero ochoty do rozmów z turystami.



Narzędzia do uprawy rybalki zimq



"A może rzucić to wszystko i znaleźć sobie pracę w szklanym wieżowcu..."

Ikonicznych skał dotyczy kilka legend, najbardziej mainstreamowa głosi, że lata temu lokalna piękność została zmuszona do wybrania sobie męża. Wpierdaczyła się więc na skałę i powiedziała, że ten którego strzała ją dosięgnie, tego wybierze. Tu zeznania się mieszają, jedne relacje mówią, że nikt nie był w stanie do niej dostrzelić. Inne, że nikt się nie odważył wypuścić strzały z łuku, bo nie chciał zranić miłej pani. Jakby nie było, skała jest fajna, chociaż byłaby jeszcze fajniejsza, gdyby nie podpisało się na niej parę osób. Jedna z legend głosi, że jak tworzone Kazachstan, to powstał kraj raczej płaski, bo wszystkie góry jaki mu przypadły w udziale, trafiły do Borowoje.



A może to Sfinks?



"Dawaj Bibigul, dopisz swoje imię, niech wszyscy na Vkontakte wiedzą, gdzie byłeś!"

Podobno okolice są warte spacerów. Przy temperaturach panujących na początku marca, wystarczyło nam pasji na jakieś trzy godziny. Wszędzie było ślisko, zimno, a infrastruktura uznała, że jak cały kraj ma wolne, to oni też.

Gdy w końcu znaleźliśmy otwartą kawiarnię, to było w niej tak zimno, że nie chciało się zdejmować kurtek. Okoliczne skały są dość ładne, ale raczej trudno sobie wyobrazić, że ktoś chwyci czekan i rzuci się wspinać, nawet w lecie. Oznakowanych szlaków nie widzieliśmy.

Wstęp na teren parku narodowego szczęśliwie wyceniony dość nisko, bodajże 238 KZT od osoby. Niestety, wokół jeziora mogą jeździć auta, co raczej średnio wpływa na refleksyjny nastrój, chyba że ktoś ma jakąś pasję do ciężarówek z czasów Związku Radzieckiego.



Sądząc po śladach - ktoś przeszedł przez tę tablicę



Oczywiście błękitne niebo zaczęło pojawiać się dopiero wtedy, gdy kończyliśmy wędrówkę i byliśmy porządnie zziębnięci

Wydawało nam się, że infrastruktura pokonała już możliwości przemysłu turystycznego - w końcu nawet w święto narodowe nie było wielkich problemów z noclegami - ale nie, nadal budowane są hotele. Widać też kilka opuszczonych i popadających w ruinę, więc ja bym się zastanowił na ile pojemny jest ten rynek i ile z niego można wydusić. Może w lecie jest więcej życia, ale w całym Borowiej znajdowaliśmy pozamykane restauracje, kantory, sklepiki, bary. Może otwierają się na lato, ale jednak, dzień kobiet robiący długi weekend też powinien zmotywować krajowców do jakiejś pracy.



Wygląda źle, smakuje jeszcze gorzej.



Ktoś chyba zjadł grzyby zanim zaprojektował ten piękny monument.

Z atrakcji samego miasteczka Borowoje, mają oczywiście muzeum regionu, w którym podziwiać można standardowe eksponaty w stylu chaty, żelazka, ciuchów.

Swego czasu okolice badał wybitny rosyjsko-radziecki uczony Władimir Wiernadski, dla nas słynny z tego, że ma w Moskwie swoją stację metra. Badał geologię regionu, chociaż najważniejsze, co można o nim powiedzieć, to że w roku 1943 otrzymał nagrodę stalinowską. Mogło to mieć związek z jego zainteresowaniami z wykorzystaniem energii jądrowej. Zapewne nie tym zajmował się w Borowoje, ale jego

gabinet i trochę publikacji można zobaczyć.

Prawdziwy jednak hit znajduje się w przymuzealnym ogrodzie. Stworzono mini zoo, zapewne z tego co złapano w krzakach. Są więc jakieś koniki, sarenki, dziki, wilk, który chyba oszalał od rozmiarów wybiegu. Gdzieś pomiędzy tą zwierzyną, był wybieg, a nim...

Dwa jenoty.

Żadne szopy, tylko jenoty tak azjatyckie, jak azjatyckim jenot być może.

Myślę, że można powiedzieć, że był to najbardziej radosny widok naszego pobytu w Kazachstanie. Zastanawialiśmy się, czy nie można komuś dać paru tenge, żeby nam pozwolił się z nimi pobawić, ale w okolicy nie było żywej duszy. Rozważaliśmy nawet kradzież, tak się ułożyło, że jeden biegał, a drugi pasywnie siedział w rogu klatki, może nie zauważyliby braku tego osowiałego.



Patrzcie bracia, oto jenot!

Dość niedaleko muzeum jest bazar, gdzie można kupić trochę rzeczy z Chin, ale znacznie więcej lokalnych. Czego tam nie ma!

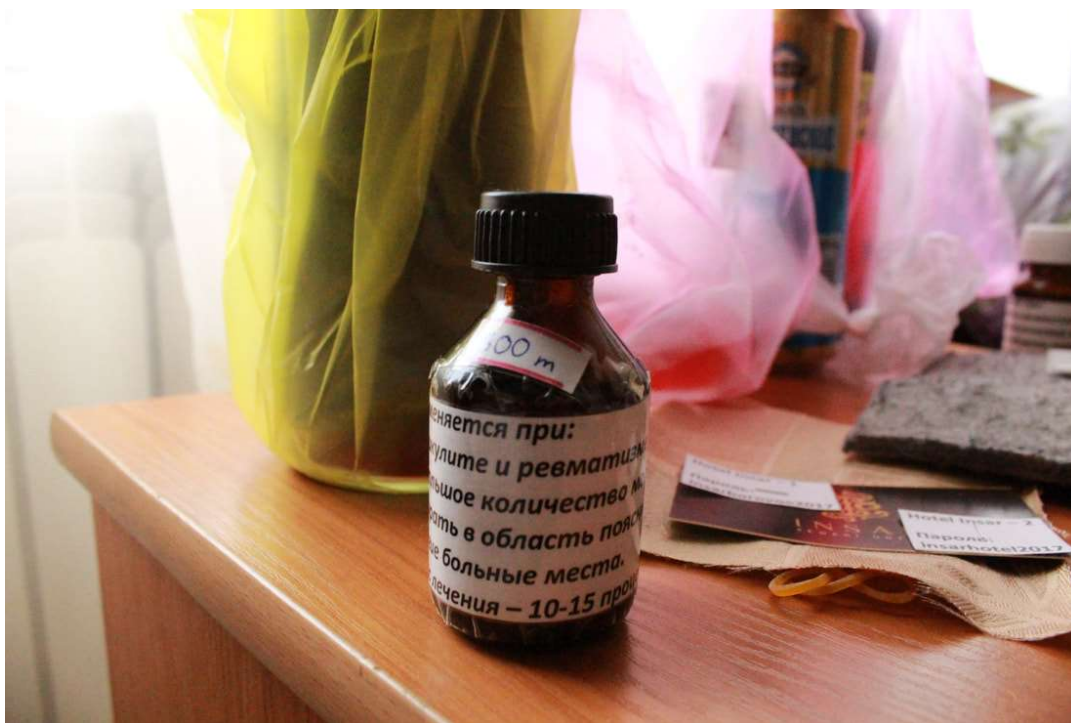
Według sprzedawcy, wszystko jest tak zdrowotne, że właściwie życie wieczne to kwestia słoika lub góra dwóch. Widać, że nie brakuje Rosjan i że krajowcy dobrze rozumieją specyfikę klienta zza północnej granicy.

Dominuje zdrowie i rozrywka - grzyby i skarpetki z wielbłąda na zdrowie, wina, a także nalewki z berberysu i szyszek w celach bardziej rozrywkowych (ale oczywiście też zdrowotnych).

Drogo nie jest, buteleczkę oliwy zdrowotnej z szyszek dostałem za 300 KZT. Oczywiście już po pierwszym wtarciu nastąpiła magia i wszystkie możliwe kontuzje przeszły jak ręką odjął. Do tego jeszcze ładnie pachnie.



Flakon lokalny, z berberysu.



Troszkę kłamią, ale przynajmniej olejek bardzo ładnie pachnie.

Ekstazą wioskowych okolic w tej części świata są banie. W Moskwie to też piękna rozrywka, tyle że bardzo droga. W Kazachstanie można mieć bardzo tanio - od 400 KZT za osobę w prywatnej łaźni - i za nieco drożej. Z racji najazdu turystów ostatecznie przetestowaliśmy też opcje mniej budżetowe, po 4K i 5K KZT. W życiu jeszcze nie mieliśmy takich luksusów, że codziennie w bani. Ta za 400 KZT też się broniła, nawet mimo tego, że jedyny dostępny dla nas termin był o 8 rano.



Banya w wersji full wypas, czyli śliczne kafeleczki na ścianach i podłodze



A tutaj dorzucimy kolumnę. Bez kolumny będzie do kitu.



Zakaz przynoszenia mocno cuchnących produktów spożywczych, żywych zwierząt, oraz zakaz polewania alkoholem kamieni w saunie :(



Filcowe kapelutki dla prawdziwych fanatów sauny

Niestety, lokalna gastronomia już nas tak nie zauroczyła. Z opcji wegetariańskich była pizza, bo nawet większość sałatek zawierała mięso. Jak bardzo się nie staraliśmy, ciągle dostawaliśmy mięso i w ciągu trzydniowego pobytu w Borowoje zjedliśmy więcej padliny niż przez cały poprzedni rok.

Poznaliśmy też miłych ludzi z południa kraju, którzy udzielili nam informacji, że musimy pojechać w okolice Szymkientu, kupić tam baranka i zamordować go w jakimś magicznym miejscu. W ten sposób uda nam się w końcu spłodzić potomstwo. Ciekawe, czy myśleli, że ona jakaś trefna, czy jemu sprzęt nie staje, bo na pewno nie o tym, że może ktoś ma akurat taki pomysł na życie. Przy okazji strasznie chcieli, żebym z nimi pił wódkę, co groziło wpadnięciem w dziurę w czasoprzestrzeni, bo karafkę zrobili w jakieś piętnaście minut.

Następnego poranka raczej nie mieli 0,0 w wydychanym, ale pojechali z całymi rodzinami do Laplandii, czyli magicznej krainy przy hotelu Rixos. Można tam spotkać świętego Mikołaja, jego elfy, zrobić sobie zdjęcia z reniferami. Dobrze, że panowie nie wyglądali na średnią krajową, bo jak tak z ciekawości zobaczyłem ceny tych atrakcji, to myślę, że taniej bywa u Niemca.

Zaznaczmy, że w hotelu Insar piwo w barze kosztowało zawrotne 260 KZT (+10% napiwku oczywiście). Jest pewien plus mieszkania w Astanie, gdziekolwiek indziej wydaje się, że jest tanio, a czasem nawet bajecznie tanio.

W drodze powrotnej udało nam się odkryć uroki Szczukińska. Miasto z dobrze rozwiniętym przemysłem szklarskim, drzewnym, spożywczym i środków transportu. Na ludzki: totalna postsowiecka depresja, której elementom udało się dodryfować do wczesnych lat 90-tych, ale jednak nad wszystkim góruje ciężki sowietyzm.



Czy warto? No cóż, większość ludzi widziało już w życiu trochę skał i jezior, więc nie tracą bardzo wiele, gdy nie zobaczą akurat tych. Jest to jednak całkiem przyjemne miejsce na spokojny wypoczynek, zwłaszcza gdy pracuje się w Astanie. Można obrać wersję budżetową, można iść w ekstrawagancję. Robienie z tego jakiegoś cudu świata to chora przesada, ale nawet przy solidnie ujemnych temperaturach jest tam przyjemniej i ciekawiej niż w stolicy.

BONUS

Wiadomo, że jak ludzie wypoczywają, to się bawią, a jak się bawią, to bywa grubo. Widać, że właściciele restauracji i łaźni w Borowoje są na to przygotowani.

БОЙ ПОСУДЫ	
1. ВАЗА ДЛЯ ФРУКТОВ	2000
2. БОКАЛ НА НОЖКЕ	1100
3. БОКАЛ ДЛЯ СОКА	1100
4. БОКАЛ ДЛЯ КОКТЕЙЛЯ	1200
5. ПИВНОЙ БОКАЛ	1500
6. ТАРЕЛКА ПОД ВТОРОЕ	1300
7. ТАРЕЛКА СУПОВАЯ	1300
8. ЧАЙНАЯ ПАРА	1600
9. ЧАЙНИК ФОРФОРОВЫЙ	3000
10. СОУСНИЦА, РЕЗЕТКА	800
11. СОЛЬ, ПЕРЕЦ НАБОР	1500
12. ПЕПЕЛЬНИЦА	800
13. ГРАФИН ПОД СОК	2000
14. РЮМКА	800
15. ГРАФИН ПОД ВОДКУ	1200
ПОРЧА МЕБЕЛИ	
1. СТОЛ	10000
2. СТУЛ	8000

W tym lokalu rozważałem kupno kufła do piwa, bo 1500 to nie bardzo dużo, a był ładny.



Кафе «Гушан»

Бой посуды

Наименования	Цена
Стаканы 1шт	500тг
Рюмки 1шт	400тг
Пивная кружка	700тг
Пивалки	300тг
Фужеры	600тг
Бокалы	600тг
Менюжницы	400тг
Графин	600тг
Тарелки	600тг
Чайная пара	800тг
Зеркало	40000тг
Раковина, окно	20000тг
Унитаз	* 50000тг
Стол, диван	120000тг
Люстра, телевизор	200000тг

За порчу остального имущества и нанесение морального ущерба по усмотрению администрации!!!

'Za zniszczenie pozostałego wyposażenia i poniesione moralne straty według oceny administracji'



Штраф за порчу имущества в бане:

Таз	700 тг.	Стул	5 000 тг.
Ковш	300 тг.	Стол	20 000 тг.
Таз дерево	10 000 тг.	Чайник	7 000 тг.
Чайные пары	1 600 тг.	Часы	2 000 тг.
Пепельница	500 тг.	Зеркало	20 000 тг.
Рация	20 000 тг.	Мусорное ведро	3 000 тг.
Лавка	30 000 тг.	Вешалка	12 000 тг.

Zdecydowanie najtaniej, czyli jeżeli oddawać się destrukcji, to w łazni, a nie w restauracji.

Springtime sadness

Pojechałem na południe Kazachstanu tylko po to, żeby gdzieś pojechać. Przeraziła mnie wizja spędzenia długiego weekendu - trzech dni - w Astanie, po prostu stwierdziłem, że ja tego nie przeżyję. Początkowo myślałem o jakimś małym Pawłodarze i Ekibastuzie, a potem wypilem czwarte piwo i stwierdziłem, że zrobię kolebkę narodu, rdzeń kazachskości, pustynię i mauzolea. Nie wiedziałem za bardzo po co, ale wiedziałem, że przynajmniej nie będę w Astanie, a to już usprawiedliwia każdą wycieczkę.

Święto narodowe miał cały kraj. Ja zabrałem się do zabaw w moje dość późno, w efekcie witały mnie takie ceny biletów, że za mniej można sobie kupić samolot, a nie tylko nim lecieć. Ostatecznie wybrałem pociąg, bo przecież w krajach postsowieckich te są wcale niezłe. W Kazachstanie trochę nawet myślą i są pociągi nocne, znalazłem połączenie z Astany na południe. Wyjazd o 19:57, następnego poranka o 8:54 osiąga się Taraz, a koło południa Szymkient. Pociąg był tańszy od samolotu, ale też nie za kopiejki, niemniej układ godzin i cen pasował mi na tyle, że wolałem go.

Ceny pociągów są dynamiczne, czyli rosną zależnie od zapotrzebowania. Zapłaciłem prawie 17K KZT za trasę Astana-Taraz, zazwyczaj w tej cenie można mieć samolot, a pociąg na tej trasie kupiony na spokojnie to wydatek około 12K KZT. Skoro nikt nie jest z Astany, to przy jakimkolwiek długim weekendzie wszyscy chcą się z niej wydostać, proste i logiczne.



Wszyscy. Nawet robotnicy z tych baraków.

Wybrany przeze mnie skład odjeżdżał z nowego dworca Nurly Zhol (czyli peron światła/światlisty peron), zwanego czasem Astana-2. Wszyscy nienawidzą tego miejsca, dostanie się tam transportem publicznym jest skomplikowane i zajmuje ocean czasu, więc niemal zawsze kończy się na braniu taksówki, a że to wypizdów Astany, to kosztuje ona zazwyczaj jakieś 1500 KZT. O wiele łatwiej dostać się na Astana-1, ale nowsze pociągi lubią chodzić z Nurly Zhol, więc co jakiś czas trzeba się przemęczyć. Sam dworzec ma wielkie ambicje do bycia ważnym węzłem komunikacyjnym. Jednak póki co ilość połączeń nie sprawiła, że ludzie mówiąc 'kolejowy w Astanie', myślą o nim. Nie, myśli się o Astana-1, przy ulicy Johanna Wolfganga Goethe, gdzie są sklepy i restauracje, a nie światlisty peron pośrodku stepu, wypakowany niepotrzebnymi sieciówkami w stylu telefonii komórkowej Beeline. Tyle, że kible czyste i za darmo.

Sam pociąg to hiszpańskie Talgo. Legenda pośród ludzi, z którymi pracuję. Świat dzieli się na tych, którzy Talgo jechali i tych, którzy nie. Jest to piętro niżej od chińskich Gaotie, ale też piętro wyżej od tradycyjnego polskiego PKP. Czysto, wygodnie, łóżko rozsądnych rozmiarów, klimatyzacja, miła obsługa. Oczywiście obywatele robią, co mogą, żeby tak pięknie nie było, przedział obok żarli kurczaka i narobili chlewu na ładniejszym dywaniku, po korytarzu snuli się ludzie w klapkach i szortach, nerwowo miętoląc papierosy w oczekiwaniu na stację. Bo też ten cud techniki palarni nie ma, więc na każdym przystanku naród wyskakuje palić. A tych nie ma zbyt wielu, pociąg jedzie szybko i sprawnie. W efekcie około 1300 kilometrów do Tarazu pokonuje się w około 13 godzin, wszystkie przyjazdy i odjazdy od zegarka. Na pokładzie jest wifi, ale pozwalało ono tylko na sprawdzenie sobie informacji związanych z pociągiem.

Nie wziąłem ciekawszego picia do pociągu, bo coś mi mówiło, że nie ma po co. Miałem rację, jechały ze mną dwie panie znacznie ode mnie starsze. Jedna wracała z Astany do jakiegoś miasteczka nad jeziorem Bałchasz, miała takie sińce pod oczami, jakby konserwatywnemu imamowi zasugerowała trójkąt z legwanem. To wszystko było efektem szkolenia, kosmetycznego wyduszali jej coś tam z nosa. Każdy z przyszłych trenerów miał takowe przejść, żeby wiedzieć, co robi klientowi. Za trzy dni sińce miały zniknąć, a wszystko jej się dzięki temu tak poprawiło, że o ja pierdołę. Pani jechała do jakiejś stacji oddalonej od jej miejsca zamieszkania o parę godzin, mówiła, że jest dobrze, bo mąż odbierze ją samochodem, potem tylko dwie godziny po średniej jakości drogach, i będzie na miejscu. Konkretnie, nad mitycznym, legendarnym jeziorem Bałchasz, gdzie najpierw została nauczycielką w-f w czasach sowieckich. Potem pracowała w aptece, ale apteka splajtowała - to bardzo nie dziwi, ilość aptek w republikach postsowieckich przebija nawet Polskę, na dystansie 10 minut od mojego mieszkania są cztery. Po upadku apteki siedziała na bezrobociu jakieś dwa lata i żyła z pensji męża, również nauczyciela w-f. Potem otworzyła salon kosmetyczny.

- A pan ile tu zarabia?

Nauczyłem się na błędach, żeby nigdy nikomu nie mówić.

- To musi być dużo, że pan tu mieszka, a nie w Polsce, w Unii Europejskiej?

Nie powiem.

- Ja tak dla porównania chcę wiedzieć. Bo mąż ma biedę, trochę ponad 100K KZT.

Podąłem solidnie zaniżone zarobki, nie mówiąc o innych rzeczach. Widziałem skromną zawiść. Podziękowałem sobie, że nie powiedziałem, jak bardzo okradam Kazachstan. Już się nauczyłem, żeby kłamać w takich sprawach, bo krajowcy nienawidzą inostraców za ich pensje.

Druga współpasażerka jechała do Tarazu, bo syn znalazł sobie tam żonę. W imię jakiejś lokalnej tradycji musieli całą rodziną odebrać ją i jechać na ślub do miasta syna, czyli Astany. Matka pana młodego musiała spędzić około 13 godzin w pociągu, potem 13 w Tarazie i 13 w drodze powrotnej. Najbardziej bała się tych 13 w Tarazie. Trochę mniej się bała pociągu, bo jej noga nie domagała. Miała bilet na górne łóżko i mówiła płaczliwie, że ona tam nie da rady wejść, bo ona ma chorą nogę i że osób w jej wieku nie można lokować na wysokich pryczach. Powiedziałem, że jedna górna jest moja i że według informacji od kanara, to kandydat na drugą dolną nie pojawi się przed 3 w nocy, więc ma parę godzin snu na swoich warunkach. Na chwilę ją to uspokoiło, ale potem pytała, co ona robi jak jej o 3 w nocy powiedzą, że nie może leżeć, gdzie będzie leżała, ona na tę górę nie wejdzie, i co wtedy? Stać na korytarzu? Raczej bezskutecznie wyjaśnialiśmy jej, że na pewno nie będzie aż tak źle.

Mieliśmy rację, ojciec rodziny, która wsiadła koło 3 w nocy, zgodził się iść na górę, a ona mogła leżeć z chorą nogą na dolnej pryczy. Zmierzać w stronę ślubu syna i powrotu z dodatkowym członkiem rodziny.

Moją radość związaną z odkrywaniem uroków Tarazu zakłócono jeszcze przed wyjazdem. Najpierw ekipa z Almost Paradise poinformowała mnie, że Taraz to bieda, a potem współpracownicy, które na wieść o tym, że jadę do Tarazu, stukały się energicznie w czoło i pytały po co. Trudno powiedzieć, że jak wysiadałem o tej 8:54, to miałem wielką wiarę, że będzie warto. Oczywiście dworzec jest kawałek od centrum, szczęśliwie za 45 KZT przemieściłem się autobusem solidnie starszym ode mnie i mogłem oglądać uroki miasteczka. Widywałem biedniejsze i bogatsze. Trochę się sypie, trochę stoi, w wielu miejscach wywieszono pełno patriotycznych sloganów i haseł jedności narodowej. Bardzo popularne jest także Ruchanie Żangiru, jest to chyba najbardziej ruchające żangir miasto w kraju. Z powodu jakiegoś świątecznego biegu przez centrum, autobus miał zmienioną trasę i poinformował, że muszę sobie sam ogarnąć końcówkę drogi do mauzoleum. Wielkiego problemu nie było, w kilka minut później stałem przy głównych atrakcjach miasta.

Po pierwsze jest meczet z IX wieku, który dość gruntownie odnowiono i wygląda jak meczet z 9, ale 2009. Nie ma w nim niczego ciekawego, gdy wlażłem, to pracownicy patrzyli na mnie jakbym oszalał albo się zagubił. Najciekawsze jest wejście, stylizowane na strony z Koranu. Zwiedzania jest na jakieś 40 sekund, jeżeli długo sznurujemy buty, to może na dwie minuty.



Architektura mówiąca w pełnej krasie

Za meczetem jest główna atrakcja miasta, czyli Mauzoleum Karakana. Naprawdę, wybudowali mauzoleum Karakanowi, który wywodził się z dynastii Karachanidów. Z racji święta narodowego kasa nie pracowała, więc po ustaleniu, że z Polski, pan od pamiątek wpuścił mnie za darmo (normalnie pobierają 200 KZT). Samo mauzoleum jest dość ładne z zewnątrz i umiarkowanie porywające od środka. Stoi sobie sarkofag, zdobień żadnych nie ma. Miałem cały ten obiekt sam dla siebie, więc nawet było dość przyjemnie i intrygująco, można było się zadumać nad losami życia Karakana, który leży tam gdzieś od X wieku.

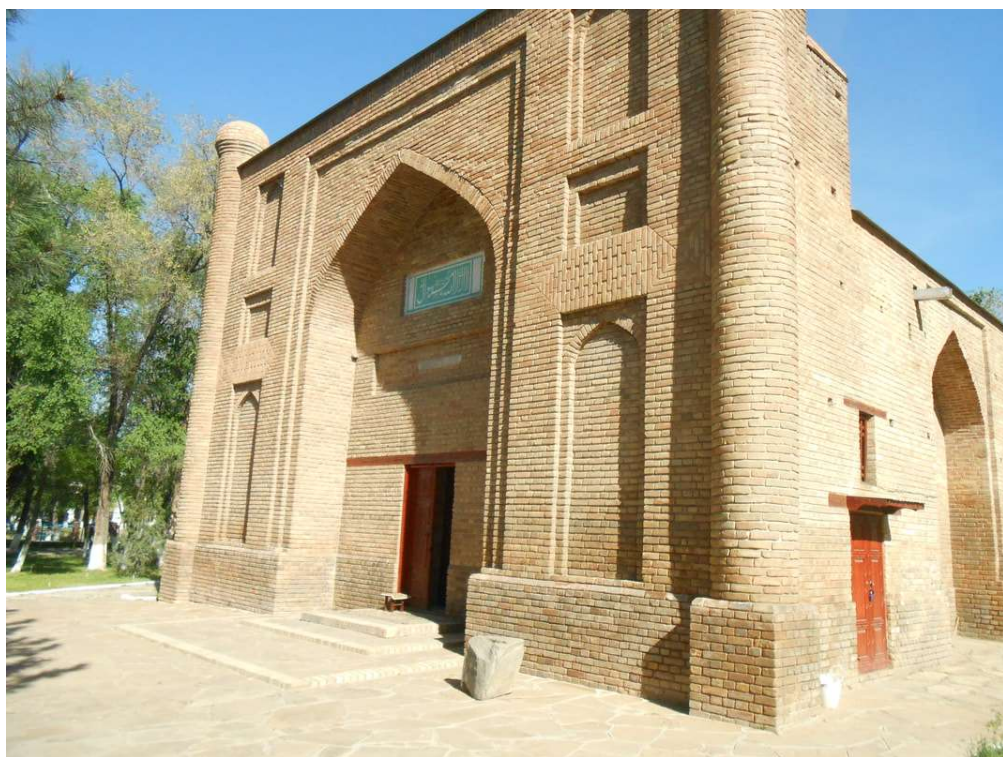
Legenda głosi, że Karakan kochał szesnastoletnią Ayszę Bibi, szesnastoletnia Aysha Bibi kochała Karakana. Gdy zmierzała na ślub z ukochanym zatrzymała się nad brzegiem rzeki, żeby się ochłodzić. Tamże upierdolił ją wunż ze skutkiem śmiertelnym, jakieś 18 kilometrów od współczesnego Tarazu. Ukochany pobiegł zobaczyć dogorowającą Ayszę i postawił jej raczej okazały grób. Zaś samo mauzoleum Karakana ma wejście orientowane na drugie, należące do jego ukochanej. Przyznam, że wizja organizowania taksówki (czytaj: targowania się) i ciągnięcia do kolejnego, raczej podobnego obiektu, sprawiła, że zmiękła mi rura i ograniczyłem się do Karakana. Obok niego jest jeszcze mauzoleum Dautbeka, innego lokalnego władcy. Obiekt mniej okazały i dość podobny dla niewprawnego oka. Ze dwadzieścia sekund oglądania. Uznałem, że dwa na jeden dzień wystarczą.



Zieleń wygląda na dużo nowszą niż mauzoleum



Małe, zgrabne mauzoleum. W sam raz dla Karakana.



Mauzoleum na miarę naszych możliwości!



I kot mauzolealny. Pewnie wyłapał wszystkie inkarnacje Karakana.

Przed parkiem z mauzoleami spotkałem dwójkę lokalnych. Turystów w Tarazie zbyt wielu nie ma (ja widziałem dokładnie 0), więc zainteresowali się moją szlachetną twarzą i postacią, rozpoczęli pytać, co i jak u mnie. Opowiedziałem im, więc posypały się dalsze pytania, ale także oferty. Oczywiście panów bardzo interesowało ile zarabiam, a ile mógłbym zarabiać w Polsce. Nawet solidne zaniżenie wynagrodzenia sprawiło, że nie byli za szczęśliwi. Raczej nie mogłem im powiedzieć, że pracuję za 100K KZT miesięcznie, bo w to by nie uwierzyli. Oczywiście w głowach krajowców nie występuje taki ciąg myślowy, że skoro ktoś ściągnął cię solidny kawałek świata, to dlatego, że jesteś do czegoś potrzebny i być może umiesz coś, czego oni nie (inną sprawą są realia późniejsze). A gdzie tam, okradasz ciężko pracujący naród.

Szczęśliwie, panowie jakoś to znieśli i nawet zapytali, czy nie jestem zainteresowany wzięciem sobie żony z południowego Kazachstanu. No tak bez zdjęć, bez prezentacji, bez wódki, bez kumysu i szubatu? Tak to można kota w worku kupić, a nie żonę. A nawet kota chciałbym sobie wcześniej oglądnąć i pogłaskać. Poświeciłem więc obrączką, podziękowałem sobie, że jakąś chwilę temu zalegalizowaliśmy związek i że istnieje taki międzynarodowo rozpoznawalny znak tego, że nie da rady, nawet tutaj - chociaż przeważająca większość ludności jest za Islamem, to wielożenstwo w Kazachstanie jest zakazane, około 40% męskiej populacji jest za i aż 22% kobiet, (zdarzało się, że temat stawał się dość ważkim przy różnych wyborach politycznych).

Panowie polecili mi lokalne muzeum. I tak chciałem tam iść, ku memu pewnego zaskoczeniu, było ono otwarte mimo tego, że atmosfera drugiego weekendu ogarniała cały kraj. Byłem jedynym gościem, a muzeum było niemal dokładnie tym, czego oczekiwałem:

- Dyżurna historia paleontologiczno-mineralna regionu, jakieś wrzuty ludzi jaskiniowych.
- Wielka Wojna Ojczyźniana, z naciskiem na wkład lokalnych w zwycięstwo
- Wielkie sukcesy w czasach socjalizmu, czyli dyplomy wręczono pracownikom różnych lokalnych gospodarstw za ich wkład w budowę najlepszego systemu świata.
- Wielka wystawa o pierwszym prezydencie Kazachstanu i ruchanie żangiru.

Jedyną niespodzianką była sekcja muzyczna. Z niej dowiedziałem się, że Anna German to lokalna bohaterka, właściwie Kazaszka i to pochodząca z Tarazu-Zhambulu. Faktycznie, piosenkarka mainstreamowo uznawana za polską urodziła się w obecnym Uzbekistanie, gdzie jej rodzina dała dyla przed NKWD. Młodość szansonistki upłynęła w Azji Środkowej, poza Uzbekistanem mieszkała w Kirgystanie i właśnie w Tarazie, który wówczas zwał się Zhambul. Spędziła w nim jakieś 2,5 roku, od 1944 do 1946. Jej matka była nauczycielką w szkole numer 37, do której uczęszczała też późniejsza artystka. Potem w oparciu o dokumenty ojczyzna (bo biologicznego ojca NKWD było łaskawe rozstrzelać w 1937), Anna z matką dokonały repatriacji i w 1946 roku przejechały do Polski. Podczas wizyty w Tarazie nie wiedziałem o tym, że w fasadę hotelu Zhambul wmurowano tablicę upamiętniającą największą lokalną gwiazdę. Dom artystki nie zachował się, ale podczas tournée po okolicy zatrzymywała się w ww. hotelu.

Obok była sekcja muzyki świata, gablotkę poświęcono nucie koreańskiej. Ciekawe jakie tam sekrety skrywały się w gablotach, co też wymyślono i kogo uszczęśliwiono pochodzeniem kazachskim.



Bez plakatu z hasłem o Ruchaniu Żangiru nie może być żadnego muzeum!



Nie da się zrobić muzeum w kraju postsowieckim jeżeli nie ma się wśród eksponatów samowaru i garmoszki. NIE. DA. SIĘ!



Gablotka poświęcona Annie German

Sama dawna nazwa miasta jest dość radosna. Mający za sobą 2000 lat osadnictwa Taraz bywał czasem Talasem, ale dopiero w 1864 nazwa uległa solidnej zmianie, bo na uzbeckie Auliye-Ata. W 1936 roku miasto zaczęło się nazywać Mirzoyan, ku czci wcześniejszego sekretarza Socjalistycznej Republiki Azerbejdżańskiej, a ówczesnego Socjalistycznej Republiki Kazachskiej. Niestety, tak się złożyło, że pana zabito w 1938 roku (w sposób w jaki wiele osób w ZSRR zginęło w 1938), więc musiano zmienić nazwę miasta. Uznano, że bezpiecznym wyborem będzie Zhambul, na cześć lokalnego artysty, poety-pieśniarza, Zhambula Zhabajewa. Pan trochę dał światu - a to jakiś utwór rewolucyjny, a to mała pochwała Stalina, a to Jeżowa, wystarczy, żeby zostać patronem 2000-letniego miasta. Niestety, pełnych tekstów nie znalazłem, ale już tytuły pokazują, że był to wielki artysta - utwory "Wybieram Stalina", "Kraj szczęścia" - są przecież współcześnie zestawiane z poematami Owidiusza. Sprawa, niestety, deko się jebła, bo okazało się po latach, że jego sekretarze tworzyli większość tekstów - sam Zhambul był niepiśmienny, za to podobno ładnie grał na dombrze. Zasadniczo mógł dyktować, ale podobno nie dyktował i mu napisali te wielkie liryki o Ojcu Narodów i konstytucji autorstwa wiadomo kogo. Kazachstan w 1998 roku wrócił do starej nazwy Taraz, zapewne przerażony tym, że istnieją podejrzenia o plagiat. Autorowi liryku "Pieśń o bohaterze Jeżowie" pozostawiono obwód żambulski, który jest mniej więcej rozmiarów połowy Polski.

Muzeum znajduje się przy głównym placu, który jest o wiele za duży i mimo imprezy sprawiał wrażenie pustego. Dwóch tysięcy lat historii miasta w ogóle nie czuć. Poza centrum typowa postsowiecka bieda, w centrum właściwie nic, trochę odnowionych budynków rządowych, dyżurny pomnik jakiegoś króla z dawnych czasów, średnie muzeum i tyle.



Coaching po kazachsku



Pomnik dombry. Czegóż chcieć więcej?

Oczywiście miasto rozmiarów Taraz MUSI mieć kilka dworców autobusowych. Docieranie do nich to prawdziwa karuzela śmiechu, autobus wypakowany był po sufit i jechał trasę dość konkretnie wijącą się po okolicy, zahaczając przy tym o wszystkie bazy. Kierowca tak się ucieszył, że turysta od Lewandowskiego, że zaprosił mnie do siedzenia na skrzyni biegów. A że miał na niej dywan, to było całkiem wygodnie, tylko parę razy nieco popuściłem ze strachu jak widziałem jego manewrówkę - wyprzedzanie prawą stroną po nieutwardzonym poboczu przestało na mnie robić wrażenie już po tym jak to zrobił trzeci raz, ale z prawego pasa w lewo, przez środek skrzyżowania, no to był jeszcze lepszy manewr. Zastanawiałem się, czy to obecność obcokrajowca go prowokuje, czy zawsze tak jeździ.

Na awtowokzale najpierw mi powiedzieli, że busów do Szymkientu jest bardzo mało i że muszę jechać na inny dworzec. Jeden akurat był, prawie pełen, więc w jakieś piętnaście minut odjechałem i za 1100 KZT mogłem cieszyć się podróżą po pięknych drogach południowego Kazachstanu. Tu warto dodać pewną ciekawostkę: z

dworca bardziej centralnego marszrutki są po 1000 KZT, co bileterka określiła żenującą determinacją i wstydem, żeby za tyle jeździć. Jednocześnie miał to być znak agonii tamtego węzła komunikacyjnego. Nie wiem co tam jeździ, ale nie sądzę, że lepiej, trafił mi się całkiem nowy Mercedes Sprinter, który pozwolił na przespanie się jakąś godzinę z prawie trzech, których było potrzeba na pokonanie trasy do stolicy południa kraju.

Przejazd przez południe kraju jest doznaniem umiarkowanie fascynującym. Zazwyczaj nie ma niczego, a jak coś jest, to będzie jakiś maszt z flagą, który upamiętnia np. 20 lecie Kazachstanu. Droga nie jest zła, ale czasem staje się zwirowa, a czasem blokują ją kozy lub krowy. Życie w tamtych okolicach musi być tak ciekawe, że już lepiej iść nad rzekę i mieć nadzieję, że będzie czołgał się jakiś litościwy wunż, który ukróci nasze cierpienia związane z mieszkaniem w tak strasznym miejscu.

Miałem zamiary na przystanek, gdzie sugerowano mi wysiąść, ale kierowca marszrutki był z Tarazu, powiedział, że Szymkientu nie zna, więc pojechałem na dworzec Samal. Ten piękny węzeł komunikacyjny położony jest dość dziwnie, bo solidnie niżej od drogi głównej, zapewne, żeby trudniej było wyjeżdżać. Szczęśliwie, aplikacja 2GIS odpowiedziała jak dojechać i w jakieś 30 minut później pukałem do kwatery. Zastanawiałem się, co mnie czeka, okolice bloku i klatka schodowa zapowiadały okrutny sowietyzm. W środku niespodzianka, nowoczesne, czyste i ładne mieszkanie. Miła pani (choć tylko w rosyjskiej wersji językowej), która oczywiście od razu zapytała, gdzie pracuję i czy dobrze się zarabia. Szybko się pożegnaliśmy, jeszcze przed tym zadałem pytanie:

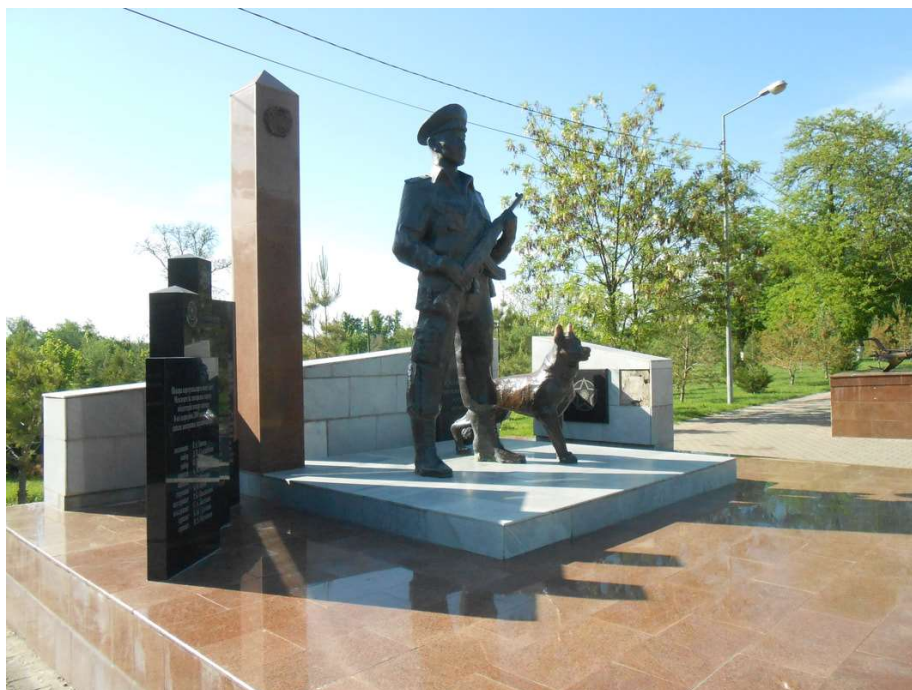
- Jak najłatwiej dostać się do centrum?
- Centrum? A co pan ma na myśli?

Jakąś godzinę później zrozumiałem ją bardzo dobrze. W Szymkientie trudno mówić o jakimś centrum, mamy solidny urodzaj mikrorajonów (mnie przyszło mieszkać w szesnastym) i jakieś tam centrum, które nie ma centrum. Poszedłem do parku Abaja, który jest pięknym dowodem na to, że eklektyzm nie ma granic. Jest Aleja Pamięci poległych w II Wojnie Światowej (*130 tysięcy nazwisk), pomnik ku ich

pamięci, ale też jakiś dziwaczny MiG (chyba 29). Potem są pomniki poległych w Afganistanie, ale obok jest centrum rozrywek dziecięcych, więc zaduma nad losem synów Szymkientu połączona była ze słuchaniem Shakiry. Dzieci z nudów wieszają się na czołgach i armatach, bo nie mają na to centrum rozrywek. Tuż obok jest muzeum ofiar represji politycznych, ale w niedzielę nie robią.



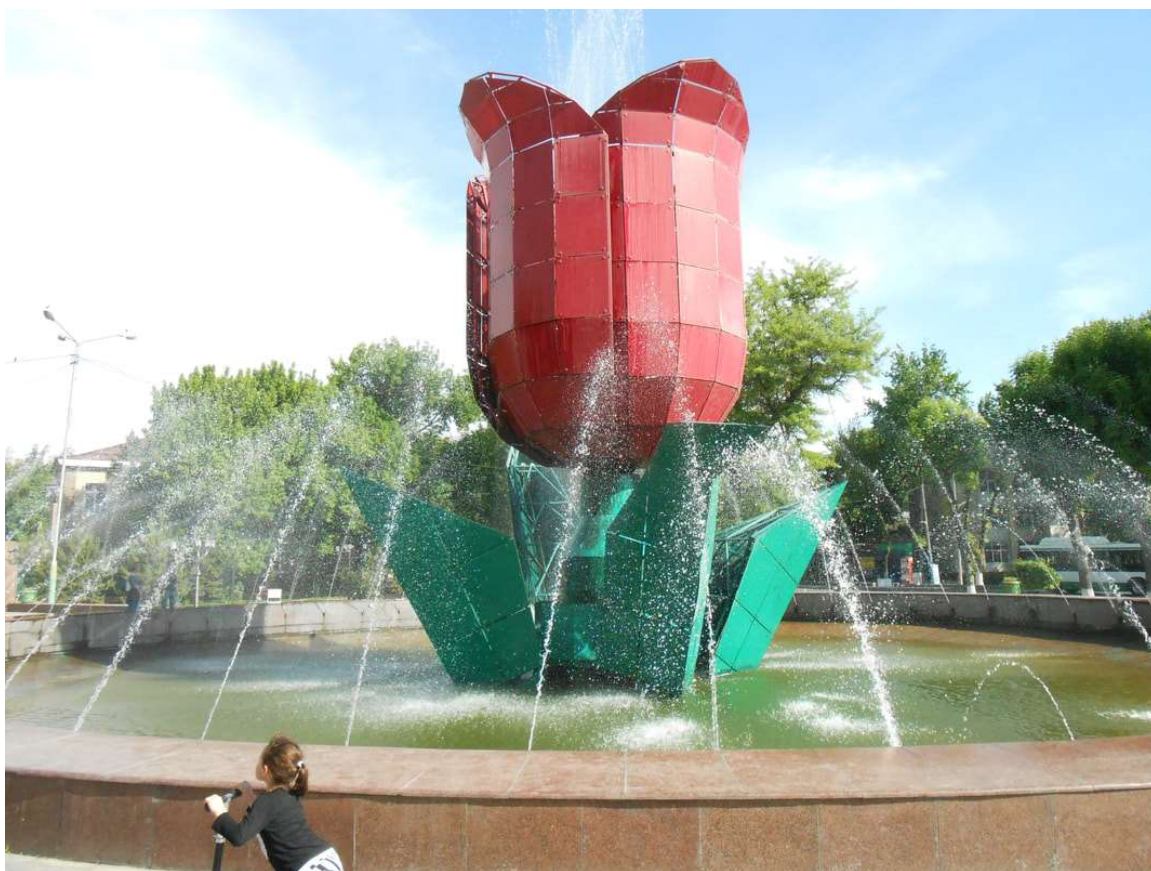
Nie, to nie tupolew



Pasja do piesełłów pomnikowych występuje również na południu kraju

Kolejne dwie godziny łązenia po mieście nie przyniosły wielkich odkryć, poza tym, że jest się raczej skazanym na mięso lub pertraktacje, żeby tego cholernego mięsa nie dawali. W jednym z lokali był tłok, zaprosiłem do stolika oczekującą lokalną i dowiedziałem się, że Szymkient to deko nora, ona pochodzi z Ałmat i musi tu być w pracy za brata, który wziął ślub. Trzy miesiące musiała za niego

pracować i cieszyła się, że został jej już tylko jeden. Pytała, czy uwierzę, że w Szymkience nie ma Zary. Uwierzyłem na słowo. A w Ałmatach jest. Też uwierzyłem na słowo. Okazało się, że pani była w Krakowie, w ramach wymiany studenckiej. Jej pobyt w Polsce trwał tydzień, z czego była głównie w Nowym Sączu i chwilę w Krakowie. Wymiana ta miała miejsce w ramach uniwersytetu ekonomicznego. To musi być jakaś prężna placówka naukowa, a wymiana tygodniowa, no to musiało sprawić, że dziewczyna publikuje w najważniejszych czasopiśmie krajowych i międzynarodowych. Nie do końca chciała się przyznać, ale chyba po tych wybitnych studiach przyszło jej pracować przy sprzedaży lodów na stanowisku młodszego menedżera, tak wywnioskowałem ze zdjęć z jej miejsca pracy i zaproszenia do odwiedzenia jej wieczorem. Na pytanie o park XX lecia niepodległości wzruszyła ramionami. Mieszkała w Szymkience w końcu dopiero dwa miesiące, więc nie wiedziała, gdzie takie niepozorne miejsce może być.



Czy wszyscy już wiedzą, że tulipany są z Kazachstanu?

Znalazłem jakiś park chyba pamięci lokalnych muzyków (ciekawe, czy napisali coś dla towarzysza Stalina lub Jeżowa). Bazar, który w Lonely Planet wpisany jest jako spadkobierca tradycji Jedwabnego Szlaku. Tak, w takim samym stopniu jak każde inne targowisko świata, które sprzedaje żywność bez zachowania żadnych standardów sanitarnych. Park XX lecia niepodległości obejrzałem z okien autobusu. No cóż, jest to duży park z betonu, na pewno wart wizyty, ale było po 19, miałem dosyć, ograniczyłem się do obejrzenia tego siedmioletniego cudu z okien autobusu, za to aż dwa razy, bo pojechałem w złą stronę.



Dobrobyt! Kraj w rozkwicie!

Szymkient jest tak zły, że aż dobry. Postsowieckie mikrorajony, wrzutki współczesnej architektury pomnikowej i narodowościowej. Gastronomia w postaci szawarmy, wojna, pomniki poetów i Shakira, wszystko ze wszystkim. Nie owocuje to żadną nową jakością, jest po prostu śmiech przez łzy. Jest jednak wielka różnica w porównaniu z Astaną - to wszystko żyje. W sklepach pełno ludzi, jakieś bary w osiedlowych altankach pełne po sufit, dzieci na placu zabaw, sklepy z losowym asortymentem, emeryci na ławkach i w oknach, cały czas ma się poczucie, że to wszystko czemuś służy i jest potrzebne społeczności lokalnej. W parku w Astanie zdarza mi się być praktycznie samemu, plac zabaw przy moim bloku przez większość czasu świeci pustkami, starszych ludzi widuje się rzadko. Dlatego wieczór spędziłem ciesząc oczy widokami z kuchennego okna i sprawdzając, czy piwo Szymkient jest naprawdę najlepszym w kraju. Tak, jest, ale nie oznacza to, że można się go spodziewać w Europie, bo hitem mimo wszystko nie jest i na skali międzynarodowej zajmuje raczej niskie miejsce.



Wodzu, idziemy z tobą!

Przyszёл czas na atrakcję ostateczną, nazywaną największą w kraju. Turkiestan.

Oczywiście dworzec, zapełnianie marszrutki i dwie godziny średnio ciekawego przejazdu. Jakimś cudem główna atrakcja jest po drodze, więc nie trzeba wjeżdżać do miasta. Tu już było widać, że jest to hit turystyczny, sklepy z pamiątkami, kolejka do kasy (o ile bezładną walkę i przepychanie się można nazwać kolejką, w Kazachstanie można).



Estetyka etykiety pozostawia nieco do życzenia

Główną atrakcją widać z daleka, a jest nią mauzoleum Ahmeda Chodży Jesewi(ego), myśliciela i poety z XII wieku. Budynek jest w trakcie remontu i pewnie w końcu zrobią z niego nówkę, obecnie nie jest źle, trochę czuć, że jest to miejsce dość stare. Budowę zlecił Timur, który umarł w 1405. Po jego śmierci prace przerwano, więc fasada nie jest zdobiona. W planach były minarety, nigdy nie powstały. Mogą się pocieszać, że później wybudowane budynki w Samarkandzie wzorowały się na zastosowanych w Turkiestanie rozwiązaniach architektonicznych. Obawiam się, że pewnego dnia prace renowacyjne przyozdobią fasadę, dobudują te minarety i będzie gorzej.

W odróżnieniu od Karakana, w środku jest trochę staroci i pomieszczeń do zwiedzania. Rozmiary też są dość imponujące - 38,7 metra wysokości, cały budynek na planie prostokąta 45,8 na 62,7 metra, sala główna na planie kwadrata o boku 18,2 metra, łącznie 35 pomieszczeń w stylu meczet, kuchnia. Było dość tłoczno, ale tak naprawdę nie ma za wiele do podziwiania, chyba że ktoś kręci dwutonowy kazan (lokalny typ garnka) z 1399 roku. Zdjęć robić nie wolno, całość jest na może 10 minut, jeżeli bardzo chcemy dokładnie pooglądać święte miejsce i się zadumać, do czego realia raczej nie zachęcają.

Paradoksalnie, mauzoleum najlepiej wygląda od tyłu, jest trochę zdobień, chociaż większy przepych też widywałem.

Okolice są do przejrzenia w kilkanaście minut, podziemny meczet jest nawet ciekawy, jakieś rekonstrukcje z wielbładami nie. Nie miałem siły na muzeum, obawiałem się, że znowu zobaczę info o największym prezydencie świata i historię geologiczną okolicy.

Ostatecznie jaj mi nie urwało. W Iranie byłaby to trzeciorzędna atrakcja, może drugo. Mają nieco pecha, bo wszystkie perły architektury, którą zapoczątkowało mauzoleum obecnie są w Uzbekistanie.



Znów zieleń dużo nowsza od zabytku

Mówiono mi od tyłu miesiący, że Turkiestan powala, że spodziewałem się więcej. Dla Kazachów to miejsce o wyjątkowym znaczeniu dla kształtowania się tożsamości narodowościowej i właściwie miejsce, gdzie rozpoczęło się kształtowanie narodu. Dla osoby z innym paszportem, jest to trochę ciekawej architektury, ale na pewno nie będę nikomu mówił, że musi to zobaczyć. Są jeszcze ruiny Sauran, jakieś 45 kilometrów od miasta. Opuściłem sobie, bo ogląd zdjęć na necie nie wróżył niczego wielkiego. Widziałem parę takich rzeczy w życiu, chyba zbyt wiele, żeby się ciągnąć do kolejnych.



Czasami tak bywa, że turyści lgną do mauzoleum



Wystające belki są znakiem rozpoznawczym tej budowli



To pewnie tu należało zabić baranka, żeby żonie urosły cycki!



Tył d

Karawana jak żywa! Gdyby tak faktycznie chodzili, to pewnie tego pana z przodu sprzątnęliby bandyci 10 minut po wyjściu z dowolnego miasta...



Było fajnie, ale czas do domu.

Po zwiedzaniu stanąłem na przystanku w stronę Szymkientu. Po chwili zapytałem lokalnych, czy coś tu czasem jeździ. Powiedzieli, że tak, ale do Szymkientu to trzeba stać pięć metrów obok przystanku, bo to jest lokalny zbiorkom. Przeszedłem te pięć metrów i od razu zatrzymał się samochód. Za 1000 KZT, cenę marszrutki, poleciałem zdezelowanym BMW ze średnią prędkością 140km/h, chwilami wpadającą w 180km/h. Droga niby skomplikowana nie jest, ale czasem ktoś przebiega, czasem płacze się jakieś zwierzątko. Wiedziałem, że będę albo bardzo szybko, albo nigdy.

Pan wysadził mnie na dworcu Bekzhan. To miejsce też na pewno jest swoistą odpowiedzią na Jedwabny Szlak, tu zamiast mięsa mieli meble i narzędzia budowlane. Szybko stamtąd uciekłem. Jeszcze trochę poczytałem sobie o atrakcjach miasta, ale nie było o czym mówić, czy czytać. W Szymkientie jest bardzo, bardzo mało.

Następnego poranka wziąłem taksówkę, pojechałem na lotnisko i wsiadłem do samolotu lecącego do Astany. Było trochę ubawu, bo starsza pani usiadła w klasie biznes i powiedziała, że ona woli tu niż tam. Diewuszka, ja nie chcę tam do tyłu, mnie tu dobrze, co za problem masz? Bardzo podobało mi się to zderzenie zdrowego rozsądku z polityką linii lotniczych. Ostatecznie panią jakoś tam przesadzono, ale było wiele kwęku w temacie. A biznes klasa leciała pusta.

Podczas mojego pierwszego dnia w Szymkience, telefon mówił 35 stopni. Drugiego tylko 22. Trzeciego 12. Wylądowaliśmy w Astanie. Pilot powitał wszystkich pasażerów informacją o pogodzie. 8 stopni, chmury. Witamy w dramacie życia.

Ramadan: the beginning

Mieszkając w kraju laickim, w którym jednakże większość ludności to muzułmanie, nie miałem jakoś w głowie tego, że spotka mnie tu Ramadan. Dopiero 15 maja firmowy kanał komunikacyjny poinformował nas, że z racji tego, że zaraz się zacznie, to ogłoszona zostaje impreza w celu uświetnienia kończącego się 25 maja roku szkolnego. Potem nasz pan dyrektor będzie duchowo przeżywał post i nie będzie mógł jeść, więc chciałby nas zaprosić na pizzę.

Po tym pojawiło się najważniejsze pytanie:

- Czy będzie to w godzinach pracy?

Odpowiedź znałem od razu i mogłem jej udzielić samodzielnie: Nie, bo godzin od razu nie napisano i zaproszono nas, a nie kazano nam przyjść - takie niuanse wiadomości trzeba się tu nauczyć wyłapywać dość szybko, żeby nie blokować kanałów komunikacyjnych.

Takie okoliczności spowodowały, że z imprezy wypisała się większość zaproszonych (z około 20 osób ostatecznie wybrało się sześć). O ile w uczestniczeniu w tych cyrkach szczególny interes mają ludzie, którzy chcą tu zostawać na kolejny rok (a ja do nich nie należę), to jednak stwierdziłem, że może to będzie jakieś ciekawe. Facet ważący dość solidnie musi się nażreć, bo przez kolejny miesiąc będzie mógł to robić tylko po nocach. To pewnie nie będzie sobie żałował i zrobi solidną wyżerkę, można będzie zostać jej beneficjentem w najlepszej cenie świata. Elementów religijnych się nie spodziewałem, bo rozdział szkoły od wierzeń jest tu wręcz modelowy, ale liczyłem, że dowiem się czegoś ciekawego. Na przykład, czy to prawda, że dziewczynki nie muszą pościć przed osiągnięciem dojrzałości seksualnej, którą wyliczono na ukończenie dziewiątego roku życia. Albo tego, że jakim cudem idziemy zjeść 16 maja skoro wszędzie piszą, że Ramadan jest w tym roku od 15 maja. Tu lubią oszukiwać na datach, zwłaszcza urlopów, mnie to nie dziwi, ale żeby walić w chuj samego Allacha? Potem mu powiecie, że ma gorszy kalendarz niż wasz?

Zaczął się wręcz bajkowo; ponieważ miały być rowery na świeżym powietrzu, pozwolono nam wyjść ze szkoły nieco wcześniej, żeby przebrać gacie na takie bardziej odpowiednie, a także żeby nie brać ze sobą laptopa. Nie od dziś wiem, że pracuję z niesamowitymi ludźmi, ale nawet znając ich byłem pod wrażeniem, że wychodzili ze szkoły o 16:30, czyli te 30 minut wcześniej, żeby o 17 napisać, że jednak nie pojadą. Wyjazd autobusu spod szkoły zaplanowano na 17. Oczywiście jasne było, że tak nie będzie i że będzie to bliżej 17:30. Poszło i tak zaskakująco dobrze, załadowaliśmy obłędne ilości napojów (6x2l Coli, 2l Fanty, 2l Sprite'a, wodę mineralną) i wyruszyli. No, jeżeli ilość jedzenia pójdzie w parze z ilością picia, to będę się toczył do domu – myślałem tachając zgrzewki do busika.

Astana to takie magiczne miasto, w którym po godzinie 17 robią się obłędne korki, zwłaszcza od naszej szkoły do centrum. Właściwie każde skrzyżowanie staje się wąskim gardłem, a światła miejscami walki o lepsze jutro. Mieliśmy jechać nad jezioro położone za miastem i wydawało się, że nie ma w ogóle po co jechać przez centrum, a tymczasem nasz bus jechał za autem, które wiozło 15 rowerów. Waliliśmy przez wszystkie najgorsze skrzyżowania, ostatecznie gdzieś po 18 dotarliśmy do naszego celu podróży.

Nad jezioro.

Dyrektor oczywiście nie jechał z nami, bo w okolicach jeziora mieszka i pojechał do domu swoim

prywatnym autem, też żeby się przebrać. Przybyliśmy, wytachaliśmy rowery, a raczej część z nich - nie wiem dlaczego dla szóstki osób wzięto piętnaście rowerów, ale ja tu wielu rzeczy nie rozumiem. Rozpoczął się szal kolarstwa!



Tour de Astana

Okazało się, że jezioro istnieje tylko teoretycznie, ale za to jest lasek brzozowy. W nim zrobiono ścieżki rowerowe. Łącznie mogły to być i ze trzy kilometry, ale raczej dwa. Jeździ się w kółko po płaskim, możliwych wariacji tras było ze dwie. No dobrze, po kilkunastu minutach zjeździłem wszystko. Spotkałem dyrektora, który bardzo się ucieszył, że postanowiłem brać udział w tej imprezie plenerowej. W ciuchach do jeżdżenia na rowerze wyglądał jak jakiś emerytowany gangus z Ruczaju. Potem jeszcze widziałem sarenkę, jakiegoś ptaszora, chyba nawet wodnego, i rozpocząłem wpadać na ludzi ze szkoły, którzy przybyli na własną rękę – oczywiście pomniejszych dyrektorów, bo plebsu nauczycielskiego nie zaproszono, tym samym wspierając podziały narodowościowe (Kazachowie kontra świat), którymi żyje cała szkoła. Miałem trochę odejścia na starcie, bo wszyscy się guzdrali, ale gdy już się pozbierali, to jeździło się dość gęsto. No dobrze, chyba nie zajmie to bardzo wiele czasu. Głodny byłem solidnie, lunch jadłem koło południa, a dochodziła 18:30. Popiłem sobie coli, wody, ale jednak, byłem głodny. Oczekiwałem na tę osławioną pizzę, którą mieliśmy się zażerać z okazji startu Ramadanu.

Pierwszy zonk związany z takim wyborem miejsca do celebracji pojawił się, gdy poszedłem do toalety typu toi-toi. Ledwo otworzyłem drzwi, powalił mnie odrażający smród. Szybki rzut okiem pozwolił stwierdzić obecność gnijącego kału na całej cembrowinie “muszli”. Niektórzy lubią z wysoka, ten wlot za duży nie jest, no więc czasem tak bywa, że nasrane jest dosłownie wszędzie, od ścian przez

podstawkę po podłogi. Chyba to wszystko zostawiono na zimę, więc zamarzło, na wiosnę odmarzło, jakiś chory psychicznie gastrolog mógł tam spokojnie napisać kilka doktoratów. Trzasnąłem drzwiami i spróbowałem obiektem obok. Było to samo. Hamując odruch wymiotny jakoś na szybko skorzystałem. Patrząc na te obrzydliwości, pomyślałem, że może dyrektor wybrał to miejsce ze względu na jego swoisty wymiar symboliczny, może miało to reprezentować naszą szkołę i stan rzeczy w niej? Nie miałem czasu, bo zaczynałem dostawać torsji. Korzystałem z różnych dziwnych toalet, ale to był rekord, nawet w Chinach nie widziałem tak obrzydliwego sracza. Pocieszałem się, że jeszcze parę kółeczek na rowerze i rozpoczynamy jedzenie pizzy. Byle tylko za wiele nie pić, a poza tym jak pozostali to odkrywają, to może zaczną chodzić w krzaki, a wtedy to nie będzie problem, zawsze mam tu przy sobie nawilżane chusteczki dezynfekujące.



Od wielu lat wiadomo, gdzie jest najgorsza toaleta w Szkocji. Teraz już wiemy, gdzie jest najgorsza toaleta w Kazachstanie. (źródło: Trainspotting/objectsinfilm.blogspot.com)

Drugi problem związany z wybraniem pleneru w maju jest taki, że było zimno. Niby 10, ale odczuwalna temperatura była może koło 5 stopni. Oczywiście wiało, bo na stepie wieje. Oczywiście wiele razy zdarzało mi się jeść w warunkach średnio sprzyjających, ale raczej nie pchałem się nigdy na pikniki, gdy panowały takie temperatury. Wyjechać z miasta, żeby siedzieć w altance w zimnicy i wietrze, no to kurwa trzeba mieć talent.

Trzecim drobiazgiem okazała się być pizza. Może dlatego, że to nie była żadna pizza, tylko wielki, lokalny pieróg nadziany mięsem mielonym - mielonka zapiekana w cieście po prostu. Nawet w czasach, gdy jadłem mięso, to miałbym kłopoty, bo każdy wie, a raczej nikt nie wie, co tu dają do mięsa mielonego. Tak więc wszyscy jedli, a ja patrzyłem jak wskazówka pnie się mozolnie w stronę godziny 19 i odlicza mi start ósmej godziny bez jedzenia. Potem jeszcze parę kółeczek dookoła nieistniejącego jeziora, dojedzenie tego szlachetnego dania, i mogliśmy się zwinąć.

Dobrze, pójdę do domu i w końcu coś zjem.

Szczęśliwie współpracownicy mieli owoce dla swojego dziecka, więc zjadłem trochę kiwi i jabłka. Biedne dziecko w zamian placek mięsny, na pociechę mogło mi upierdolić plecak jogurtem naturalnym Activia. Tematy rozmów znane i nudne. Gdy już się to zwinęło, pan dyrektor powiedział, że on teraz

pości, więc nie będzie mógł wykonywać wszystkich swoich obowiązków, bo jak tu tyrać jak się nie żre 17 godzin dziennie. Jest to też jego ostatnia przejażdżka rowerowa na najbliższy miesiąc i dziękuję, że zjedliśmy z nim ten ostatni posiłek.

- Nie ma, kurwa, za co.



Ostatnia wieczerza

Rozpoczęło się dzwonienie po transport powrotny. Jedna osoba chciała skorzystać z toalety, ale nie dała rady, tak nią rzuciło jakby rzygała po odstawieniu heroiny. Przyjechali pierwsi, zabrali te nieszczęsne rowery, piętnaście na sześć osób. Okazało się, że rowery należą do szkoły. Szkoła posiada dwadzieścia jeden rowerów górskich, praktycznie nowych. Szkoła, w której walczy się o markery do tablicy, toner do drukarek, a jakiegokolwiek inne rzeczy kupuje samemu, kupiła 21 rowerów, które od jakiegoś roku stały nieużywane – nawet bieżnik na oponach nie był zbrudzony. W nagrodę za to, że wykazaliśmy się taką pasją do kolarstwa, powiedziano nam, że możemy je pożyczyć na weekendy. Rowery załadowano i odjechały w stronę Astany.

Nie było jednak widać naszego busa, po ludzi, tych sześciu osób na piętnaście rowerów. Wydawało się, że przejechał po głównej drodze, ale nie zawinął, gdzie miał zawinąć. Po chwili rozpoczęło dzwonienie z sakramentalnym: gdzieś pan, kurwa, jest?

Oczywiście okazało się, że przejechał, ale zaraz będzie. Po tym jak zaraz urósł do rozmiarów piętnastominutowej bakterii, pan dyrektor powiedział, że ogólnie to on będzie spadał, bo ten tu już na pewno za kilka minut wjedzie, a jest chujowa pogoda, zimno i zaraz zacznie padać. Pożegnaliśmy się,

on wsiadł w swoją Toyotę, a my nie, my staliśmy marznąć – przypominę, że odczuwalna temperatura wynosiła około pięciu stopni, a do tego solidnie wiało. Dziesięć minut później transportu dalej nie było, na pocieszenie zaczęło padać, takimi wielkimi kroplami jak w kreskówkach. Przeszliśmy na przystanek komunikacji podmiejskiej, bo miał daszek, i rozpoczęło się wysyłanie zdjęć z tego wspaniałego popołudnia, tak żeby wszyscy nam zazdrościli. Stoję głodny, zziębnięty, w ryj mi wieje, dziecko współpracowników przerażone, a ludzie napierdalają fotami po wszystkich współpracownikach “Patrzcie, jak my się ubawiliśmy!”. Napierdają tymi zdjęciami do ludzi, których nie zaproszono. Przede wszystkim jest zimno, 19:30, a my stoimy na zadupiu miasta i najważniejsze oczywiście jest zasranie całego WhatsAppa zdjęciami nas na rowerach.

W końcu przyjechał i bus, wpakowaliśmy się, przemarznięci i deko wkurwieni. Tym razem jednak dojechalismy pod szkołę drogą nie wiodącą przez centrum, dobre 20 minut szybciej.

- *Hm, to czemu w godzinach szczytu jechalismy przez miasto, wszystkie skrzyżowania i światła, a teraz szybko boczniejszymi?*
- *Nie wiem, drogę wskazywali ci od transportu rowerów.*
- *A oni mają etat, czy płacicie im za godzinę?*
- *Za godzinę.*
- *To ja już wiem czemu.*

Czekając aż ta pomyłka się skończy, włączyłem telefon i zobaczyłem maila pracowniczego, który był odpowiedzią na innego maila pracowniczego. Jakies dwa dni temu przyszła wiadomość, że w związku ze szkoleniami pożarowymi, należy wypełnić debilne papiery, a w nagrodę otrzymamy certyfikaty poświadczające naszą niesamowitą znajomość procedur ratowania żyć dziecięcych w warunkach ekstremalnych. Ktoś chciał odpisać znajomemu, ale odpisał do wszystkich, jakichś 260 osób, wliczając w to dyrekcję:

- *Na chuj mi to?*

Był to pierwszy przypadek, że ktoś wysłał coś szczerego na tę listę. Wiadomość, która miała jakikolwiek sens i była ciekawa. Tak mnie to urzekło, że ostatecznie z wycieczki uświetniającej początek Ramadanu wróciłem wyposażony znacznie bardziej od wyznawców Allacha, ale za to z wielkim uśmiechem na ustach.

Astanageddon

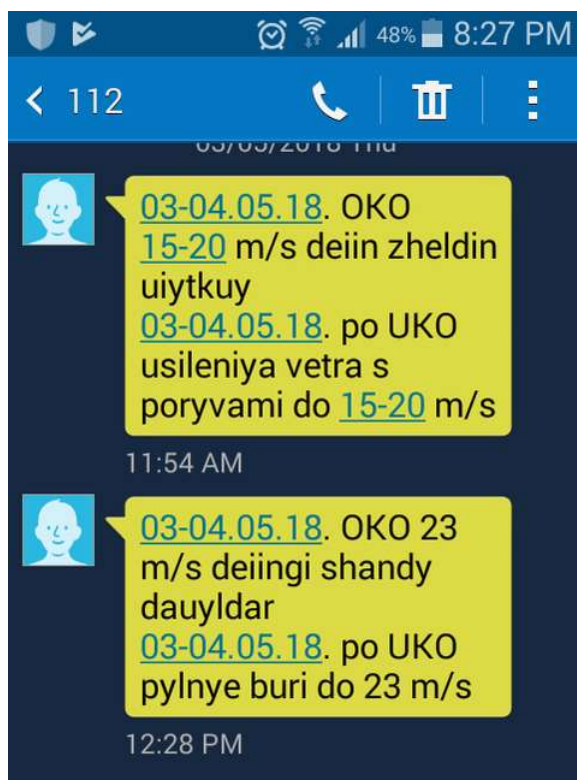


This is madness... This is Astana! (źródło: https://tengrinews.kz/kazakhstan_news/apokalipsis-v-astane-foto-i-video-posledstviy-uragana-344832/)

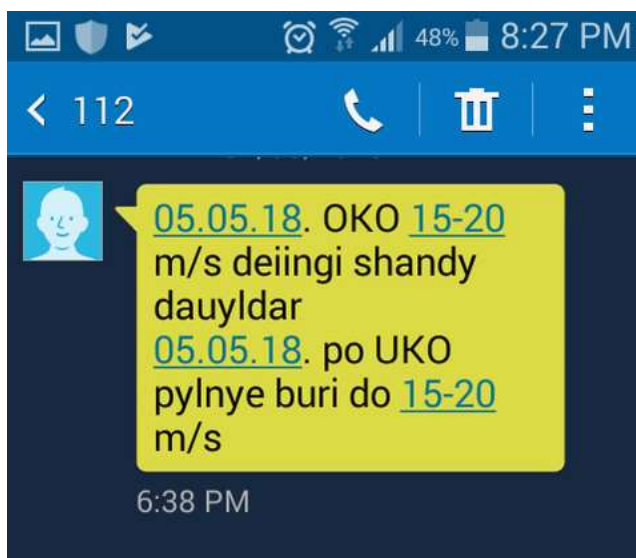
Wiedziałem dobrze, że zima w Kazachstanie, a zwłaszcza w Astanie, jest sroga. Już od września wszyscy się na nią gotowali, a gdy nadeszła, opowiadali o tym, jaka cudowna jest tu wiosna. Pewna starsza nauczycielka mówiła mi, że muszę tylko wytrwać do Nauryz (końcówki marca), a potem koniecznie rzucić się na zwiedzanie okolicznych aułów-wiosek. Że to jest coś wspaniałego i wynagrodzi mi te jakieś pięć miesięcy warunków zesłania w warunkach opisanych przez Szalamowa. Jest maj. Mało kto do mnie pisze smsy poza Tele 2, moim operatorem sieci komórkowej. W ramach minimalizowania strat w ludziach, operatorzy przesyłają ostrzeżenia w razie zaistnienia ekstremalnych warunków pogodowych. W zimie pisali o buranach i temperaturach w stylu -35 stopni. Że może nie musisz wychodzić, siadź sobie, poczytaj, odpocznij, bo na zewnątrz możesz dostać w pysk przelatującym przystankiem albo znakiem drogowym. Jasne, fajnie, ma to sens, że ostrzegają przed pogodą. Pisali też o zamkniętych drogach, najczęściej była to trasa Astana-Karaganda, czasem też Astana-Ust Kamienogorsk. Przyjazne, mogliby tak i w Polsce robić, po co masz się pakować na nieprzejezdną drogę? Wpisywałem to na plus życia tutaj, że aż tak się troszczą. W marcu smsy pogodowe niemal przestały przychodzić, nie ma sensu pisać, że jest -10, bo to każdy wie, że jest i da się wyjść. Przez kwiecień była cisza i nie spodziewałem się, że jeszcze kiedyś zobaczę treści pogodowe. No bo co też można napisać w maju? Przecież jest wiosna, mrozu nie będzie.

Okazało się, że można, w sumie jeszcze więcej niż w zimie. Jestem pod wrażeniem ilości

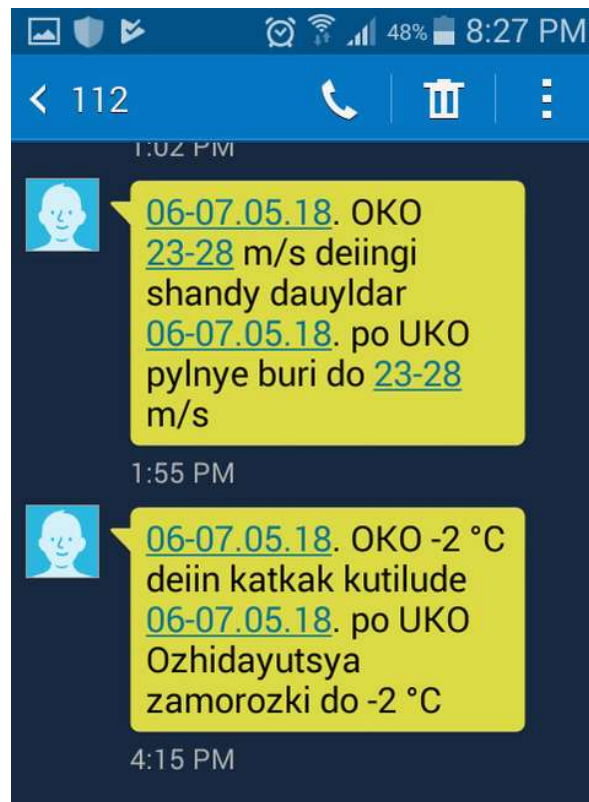
korespondencji, przyszło jej tyle, że właściwie nie miałem w maju dnia, gdy do mnie nie napisali.



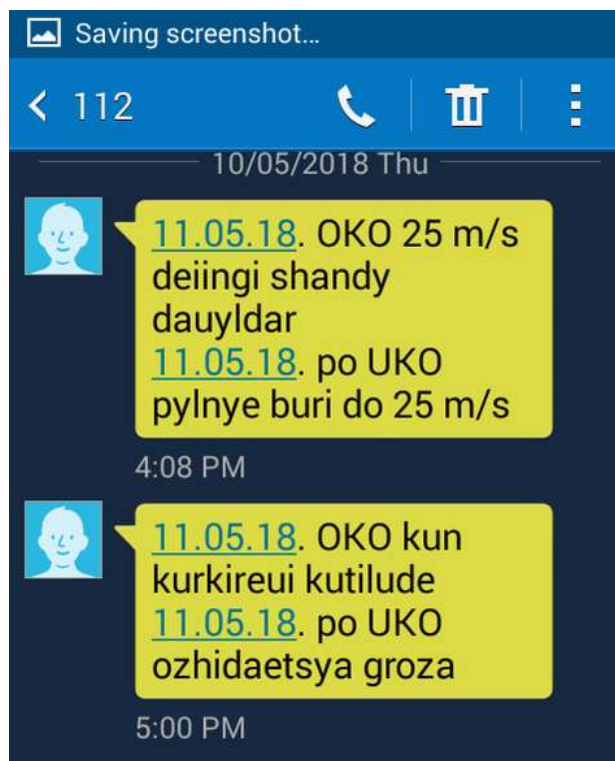
3-4 maja, wiatry niosące pył, 15-20 m/s



5 maja, to samo



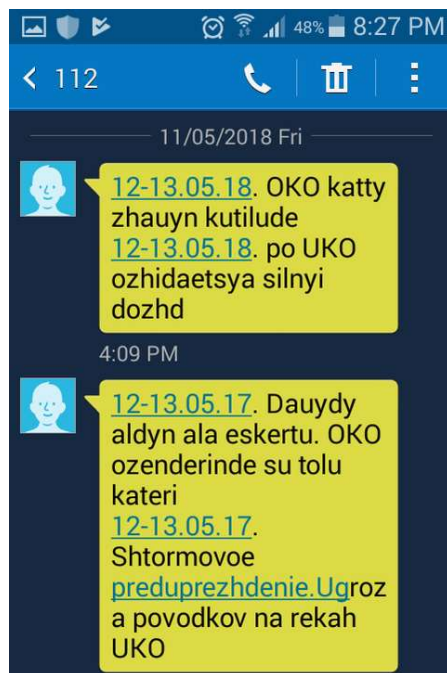
6 i 7 maja, spadek temperatur do -2 stopni (TAK KURWA!!!)



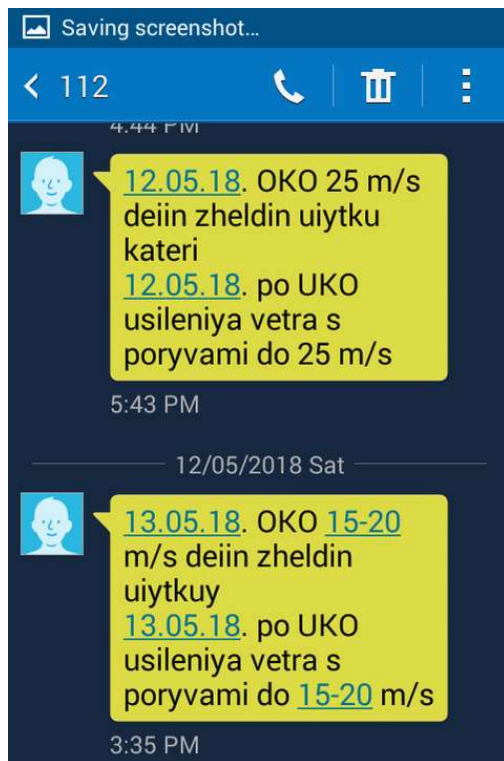
11 maja, wiatr 25 m/s.

Tak na ludzki: 15-20 m/s to jest, że wieje, ale ogólnie da się przejść do sklepu i pracy. Przyjemne to nie

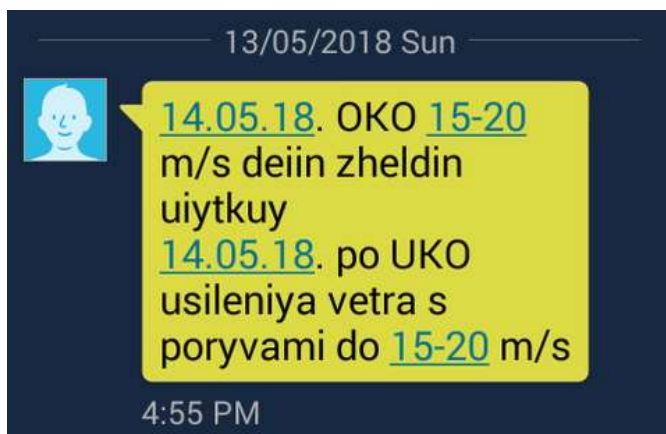
jest, ma się syf w oczach i we włosach, ale da się przeżyć. 25 m/s to już jest walka, w pysk leci pył i piasek, fruwią śmieci. Wychodzi się tylko, gdy się nie ma wyboru, okien się nie otwiera. 30 m/s to są fruwiąjące ławki.



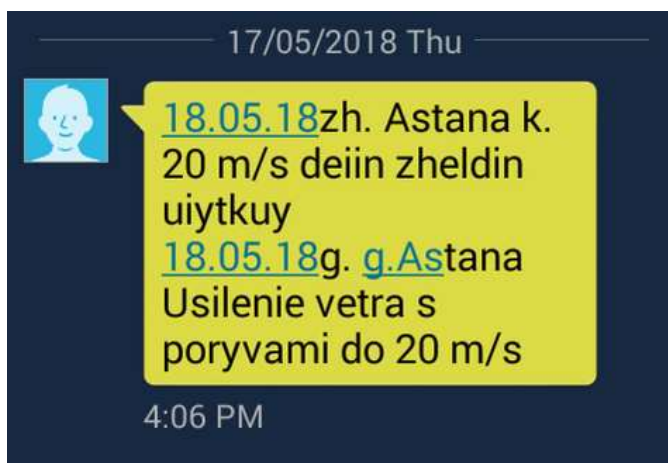
12 maja - ostrzeżenie przed deszczem i burzowe



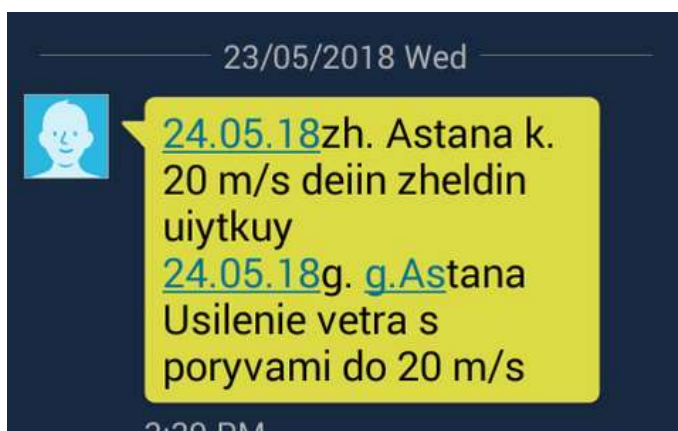
również 12 maja, wiatr 15-20 m/s. 13 to samo plus burza.



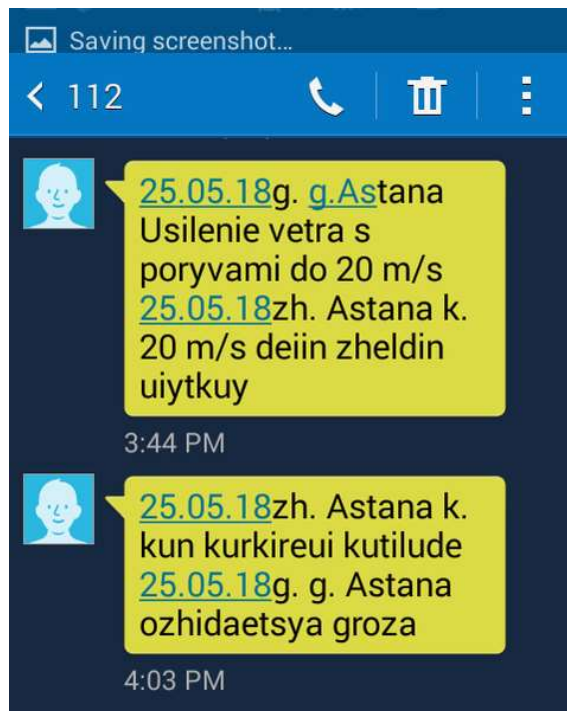
14 maja - tylko wiatr.



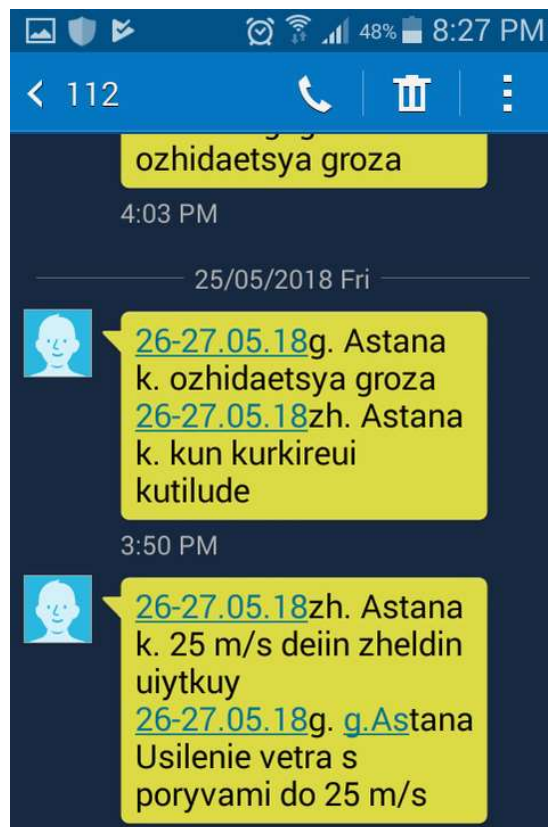
18 maja, wiatr 15-20m/s.



24 maja. Patrzcie bracia i siostry, przez sześć dni nie dostałem ostrzeżenia pogodowego!!! Wiatr 20 m/s.



25-26-27 - burza i wiatr



25-26-27 - burza i wiatr

Na tej liście nie ma 23 maja, bo te ostrzeżenia są warte tego smsa, co je na nim napisano. 23 maja nastąpiło zjawisko pogodowe zwane obecnie lokalnie 'Apokalipsą w Astanie'. Trudno się nie zgodzić. Wyszedłem ze szkoły przepalić i po coś do sklepu. Zapowiadało się na solidną burzę, ale nie

zapowiadało się na wiatr, który wyrwie cegły z bloków (brawo lokalne budownictwo) i na to, że po okolicy będą latały reklamy sklepów, stoliki ogrodowe, a nawet dach mojej szkolnej stróżówki. Stałem kilkanaście minut przy wejściu do podziemnego parkingu i słuchałem jak rezonują kolejne przelatujące obiekty. Widziałem, co leci, wiem plus-minus, co się dzieje, gdy człowiek dostaje w miękkie frunącą blachą falistą. A że place budowy tu są dość radosnym chaosem, to bezpańskich blach falistych nie brakowało.

<https://youtu.be/g0dw1ugh07Q>

<https://youtu.be/hD3sEVhScEE>

W zderzeniu Astany z pogodą straty oficjalne wyniosły 235 milionów KZT, a rannych zostało 13 osób. Nie sądzę, że ktokolwiek liczył, ile samochodów zostało zniszczonych, okien wybitych, znaków drogowych wyrwanych, przystanków rozwalonych, itd. Z bardziej spektakularnych widoków, padł dźwięk na jednej z budów. Pałac zgody i pojednania zmienił nieco swą bryłę.



Takie są efekty piramidalnej głupoty... (źródło: https://tengrinews.kz/kazakhstan_news/apokalipsis-v-astane-foto-i-video-posledstviy-uragana-344832/)

W tym miejscu chcę pogratulować miłościwie panującemu decyzji o lokowaniu stolicy w tym miejscu. Kolejne propyzy idą do budowlańców, którzy tak solidnie poskładali budynki, że gdy wieje, to odpadają cegły i dachy. Sobie chcę pogratulować, że przebiegłem w ścianie deszczu i pośród latających kawałków elewacji do szkoły. To jest naprawdę adrenalina lepszego sortu, gdy w pięć sekund ociekasz wodą, w powietrzu wisi ze 40 stopni, biegiesz, a koło ciebie frunie reklama stołówki oddalonej o 200 metrów.



Bob Budowniczy rozpaczalby (źródło: https://tengrinews.kz/kazakhstan_news/apokalipsis-v-astane-foto-i-video-posledstviy-uragana-344832/)

Ż jak Żanat

W ramach przypomnienia rzeczy najważniejszych, 'Jenot' jest w Kazachstanie imieniem w wariacie Żanat (więcej o kazachskich imionach [tutaj](#)). Okazuje się też, że jest stygmatem, bo jakość Żanatów na zakładzie jest taka, że mogliby ich zastąpić wiadomymi zwierzętami.



Ja też mogę być dyrektorem! (źródło: polskazachwyca.pl)

Syn współpracownicy chodził w tym roku do naszej szkoły. Przyjechał z RPA dość późno, gdzieś w listopadzie, więc poszła po linii najmniejszego oporu i wrzuciła go do nas. Od przyszłego roku idzie do konkurencji, bo powiedziała, że edukacją własnego dziecka nie będzie się bawić i ma on odebrać wykształcenie kompatybilne z brytyjskim systemem edukacji. A to, co nasza szkoła oferuje, nie jest kompatybilne z niczym, nawet z kazachskim sylabussem szkół publicznych. Pozwala jednak na robienie kariery wcale niemałej liczbie osób, na przykład panu Żanatowi. Pan Żanat ma lat 24 i w tym roku został wicedyrektorem. Wszystkich to solidnie zdziwiło, bo konserwatywnie zakłada się, że dobrze mieć kilka lat doświadczenia w uczeniu zanim obejmie się stanowiska dyrektorskie. Ale ETA KAZACHSTAN!, więc tu nie trzeba.

Zastanowiło wszystkich, skąd i jakie plecy ma Żanat, bo jeszcze rok temu uczył matematyki w klasach 6-9. Rodzice jednej z klas siódmych mieli pewne podejrzenia co do jakości jego nauczania i zabrali swoje dzieci na jakiś narodowy egzamin. Tam poszło idealnie, nasi uczniowie oblali test z wielkim hukiem, do tego zrobili średnio mniej punktów niż uczniowie ze szkół publicznych, które mają tu opinię legendarnie złych. Rodzice się słabo ucieszyli i narobili gnoju - a to chamy! - więc pod koniec roku na pedsowiecie (czyli radzie pedagogicznej) Żanata zlinczowano publicznie, obarczono winą o ten wstyd i w ogóle prawie zesłano do gułagu. We wrześniu zaś mianowano wicedyrektorem, może uznając, że w ten sposób narobi mniej szkód niż jakby uczył.

Żanat edukował syna współpracowniczki. Pod koniec czwartego semestru ta nieszczęsna kobieta załogowała się do naszego cudownego systemu oceniania, żeby zobaczyć jak synowi poszło z matematyki, bo wiedziała, że to nie jest jego najmocniejsza strona. Skala ocen jest 0-8: 0 oznacza, że nie pojawił się, a 8 dla takich, że im Schroedinger nosi kątomierz. Z przerażeniem zobaczyła, że syn ma 1. Wiedziała, że orłem nie jest, ale 1 to dają za to, że się podpiszesz, a jej dziecię jednak coś tam z matematyki ogarnia. Pognała więc do Żanata, że chciałaby zobaczyć test swojego syna. Okazało się, że Żanat testy zgubił. Żeby jakoś z sytuacji wybrnąć, zmienił ocenę z 1 na 7. Był wielce zdziwiony, że ona jakaś taka niepokieszona, przecież 7 to bardzo dobra nota, o co drzeć dupę? Właśnie dlatego od września jej potomek idzie do innej szkoły.



*Ile jest 2+2? Hmm.... (źródło:
https://c1.staticflickr.com/4/3275/2882128284_ec72871807_b.jpg)*

Można powiedzieć, że Żanatów-kierowników u nas dostatek. Drugi wicedyrektor Żanat odpowiedzialny jest za zaopatrzenie. Markery, nożyczki, papier, farby, spinacze, zszywacze, po to wszystko uderza się do Żanata.

Teoretycznie.

Praktycznie dostanie czegokolwiek po listopadzie graniczyło z cudem. Szkoła uznała, że mamy już wystarczająco dużo klejów, kredek, nożyczek i farb do końca maja. W lutym przez dobre dwa tygodnie nie mogliśmy drukować, bo skończyły się tonery, a szkoła była w trakcie 'negocjowania kontraktu z wykonawcą usługi'. Na ludzki: szkoła nie zapłaciła za napełnienie tonerów, więc firma odmówiła świadczenia nam usług dopóki nie zapłaci. W końcu uczniowie uiścili chesne za marzec i udało się 'wynegocjować kontrakt', czyli zapłacić pieniądze, które szkoła była winna tej nieszczęsnej firmie. Tak mniej więcej działał 'resource manager' przez cały rok.

Przez dwa miesiące szukałem Żanata, żeby dostać nowe markery. Przez dobry miesiąc nie byłem w stanie pisać na tablicy, szczęśliwie mamy też elektroniczne, ale najlepiej uczy mi się używając

jednocześnie tradycyjnej i multimedialnej. Zestaw markerów standardowo zapewniany przez szkołę kosztował chyba jakieś 1100 KZT i oferował cztery kolory. Wystarczy, pod warunkiem, że są.



Nikomu nie oddam moich markerów. (źródło: <https://commons.wikimedia.org/wiki/User:Jpogi>)

Niektórzy nauczyciele zaczęli sami kupować te pierdolone pisaki, ale ja stwierdziłem, że !NO PASARAN!. To jest prywatna szkoła, uczniowie płacą ponad 200 000 KZT miesięcznie, bez jaj, że nie mamy MARKERÓW. No więc moja walka o markery skończyła się tak, że nie miałem markerów, a jak byłem wkurwiony, to mówiłem uczniom, że mają sobie zapisać ze słuchu, albo iść do pierdolonego Jenota-Żanata i mi przynieść markery. Sugerowano mi, że jestem bogaty i mogę kupić samemu, ale powiedziałem, że jestem bogaty, bo nie wydaję na coś, co szkoła powinna zapewnić. Trwało to tyle, że nawet Tamara włączyła się do tej walki i zaangażowała w nią jedną z naszych przełożonych. Wspólnymi siłami udało nam się ustalić, że Żanat nie był w pracy od końcówki listopada. Tak, wicedyrektor nie przychodzi do pracy od końcówki listopada do marca i nikt nie widzi w tym większego problemu. To też pokazuje jak poważna była jego praca. Nie wiem jaką pensję za nią otrzymywał, ale cokolwiek powyżej 0 KZT było przepłacaniem i marnowaniem pieniędzy. Na pewno też jego stanowisko nie miało żadnego związku z tym, że jego matka była wicedyrektorką, w końcu osoba zajmująca się markerami i ołówkami musi mieć pozycję wicedyrektorską, a do tego adekwatną pensję. W końcu jednak - klękajcie narody! - w marcu Żanat się pojawił i wręczył mi uroczyście markery i dwie ryzy papieru. Wiedział dobrze, kto napierdalał po całym zakładzie, że to są po prostu kpiny, żeby facet na oko 25letni był DYREKTOREM wydawania kredek i nie przychodził do pracy, ale pensję z honorami pobierał.

Krążyła też taka opowieść, że jeżeli chodzi się z Żanatem na siłownię i jest się ładną dziewczynką, to wtedy zdobywanie markerów jest o wiele łatwiejsze niż jak się nie chodzi na siłownię z Żanatem i nie jest się ładną dziewczynką.



Żanaty lubią łączyć się w pary (źródło: <https://ja.wikipedia.org/wiki/user:663highland>)

Nie dość, że te biedne zwierzęta nie mają chwytnych łap i w ogóle za wiele ze świata nie rozumieją, to jeszcze nazywa się ich imieniem skorumpowanych kazachskich debili*, którzy nie potrafią wykonywać swojej pracy.

* Debilizm jest chorobą, która nie jest śmieszna i obecnie nie powinno się używać tego terminu, bo jest nacechowany negatywnie. Jednak brakuje mi słów bardziej adekwatnych do określenia poziomu Żanatów, z którymi, niestety, pracuję.

Ruhani Zhangiru

Jeżeli ktoś czyta cyrylicę, to nie będzie szukał długo, a jeżeli nie, to może się nigdy nie dowiedzieć. Jeszcze człowiek dobrze nie opuści lotniska w Astanie i już może zobaczyć dość charakterystycznego ptaka podpisanego Ruhani Zhangiru. Nawet jeżeli przyjeźdnemu umknie ten obrazek, to znajdzie go on chwilę później. Ruchanie Żangiru jest w Astanie obecne średnio co kilkaset metrów. Wszelakie atrakcje miasta, centra handlowe, ale nawet zwykłe place budowy, wszędzie tam możemy zobaczyć charakterystyczne ptaszydło podpisane Ruchanie Żangiru. Przy okazji wizyty w Tarazie wspominałem, że to miasto chyba najbardziej Ruchające Żangir w kraju, tam zagęszczenie charakterystycznych logotypów w mych odczuciach przebiło nawet Astanę. Nieco skromniej Ruchali Żangir w Szymkencie, tak jakby się nieco krępowali. Pozostaje odpowiedzieć na pytanie najważniejsze:

- *Ruchanie KOGO?*



No jak to kogo? Żangiru!

Tak się niesamowicie poskładały języki świata, że po kazachsku Ruchanie Zhangiru oznacza odnowę duchową. Szczegółom sprawy Kazachstan poświęca nawet stronę internetową: <http://ruh.kz/en> - po przełączeniu na angielski, otrzymujemy rosyjski i kazachski, tak poważnie podeszli do zagadnienia! Ale spokojnie, to tylko menu, bo wszystkie teksty pozostają po kazachsku - trzeba należeć do tej grupy wybrańców, którzy poznali ten umiarkowanie mainstreamowy język, żeby móc odkryć sekrety tego zjawiska. Udało nam się ustalić, że jest to program odnowy duchowo-społecznej całego kraju.

Ruchanie Zhangu jest jednocześnie realizowane na trzech płaszczyznach:

- modernizacja ekonomii,
- reforma konstytucji,
- modernizacja publicznej świadomości.



Hej do przodu!

Zwłaszcza ta ostatnia wydaje się być najważniejszą. Bo co do ekonomii, to ta korupcja pozwala wielu ludziom żyć wcale dostatnio, a konstytucję przy jednowładztwie reformuje się dość łatwo. Świadomość narodowa to nieco większe wyzwanie, rozbija się na następujące podpunkty:

- przejście języka kazachskiego na alfabet łaciński - wyjaśnienie jest takie, że 75% świata używa alfabetu łacińskiego, więc pozwoli to na integrację kraju z ww. światem, ułatwi cyfrową modernizację i wymianę kulturalną z innymi krajami.

Czy coś może pójść nie tak?

Ależ nie, plan przejścia opracował pan prezydent, ogłoszono go 26 października 2017 roku. Językoznawcy złapali się za głowę, więc 19 lutego 2018 roku zmieniono nieco zasady gry. Wcześniej zakładano używanie apostrofów - w ten sposób słowo "wiśnia" otrzymało pięć apostrofów na pięć liter.

Współpracowniczka mówiła, że brat dostał dwa apostrofy do imienia - wpisujcie to sobie do formularza wizowego. Obecnie kazachski ma 42 litery, 33 rosyjskie i 9 własnych, a wprowadziły im go czasy pewnego Wielkiego Językoznawcy. Po reformie będzie łacinka i trochę diakryty. Całe przejście ma się dokonać do roku 2025, koszta będą raczej ogromne, a efekty zobaczymy, ale wiele osób pozostaje sceptycznych. Ta reforma ma nakłonić do nauki języka samych OBYWATELI, których wielu tak sobie umie w kazachski. Na pewno przekona to mniejszość rosyjską do edukacji na lokalnych uniwersytetach, a nie na rosyjskich.

- sekcja "Sto podręczników" planuje przełożenie na kazachski największych światowych dzieł, które pomogą młodzieży zmierzyć się z wyzwaniem stawianym przez współczesność.

Mają uczyć pragmatyzmu i współzawodnictwa w świecie pełnym zagrożeń. Klątwą tą dotknięta zostanie humanistyka. Z wykazu na stronie wynika, że wzięli dzieła zachodnich autorów, ale daleko im jeszcze do setki. Obstawiam, że będą wrzutki wiadomego pisarza lub o wiadomym pisarzu.

- program Tugan Zher ma na celu zwiększyć przywiązanie obywatela do ziemi, jego małej ojczyzny, budowanie więzów na poziomie lokalnym i rozwój troski o kraj. Przy okazji poszerzenie wiedzy o faunie, florze i zabytkach w Kazachstanie.
- geografia sakralna Kazachstanu - szeroko rozumiana pamięć (sakralna, kulturalna, historyczna) różnych miejsc, które mają zostać atrakcjami turystycznymi kraju
- zapoznanie świata z dorobkiem kulturalnym Kazachstanu, co ma dać okazję lokalnej inteligencji do wykazania się swymi talentami
- 100 twarzy Kazachstanu - to z kolei szansa dla ludzi wywodzących się z różnych grup etnicznych i społecznych, by pokazać się jako modelowi obywatele, którzy odnieśli sukces.



Centra handlowe też przyłączają się do tej wniosłej inicjatywy

Tematyka ostro wzrusza ludność lokalną, jeżeli przeczytaliście skromne zapiski powyżej, to już wiecie więcej od pracujących ze mną Kazachów. Przegląd artykułów z głównej strony Ruchania Żangiru pozwala stwierdzić, że mają one 0 like'ów i było podawane dalej tyle samo razy.

W skandaliczny sposób zarzuca się autorom logotypu zerżnięcie go od kogoś. Zdania są podzielone, czy od Rosjan:

<https://www.facebook.com/evgeniya.gorobets/posts/2120846417928740>



Plakat z parku Sokolniki w Moskwie (źródło: zakon.kz)

Czy Francuzów:

<https://www.zakon.kz/4920564-analog-logotipa-ruhani-zha-yru-nashli-v.html>

Nie podejmuję się zgadywania ile kosztują same banery reklamowe, którymi tak szczerze obdarowano stolicę, a nawet cały kraj. Ile osób znalazło przy tym pracę? Kto i ile przytulił za oprawę graficzną? To pytania raczej bez odpowiedzi.



Porównanie Żangiru z logo orła z Patmos

Za pięknymi hasłami popularyzacji wiedzy o małych ojczyznach, dumie z obywateli i odkrywaniu miejsc ważnych duchowo w Kazachstanie, wydają się kryć inne demony, czyli nacjonalizm. Napotyka on tu na rozliczne trudności, na pierwszym miejscu można wymienić właśnie język z trwającą wiele dekad supremacją rosyjskiego, która w jakimś stopniu utrzymuje się do dzisiaj. Mieszkają tu, w dużej mierze dzięki Stalinowi, rozliczne grupy etniczne (oficjalnie około 130), które cechuje różnorodność religijna (70% islamu, 26% chrześcijaństwa, do tego nawet judaizm, szamanizm, buddyzm). Kazachstan cechuje raczej krótka historia państwowości, a do tego solidna emigracja (mimo przyrostu naturalnego, ludności ubywa, bo dają dyla). Całe Ruchanie Żangiru ma na celu sprawienie, że mieszkający tutaj asymilują się do kazachskiego pisanego łacinką i pokochają elementy wspólnej historii (chodzi raczej o mauzoleum w Turkiestanie niż o Karłag pod Karagandą). W moich tzw. cynicznych oczach, chodzi bardziej o wyruchanie obywateli niż Żangiru. Emerytura na poziomie 47500 KZT wam nie odpowiada? Szkolne klasy na 40 osób was denerwują i chcielibyście wysłać dzieci na studia do innego kraju? Skażenie środowiska w wielu miejscach nie daje komuś tam żyć? Idźcie sobie pogadać po kazachsku pod jakimś pomnikiem z XV wieku, a w tym czasie władza zajmie się wydobywaniem surowców i tworzeniem funduszy inwestycyjnych.

Pyatnica

Minęło pięć dni. Nadszedł piątek.

W końcu po ten piątek się pracuje.

Powraca się więc do domu i rozpoczyna myśleć, co zrobić z tym darem od losu. Tym obiektem uwielbienia miliardów obywateli świata.

W Astanie najczęściej wygląda to tak:

okolice godziny 18-tej - 'Chodźmy gdzieś, jutro możemy spać do południa, można się nie hamować, może będzie z tego pełna pompa!'

Rozpoczyna się wyliczanie miejsc, do których warto iść. Takich, gdzie wie się, że będzie fajnie, że można iść tam w ciemno. Oto pełna lista:

1.

Koniec listy.

'To może centrum handlowe? Kupi się porządną kawę, pesto, może jakiś proszek do prania...'

Najbliżej położone naszego mieszkania centrum handlowe Mega SilkWay jest największym przybytkiem tego typu w Azji Środkowej. Zazwyczaj unikaliśmy go w piątkowe wieczory, bo działały się tam sceny rodem z Black Friday. Zagęszczenie człowieka na metr kwadratowy sprawiało, że co chwilę się na kogoś wpadało - nie pomagała zwłaszcza właściwa dla ludności lokalnej maniera chaotycznego chodzenia i zatrzymywania się na środku alejki lub przy wystawach. W sklepie spożywczym trwała dzika walka, podsycona głównie przez nastolatki, które często przy kasie odkrywały, że nie mają pieniędzy na zakupy, więc trzeba dzwonić po menadżera, żeby im z pakietu chipsy i cola usunął chipsy.

Kolejki do kas? Dziesięć osób to norma. Promocje takie, że drożej niż w normalny dzień.

Miejsca z jedzeniem? Jeżeli ktoś lubi jeść na stojąco, to tak, idealne, bo stolików zazwyczaj nie wystarczało.

Tak więc lepiej było unikać Mega Silkway u progu weekendu. Co gorsza można była spotkać uczniów i uczennice z rodzicami, a miej wtedy wino w koszyku, twarz taka stracona! Inna bajka, że sklep był chyba jakąś ukrytą islamską agendą, bo dział monopolowy był fatalny.



Tak prezentował się Mega Silkway zimą

'To w takim razie klasyczny piąteczek! Bar!'

Jakość barów i restauracji jest taka, że wychodzimy bardzo rzadko. Bo jaka jest radość z czekania na napoje czasem i pod 20 minut, dostania ciepłego piwa, wina słodkiego zamiast wytrawnego, a potem

jeszcze zapłacenia za to jakby się piło z tyłka młodej Azjatki w Amsterdamie? Nikła, bardzo nikła. Atmosfera barowa jest żadna, próby oglądnięcia wydarzeń sportowych spełzały na niczym. Była zimowe igrzyska olimpijskie, chciałem wyciągnąć lokalnych na oglądanie skoków. Pasji wielkiej nie było, a ostatecznie sprawa rozbiła się o to, że nie udało się dodzwonić do jedynego baru, który reklamował się, iż pokazuje jakieś wydarzenia sportowe. Było jakieś -20, trochę nie chcieliśmy jechać w ciemno, żeby dowiedzieć się, że nie, nie pokażą nam jak nasze orły fruwać.

'Dobrze, jak bary, knajpy, to muzyka na żywo!'

Muzycznie bary w Astanie to cisza lub rosyjska (nawet nie kazachska) muzyka popularna. Z lokalnych nikt nie był w stanie polecić mi lokalu np. z muzyką rockową, o jakichś fanaberiach w stylu niezależna scena muzyczna nie wspominam. Nawet niczego mainstreamowego nikt nie był w stanie polecić. Kiedyś był Gotham Bar, zamknął się w 2016 roku. Podobnie chyba potoczyły się losy Rock's Bar, który właśnie oferował komicję klasyków z płyt i muzyki na żywo. Oni chyba również poza 2016 nie wyszli (<http://www.therocks.kz/tusas.html>).

Rozpoczyna się więc przeglądanie znajomych.

Z tą każda rozmowa jest o bogu, z tą o jej synu, odpada. Może oni? Hm, czy można z nimi porozmawiać o Wagnerze, Lidze Mistrzów, filmie azjatyckim, literaturze jakiegokolwiek, piwie lub winie? Nie bardzo, za to można o Netflixie. To może nie.

'Może by zaprosić współpracowników do kina?'

Dawaj, co dają w kinie?

Ech, po angielsku jest jedynie jakieś komercyjne gje, na jednym seansie o chujowej godzinie, a po rosyjsku oni się nie zgodzą, kino więc odpada, bary odpadają.

'Hm, to może rosyjskojęzycznych do kina?'

Tylko na co? Rosyjski mainstream jest gorszy od zachodniego. W Astanie nie stwierdziłem ani pół kina niezależnego, są multipleksy, które wszystkie grają dokładnie to samo. Prędzej zobaczymy niezależny film kazachski na jakimś festiwalu w Polsce niż tutaj.

Jest wino.

Dobra, niech będzie wino.

'Hm, to zaplanujemy weekend. Co się dzieje w Astanie? Zróbmy listę wydarzeń!'

1.

'Ciekawych miejsc do odwiedzenia?'

1.

'Czasowe wystawy w muzeach?'



Dobry plan weekendowy (źródło: catster.com)

Jakie?

'Balet, teatr?'

Astański Teatr Baletu otwarty jest bardzo rzadko. Podobnie ten piękny główny teatr, co go zerznąli z moskiewskiego i w którym wiele nie widać. Byłem w obu przybytkach, nie było źle. Tyle, że bilety sprzedają się na pniu, a artystów łatwiej złapać w jakiejś Belgii niż w Kazachstanie. Chyba nawet w Ałmacie i Karagandzie mają więcej występów niż w Astanie. Obecnie Teatr Baletu ma wolne od początku maja do 23 czerwca, czyli tak samo, jak odkąd przyjechaliśmy do jakiegoś kwietnia, w którym udało się iść na 'Salome'.

'Jest Escape Room, ma dobre recenzje'

Odpowiedzi: za drogo, za daleko, po co płacić za coś takiego, brak odpowiedzi.

'Film w kinie po angielsku?'

Nie. Na necie jest kamerówka.

'Restauracja?'

Dobrze, niech będzie.

W weekendowe wieczory większość lokali jest zatłoczona, najlepiej rezerwować, a potem mieć nadzieję, że do godziny otrzyma się jadło. Ogromnych rozmiarów lokale, w których brakuje połowy dań, które chce się zamówić, to dość powszechne zjawisko. Oczywiście bycie wegetarianinem sprawia, że życie nie oferuje zbyt wielu możliwości. To i tak nie ma większego znaczenia, bo do restauracji połowa nie dociera.

Lokalnych nawet nie warto zapraszać, powiedzą, że za drogo, da się to zrozumieć, chociaż z drugiej strony - nie wymyślamy raczej najdroższych miejsc Astany.

Obcokrajowcy to już inna bajka, bo ciągle mówią, że oszczędzają. Ostatnio na kawie. Zarabiając kilka średnich krajowych żałować sobie pieniędzy na kawę i ciastko? To już psychopatia innego rodzaju.

Wyjść do restauracji ostatecznie udało się odbyć około czterech.



To danie można ponoć dostać w restauracji Farhi w Astanie (źródło: Foodperestroika.com)

Astana to nie tylko miasto, to nie tylko stolica, to stan umysłu. Stan marazmu, permanentnego 'nie ma po co, nie warto', wspieranego przez pogodę, bo jak nie mróz, to burza pylna. To poczucie życia w miejscu, gdzie nigdy nic ciekawego się wydarzy, gdzie nie ma nawet na co wydać pieniędzy. Gdzie jeżeli tylko spróbujesz zrobić cokolwiek innego niż pójście do pracy i dalej niż do spożywczego, to

spotka cię za to jakieś rozczarowanie. Po jakimś czasie przestajesz nawet próbować, bo po co? Żeby sobie zrobić więcej przykrości?

Przecież wynaleziono puzzle, przecież jeszcze nie oglądnięto się całego niemieckiego ekspresjonizmu, a można i poczytać Karamzina.

KarŁag

Gdy jakiś rok temu rozważałem odwiedzenie Kazachstanu, to numerem jeden na mojej liście miejsc do odwiedzenia był KarŁag, jeden z największych i najstarszych guŁagów. Jakoś tak się zŁożyŁo, że zostałem pasjonatem tanatoturystyki i, z racji pewnych zainteresowań systemami totalitarnymi, celuję we wszystkie możliwe obozy, więzienia i katownie. Będąc przy tym pasjonatem SoŁżenicyna, KarŁag był na mojej liście przez wiele lat.



KarŁag wita z otwartymi ramionami

Trochę technikaliów i historii miejsca:

Na miejsce poŁożenia obozu wybrano okolice (współcześnie 20-30km) Karagandy. ZaŁożono go juŹ w roku 1931, a w ciagu jego trwania przeszŁo przez niego ponad milion osŁb (w rekordowych momentach jednocześnŁe przebywaŁo tam 66 tysŁcy osadzonych). ObejmowaŁ ogromne tereny (1780 tys hektarów jeŹeli komuś taki rząd wielkości cokolwiek mówi), a osadzeni zajmowali się gŁównie pracą w rolnictwie i wydobyciu węgla. Jak wiele sowieckich pomysŁów nie miaŁo sensu, to ten akurat miaŁ: rozrastajĄcy się przemysŁ w Azji Środkowej potrzebowal jedzenia. Ekonomicznie cŁz bardziej mogŁo się opŁacać niŹ zmuszanie ludzi do pracy przy produkcji Źywności za procent tego, co wypracowali? Przy okazji szyto ubrania, buty, a nawet futra.

Z bardziej znanych osŁb nieprzyjemność poznania tego miejsca miaŁ Lew Gumilow i matka BuŁata OkudŹawy.



Lew Gumilow, badacz Wielkiego Stepu a takŹe syn Anny Achmatowej

KarŁag zamknięto za Chruszczowa, w 1959 roku.

Przy okazji: Ludzie żyjący na wolności też podatek za życie w ZSRR odprowadzili: Genialne posunięcia władz w gospodarce rolnej w latach 1931-1933 doprowadziły do klęski głodu, w wyniku której zginęło prawdopodobnie między 1.5 a 2 milionów Kazachów. Nacjonalizacja ziem i dobrobyt na prowincji zmusiły ludność lokalną do relokacji do miast. Jednym z tych była Karaganda, gdzie przybysze mogli zatrudnić się przy wydobyciu węgla.



KarŁag (Karagandskij Lager) był zespołem połączonych ze sobą obozów, podlegających jedynie Moskwie. Współcześnie mu poświęcone położone jest w miejscowości Dolinka. Trochę ironicznie, mieści się w budynku, w którym kiedyś znajdowało się dowództwo. Samo muzeum jest raczej nowe, w obecnym kształcie otwarto je w maju 2011 roku.

Z racji jego lokalizacji, dostanie się tam nie jest banalne, chociaż nie jest też koszmarnie trudne:

- Najpierw trzeba dotrzeć do Karagandy.
- Potem z dworca kolejowego przejść na autobusowy (ze 30 metrów) i tam odnaleźć interesujący nas peron - pytamy o Dolinkę, żaden KarŁag, tego mogą nie znać lub udawać, że nie znają.
- Potem należy poczekać na autobus, który oficjalnie jeździ co 15 minut, więc nasz przyjechał już po jakichś 30.
- Na pokładzie autobusu informujemy wszystkich, że do KarŁag, żeby nam powiedzieli kiedy wysiąść.
- Potem tylko jakieś 40 minut przejazdu i wysiadamy przy rozdrożu.
- Stąd możemy sobie poczekać na kolejny autobus lub zapłacić jakiemuś kierowcy kilkaset KZT i zawiezie on nas pod samiutkie muzeum. Ewentualnie można iść na piechotę jakieś 2-3

kilometry.

Wszystko zależy od szczęścia na dworcu w Karagandzie, może się udać wyjechać w minutę, może i 30 nie wystarczy. Podobnie przy rozdrożu, my nie czekaliśmy w ogóle, ale jeżeli panowie taksiarze sobie np. pójda na obiad, to wtedy może to potrwać znacznie dłużej.

Samo muzeum czynne jest od 10:00 (udało nam się być kilkanaście minut przed otwarciem, obsługa omdlała) i zajmuje wyżej wspomniany, wielki budynek naczelnictwa. 300 KZT za wstęp, 700 za zdjęcia, i można rozpocząć wizytę.



Budynek naczelnictwa i jednocześnie siedziba muzeum

Wita nas telewizor z przemową pana prezydenta, że do Kazachstanu zsyłano ludzi, ale to nie wina Kazachstanu. Jest to dokładnie ten sam kawałek mowy, którego można było wysłuchać w Alzhirze. Samo muzeum ma formę długiego korytarza z celami po lewej i po prawej, a w każdej z nich jest jakiś kawałek obozowej rzeczywistości.

Jest bardzo dużo Stalina, co oczywiście jest zgodne z prawdą i rzeczywistością. Szkoda jednak, że nie pokuszono się o jakieś przybliżenie odwiedzającym np. komendantury lub strażników, bo o Stalinie

można znaleźć informacje absolutnie wszędzie, a o jakimś strażniku z kazachskiego gułagu już nie za bardzo. Idziemy więc podług bardzo bezpiecznej ścieżki, że byli biedni osadzeni i okrutni strażnicy, oczywiście NKWD, którzy pochodzili z kosmosu. Polacy często zżymają się na to, że w II WW brali udział naziści, a nie Niemcy. Podobnie ja się zżymam na to, że w NKWD byli jacyś ludzie bez narodowości, a tak w ogóle to sam Stalin znęcał się nad więźniami w każdym Gułagu. Może ewentualnie Beria mu pomagał, ale cały ten aparat represji w ogóle nie miał żadnych innych aktorów.



Korytarz główny na parterze muzeum





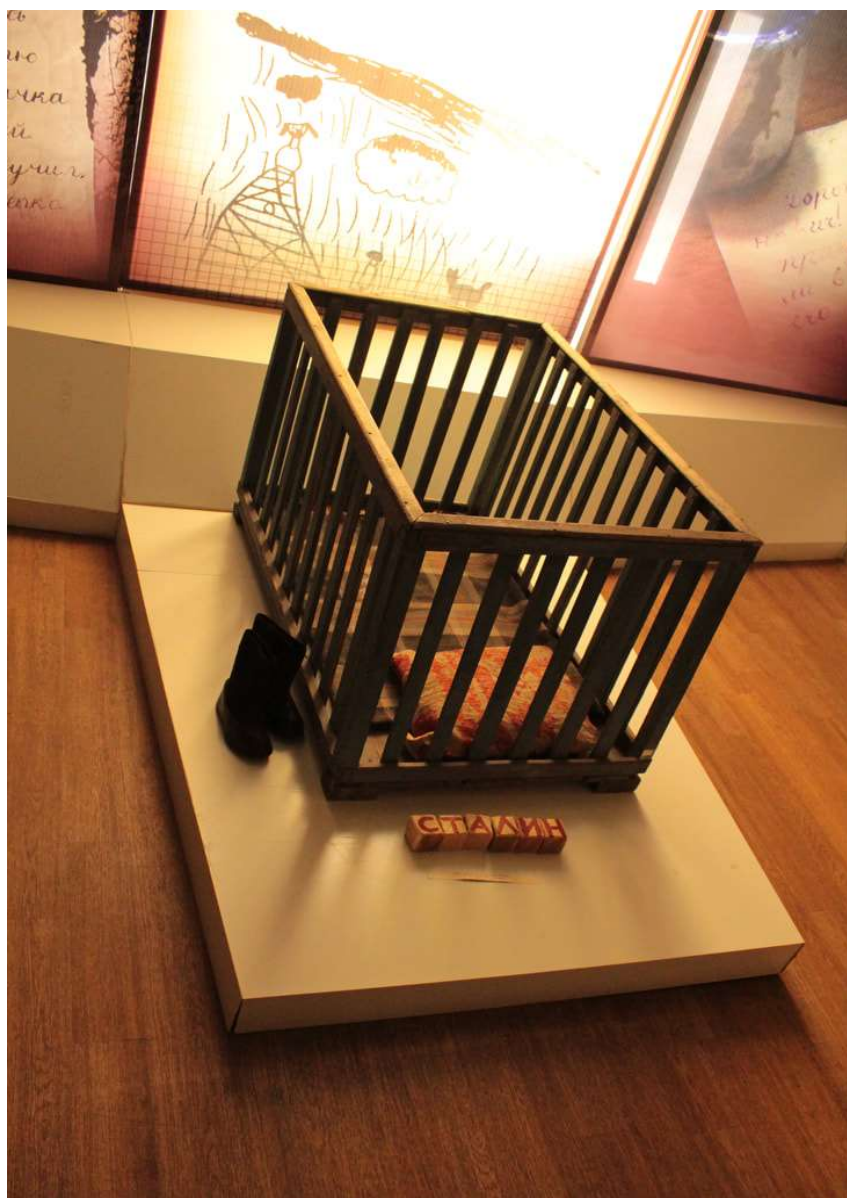
Na pociechę jest немало о rolnictwie, w tym zdjęcia krów i wołów, które wygrywały konkursy!



Pokazano, że była propaganda jedynego słusznego ustroju i brednie o resocjalizacji, ale niestety, muzeum nigdy nie wchodzi głębiej w temat. Jest rekonstrukcja celi z deskami i słomą, jest piwniczna szarazka. Jest scena z manekinami więźniów grających na harmoszce i podstępny agentem za firanką, co ma nam pomóc zrozumieć permanentny nadzór. Jest obozowy szpital, są pokoje przesłuchań. Jest trochę sztuki obozowej, ale głównie tej z ostatnich lat. Jest – znowu! – Stalin i dzieci. W tym wszystkim nie ma żadnych naprawdę konkretnych, solidnych informacji, których człowiek zainteresowany jakoś tam tematem nie miałby wcześniej. Tak, jasne, że opowieści o miłości Stalina do dzieci ZSRR były bzdurą. Czy ktoś tego nie wie? Wszystko jest na poziomie wybitnie ogólnym.

Z przybliżania rzeczywistości, ludzi budzono o 6 rano, a spać szli o 22. Światło było zawsze włączone.

Wspomniane jest też, że życie nie było jedynie depresją i smutną pracą, że wiele osób potrafiło śpiewać i występować. Oczywiście środki do tego mieli bardzo ograniczone, ale nawet naczalstwo przychodziło ich oglądać.



Piękna instalacja artystyczna!



A kuku! Wielki Brat patrzy!



Obozowy konował z intrygującymi instrumentami laboratoryjnymi



Izolotka. Trochę jak w "Milczeniu Owiec"



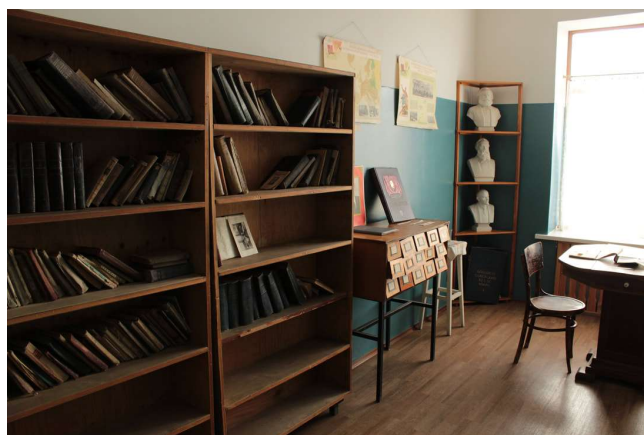
Rekonstrukcja luksusowych warunków życia



Zdjęcia garstki spośród więźniów obozu

Ostatnią salą jest biblioteko-sklepik, gdzie można zakupić sobie niezłą ilość książek na temat, w kilku językach. Ostatecznie pokonał mnie rozmiar bagażu i brak czegoś, co naprawdę by mnie chwyciło. Czytanie danych statystycznych jest męczące, humanistycznie patrząc na sprawę, to nie najważniejsze jest wyliczenie każdego więźnia, ale jak działała sama struktura obozu. Niestety, tego nie ma, wychodzi, że po Stalinie u władzy ludzi nie było, chociaż są spisy więźniów z lat późniejszych i np. wspomnienie buntu z 1954 roku. Nie ma niczego o Chruszczowie, o tym, że chociaż sam KarLag zamknięto w 1959, to ten system represji działał sobie w najlepsze jeszcze przez wiele lat. Jest wpis o tym, że w 1959 roku w Temirtau doszło do lepszego buntu - sprowadzeni z Bułgarii pracownicy mieli o wiele lepsze warunki życia i pracy niż Sowietci, nierzadko pochodzący z innych części ZSRR. Pierwsi mieszkali w budynkach, drudzy w namiotach, co przy tutejszych warunkach pogodowych było pomysłem dość kiepskim. Kolejność na stołówce też była jasna. Pewnego dnia ludzi trafił szlag i rozpoczął się tydzień rozpiardolu, zakończony interwencją wojska i – oficjalnie – 16 zabitymi.

Na wielki plus zaliczyć wypada angielskie opisy ekspozycji. Zdarzają się błędy, ale jest to chyba najlepiej opisane w języku wroga muzeum w kraju.



Biblioteczka obozowa



Rekonstrukcja wagonu służącego do transportu zesłańców

Pewnym bonusem są okolice więzienia. Bieda dramatyczna, niektóre budynki, które były barakami są wciąż zamieszkane przez ludzi, z taką różnicą, że teraz mają anteny satelitarne. Przystanek autobusowy cały jest oblepiony ofertami, że „sprzedam nieruchomość w okolicy”. Ceny są śmieszne, a atrakcyjność działki określana jest dystansem do sklepu i szkoły. Jedynym problemem nieruchomości w okolicach Karagandy jest to, że jest to nieruchomość w okolicach Karagandy. Poza tym problemów nie stwierdziliśmy.

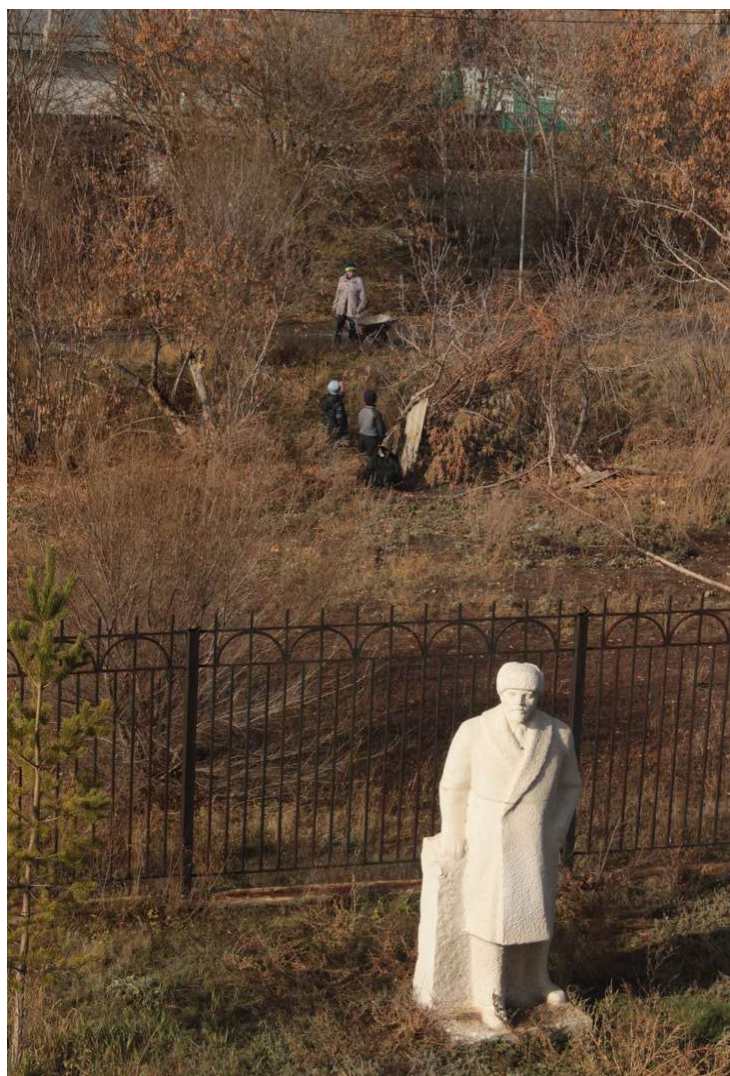


Dawny dom oficerów KarŁagu



Prawdopodobnie jest to relikw dawnego sanatorium dla oficjalów obozowych

Przystanek się sypał, zaś autobus wioskowy przyjechał taki z lat 70-tych. Dotarliśmy do drogi międzymiastowej i na rozstaju dróg czekaliśmy dobre 40 minut (kursuje co piętnaście...) i podziwiali kopalnię węgla w Szachtińsku. Zbiorczo mówi się 'węgiel w Karagandzie', ale dokładniej sprawy ujmując, współcześnie kopalnie są poza Karagandą, wiem, że w Szachtinsku i w Temirtau, ale pewnie



Okolice obozu nie weszły dziarsko w XXI wiek...

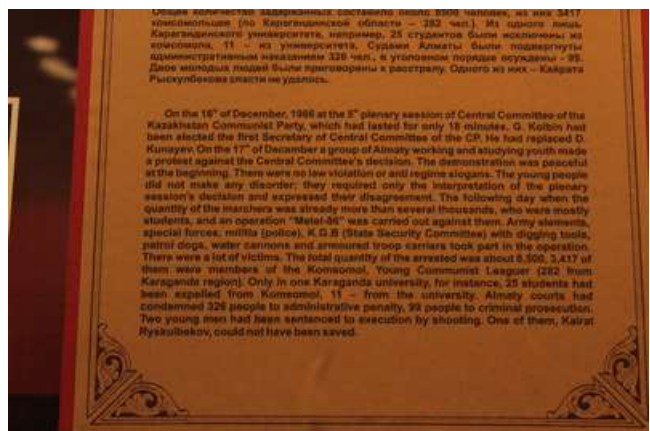
jeszcze w paru innych miejscach. W czasach sowieckich były dosłownie w mieście, ale po wykończeniu ich, miasto relokowano. Rano w autobusie odnieśliśmy wrażenie, że podróżowało z nami wielu górników, powoli łapali kontakt z rzeczywistością po weekendzie w mieście. W drodze powrotnej bus był zavalony ludźmi po sufit, ale dominowały kobiety, więc może w ramach tej zmiany, to górnicze rodziny jechały na niedzielny wieczór wyszaleć się w Karagandzie.

Mimo wszystkich zastrzeżeń wyrażonych powyżej, KarLag to jest niesamowite miejsce. Ze wszystkich rzeczy, które widziałem w Kazachstanie, to było dla mnie zdecydowanie najciekawsze. Jeżeli ktoś nie ma obsesji na punkcie gułagów, to nie będzie rozczarowany, może się i czegoś dowie. W zderzeniu z innymi muzeami, to oferuje najwięcej wrażeń. Nigdy nie czułem się bliżej Sołżenicyna niż w KarŁagu. Nie jest to poziom Auschwitz czy Tuol Sleng, ale z uśmiechem na ustach nie wyjdzie nikt.



Pomnik, zapewne ku pamięci smutnej historii

Tu jest pewna wrzutka mniej związana z samym KarŁagiem, a wybiórczym traktowaniem historii w Kazachstanie. Wspomniane są wydarzenia z 16-19 grudnia 1986 roku, gdy w Ałmaty brutalnie spacyfikowano demonstracje, które sprzeciwiły się usunięciu ze stanowiska Konajewa – Kazacha – i zastąpienia go Giennadijem Kołbinem – Rosjaninem. Ach ten legendarny sowiecki internacjonalizm! Studenci rozpoczęli pokojowe protesty 17 grudnia, ale wkrótce pojawiło się KGB, wojsko, aktyw robotniczy ze sprzętem, a demonstrujących określono mianem nacjonalistów, narkomanów i alkoholików.





Przemówił tam nawet obecny pan prezydent, nakłaniał młodzież do rozejścia się. To jednak kawał rewolucjonisty zawsze był. Po odzyskaniu niepodległości powołano nawet komisję, która miała wyjaśnić jego rolę w zajściach, ale rozwiązano ją zanim cokolwiek opublikowała. Liczbę ofiar szacuje się na jakieś 280 osób. Wielu protestujących wywożono za miasto, zabierano im buty i życzono miłego spaceru.

Dlaczego wspominają o tym w KarŁagu? Może żeby pokazać pewną ciągłość represji systemu sowieckiego i sprawić, że pomyślimy sobie, że oni tu tak ciężko mieli, jak nie obozy, to mordowanie niewinnych w stolicy.

Oczywiście o roli pana prezydenta w tym wszystkim nie ma ani słowa. Po odzyskaniu niepodległości niemal wszystkich uniewinniono i uznano za ofiary represji. Jednak paru osobom solidnie zjebano życie, a jakaś władza nie wykazała wielkiego entuzjazmu do zadośćuczynienia biorącym udział w tym bezprecedensowym wydarzeniu.

Szkoda jeszcze, że nie ciągną tego nieco dalej, bo w roku 2011 podobnie krwawo stłumiono protesty Żangaozen, stutysięcznym miasteczku. Trwały one od maja, a do pacyfikacji doszło

dokładnie w 25-lecie wydarzeń z Ałmat. Dokładnych danych brak, ale prawdopodobnie zginęło 45 osób, a około 1000 zostało rannych. Aresztowanych torturowano, nawet ze skutkiem śmiertelnym. Powody zamieszek? Niezadowolenie społeczne, w tym głównie fakt, że zarobki Kazachów były niższe niż obcokrajowców.

Na wiosnę 2016 roku w Ałmaty, Astanie i Karagandzie odbywały się protesty ludzi niezadowolonych z reformy dotyczącej własności ziemskich - otóż lata temu zachęcano etnicznych Kazachów mieszkających na terenach Rosji, aby wrócili oni do swojej ojczyzny, a w zamian nadawano im ziemię na południu kraju, gdzie klimat jest w miarę łagodny i można zajmować się rolnictwem. Tymczasem w 2016 roku władze uznały, że tę ziemię teraz odbiorą, a w zamian podarują repatriantom ziemię na północy Kazachstanu, gdzie od września do czerwca są temperatury na solidnym minusie. Do tego reforma przewiduje możliwość sprzedaży ziemi obcokrajowcom, mając na myśli głównie kraj sąsiedzki, czyli Chiny. Oczywiście protesty nie spodobały się włodarzom i aresztowano kilkadziesiąt osób, w tym dwóch reporterów Reutersa.

Ciekawe dlaczego o tych wydarzeniach nie ma ani słowa? Mielibyśmy jeszcze lepszą ciągłość dyktatury i systemu represji w Kazachstanie niż tylko 1986! Jednak dobrze wiedzą, że przeciętny turysta nie ma o tym pojęcia. Tym bardziej zorientowanym niestety w ten nieco subtelny sposób zagadzają refleksyjny nastrój związany z wizytą w KarŁagu.



Term of Endearment

Rok szkolny w Kazachstanie podzielony jest na cztery różnej długości semestry. Pierwszy zaczynał się 4 września, a kończył pod koniec października, czyli trwał niecałe dwa miesiące. Wydawałoby się, że to względnie krótki okres, ale przy dziewięciogodzinnym dniu pracy pozwala na niemało szans na zebranie informacji o okolicznościach wykonywanego zawodu. Poznaliśmy dość dużo osób i udało nam się zebrać od nich nieco informacji. Zaznaczam, że nie okazali się oni wulkanami wiadomości i mędrkami realiów szkolnych ani krajowych. Zresztą wiedzę dzielili się raczej ostrożnie - tak, żeby tylko broń panie boże nie powiedzieć niczego złego o pracy w szkole NIS.



Jedna z wersji logo organizacji.

Skrót NIS rozwija się na Nazarbayev Intellectual Schools. Jest to sieć szkół założona przez - niespodzianka! - prezydenta Nazarbayewa, z myślą o uczniach wybitnych.

Teoria: po piątej klasie dzieci piszą testy, które mają na celu stwierdzenie, czy są wystarczająco zdolni, by dostąpić zaszczytu wstąpienia do szkoły prezydenckiej. Jeżeli są, to nie marnują czasu, tylko uczą się w klasach dwunastoosobowych i pośród takich orłów, jak oni sami. W ten sposób wykuć mają się elity narodowe, które w przyszłości przejmą władzę nad krajem i wprowadzą go w XXI wiek (oczywiście dokonał tego już sam prezydent, jest nawet odpowiedni obraz w muzeum!). Edukacja w Kazachstanie jest darmowa, podobnie w NIS, ale to właśnie w tych szkołach pracują starannie wyselekcjonowani nauczyciele, którzy z racji swoich kwalifikacji są odpowiednio wynagradzani.

Tyle wiedzieliśmy jadąc do Kazachstanu.

Praktyka: dużo osób marzy o posłaniu dzieci do takiej szkoły, więc powstało wiele inicjatyw prywatnych, które mają na celu przygotować dziecko do zdania egzaminu do elitarnej placówki NIS i zostania potem ministrem, biznesmenem lub kimkolwiek, kto miesięcznie przyniesie do domu bardzo dużo tenge.

Edycja astańska: nasza szkoła działała "pod parasolem NIS" (już pierwszego dnia usłyszałem to tyle razy, że do końca życia będę miał zakodowane), ale była mniej typową filią.

Po pierwsze: mieliśmy klasy 1-5, a nie tylko powyżej 5.

Po drugie: trzeba było za nią płacić.

Dokładna kwota czesnego różnicowała się zależnie od tego, ile dzieci rodzice posyłali, czy pociechy chodziły na zajęcia dodatkowe, a także jakichś innych czynników, których nie udało mi się zrozumieć. Miesięczna opłata wynosiła mniej więcej dwie średnie pensje krajowe, czyli trochę ponad 2000 PLN. Jeżeli komuś wydaje się, że to dziwne, to uspokajam, że zjawisko jest globalne. W Krakowie czy Warszawie też są szkoły IB z czesnym dochodzącym do 5000 PLN. "Żeby hołota się nie pchała", jak kiedyś przeczytałem w internecie.

Problemem szkoły, za którą rodzice płacą, są ich oczekiwania względem tejże. Są one jak najbardziej uzasadnione, dobrze więc kiedy taka placówka ma sensowną administrację, która jest w stanie wyjaśnić, czego mogą się spodziewać i oczekiwać za swoje ciężko (a raczej - w wielu przypadkach - lekko) zarobione pieniądze. Jednak pracownicy biurowi szkół lubią sprzedawać takie piękne marzenia

jak "Angielski od zera do biegłości w trzy miesiące, tylko dopłaci".

W Astanie to rodzice rządzą szkołą, żadna dyrekcja. A raczej grupa rodziców. Bo na jakieś 1200 uczniów, tych super ważnych rodziców była może setka, a nawet mniej. Po jakimś czasie wiedzieliśmy, gdzie są tzw. 'high profile parents' i jakie dziecko musi być szczęśliwe. Jak mi dość szybko powiedziano "w 4F możesz robić co chcesz, tam nie ma nikogo ważnego, szkoła może stracić całą tę klasę. Ale w 3E musisz uważać na - lista osób - bo to dziecko ministra, a drugie z koreańskiego koncernu robiącego elektronikę."

Oczywiście jest to sytuacja krańcowo popierdolona, że ważność klasy zależy od tego czym zajmuje się tatuś lub mamusia ośmiolatka. O ile z tymi zjawiskami można spotkać się i w Polsce, o tyle w elitarnej szkole w Kazachstanie patologia ta zbierała żniwa, które przebiły polskie realia wczesnych lat 90-tych.



Nawet Darek nie podolał (za www.memy.pl)

Jeżeli już o klasach: przeraził nas CAŁKOWITY brak poziomowania. Miałem uczennicę, która przez dwa lata chodziła do szkoły w Londynie i mówiła na poziomie B1-B2, miała tylko kłopoty z pisownią wielu słów. W tej samej grupie był uczeń, który po trzech latach nauki nie znał alfabetu i nie dawał sobie rady z "How are you?". Dość szybko dowiedzieliśmy się, że nie da się z tym niczego zrobić i tak ma być. W efekcie właściwie przez cały rok ona się nudziła, bo wszystko było za łatwe, a on nie nauczył się niczego, bo wszystko było za trudne.

Widziałem w życiu różne rozziwy poziomów, ale Kazachstan ustanowił absolutne ich rekordy. Po prostu w takich warunkach nie da się uczyć, bo jak??? Można opowiadać bajki o grupowaniu uczniów, o dawaniu różnych ćwiczeń do tych samych tekstów, ale to może zadziałać przy różnicy jednego poziomu (a i tak nie jest lekko). Ale w takiej sytuacji? Nie wygłupiajmy się.

Nie trzeba też było długo obserwować, żeby zauważyć, że uczniowie mają bardzo słabo rozwinięte wszelakie zdolności związane z pisanie. Nie chodzi mi o pisownię, ale o sposób kreślenia liter, pisanie ich na linii. Takie rzeczy dziesięciolatki raczej potrafią, a jeżeli nie, to się ich piłuje z tego. Tu jednak najważniejsze było dobro ucznia, rozumiane jako wykonywanie tylko takich ćwiczeń, które mu się spodobały. Pisanie po linijce uznawano za dość nudne*, więc ignorowano je latami, co dawało takie efekty.

*Z pisania po linijce też da się zrobić ciekawe ćwiczenia, to już tak na marginesie.

Zostaliśmy zatrudnieni w charakterze ekspertów, którzy mieli nadzorować lokalnych nauczycieli i wdrażać standardy europejskie do edukacyjnego systemu Kazachstanu. Już w jakimś trzecim tygodniu dowiedzieliśmy się, że cały ten zapis to bzdura i że mamy po prostu uczyć ramię w ramię z lokalnymi, a oni się w ten sposób podciągną do naszego poziomu. W Gruzji ten pomysł trochę działał, w Chinach w niektórych wypadkach też, więc wydawało się, że może i tu się uda, zwłaszcza jeżeli byłoby się wyposażonym w jakieś możliwości oceny, motywacji i demotywacji lokalnych. Dość szybko przekonaliśmy się, że nie byliśmy w stanie w żaden sposób zmienić nierzadko kretyńskich praktyk nauczycielek i równie szybko zrozumieliśmy, że administracja nie jest tym zainteresowana.



Pierwsze dni w nowej pracy (
<https://memegenerator.net/instance/54299888/ancient-aliens-trust-me-im-an-expert>)

Po pierwsze, Kazachowie woleliby zeżreć szkło, popić je terpentyną i zapalić papierosa niż powiedzieć, że zrobili coś złe.

Gdyby mieli jeszcze uznać, że jakiś obcokrajowiec wie cokolwiek lepiej niż oni, to do powyższego posiłku dołożymy shake'a z domestosa. Pocieszałem się, że po jakimś czasie ludzie jakoś to akceptują, że może ty wiesz lepiej niż oni i że może dlatego cię zatrudniono. Uprzedzę rozwój wydarzeń: w Astanie nie nastąpiło to nigdy.

Po drugie i najważniejsze, szkoła została stworzona po to, żeby zarabiać pieniądze, a uczenie postrzegano jako efekt uboczny, którym nie należało się przejmować. Ba, tu był nawet lepszy haczyk; jeżeli nasi uczniowie daliby sobie radę z egzaminem do 'prawdziwego' NIS, to wówczas przestaliby chodzić do nas.



"Ja moją pracę wykonuję rzetelnie" (
<http://www.carvaka4india.com/2012/07/eating-glass-drinking-nitric-acid-hata.html>)

Ich obecność nikogo nie interesowała, ale ich tenge już tak. Wybiegając trochę do przodu, dużo później odkryłem, że mamy gorsze wyniki niż uczniowie ze szkół publicznych, czyli takich, gdzie nauczyciele są absolutnie losowi, klasy mają po 40 osób, zajęcia kończą się o 13, tablicy interaktywnej nie uświadczysz, a tatuś pacjenta może dniami leżeć pod monopolowym (choć w Kazachstanie to rzadki widok, raczej leżą przed TV). W interesie dyrekcji było więc, żeby uczniowie nie byli w stanie dostać się do darmowych szkół NIS, ergo im mniej ich nauczyłeś, tym lepiej dla szkoły. Już widać, że udało się stworzyć bardzo ciekawy system, w którym na pierwszym miejscu stało dobro ucznia!

Istnieją dokumenty, których ludzie nie czytają, bo szkoda im na to życia. Ja za to z pasją analizuję każdy papier podesłany mi przez szkołę. Podobnie było z kilkunastostronicowym dokumentem o standardach nauczania. Wszyscy to podpisali bez większej zadumy, natomiast ja pogrążyłem się w lekturze. Solidny paragraf poświęcono temu, że należy używać dezodorantu, a może nawet perfum. Były ustępy precyzyjnie definiujące dopuszczalną długość spódnic (6 cm przed i 6 cm za kolano) oraz kolczyków (nie dłuższe niż 4 cm) a także kolorystykę męskich koszul (stonowane barwy). Próżno jednak było szukać w całym dokumencie jakichkolwiek wzmianek o samym uczeniu. Trochę się pośmialiśmy, ale pomyśleliśmy, że standardy uczenia będą opisane w jakimś innym dokumencie, który

przysłał osobno. Nie przysłali nigdy. To oczywiście ważne, żeby nauczyciel nie cuchnął, a nauczycielka nie świeciła bobrem, chociaż wydawało się, że są w tym fachu jeszcze jakieś inne wytyczne dobrego wykonywania swojej pracy.

Przy obłądnych rozmiarach pensji spodziewaliśmy się, że będziemy pracować z zawodowcami z całego świata. Dość szybko okazało się, że nie. Zawodowcy się dawno spakowali i wyjechali. Narodowościowo kadry stanowili Hindusi, Serbka, Amerykanin, Greczynka, Singapurka, Portugalka i ogromne stado ludzi z RPA. Początkowo myślałem, że szkoła ma politykę zatrudniania nietypowych narodowości - w tym i dwójki Polaków - żeby walczyć z uprzedzeniami narodowościowymi i stereotypami. Trochę tak jak British Council czy International House. Że standardy, kwalifikacje, a nie paszport i wygląd.

Już po kilku tygodniach wiedziałem, że nie.

Większość osób siedziała tam już kolejny rok. Podobno początkowo NIS zatrudniał tylko natywów, rozumianych jako USA, Kanada, Australia i UK, ale im uciekali i to szybko, a nawet stadami. Tak, mimo pensji i warunków. Wymyślono więc, że należy sięgnąć po kontyngent z krajów nieco mniej uprzywilejowanych, bo będą mniej wybredni - pracownik pochodzący z kraju, w którym 1000 USD to solidna pensja, będzie grzeczniejszy i mniej awanturujący się niż taki z USA, gdzie 3000 USD nie zdejmuje nikomu butów. Dlatego właśnie ludzie z RPA byli gotowi siedzieć tam do końca świata, podobnie Hindusi.

Wyprzedzając wydarzenia o wiele miesięcy: ja, Serbka i Singapurka drugiego kontraktu nie podpisałyśmy, ludzie z RPA i Indii tak. Jest pewną sztuką oferowanie takich pensji i napotykanie na trudności ze znalezieniem modelowych pracowników. Oczywiście to nie znaczy, że ludzie z RPA, Serbii, Polski, Singapuru i Indii nie mogą być najlepszymi nauczycielami świata. Mogą, znam nawet takie przypadki (z nauczycieli, z którymi pracowałem, pierwsze miejsce zajmują Rosjanie). Jednak w Astanie zebrano bardzo słaby team, a nawet nie team, jakąś taką mieszaninę nie do końca nauczycieli.

Jeżeli już ci ludzie mieli jakiekolwiek doświadczenie zagraniczne, to z miejsc takich, jak Arabia Saudyjska, Dubaj, a w najlepszym razie Chiny.

Oczywiście, są dobre szkoły w Arabii, Dubaju i Chinach.

Problem był tylko taki, że ci ludzie nigdy się nawet do nich nie zbliżyli.

W wielu przypadkach ich jedynymi kwalifikacjami był paszport. Na ponad dwadzieścia osób zatrudnionych, tylko jedna Amerykanka i jeden Kazach mieli CELTĘ. Zresztą oboje zrobili ją w 2017, w Krakowie. Okazało się, że nawet mieliśmy tych samych tutorów, tylko ja robiłem CELTĘ w 2011 roku, a potem jeszcze dorobiłem kilka papierów. Po jakimś czasie zaczął mnie trafiać szlag, gdy dowadywałem się, że oni są świetni wykwalifikowani. Tak, mają wejściowy papier, mam dwa mocniejsze i kilka jeszcze z innej parafii. Dość szybko zrozumiałem, że moje nie mają żadnego znaczenia, bo podważają jedną z głównych tez cyrkulujących po szkole: nienatyw nie może robić poważnych kursów nauczycielskich ani językowych!

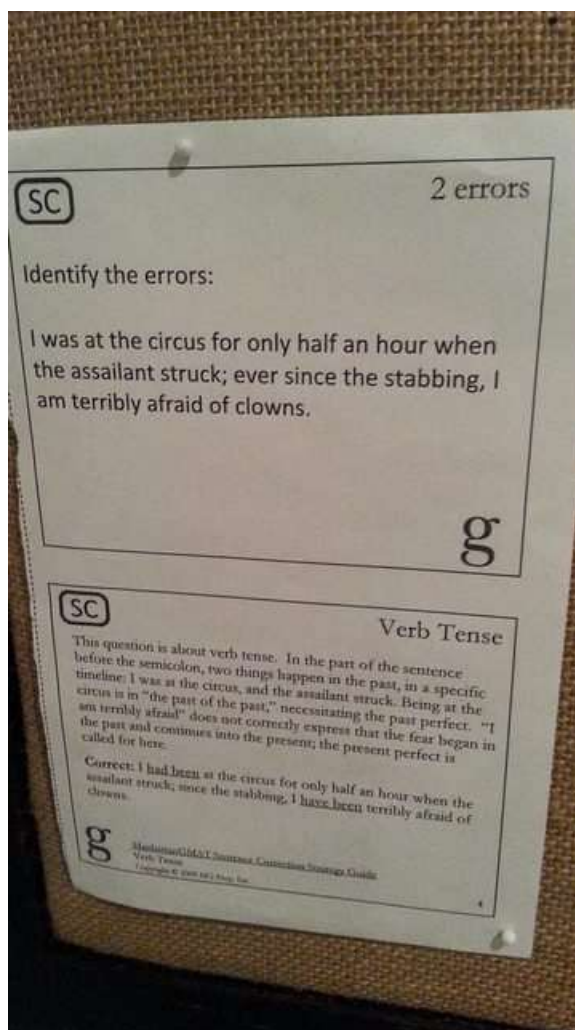
Lepiej: legenda głosiła, że nie będąc natywem nie można mieć więcej niż 6 z IELTS. Zapewne jest jakiś sekretny zapis, którego niestety nie znają w innych krajach, tylko w Kazachstanie.

Na zebraniach słuchaliśmy więc angielskiego w wersji RPA, czyli np. children łączy się z is. Do tego stek bzdur o tym, że angielski w wariacie RPA jest tym samym, co Queen's English. Doszło na tym polu do wielkiej wojny z nauczycielem z USA, który z kolei śmiał twierdzić, że jego teksańska odmiana angielskiego jest najlepsza. Nie wierzyliśmy w jaki kurwidolek nauczycielstwa nas życie zesłało. Takich rozmów nie prowadzi się w żadnej poważnej - a nawet i półpoważnej - szkole. Jeszcze

do połowy drugiego semestru widywałem kłótnie na linii RPA-USA o to, kto zna lepiej angielski. Jako Polak miałem chuja do powiedzenia, ale tak jakoś się składało, że kusiło mnie pogodzić obie strony słowami:

- *Żadne z was nie zdałoby CPE.*

Tak czasem bywa, że nauczyciele angielskiego z UK, USA, RPA lub Kanady znają angielski w wariacie trochę odbiegającym od standardu. Nie chodzi tu o akcent Queen's English (można mieć dowolny), tylko o to, że pojawiają się u nich mówione błędy w formach przeszłych czasownika, występuje wstręt do używania present i past perfect, a także kłopoty z pisownią - za to po chamsku odejmują punkty na egzaminach.



Takie rzeczy to ja na dziesiąte urodziny rozwiązywałem! ([https://aplus.com/a/13-absolutely-ridiculous-test-questions-answers?](https://aplus.com/a/13-absolutely-ridiculous-test-questions-answers?no_monetization=true)
no_monetization=true)

Nie należało się jednak przesadnie podniecać zebraniemi naukowymi. Absolutnie najważniejszym tematem, który poruszono podczas tych, spotkań była kwestia kupowania prezentów dla dyrekcji (w liczbie sześciu osób – bóg jest w zaledwie trzech, ale dyrekcja w NIS była w sześciu) i dla innych nauczycieli. Wydawało się, że ludzie są raczej przeciwko, ale z obcokrajowców tylko my i chłop z

Teksasu powiedzieliśmy, że nie jesteśmy zainteresowani przymusowym świętowaniem. Lokalni zaś bardzo długo narzekali, że nie chcą, a potem stwierdzono, że się zgadzają na przeznaczenie 4000 KZT na rzecz administracji.

Był to początek pewnego trendu. Zdziwili nas jednak nauczyciele z innych krajów, bo chwilę po spontanicznym głosowaniu, na którym gorąco przekonywali nas, że to super pomysł, pojawiły się komentarze, że szkoda, że te prezenty. To nie było „zgadzający się z uchwałą proszeni są o opuszczenie rąk i odejście od ściany”, można było popyskować i mogliśmy to spokojnie odrzucić, gdyby tylko dołączyli do nas.

Już po tym fakcie mniej więcej chyba widać, dokąd będzie zmierzała ta historia.

Jednak wiedzieliśmy dobrze, że obcokrajowcy to nie będzie problem. Znacznie większym wyzwaniem mieli okazać się nauczyciele lokalni. Oficjalnie jako teacher trainerzy mieliśmy ich szkolić. Nie z języka, a z uczenia. Po paru lekcjach uznałem, że jest wiele do zrobienia, ale sytuacja nie jest beznadziejna, niemniej będzie to droga długa i wyboista.

Jak bardzo czasami chciałbym się mylić...

Co za syf, co za katastrofa

Każdy w życiu ma jakieś marzenie, czegoś pragnie, o czymś myśli. Są nauczyciele, którzy po kilku latach uczenia samego języka, wpadają na pomysł przejścia do uczenia samego uczenia. Miewałem czasem takie wizje i oferta pracy w Astanie miała być pierwszym krokiem na nieco odmiennej ścieżce zawodowej. Wydawało się to wszystko rozsądne, dostawało się parę lub trójkę nauczycieli do współpracy i to z nimi miało się wdrażać standardy europejskie w realia stepowe.



Do tego sprowadza się kazachska interpretacja standardów UE. (za dojarka.pl)

Los pobłogosławił mnie Tamarą i Raigul.

Tamara była nieco starsza, pochodziła z Uzbekistanu i od początku wydawała się zachwycona tym, że będziemy razem pracować. Pytała mnie o Moskwę i Chiny, wiedziała dość dużo o grupach, więc wyglądało, że będzie dobrze.

Pierwsze lekcje spędziłem na poznawaniu uczniów i przedstawianiu się, popołudnia zaś na podręczniku. Trochę mnie irytowało to przedstawianie, bo suma doświadczeń jest taka, że lepiej uczniom na początku powiedzieć mniej niż więcej, żeby potem móc ich czymś zaskoczyć w trakcie semestru. Wszystko to też było bardzo oparte na nauczycielu, a w niektórych grupach odzywała się jedna lub dwie osoby. Nie chciałem od razu mówić, że wiem wszystko lepiej, ale sugerowałem, że może byłoby dobrze, gdyby uczniowie uczestniczyli nieco więcej, a nie że wyłącznie najlepsi robili mi "Sto pytań do...". Zdziwiła mnie też tendencja do używania rosyjskiego - absolutnie co chwilę, w tym w sytuacjach, w których nie było to konieczne. No cóż, masz szkolić, to szkół, choćby o tym, że podstawowe polecenia powinny być po angielsku.

Przygotowywaliśmy wspólnie lekcje, potem je uczyliśmy, a potem rozmawiali o tym. Po jakimś czasie zaczęło robić się trochę męczące to, że Tamara nie chciała pisać żadnych planów lekcji, więc pisałem je ja, kładłem na stole, a potem ona z nich nie korzystała. Co pamiętała, to szło, ale chwilami nie pamiętała. Pomagało, że uczyliśmy tego samego po kilka razy, więc zazwyczaj wyglądało to tak, że pierwszą lekcję robiłem bardziej ja, drugą już bardziej po połowie, w trzeciej rozwijała skrzydła, a czwartą prowadziła niemal sama. W końcu zacząłem robić PPT, które prowadziły nas za rączkę, a tym samym pozwalały uniknąć konfuzji lub zrobienia czegoś w złej kolejności. To zresztą też była dla mnie abstrakcja, bo istnieje w tym wszystkim dość logiczna ciągłość, która pozostawała sekretem dla mojej coteacherki.

Pewne standardy profesjonalizmu też miałem ustawione nieco inaczej. Pewnego dnia poinformowała naszych uczniów, że ma więcej doświadczenia ode mnie. Szkoda, że w bardzo prestiżowych szkołach kazachskich, a wcześniej zdobyła cały licencjat w koledżu w Karagandzie. Pytała mnie nawet, czy Uniwersytet Jagielloński jest dobry. Mam swoje zastrzeżenia do alma mater, ale mimo ich wszystkich razem zebranych, myślę, że jest lepszy niż prywatny koledż w Karagandzie. Jednak znacznie większe zastrzeżenia mam do puszczania takich tekstów do uczniów w jakimkolwiek wieku, a już na pewno nie do dziewięciolatków.

Pytała mnie też, czy to możliwe, żeby wykręcić więcej niż 6 z egzaminu IELTS (który posiada skalę 9-stopniową, 1 oznacza zerową znajomość języka, 9 całkowitą biegłość). To pytanie przewijało się cały rok, jakoś nikt nie widział żadnej sprzeczności w tym, że szkoła oficjalnie głosiła, że wszyscy lokalni nauczyciele mają z IELTS 8, a tymczasem niektórzy z nich nie mieli nawet 6.

Tamara nie była za nic w stanie zrozumieć struktury egzaminów i kursów nauczycielskich, a to naprawdę nie są rzeczy przesadnie skomplikowane. Nie byłem w stanie jej wyjaśnić, że musimy mieć jakieś rutyny lekcyjne, że nie możemy dopuszczać do sytuacji, w której cztery osoby mówią jednocześnie, że nie możemy ciągle rozmawiać z najlepszymi uczniami, a tych słabszych ignorować. Jednak mimo tych wszystkich zastrzeżeń, szło to do przodu, planowaliśmy, uczyliśmy wspólnie, często rozbijając uczniów na mniejsze grupy, rotując ich między grupami. Mogłem sobie nawet chwilami myśleć, że za jakieś kilka miesięcy podciągnie się to pod poziom międzynarodowy. Zgadywałem tak:

- jestem samcem, a ona samicą,
- ona muzułmanką, ja w jej mniemaniu chrześcijaninem (skorygowanym potem na buddystę, bo podobno niegrzecznie na ateistę),
- ja starszy, ona młodsza,
- różni nas historia zawodowa,

więc to pewnie z tego wynikają pewne odmienności kulturowe i kulturalne. Należało się ich spodziewać, a nie wydawały się one być jakichś katastrofalnych rozmiarów. Wyglądało na to, że będzie i tak o poziom łatwiej niż w Chinach.

Jakich jednak problemów nie miałbym z Tamarą, to z Raigul była absolutna katastrofa. Ucząc już drugi rok, wszystko wiedziała najlepiej. Ciągłe nie miała czasu spotkać się ze mną, właściwie to wyznaczała mi audyencje, na które przychodziła spóźniona lub zmieniała ich termin. Moje pomysły lekcji torpedowała jako głupie, a sama przynosiła chaos lub nic. Uparcie odmawiała realizowania podręcznika, twierdząc, że nie ma potrzeby. Gdyby w zamian przynosiła jakieś materiały, to bym powiedział, że nie ma sprawy, ale przynosiła rzeczy w ogóle nie związane z tym, czego mieliśmy uczyć. Dorwanie się do prowadzenia lekcji graniczyło z cudem, a gdy już zaczynałem robić, to potrafiła mi przerwać w pół słowa. Zacząłem chodzić i pytać się innych obcokrajowców, gdzie ja to mam zgłosić, bo ja nie wiem jak mam cokolwiek osiągnąć w takim trybie pracy. Powiedzieli, że lepiej nigdzie nie chodzić, że lepiej się spróbować zaprzyjaźnić.

Rzeczywiście, jestem zatrudniony w charakterze szkolącego i będę przepraszał, że dziecko się na mnie obraża, bo śmiem jej mówić, że troszkę nie uczymy tego co mamy, a do tego przynosi rzeczy, które się do niczego nie nadają. Może ja mam jej jeszcze kupić jakiś, kurwa, prezent?

Później dowiedziałem się, że wiele osób tak właśnie robiło i przekupywało lokalne nauczycielki np. zaproszeniami na kolacje do ładnych restauracji.

Pocieszałem się, że z Tamarą uczyłem 18 lekcji tygodniowo, a z Raigul sześć. Kiedyś tak sobie zażartowałem w myślach: znając przewrotność życia, na koniec roku z Raigul będzie mi się świetnie pracowało, a z Tamarą nie. Odrzuciłem tę myśl jako nonsensowną (czyli tak dokładnie będzie...).

Jednym z najdziwniejszych momentów tych pierwszych dni było zobaczenie testu, który otrzymali uczniowie klas czwartych. Był to dość zaawansowany tekst o pingwinach. Do niego było kilka pytań, w tym jedno dotyczące długości wylęgu. Powiedzmy, że w tekście stało, że zajmuje to 68 dni. Pytanie i odpowiedzi:

- a) 60
- b) 65
- c) 70

Pytam Tamarę, jaka jest poprawna odpowiedź, bo dla mnie żadna. Ależ tak, żadna, bo nasza szkoła jest taka eksperymentalna i kreatywna, że oczekujemy, że uczeń w takiej sytuacji dopisze prawidłową.

Gdzie to ma napisać? Bo nie ma miejsca. Oczywiście na chama może zmieścić, ale akurat dzieci takie rzeczy potrafią robić i raczej się ich tego oducza.

Gdzie to jest w poleceniu do ćwiczenia, że tak można? Bo jak nie ma, to skąd uczeń ma wiedzieć?

Dowiedziałem się, że to takie nowatorskie podejście. Dopiero potem zrozumiałem: Test-teach-test. Polega na tym, że na początek daje się uczniom test, patrzy na to, czego nie potrafią, potem tego uczy, a potem znowu testuje. Przydatne w specyficznych sytuacjach - nowa grupa, ludzie na różnych poziomach, raczej u uczniów powyżej wieku nastoletniego - ale nie jeżeli uczniów znasz od trzech lat! Wówczas bardzo dobrze wiesz co oni potrafią, a czego nie. Poza tym jeżeli jest to test, który ma być pisany na końcu semestru, to nie ma sensu dawania go na początku.

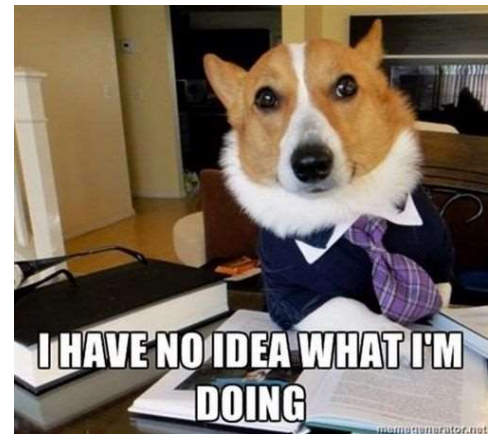
Ja to wszystko powiedziałem i widziałem, że mogłem równie dobrze dać jakiś solidny wykład o języku urdu.

Podobnie solidnie drapaliśmy się po jaju, gdy po dwóch dniach uczenia wezwano nas do szkoły w sobotni wieczór. Pani od spraw międzynarodowych powiedziała, że są skargi na Aligatora od coteacherek. Skargi dotyczą tego, że nie przytula dzieci. Jak siedzieliśmy, to usiedliśmy drugi raz.

Jakie kurwa przytula dzieci? Dzieci to można przytulać w seminarium i na Dominikanie, a nie w szkole! Każdy cywilizowana placówka daje absolutny zakaz jakiegokolwiek kontaktu fizycznego między uczniem a nauczycielem. Za to można wylecieć z pracy. Owszem, czasem się zdarza, że dziecko rzuci ci się na szyję albo ryczy i mu się ociera smarki, ale to nigdy nie może być inicjatywa nauczyciela. Żadnego brania na kolanka, żadnego przytulania!!!

A tutaj dowiadujemy się, że należy przytulać nawet jak dziecko nie lgnie. Wiele można wpisać w różnice kulturowe, ale to było solidnie trudne do przyjęcia.

Uwagi te wychodziły od osoby, która bez obciachu mówiła: "ja nie mam żadnego doświadczenia nauczycielskiego, ale widziałam wiele lekcji". Ja widziałem, jak składają silnik samochodowy i odpalają rezonans magnetyczny, niemniej nie planuję wiązać swojej kariery z dawaniem wskazówek ludziom zajmujących się tym.



Większość szkolnej administracji (źródło: memegenerator.net)

Torturą nieco innego wymiaru były spotkania nauczycielskie. Każdy poziom spotykał się raz w tygodniu i miał wspólnie dogadać czego i po co będzie uczyć. Wyznaczano ludzi, którzy mieli zająć się przygotowaniem lekcji dla wszystkich i napisania testów. Trochę nie pojmowałem: szcycimy się dynamicznym syllabusem, który pozwala nam reagować na potrzeby uczniów i robimy jednolity program dla wszystkich z klas np. 4A do 4I?

Tak.

Jednak potem zależnie od oceny nauczyciela będziemy dawali różne testy końcowe?

Nie. Wszyscy piszą to samo.

Patrzyłem na to wszystko i myślałem, że coś mi umyka. Nie jest możliwe, żeby szkoła, która pobierała taki pieniądze kręciła imprezę, w której nie ma komendanta. Nie jest możliwe, żeby moi współpracownicy nie widzieli, że przygotowana przez nich sekcja reading jest tak naprawdę sekcją writing. Że nie można jednocześnie uczyć czasów ciągłych i prostych, a na pewno nie na takim poziomie. Mnie musi coś umykać.

Umykał mi Timur, nasz przełożony. Miał się on zajmować poziomami PYP, Primary Years Programme, czyli klasami 1-5. Timura widać było bardzo mało, wpadał na zebrania i pytał, czy wszystko w porządku. Na "jest w chuj daleko od w porządku", odpowiadał, że cieszy się, że mu się powiedziało, a potem szedł uciec przed światem do swojego gabinetu. Powiedzenie, że był bezwartościowy jak fiut po stosunku, byłoby pewną nobilitacją.

Do grudnia Timur był jednym z naszych dyrektorów. Niestety, nigdy nikomu nie udało się ustalić jaki był zakres jego obowiązków i kompetencji. Zazwyczaj udawał, że go nie ma, nigdy nie odpisał nikomu na maila. Trochę szkoda, bo Google + jego personalia dawały wyniki, że zajmował się samobójstwami młodzieży. Gdzieś przewinął się temat uczenia w sierocińcu. Jednak żadna z tych wici nie spowodowała, że

- a) zbliżyliśmy się do Timura,
- b) nauczyli kogoś innego niż bogatych,
- c) dowiedzieli czegokolwiek

Zebrania z Timurem sprowadzały się do tego, że lokalni grali na telefonach, a Timur smętnym głosem czytał swoją prezentację. To było tak nudne i pozbawione celu, że niegranie na telefonie oznaczałoby, że ktoś oszalał. Nie dało się zadać żadnego pytania, bo Timur wygłaszał tezę, udawał nam ją, i przechodził do kolejnej. To, że nie miały one żadnego związku z naszą szkołą, nie zrażało go. Podobnie spokojnie przyjmował fakt, że jego opowieści nikogo nie obchodziły. Jeżeli musiał, przychodził w czwartki i prowadził nam sesje rozwoju zawodowego. Zazwyczaj jednak dokładał starań, żeby do tych spotkań nie dochodziło. W jakimś sensie, chwala mu za to, my też się nie dopominaliśmy.

Licznik chujowego coachingu wybiło, gdy pewnego dnia Timur rozlepił obrazki po sali i kazał znaleźć sobie taki, który najlepiej definiuje uczenie. Był tam wulkan, ceglany mur, morze, w ten deseń. Stałem przy wulkanie, przyszedł do mnie kolega z Teksasu:

- *Jak to rozumiesz?*
- *Nie wiem, byłem na Wezuwiuszu kiedyś i mi się podobało.*
- *Ja na Hawajach. Stanę sobie tutaj z tobą.*

Potem okazało się, że nauczanie jest bezkresne jak ocean. Uczeniem musimy przebijać mur. Z zewnątrz mamy być jak skała, ale w środku pełni lawy. Oczywiście żadnego przełożenia na realia pracy i konkret.

Podczas jednego z tych mityngów musieliśmy obejrzeć film, w którym para naszych południowoafrykańczyków bawiła się ze swoim psem. Do różnych zabaw były przyporządkowane różne tryby coteachingu. Do mnie był przyporządkowany jeden tryb:

- C-O T-O K-U-R-W-A J-E-S-T?

Bawili się z piesełem, a potem nam przyszło zgadywać z jakiej choinki się te bombki-bańki zerwały. Że pies był skonfundowany, bo mu podali różne polecenia. Że pies usłyszał coś za plecami jednego właściciela na temat drugiego. Było chyba z pięć sytuacji. Nauki wyciągnięte z tego miały sprawić, że będzie nam się lepiej wspólnie uczyło. Wszystko to było zabawne jak cyrk z karłami i podobnie przerażające. Jakoś ten ich pies nie odmawiał przyjscia na spotkanie i oni nie musieli znosić tego, że ignoruje on ich uwagi. Zresztą co ja w ogóle mówię, pies psem, a nauczyciel nauczycielem.

Po wszystkich tych cudownych spotkaniach oczekiwano od nas feedbacku. Człowiek nie chce być świnią, więc daje pozytywny, ale gdybym miał to poważnie ocenić, to zabrakłoby skali na gnojometrze. Pewnego dnia kolega z Teksasu napisał poważny feedback i skończyły się szkolenia, bo Timur się na nas obraził.



"Frankly, I don't remember why
I called this meeting."

I tak co tydzień (z <https://pbn.com/editorial-cartoon-cant-remember-calling-meeting70532/>)

Poza Timurem była jeszcze jedna pani dyrektor, której zakresu władzy nigdy nie udało się określić. Coś tam czasem obserwowała, coś tam czasem mówiła, najczęściej niezwiązanego z nauczaniem, tylko np. z organizacją dnia pracy. O ile jeszcze Timur czasem przyjął do wiadomości, że jakiś obcokrajowiec coś do niego mówi, o tyle Medina kochała swoje kazachskie koleżanki i szybko zrozumiałem, że nie ma z nią o czym rozmawiać. Chodziły słuchy, że jest bardzo wierzącą muzułmanką, co mogłoby wyjaśniać, że wołała swoje siostry w wierze. Chociaż tak naprawdę nie miała zielonego pojęcia, co się dzieje i co niby miała by robić, w tym więc bardziej upatrywałbym przyczyn jej działalności, a nie w jakimś zacierzwieniu religijnym.

Pierwszy prawdziwy iście kazachski numer trafił się pod koniec września. Nastął czas lekcji obserwowanych, czyli nieco nerwowy czas, bo pierwsze trzy miesiące to okres próbny. Z drugiej

strony, mnie w życiu obserwowano tyle razy... Obserwacja wypadła na czwartej lekcji z serii, więc mieliśmy wcześniej z Tamarą szansę na przećwiczenie wszystkiego. Po pierwszej lekcji poprawiłem trochę czasy, w drugiej wyszło idealnie, więc trzecią tak właśnie uczyliśmy. Została czwarta, ta obserwowana. Nie było niczego prostszego niż wyjść, odbyć lekcję i zebrać propsy. Sprawa kręciła się wokół zwierząt, ich środowisk życia i Present Simple. Przyszedł wicedyrektor, usiadł na końcu sali, dostał kopię naszego planu lekcji. Ruszyliśmy.

Pierwsze dziesięć minut przeprowadziłem dokładnie jak zaplanowałem. Płynnie przekazałem Tamarze prowadzenie, a ta nagle zaczęła odpytywać uczniów z Past Simple. Osiwiałem. Jak stałem, osiwiałem. Skąd, jak, po co, dlaczego, o co chodzi, co się dzieje??? Przecież tego nie mamy w podręczniku, w planie, w rozpisce semestru, skąd, jak, dlaczego???

Potem moja część, wracam do lekcji i myślę sobie "nie no, coś się jej musiało pojechać, ale jak to możliwe? Nic, byle dopłynąć do końca." Nagle jakieś pytania 'what did you do yesterday?'. W okolicach trzydziestej minuty, coteacherka przekazuje mi lekcję. Nie wiem co robić, przecież nic nie ma sensu, jakoś tam to kończę. Jestem tak wkurwiony, że gdy do niej mówię to cedzę słowa, a ona się boi, że jej przypierdolę. Pytam się, z jakiej kurwa parafii nagle pozmieniała wszystko.

- Spanikowałem. Ale pan dyrektor lubi, żeby dzieci mówiły w past simple.

- Jaki past simple? O czym ty pierdolisz? TRZY razy uczyliśmy tego wspólnie. TRZY razy wszystko poszło dobrze. Skąd nagle PAST SIMPLE???

Po rozmowie z osobą, która miała więcej doświadczenia, otrzymałem poradę: "Idź do pana dyrektora i mu wyjaśnij, że zrobiła jajo". Dowiedziałem się, że lokalni czasem to robią; ilekroć jest lekcja obserwowana, to próbują pokazać się z jak najlepszej strony, a obcokrajowców wystawiają.

W drodze do gabinetu dyrektora zastanawiałem się jak to możliwe. Jest plan lekcji, więc rzut okiem na niego pokazuje kto odpierdala cyrk, a kto robi jak umówione.

Mało wtedy jeszcze wiedziałem.

Idę więc, znajduję sobie pana dyrektora i mu mówię.

- Proszę sobie zobaczyć ten plan lekcji, nie wiem z jakiego powodu został zmieniony, bez konsultacji ze mną.

- Taki się właśnie wydawałeś zagubiony na tej lekcji, musicie się dograć.

- Ja się nie czułem zagubiony, proszę zobaczyć ten plan, na którym są podpisy moje i jej. Proszę zobaczyć, czy jakiekolwiek elementy z tego planu były obecne w części lekcji prowadzonej przez moją coteacherkę.

- Ja zawsze mówię początkującym nauczycielom, że muszą się wiele nauczyć obserwując innych.

Początkującym nauczycielom... Ty tępą chuju! Zatrudniasz mnie jako TEACHER TRAINER, mam sześć lat doświadczenia, jakieś kwity na to wszystko, a ty masz czelność mówić mi

‘POCZĄTKUJĄCYM NAUCZYCIELOM’? Zobacz łaskawie ten plan lekcji, czy ty czytać nie umiesz? Czy ty nie rozumiesz po co się pisze plany lekcji?

Potem okazało się, że pan dyrektor ma dwa lata doświadczenia, a uczy kilka godzin w tygodniu, tylko klasy pierwsze. To ma być mój kierownik? Człowiek, do którego nie docierają żadne racjonalne argumenty? Człowiek, który ma przed oczyma papier, ale udaje, że go nie widzi?

Ta sytuacja była pierwszym solidnym “Witajcie w Kazachstanie!”

Borat egzaminacyjny

Pierwszy semestr powoli zbliżał się do końca. Był dopiero październik - z nieznanym nam powodów wiele szkół w krajach postsowieckich uważa, że system 4-semestralny jest lepszy od standardowego. Przyszedł czas testowania.

Początkowo pomyślałem, że będzie smutno: wielu uczniów było całkowicie pod zaplanowanym poziomem kursu. Kiedy robiliśmy im testy cząstkowe ("formatywki"), wyniki wypadły różnie, ale obawiałem się, że dopiero test semestralny - "sumatywka" - pokaże jak strasznie daleko są od celów, które wyznaczone zostały na początku semestru jako konieczne do osiągnięcia przez każdego ucznia, zwanych skrótowo "term outcomes".

Mimo, że jesteśmy chronologicznie na końcu pierwszego semestru, to pozwolę sobie zawrzeć tutaj sumę doświadczeń całego roku.

Jakie dawać oceny? Szkoły wcielające w życie curriculum IB zasadniczo nie marzą o ocenach. Lansowane są raczej raporty postępu, które pozwalają dokładniej oddać to, czy ktoś ostatnimi czasy robi wszystko, czy też wali w bambus. Najczęściej ten raport powinno się pisać w oparciu o jakiś projekt semestralny, który cała klasa z pasją realizuje, a którego temat powinien być interdyscyplinarny i uzgodniony z nauczycielami innych przedmiotów. Ta piękna idea sprawdza się całkiem dobrze w szkołach, do których trafiają dzieci po odbyciu już podstawowej edukacji z języka angielskiego, dzięki której potrafią wyrażać swoje opinie, uzasadniać swoje wybory i zadawać dociekliwe pytania nauczycielowi, którego rolą jest bardziej wspierać uczniów w ich własnych poszukiwaniach naukowych, niż narzucanie swojej wizji tego, czego powinni się akurat teraz uczyć. Oczywiście wymaga to też od nauczyciela odpowiedniego przygotowania merytorycznego, zwłaszcza pomysłów na to, jak łączyć naukę języka z nauką o świecie w ogóle, oraz podstawowej wiedzy na temat tego, jak zarządzać grupami uczniów - czyli jak przypisywać im role w projektach, jak pilnować dyscypliny kiedy mają pracować samodzielnie, jak zachęcać do pracy osoby niezaangażowane itp. Kiedy więc te wszystkie warunki konieczne zostają spełnione, edukator jest w stanie ocenić uczniów poprzez obserwację nie tylko samych kompetencji językowych pacjenta, ale też ich wkładu w pracę całej grupy.

Tyle teorii.

W praktyce nasza astańska szkoła uparła się, aby przenieść curriculum IB na uczniów, którzy nie mówili po angielsku, bądź byli po zaledwie 2-3 latach nieudolnej nauki tego języka. Do grup dzieci rozpoczynających edukację trafiały jednak często jednostki, które mieszkały kilka lat w Dubaju czy USA i mówiły płynnie w języku wroga. O projektach prowadzonych przez całą klasę nie mogło być mowy, ponieważ wszystkie te zalecane przez organizację IB były zbyt trudne, konieczne więc było przeprowadzanie testów.

Co jednak zrobić, jeżeli w jednej sali siedzi osoba mówiąca całkiem dobrze i osoba nie potrafiąca czytać? Dać im jeden test? Dwa różne? A jak potem przeliczyć to wszystko?

W ISA wymyślono więc system, który każdy rozumiał inaczej, ale mimo tej różnorodności podejść, wszystkie rezultaty były podobnie demotywujące dla wszystkich zaangażowanych.

Wariantów było parę: w ramach formatywek zazwyczaj dawało się słabszym uczniom łatwiejsze testy, a lepszym trudniejsze. Tylko jak to potem ocenić? Jedni dawali pełną skalę, więc w sumie opłacało się być słabym, bo dostaniesz łatwiejszy test, wykręcisz z niego 5 i tyle. W tym czasie ktoś z trudniejszym testem napisze na 4, więc ma niższą ocenę od ciebie, chociaż przecież umie lepiej (przynajmniej

zdaniem nauczyciela, który tak pacjenta ocenił podczas przydzielania do różnych grup testowych). Inni uważali, że uczniowie dostający łatwiejszy test nie mogą dostać z niego więcej niż 4. Ależ jest to motywujące, jak się nie zepniesz, to i tak ponad 4 nie wyskoczysz! Po paru miesiącach mieliśmy z uczniami układ, że jak napiszą ten łatwiejszy, to dostają trudniejszy, żeby spróbować na 5. Nigdy nikomu się nie udało, większość po jakimś czasie prawie nawet nie próbowała.

Może wam się nasunąć tutaj pewna grzeszna myśl: Hm, a może podzielić ich na grupy pod kątem znajomości języka?

Nie, nie, tak nie wolno, to by zabiło ideę IB!!!

W jakimś drugim tygodniu mieliśmy spotkanie, na którym poinformowano nas, że oceny są, ale docelowo chcieliby je zlikwidować, bo są one zawsze nieuczciwe i krzywdzące. Teoria była taka: dajmy na to ktoś chodził do szkoły kilka lat i odkrył w sobie wielką pasję do gry na trąbce. Za to ocenić się go nie da, więc jest to krańcowo nieuczciwe, bo spędził tyle czasu szkoląc się w tej trudnej sztuce. Trochę zacząłem głupieć, bo jednak zmierzyć czyjąś znajomość języka nie jest bardzo trudno i niekoniecznie musi to być związane z zajechem pacjenta do łez. Szkoły muzyczne też na ogół radzą sobie z ocenianiem zdolności grania na instrumentach, więc dlaczego miałyby się tym zajmować szkoła podstawowa?

Oczywiście każdy test jest w jakimś sensie niesprawiedliwy, ktoś może mieć gorszy dzień, odpowiedzieć nieszablonowo, ale skoro uczeń spędza na angielskim 4x40 minut w tygodniu (+ English Club + dodatkowe zajęcia) to jest taki nakład czasu, że głupio, żeby z tego wyszło jedynie granie na trąbce. Do tego testowanie języka to często też już nie jest jakiś nonsens, w którym trzeba idealnie trafić w klucz, oceniając można używać zdrowego rozsądku i wychodzić poza modelowe odpowiedzi, a potem zamiast wystawiać oceny napisać raport, że w ostatnich tygodniach pracował rewelacyjnie i że chociaż na teście to słabo widać, to jest cudownie. Albo w drugą stronę, że test napisany cudownie, ale w trakcie lekcji niczego nie robi i bazuje na wiedzy, którą zdobył mieszkając przez dwa lata w Kanadzie.

Gdy robiłem Deltę, to zainteresowało mnie jak się pisze testy. Wydawało mi się, że jest to najbardziej oczywista rzecz świata, że jest tyle wskaźników decydujących o wartości testu, że użycie kombinacji doświadczenia i zdrowego rozsądku pozwala na przetestowanie ucznia z każdej strony i otrzymanie dość miarodajnych rezultatów. Jedno z ćwiczeń na Delcie polega na ocenie przydatności testu dla ucznia, częściej grupy uczniów. Myślę, że nie tylko dla mnie było to jedno z najbardziej oczywistych ćwiczeń.

W kilka miesięcy po tym pokarało mnie solidnie, gdy rozpocząłem pracę z ludźmi, dla których nie było to takie oczywiste, bo w życiu za wiele nie uczyli, a jak uczyli, to w Chinach, Korei Południowej lub na Bliskim Wschodzie, czyli rynkach, które płacą bardzo przyjemnie, ale są niekompatybilne z bardziej klasycznymi systemami nauczania.

Z doświadczenia wynika, że jeżeli system testowania w szkole jest chujowy, to oceny są nieuczciwe. A jeżeli nauczyciele go sami takim tworzą, to co nam to mówi o kadrach?

Jedyne spotkania, na których lokalni się jakoś budzili, to są te związane z pisanem testów końcowych - wszystkie testy były przygotowywane przez nauczycieli przedmiotowych. W efekcie wszyscy robili je tak, żeby uczniowie zdali na pięć. Podczas spotkań natrafiało się na całą kaskadę problemów. Po pierwsze, jeżeli testy napiszą jacyś ambitni obcokrajowcy, to bardzo szybko coś (jak nie wszystko) odpadnie jako za trudne. Dlatego lokalne nauczycielki uwalają wszystkie ambitniejsze ćwiczenia. Wszystko było więc poniżej poziomu zajęć, ale i tak niektórzy oblewali z łoskotem. W efekcie test mający sprawdzić znajomość Present Continuous wyglądał mniej więcej tak:

Match affirmative and negative sentences. (Przetłumaczone na ruski oralnie)

I am swimming. I am not eating.

I am eating. I am not swimming.

Bardzo trudne, bardzo miarodajne, bardzo pokazujące nam, że uczniowie znają ten czas, potrafią go używać w sposób swobodny. Układanie pytań? Pytań się nauczą za rok. Nie wiem kiedy i z czego, bo w następnej części podręcznika nie ma. Zresztą ten dramat związany z tym, że nie bardzo powinno się zaczynać część czwartą podręcznika, gdy jest się w połowie trzeciej, dopadał wszystkich lokalnych. Winne oczywiście było wydawnictwo Oxford, bo przecież autorzy serii 'Family and Friends' powinni byli założyć, że wypierdolicie połowę kursu i przejdziecie do kolejnej książki, więc tam wam ją powinni powtórzyć.

Jak testować znajomość Present Simple?

Uczniowie mają wpasować czasownik do zdania.

Wyglądało to tak:

I _____ football.

I _____ breakfast.

Opcje do wyboru: *Play, eat.*

Tak, dokładnie tak to działa, jeżeli potrafisz zrobić takie ćwiczenie, to wymiatasz Present Simple!

Chwilami wydawało się to niemożliwe, ale jak do pracy ludzie w Kazachstanie się nie nadają, tak do prymitywnego kombinowania pasji im nie brakowało. Efekty były takie, że z każdego cywilizowanego miejsca by ich wywalili na kopach i z wilczym biletem, ale nie zapominajmy gdzie się to wszystko działo. Chińczycy potrafili bredzić i kombinować, ale nie zbliżyli się do poziomów Astany, bo do tych poziomów cywilizowany człowiek się nigdy nie zbliży. Żenada, frajerstwo, cwaniactwo, chamstwo, prymitywizm – to cechowało system panujący w szkole międzynarodowej.

Przerażało nas to, jak zadowoleni tą sytuacją byli wszyscy nauczyciele, czy to kazachscy, czy obcokrajowcy. Były pewne wyjątki, ale wiele osób z RPA uczyło w tym systemie kolejny rok i uważało, że jest to w porządku.

Wisienek na torcie nie brakowało, bo każdy test niekończący musi być na 8 punktów. ZAWSZE NA 8!!! Ewentualnie ich wielokrotność, więc najczęściej pisaliśmy na 16. Jeżeli masz w ćwiczeniu osiem zdań-ćwiczeń, to nie ma sprawy, ale co jak ci się złoży, że masz dziesięć? Wywalasz dwa i zostawiasz osiem. Niestety, czasem ktoś lokalny (obcokrajowcy zazwyczaj umieli w matematykę na takim poziomie) się rozpędzał i zrobił test, który by normalnie wyszedł na 17 punktów. Co się działo dalej?

Powiedzmy, że są trzy ćwiczenia. W efekcie pisano punktację w stylu:

- ćwiczenie pierwsze, pięć przykładów po 1,2 punktu każdy, czyli 6 punktów.

- ćwiczenie drugie, 8 przykładów po 0,5 punktu za każdy, czyli 4.



Niestety, sam sobie to muszę powiesić nad łóżkiem. Też podpisywałem się pod takimi testami.

- ćwiczenie trzecie, 4 przykłady. Każdy po 1,5, czyli 6, czyli mamy 16, Hallelujah! A very broken hallelujah. Dzielimy na 2, mamy wartość punktową jaką mamy mieć. Najgorsze, gdy po takiej zabawie wstanie klient z Polski i mówi:

- To fajnie, ale ćwiczenie drugie jest o wiele trudniejsze, uczniowie muszą dokonać całej transformacji zdania i je napisać. Istnieje znacznie więcej miejsc, w których mogą się pomylić. Tymczasem ćwiczenie trzecie jest bardzo proste, nie wymaga nawet znajomości języka, obrazki można połączyć na oko. Dystrybucja punktów jest błędna, demotywująca i nie oddająca faktycznego poziomu uczniów.

Mózgi eksplodują, bo z matematyką szalu nie było. Jak już ogarniali, co miałem na myśli, to dowiadywałem się, że przecież w drugim potracą wiele punktów, więc niech tracą jak najmniej, a w trzecim odrobą. To jeżeli miałem dzień, to pytałem, czy robimy test, żeby mieć papier, czy żeby cokolwiek sprawdzić i obadać? Standardowa odpowiedź, słyszana po milion razy: oczywiście, że obadać, ale przecież nie można ich demotywować, to byłoby wbrew IB!

Jak czasem komuś dalibyśmy połowę punktu z 1,5, to 0,75, do tego może jeszcze 1/4 z tych przykładów po 0,5, to już w ogóle byłby totalny chaos. Tak jednak nigdy nie było, wszystko zawyżano do następnego pełnego punktu. Testy często pełne były ćwiczeń, które nie sprawdzały właściwie niczego. Wyniki cudowne, pewnego dnia 11 na 12 uczniów otrzymało 8/8, jeden nieszczęśnik 7/8. Uznano, że to był dobry test i tak będziemy dalej pisać.

Kiedyś w Moskwie mówiono mi, że jeżeli cała grupa pisze powyżej 80%, to znaczy, że test był zbyt prosty lub, że grupa jest na złym poziomie. Oczywiście takie wyniki w Kazachstanie oznaczały to, że sprawy miały się idealnie.



Permanentne nastawienie większości nauczycieli w Astanie (Za http://memy.pl/mem_999199_jest_dobrze)

Zapytałem któregoś razu o uzasadnianie wystawianych ocen w sposób opisowy i dowiedziałem się, że na każdą notę trzeba mieć podkładkę, na wypadek gdyby ktoś miał pretensje do nauczyciela o wystawioną ocenę. Zwłaszcza na ocenę niższą niż 5 (a skala była od 2 do 5). Lista osób z pretensjami była długa, o ile rodziców chcących wiedzieć o faktycznej wiedzy ucznia doskonale się rozumie, to już dyrektor trujący dupę nauczycielowi o to, że ktoś dostał 4 zamiast 5, to wyższa forma szaleństwa. Ale to nic - od drugiego semestru sprawę ułatwiono nam całkowicie, wydając oficjalny zakaz stawiania 3. Dzięki temu średnia poziomów była w okolicach 4,9-4,7. To zrodziło kolejny dramat.

System głosił, że w semestrze mamy mieć trzy formatywki (lub cztery - jeżeli mieliśmy aż taką ambicję i pasję, to wtedy wybierało się uczniom trzy najwyższe oceny), a potem sumatywkę. Z trzech formatywek uczniowie zbierają XX/24 punkty. Z sumatywki zbierają XX/24 punkty. Dodajemy sobie, dzielimy na dwa i wychodzi nam uczciwa, dobra ocena. Jeżeli nie, to lokalni przekręcają testy wstecz lub przeliczają punkty ponownie.

Uczniowie piszą testy, zaliczamy odpowiedzi, które są lata świetlne od poprawnych, księgujemy papier i wypełniamy systemy, amen. Do następnego razu. A jeżeli semestr jest bardzo krótki? Ilość testów jest sztywna (to dopiero jest bardzo IB!), więc może się okazać, że piszesz trzeci w tym tygodniu test z diabli wiedzą czego i diabli wiedzą po co. Znaczą po co było zawsze wiadome: żeby mieć papier. Na koniec roku wszystkie testy niszczone. Zapewne po to, żeby jakaś kontrola nie znalazła tych osiągnięć rzeźbienia w gównie.

Nigdy, nigdzie nie widziałem takiej lipy. To może lepiej byłoby ich w ogóle nie testować? Byłoby, ale z jakiegoś powodu - zapewne nostalgii za Związkiem Radzieckim - wymyślono obłądną ilość testów. Nigdy nie musiałem męczyć uczniów tak bardzo i tak często. Drugi semestr to był rekord, nie było tygodnia bez testu, do tego przedostatni tydzień cały składał się z testowania. Test co trzy lekcje, a czasem nawet co dwie. Test z diabli wiedzą czego, test żeby napisać test. Idiotyzm, strata czasu, a według lokalnych 'duch IB'.

Jeszcze może słowo o systemach informatycznych, z których mieliśmy przyjemność korzystać. Wydawało się, że współcześnie stworzenie systemu, który zbiera cztery oceny i wylicza uczniowi średnią, to nie powinno być wyzwaniem na miarę lotu na księżyc w 1969. Oczywiście okazało się, że zawieść może jednocześnie czynnik ludzki i techniczny. Po pierwsze, ludziom się mylili uczniowie i przedmioty.

Powiedzmy, że daliśmy uczniowi 22 punkty.

Dwa dni później okazuje się, że uczeń ma 18.

Jak to możliwe?

Nauczyciel innego przedmiotu pomylił sobie kolumny i wpisał swoje w angielskim.

Przyznam, że zdarzył się JEDEN przypadek, że ktoś wpisał coś niższego niż ja. Zresztą w trzeciej klasie nikt jakoś dziko nie pałuje i bardzo ich nie piłuje, ale już w czwartej powoli się urealnia oceny (to znaczy w moim świecie, bo w świecie NIS ocen nie urealnia się nigdy i zawsze daje piąteczki).

To jednak było małe miki. Błąd techniczny dostarczył nam o wiele więcej radości. Po wprowadzeniu ocen do systemu, okazało się, że automatycznie wyliczone wyniki wyglądały mniej więcej tak:

24/24 - dostateczny

23 - bardzo dobry

22 - dobry

21 - niedostateczny

19- bardzo dobry

18 - niedostateczny

13 - bardzo dobry

Dwa dni to naprawiali. Potem okazało się, że danie komukolwiek jakiegokolwiek połówki (np. 23,5) powoduje, że znowu dzieje się nonsens i każda ocena z połówką to dostateczny. Cieszyliśmy się, że możemy wszystko robić na ostatnią chwilę, że trzeba to wpisywać po kilka razy, zrobić wersję papierową na wszelki wypadek. Niech żyje automatyzacja!

Na końcu drugiego semestru wszedł w życie zakaz stawiania ocen niższych od czterech, więc lokalni w pocie czoła czochrali system i szukali, czy aby komuś nie wyszła trójczyna. Co z tego, że w papierze

się wszystko zgadzało, to system decydował o tym, czy będą mieli rozmowę na dywaniku, czy nie. Zresztą wtedy system się wypierdolił z łoskotem i pisaliśmy wszystko na piechotę w Excelu, łącznie z personaliami uczniów.

This means war

Wielkimi krokami nadchodził koniec pierwszego semestru. Już wtedy wiedzieliśmy, że szkoła jest totalnie nie do pracy, administracja generuje chaos, a lokalni nauczyciele to w ogóle szkoda gadać - bywało, że po studiach mieli angielski na poziomie A2, czyli niższym niż wielu absolwentów europejskich podstawówek. W tym całym pierdolniku z paroma obcokrajowcami dało się jakoś zaprzyjaźnić, chociaż to zbyt wielkie słowo, raczej "zamienić parę słów". Wszyscy starali się być w miarę mili, ale jakiegokolwiek rozmowy czy próby integracji poza realiami szkolnymi paliły na panewce.

Wychodziliśmy kilka razy z inicjatywą, ale wiele z tego nie wynikało. Wszyscy spędzali weekendy na zakupach, oglądaniu seriali i śnie. Fakt, że było z czego odsypiać, codziennie wstawaliśmy 6:30, chwilę przed 8 wchodziliśmy do szkoły, gdzie siedzieliśmy do 17. Przysługiwała godzinna przerwa na lunch, ale i tak spędzało się ją rozmawiając o pracy, kserując ćwiczenia czy planując lekcje.

Tym bardziej chciało się zrobić coś ciekawego w weekend i naiwnie liczyliśmy, że mieszkający w Astanie znacznie dłużej będą w stanie coś zorganizować, bo jest jakaś taka niepisana zasada życia na obczyźnie, że weterani pokazują nowo przybyłym fajne bary, restauracje, kina lub inne ciekawe miejsca.

Mieliśmy nadzieję, że ktoś wyjdzie z inicjatywą - w końcu niektórzy byli tam trzeci rok! - ale srodze się rozczarowaliśmy. Zadawaliśmy pytania, które aż prosiły się, żeby zaproponować nam jakieś wyjście, ale nic z tego nie wynikało. Próby popytania lokalnych o jakiegokolwiek wspólne spędzanie wolnego czasu były jeszcze bardziej skomplikowane.

Radość sprawili nam Henk i Lily, para z RPA, która zaprosiła nas na Oktoberfest do Marriota. My w Marriocie, to jak żołnierze sowieccy w szlacheckim dworcu w 1945, ale nie mieliśmy wielu lepszych pomysłów (a raczej żadnych). Impreza z cyklu rewelacyjnych nie była.

Bilet kosztował jakieś 17 K KZT, czyli zaporowo dużo. Śpiewali i tańczyli jacyś biedni Niemcy, było dużo jedzenia (zwłaszcza kiełbasy, co oczywiście bardzo ucieszyło nasze wegetariańskie żółdki), poznaliśmy kilka osób.

Mogło się to rozkręcić, ale o 22:30 cały Oktoberfest zakończono, wyrywając ludziom niedopite piwa i nakazując wypierdalać. W ten sposób Marriott nie zrobił na nas jakiegoś obłędnego wrażenia i ostatecznie to oni byli jak Sowietci w 1945.



Dziesiąty krąg piekła.

W inny piątek poszliśmy trochę większą drużyną międzynarodową do Cat Cafe, w której okazało się, że kilka lokalnych nauczycielek boi się kotów (jak??? dlaczego???), a potem na kilka piw do położonego niedaleko szkoły pubu Bruxelles, który oferuje piwa spoza Kazachstanu. W Bruxelles pracował wówczas kelner, którego angielski był na tyle dobry, że mógłby spokojnie wysiadać Timura lub Zhanbirzhana ze stanowisk dyrektorskich.



Fajne życie...

Reszta wiekowego kolektywu jednak trzymała solidny dystans, tłumacząc się posiadaniem dzieci, filipińskich niań i sprzętaczek czy wysyłaniem całego zarobionego hajsu na spłaty kredytów za nieruchomości, których nie widzieli od kilkunastu lat.

Dodatkową barierę w nawiązywaniu międzynarodowych przyjaźni tworzyli RPAńcy, którzy komunikowali się ze sobą w afrikaans. Siedzisz, rozmawiasz z kimś po angielsku, przychodzi ich znajomy, a oni na pięć minut przechodzą na afrikaans. Nie wiesz, czy wstać i wyjść, czy czekać aż łaskawie skończą i zauważą, że ty też tam jesteś.

Gdzieś w tym wszystkim dowiedziałem się, że RPA jest krajem nie do życia i że nie mają wyboru, tylko muszą siedzieć w Kazachstanie. Znam ludzi np. z Azerbejdżanu, którzy znajdowali sobie prace w tym biznesie, wprawdzie za inne pensje, ale w lepszych placówkach naukowych. Wybór jest dość solidny, tylko trzeba coś przynieść do stolika, a na lepsze szkoły sam paszport nie wystarczy. Ta prawda jednak do nich nie docierała, w zamian więc pocieszali się, że muszą być świetni, skoro ktoś chce im aż tyle płacić. W „normalnym” świecie tak, w Kazachstanie mało rzeczy działa zgodnie z naszym rozumieniem logiki. Także wynagrodzenia.

Były rzeczy, które nas dziwiły. Na przykład powtarzanie w kółko, że trzeba się nie wychylać, bo inaczej możemy nie dostać kontraktów na przyszły rok. Pod koniec pierwszego semestru bardzo wątpiliśmy, że będziemy chcieli zostawać dłużej niż do końca roku. Jeżeli wychylaniem jest próba podciągnięcia uczniów pod jakikolwiek standard, wyblaganie od nauczycieli, żeby łaskawie sprawdzali testy przed rozdaniem ich, a do tego wymaganie czegoś od współpracowników, to obawiam się, że nie umiem się nie wychylać i uznać, że jaki fajny burdel, co ja będę gadał.

Dwójka pracowników przyjechała dopiero pod koniec września. Powodem był błąd w zaproszeniach. Dzięki wyteżonej pracy administracji, zamieniono im daty urodzin. Kuriozalność problemu podbijał fakt, że między tymi osobami było około 20 lat różnicy wieku i pochodziły z różnych kontynentów. Powoli jednak zaczynaliśmy rozumieć, że mimo fontanny pieniędzy wlanej w NIS, cała ta organizacja tak działa. Zresztą w moim kontrakcie też był błąd, odmłodzono mnie o cztery lata. Gdy go zgłosiłem, powiedziano, że wiele się nie dzieje, to przecież nieważne. W ostatecznej wersji udało się go poprawić, a szczęśliwie zaproszenia wizowe dostaliśmy dobre.

W tym wszystkim jedno było względnie w porządku. Kopiejka. Pod koniec września spłynęła nam kopiejka numer jeden (bonus przesiedleńczy), zaraz numer dwa (pensja). No cóż, ludzie robili głupsze rzeczy dla pieniędzy, np. żeńską wersję „Ghostbusters”. Jednak nie wydawało nam się, że będziemy chcieli bardzo długo ciągnąć tę zabawę, bo była dla nas strasznie męcząca. Poza dziewięciogodzinnym dniem pracy szkoła miewała pomysły pracujących sobót. Teoretycznie można było odmówić, ale było to źle widziane („i nie zapropomuję kolejnego kontraktu!!!”). My podziękowaliśmy za sześć godzin coachingu w czasie wolnym, ale zgodziliśmy się przyjść na śniadanie, wychodząc z założenia, że to drugie jest miłym gestem, a to pierwsze, to zmuszanie do robienia darmowych nadgodzin. Team-building wypalił zresztą fatalnie, zrobiono drużyny obcokrajowcy versus Kazachowie i dość szybko okazało się, że niektóre zespoły kombinują. W nawiązaniu do klasyki dzieciństwa:

Grają w karty niedźwiedź, jeź i lis. Nagle wkurzony niedźwiedź rzuca karty i krzyczy:

- Ja nie powiem kto oszukuje, ale jak palnę w ten głupi, rudy łeb!!!

Tu musieliby palnąć w środkowoazjatycki łeb.

Śniadanie było względnie miłe, chociaż to też był chaos: miało się odbyć w szkole, a nas zachęcono do przyniesienia jedzenia z naszych krajów, ale na godzinę przed startem imprezy spotkanie przeniesiono do tureckiej restauracji. Byliśmy pod wrażeniem, bo uszanowano nasze preferencje wegetariańskie, a całe spotkanie upłynęło we względnie miłej atmosferze. Dyrektor się cieszył, że u niego pracujemy, my dyplomatycznie też się z tego powodu cieszyliśmy. Frekwencja za szalowa nie była, trudno też powiedzieć, że zostaliśmy najlepszymi przyjaciółmi.

Po drodze, jakoś na początku października, wydarzyło się magiczne święto: Dzień Nauczyciela. Dla większości nauczycieli jest to dzień, który najchętniej spędziliby na lekkim kacu w jakimś cichym miejscu, ale my oczywiście spędzaliśmy go w szkole, w której przygotowano specjalny program kulturalny, oczywiście głównie po kazachsku i rosyjsku, z powodu którego wszyscy musieli zostać dłużej w robocie - hurraaa! Dzień ten stał się oczywiście również powodem do odczuwania kolejnych sygnałów niechęci ze strony lokalnej kadry, ponieważ jakoś tak magicznie się złożyło, że niektórzy uczniowie woleli wręczyć kwiatki lub czekoladki nauczycielowi-inostrąco, a nie wiernej edukatorce, która od 3 lat uczyła ich angielskiego po kazachsku.



Urokliwy zestaw otrzymany przez Redaktora Jenota



Bukiet z okazji dnia nauczyciela.

Mały zgrzyt miał miejsce w ostatnim tygodniu semestru. Jedna z RPAnek powiedziała mi, że lokalna nauczycielka skarżyła się, że pokazuje dzieciom filmy. Tak było, tydzień wcześniej wszyscy zatwierdzili, że przez cały tydzień będziemy oglądać filmy.

Jedna osoba była przeciwna.

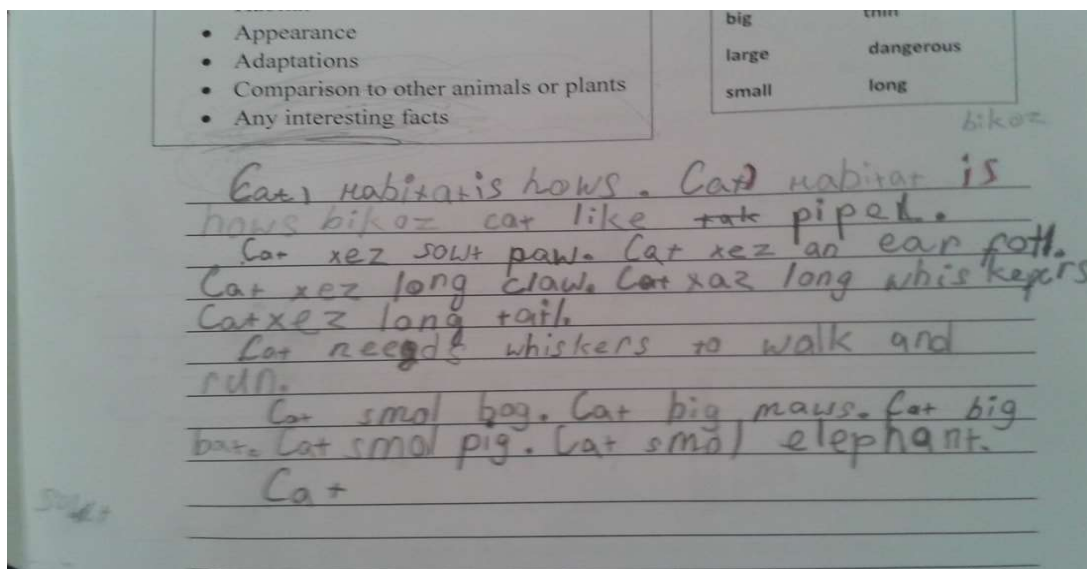
Autor tych słów.

Potem gdy przegłosowano filmy, to zaproponowałem przygotowanie jakichś worksheetów. Pomysł zainteresował chyba dwie osoby, więc przygotowaliśmy trochę papieru do męczenia po seansie. Trudno oddać słowa jaką radością napełniły mnie zarzuty, że to MNIE nie chce się pracować i to ja uparłem się pokazywać filmy. Ja chciałem zrobić tydzień tzw. refleksji, czyli przeglądamy jakie błędy były najpopularniejsze w testach i piszemy ćwiczenia w oparciu o te znaleziska. Nie, co ty, pierdolić to, pokazujemy filmy. Klasa czwarta "Charlotte's Web", a piąta "Ben Hura".

- Nie zdążycie całego "Ben Hura" w cztery lekcje po 40 minut.

- Nieważne, wyluzuj się.

Ostatecznie moje grupy jako JEDYNE robiły jakiekolwiek ćwiczenia okółofilmowe. Z jakiegoś jednak powodu ktoś postanowił dopierdolić się do mnie. Oczywiście żadną drogą oficjalną, oczywiście nie osobiście, tylko plotkując za moimi plecami.



Wypracowanie uczennicy z klasy czwartej. Wszystko w porządku, oglądamy filmy.

Ostatniego tygodnia semestru byłem sam, bo co-teacherka Tamara pojechała na konferencję naukową do Dubaju, Szkoła fundowała nauczycielom takie wyjazdy, w zamian wymagając zobowiązania, że nie

odejdą przez kolejny rok czy dwa. Lokalni w ogóle nie myśleli w takim spektrum czasowym, wszyscy chcieli jechać. Przed wyjazdem do Dubaju ucieszyła się, że bilety autobusowe są tam tanie. Trochę zdurniałem. Po chwili zrozumiałem: gdy zobaczyła cenę 20 dirhamów, to uznała, że to będzie tyle samo, co 20 tenge. Szybko jej pokazałem, że to jakieś 2000 tenge i tym samym zepsułem jej dobry humor. Sam zaś drapałem się po dupie jeszcze długo po tym i mówiłem do siebie, że to przecież niemożliwe, że nie ma takich ludzi.



Dubaj, wyobrażenia lokalne.

Oceniliśmy uczniów, skończył się semestr, a my stanęliśmy przed wyborem: siedzieć w pustej szkole przez tydzień i zajmować się robieniem materiałów, pisanem planów, lub też oddalić się i pozwiedzać Kazachstan. Długo nie myśleliśmy, kupiliśmy bilety kolejowe do Karagandy, Ałmat i wybyli. Wiele osób wybrało jednak siedzenie w pustej szkole, bo skoro za to płacą, a nie trzeba brać urlopu, to szkoda nie zarobić. Płacenie tabunom nauczycieli za siedzenie w pustej szkole i nic nie robienie okazało się być jednym z hobby naszego kazachskiego pracodawcy.

Rozpoczęła się przerwa międzysemestralna. W poniedziałek wieczorem zadzwoniono do Aligatora, żeby poinformować ją, że została zwolniona. Zamarliśmy jak staliśmy.

Nie podano żadnych powodów. Po prostu. W oficjalnym piśmie, które przyszło dużo później, jako powód podano różnice w podejściu do pracy. Mnie z kolei powiedziano, że były skargi. Od kogo i na co - nigdy się nie dowiedziałem. Mniej bym się zdziwił, gdyby to mnie zwolnili – na obserwacjach jaja, skargi na pokazywanie filmów. Żadnych formalnych zastrzeżeń, ale miałem znacznie więcej problemów. Być może odegrała w tym wszystkim rolę moja płęć, bo w dzikich krajach mężczyźni zazwyczaj mają łatwiej.

Cały urlop oczywiście zjebany. Postanowiliśmy się spakować z Kazachstanu w ciągu tygodnia. Po kilku dniach stwierdziliśmy, że lepiej, żeby chociaż jedno z nas miało pracę, a drugie szukało.

Po powrocie na drugi semestr okazało się, że sytuacja nie miała precedensu. Wszyscy byli w szoku, parę osób zaczęło się bać, że za chwilę też polecą, na przykład za to, że napisali z Aligatorem sylabus następnego semestru. Jedna z Amerykanek, pracująca w tej szkole już któryś rok, napisała długiego maila do dyrekcji, że przecież istnieją jakieś standardy, że nie robi się takich jaj. Wezwano ją na

dywanik i powiedziano, że jeżeli powie jeszcze słowo, to ją zwolnią w tym samym trybie, czyli bez żadnego trybu.

Wszyscy zachodzili w głowę, co się stało, ale nikt nie wymyślił. Któraś z lokalnych nauczycielek coś podpierdoliła? Może, ale je dyrekcja ignorowała, więc byłoby to dziwne, żeby nagle przejęła się zdaniem którejś. Wszyscy twardo się zaklinali, że nie mają pojęcia i szeptem pytali mnie, o co chodzi. O decyzji nie wiedziała także dyrektorka departamentu i dowiedziała się o tym dopiero po rozpoczęciu semestru. Od Aligatora, na Whatsappie. Taki panował poziom komunikacji, jasność zakresu kompetencji w renomowanej międzynarodowej szkole pod patronatem NIS.

W tym wszystkim organizacja macierzysta zrobiła świetny interes płacąc za wyrobienie rocznej wizy, bilety lotnicze, pensje, ubezpieczenie zdrowotne, badania lekarskie, bonus przesiedleńczy i jeszcze urlop dla nauczyciela, którego zwolnili po 2 miesiącach. Bardziej bezmyślnie wydanych pieniędzy w życiu nie widziałem.

Pierwszego dnia drugiego semestru szedłem już nie do pracy, a do strefy wojny.



Z braku wojennych jenotów... (<http://www.freakingnews.com/Raccoon-War-on-a-City-Pictures-28008.asp>)

Field on Fire

Trudno słowami oddać ten niesamowity ogień, który towarzyszył mi, gdy wchodziłem do szkoły pierwszego dnia drugiego semestru. Po pierwsze byłem sam, po drugie wszyscy się na mnie gapili, jakby oczekiwali, że zaraz opuszczę spodnie i nawalę na środku korytarza. Byłem tak wkurwiony o całą sytuację, że gdyby mi tylko ktokolwiek dał pretekst, to bym mu tak najebał, że ukochany prezydent by go nie poznał. Zostawiliśmy nasze prace w Polsce, przejechaliśmy kawał świata, tyrali dwa miesiące, żeby połowę z nas w chujowy sposób zwolniono. Do tego tę połowę, która nie chciała jechać.

Czekałem, by zobaczyć, co się wydarzy. Gotów byłem na tak zwane wszystko, ale niespodzianek nie było - wszystkie nauczycielki pytały mnie co u mojej żony.

- *Chujowo* – odpowiadałem większości.

Trochę więcej pogadałem z Raigul i Tamarą. Raigul wydawała się żywo przejęta, pytała o co chodzi, zaklinała się, że sama nie rozumie, że tak jeszcze nigdy nie było. Że może to jakieś nieporozumienie. Że przecież nie miał nikt żadnych zastrzeżeń. Ja na to wszystko mogłem odpowiedzieć tylko jednym: my też z tego nic, kurwa, nie rozumiemy. Po jakimś czasie zacząłem się zastanawiać, czy szkoła nie chciała zwolnić mnie, ale ponieważ słabo cokolwiek rozumieli, to przez pomyłkę zwolnili Aligatora. Nie byłaby to najdziwniejsza rzecz jaka spotkała mnie w Astanie.



*Mniej by mnie zaskoczył taki fenek w Astanie,
niż gdyby mi nie kłamali.*

Tamarze empatii starczyło na jakieś trzy wymiany zdań. Zaraz potem popadła w opowiadanie mi, że przecież w dwa miesiące Aligator zarobił tyle, co ona przez rok, a poza tym, że z jednej pensji da się żyć. Tamara jeszcze wtedy twardo twierdziła, że zarabia 130K KZT miesięcznie, czyli 1300 PLN. Nawet biorąc pod uwagę, że zarabiała raczej jakieś 2800 PLN (odkryłem to dopiero dużo później), to w pewnym sensie była prawda. Nawet gdybyśmy się spakowali, to mogliśmy pojechać na dość długie wakacje. Nie bardzo jednak chcieliśmy mieć wyrwy w życiorysach zawodowych, nie bardzo też

chcieliśmy nie mieć niczego do roboty. Inne nauczycielki w kółko pytały mnie, jak się ma Aligator, a ja mówiłem, że znają numer telefonu, więc mogą same zapytać. Oczywiście żadna nigdy nie zadzwoniła.

Gdy w trakcie lunchu wpadłem na Assię, która zajmowała się obcokrajowcami, a do tego dała nam tę pracę, to myślałem, że dziewczyna zemdleje. Musiałem promieniować szczęściem, pozytywnymi uczuciami i miłością do świata. Uciekła przede mną. Dopiero drugiego dnia powiedziała, że umówimy się poza szkołą i nam wyjaśni. Do tego spotkania nigdy nie doszło, chociaż średnio co dwa tygodnie je proponowała, umawialiśmy termin, a ona je odwoływała, z przeróżnych powodów. Od pogody, poprzez zmęczenie, po obowiązki służbowe.

W drugim tygodniu w końcu Assia odważyła się ze mną porozmawiać. Powiedziała, że zwolnienie Aligatora było związane ze skargami.

- *Od kogo, na co?*
- *Wiele, wiele.*
- *Chcielibyśmy zobaczyć.*
- *Nie, to niemożliwe.*
- *Dobrze, to skoro rozmawiamy o skargach, to ja mam jedną. W kontrakcie jest absolutny zakaz podawania swojego numeru rodzicom. Tymczasem moja coteacherka dodała mnie do grupy na WhatsApp i rodzice wydzwaniali do mnie wieczorami, a także w weekendy.*

Assia zamarła.

- *Ale...jej...tego...nie...wolno...było...zrobić.*
- *Ale zrobiła. Jakie konsekwencje zostaną wyciągnięte?*
- *Poruszę ten temat na zebraniu.*
- *A jakie będą konsekwencje?*
- *Powiemy, żeby więcej tego nie robiła.*
- *Po co ma to robić ponownie, skoro wszyscy mają mój numer?*
- **ZMIENĆ NUMER!**

- *Nie bardzo mogę, bo całą bankowość mam do niego dowiązaną. Zresztą nawet jak zmienię, to będę musiał podać nowy na wewnętrznym kanale, bo mam taki obowiązek. Kontrakt zobowiązuje mnie do podania numer współpracownikom. Jaki to ma sens? Co zrobicie z tym, że złamała zapis kontraktu?*

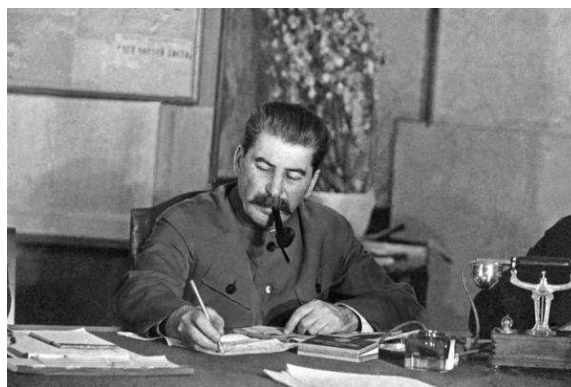
Odpowiedzi nie było. W tej rozmowie przewinięło się też, że szkoła obawia się, że może odejść. Odparłem na to:

- *Ja nie wiem, czy jutro nie zwolnicie mnie, więc wiele nie planuję.*
- *Nie, nie, zaufaj nam.*

Tu mi już kredki wypadły z tornistra. Oczywiście, że wam zaufam. Jak każdy obywatel ZSRR Stalinowi w 1933.

Drugi semestr przyniósł odkrycie kolejnych pomysłów związanych z robieniem z życia nauczycieli – lokalnych i międzynarodowych - rzeczy, którą Kazachowie potrafią robić rewelacyjnie, czyli gnoju.

Pewnego poniedziałku nakazano nam zostać po 17, żeby omówić rezultaty pierwszego semestru. Wyszła persona znana wszystkim, czyli pani Koulash. Wcześniej znałem ją tylko z opowiadań, że to



Na obrazku widzimy osobę równie godną zaufania, co administracja prywatnej szkoły w Astanie

Slayer, „War Ensemble” i „Seasons in the Abyss” w jednym. Przez cały rok nie udało mi się zrozumieć jaka była jej oficjalna funkcja i w jaki sposób moja praca miała być związana z jej. Ktoś powiedział mi, że była dyrektorem języków.

Chyba na swoim kroczu.

Pani Koulash miała 60+ lat i nie mówiła ani słowa po angielsku. Chyba nie mówiła też za dobrze po kazachsku, bo zawsze przemawiała po rosyjsku. W tym jak działała ta szkoła, absolutnie na miejscu było posadzenie osoby bez słowa angielskiego na stanowisku wicedyrektora ds. nauczania angielskiego.

Rozpoczęło się spotkanie. Przeklikano prezentację w Powerpoincie. Tempo było ekspresowe, ledwo widziałem, co która klasa wykreśliła. Na pewno zrobiono to przez pomyłkę, a co ujrzałem, to moja wina. Więc:

- 86% ocen bardzo dobrych jako średnia poziomów!

Ale niektóre klasy wyrobiły nawet 96% ocen bardzo dobrych. Okazało się, że to są bardzo słabe wyniki, a wiadomo kto jest winien: NAUCZYCIELE! Jak się nie postaramy w następnym semestrze, to będzie z nami krucho. Jak nie umiemy uczyć, to mamy sobie iść do 1 klas, tam pracują prawdziwi nauczyciele. Od nich mamy się uczyć.



Niestety, nie rozdawali nam transparentów ani prezerwatyw do nadmuchania. (
<https://www.polityka.pl/pomocnikhistoryczny/1738982,1,zsrr-w-epoce-brezniewa.read>)

Mnie tu już korki wyjebało solidnie, bo jeszcze nie słyszałem, żeby ktoś używał sześciolatków jako punktu odniesienia dla uczenia wyższych lat. Ba, żeby z nich robił wzorzec.

Trochę później dowiedziałem się, że dwójka RPAńców, którzy pracowali z klasami pierwszymi, dwa lata wcześniej wybrało panią Koulash na chrzestną swojej córki. Ruch ten okazał się genialny, wielokrotnie słyszeliśmy potem z jej ust, że to od nich mamy się uczyć. Ponieważ o nikim innym tak nie mówiła, pokazywało to jasno, że wiedzieli na jakiego konia postawić.

A jakaś przyzwoitość, honor, poczucie żenady? Ależ gdzie tam, znikną sobie pewnego dnia z Astany, a pani Koulash nigdy z niej nie wyjedzie, dziecko może się nawet nie dowiedzieć, że kopnął je taki zaszczyt, że ma za matkę chrzestną kobietę, z którą jej rodzice nie są w stanie zamienić ani słowa.

Jeszcze o pani Koulash: wysłuchanie kilku minut jej przemowy pozwoliło spokojnie zdiagnozować kilka chorób psychicznych. Z jakiegoś jednak powodu, zarówno lokalni jak i wcale niemało obcokrajowców, deklarowało, że jest ona bardzo dobrym fachowcem i mądrym człowiekiem. Tak, wprawdzie nie mówi po angielsku, jest dyrektorem językowym, ale to drobiazg. Nikt z obcokrajowców nie mógł się z nią skomunikować, ale co z tego? Zresztą pani Koulash miała nas wszystkich w dupie i ze mną też nie bardzo rozmawiała, chociaż mogła.

Do tego już po tym spotkaniu odkryłem, że lokalni nauczyciele tłumaczą swoim kolegom zza morza mądrości z zebrania w wersji solidnie ocenzonej, a najczęściej bzdurnej i idealizującej te mowy nienawiści. Trochę jak w „Życie jest piękne” Benigniego. Niektórzy zaczęli potem siadać ze mną, bo woleli moją wersję. Szkoła i pani Koulash były bardzo niezadowolone z faktu, że ktoś jest w stanie to naprawdę tłumaczyć i przybliżać ludziom realia w stylu „obłęd tego tygodnia” i „kogo dzisiaj zwyczajamy”.

Po godzinie nienawiści, przyszedł czas na szkolenia. Podzielono nas na grupy, najpierw mogłem więc budować projektor kinowy z telefonu, lupy i kartonu. Drugiego szkolenia za bardzo nie rozumiałem, ale miało być związane z uczeniem dzieci z problemami. Ze szkoły wyszedłem koło 19. 11 godzin siedzenia w pracy. Miałem już serdecznie dosyć. Cóż jednak mogłem powiedzieć, skoro RPAńska rodzina pani Koulash przychodziła na godzinę SZÓSTĄ i była nam stawiana jako wzór. Nie bardzo wiem, co robili przez tyle czasu każdego dnia, bo efektów nie było widać. Znaczący oczywiście wiem, żebrali o kolejny kontrakt i pokazywali, że lepiej od nich trafić nie można.

Kilka dni potem tuż obok szkoły wybuchł pożar. Zapalił się transformator wysokiego napięcia, oczywiście odcięto prąd i wodę. Przestały działać łazienki. Przez jakieś dwie godziny czekano na powrót elektryczności, bezskutecznie. W szkole było ponad 1000 osób i czasem ktoś musiał skorzystać z toalety. W końcu koło godziny 11 smród jaki niesło korytarzami przebijał ten dochodzący z szaletów na Przystanku Woodstock i uczniów odesłano do domów, a raczej zadzwoniono po rodziców, żeby ich sobie zabrali. Zastanawiałem się, co będzie dalej, przecież siedzenie w pustej szkole nie ma sensu. Pani Koulash zwołała więc zebranie, na którym dała dalszy pokaz swojego pierdolnięcia.

Po pierwsze prąd wrócił i podobno niektórzy rodzice skarżyli się, że po co przyjechali po dzieci, skoro mogłyby się uczyć. Tak więc mamy wszyscy mówić, że ponieważ nie było prądu, to nie dało się ugotować obiadu, a nie mogliśmy trzymać nienakarmionych dzieci. Jak ktoś powie coś innego, to wylatuje z roboty. To był jednak dopiero początek:

- następnie opowiedziano o tym, że podczas wuefu jakiś uczeń walnął się w głowę, a nauczyciel nie zareagował na tę sytuację. Potem uczeń zwymiotował w czasie lekcji, zadzwoniono po karetkę, zabrano go do szpitala, gdzie niczego nie stwierdzono. A co gdyby ten uczeń umarł??? "WSZYSTKICH WAS ZWOLNIĘ, WSZYSTKICH!!! WY MNIE CHCECIE POSŁAĆ DO WIĘZIENIA!!!"
- potem był panel dla nauczycielek: "JA MAM DOSYĆ SKARG NA WASZE RAJSTOPY!!! SPÓDNICZKI!!! PODKOLANÓWKIIIIIIII!!! JA WAS WSZYSTKIE ZWOLNIĘ!!!"
- punkt trzeci: pani Koulash wzięła do ręki kartkę logowań wejść do szkoły. Rozpoczęła się litania:

- *Gabdulina! 2 listopada przyszedł siedem minut spóźniona!!! SIEDEM MINUT!!! Wy się będziecie tłumaczyć, Gabdulina!!! Dalej, Chołdanowa. TRZY MINUTY SPÓŹNIENIA 30 PAŹDZIERNIKA!!! Ja cię z pracy wyrzucę jak ty mi się jeszcze raz spóźnisz!!!*

I tak z dobre 10 minut. Nazwisko, data, spóźnienie (czasem wynoszące TRZY minuty) i wielki wrzask, że wylecą z roboty jak tak dalej będzie. Już pierwsze zebranie przypomniało mi lekturę wspomnień z ZSRR i przesiadywania na arcydurnych, niepotrzebnych nikomu spotkaniach do usranej śmierci. To jednak było jeszcze lepsze, to był rok 1933 i oskarżanie wrogów ludu. Jeszcze fajniej, że po rosyjsku i zachowując ten miły sposób odzywania się do ludzi.

Gdzieś w tym wszystkim krążyło pytanie: co mnie obchodzą lekcje w-f? Co mnie obchodzą spóźnienia Gabduliny? Co mnie obchodzą spódniczki i rajstopy? Nic z tego nie tyczyło się mnie, ale musiałem wysiedzieć i wysłuchać tych prymitywnych wrzasków. W związku z tym, że tak źle pracujemy, to mamy siedzieć do 17, a będziemy mieli szczęście jak nam nie każą siedzieć do 20!!! - skończyła pani Koulash plując niemal z wściekłości.



Po wysłuchaniu solidnej dawki obłędu należy pamiętać o nieodzownym "klap klask" na koniec (źródło:

<https://nkleadershipwatch.wordpress.com/2016/04/16/conferences-held-to-elect-delegates-to-7th-party-congress-and-provincial-party-meetings/kpawpkpc-mpafpy-rapr142016/>)

Te dwa spotkania, które oddzielał może tydzień, pomogły zrozumieć fenomen wicedyrektorów: przeważająca większość tych ludzi nie miała żadnej prawdziwej pracy. Zatrudniono ich, bo znali kogo trzeba. Większość siedziała po cichu w gabinetach, ewentualnie wzorem Żanata w ogóle nie przychodziła do pracy. Pani Koulash jednak postanowiła udowodnić wszystkim, a zwłaszcza samej sobie, że jej praca jest potrzebna.

Nigdy w życiu nie widziałem takiego terroru, takiego poddaństwa. Niestety, w Kazachstanie prawo głosi, że ponieważ ojczyzna zapłaciła za twoje studia, to musisz potem na rzecz ww. odpracować jakiś czas. Długość wyroku zależała od kilku czynników, na pewno miał na nią wpływ wyjazd za granicę (wtedy musieli odpracować bodajże cztery lata), chyba też pobieranie stypendiów. O ile w Polsce człowiek popłakałby się ze szczęścia, gdyby mu dali państwową posadę zaraz po studiach (i to humanistycznych), o tyle w Astanie działało to nieco inaczej: absolwenci ogólnie nienawidzili tego, że zmusza się ich do jakiegokolwiek pracy i liczyli dni do końca wyroku, wykonując swoje obowiązki w trybie pasywnie-agresywnym. Po odpracowaniu tej pańszczyzny, pakowali się i szli tyrać do

prywaciarza, CHYBA ŻE przez te kilka lat nie ogarnęli niczego sensownego, nie zrobili żadnych kursów i po prostu nie mogli znaleźć niczego lepszego niż prestiżowa szkoła prywatna. Wielu szczegółów nie udało mi się ustalić, bo ludzie wstydzieli się o tym mówić, ale wiem, że dostawali kolejne lata odsiadki za wyjazdy zagraniczne lub kolejne kierunki studiów. Dlatego też pani Koulash nie musiała się specjalnie martwić o to, że ludzie pewnego dnia rzucą papierami. Chyba jakoś tam mogliby to zrobić i iść do innej szkoły, ale o takich przypadkach się nie słyszało. Nie wiem, czy dlatego, że ich nie było, czy dlatego, że wszyscy dookoła lubowali się w kłamaniu i zamiataniu spraw pod dywan. Nawet jeżeli niektórzy uznawali, że im wystarczy takiego traktowania i godzin nienawiści, to były to jednostkowe przypadki.

Prawdziwie zastanawiające jednak było, że siedzieli tam ludzie tacy jak Tamara, czy jej najlepsza koleżanka Medina, które już dawno temu odpracowały swoją pańszczyznę. Każda z nich mogła iść i próbować szczęścia na wolnym rynku, ale żadna tego nie robiła. Bo ich kwalifikacje i zdolności wykonywania zawodu, zweryfikowane na wolnym rynku, sprawiały, że musiały podkulić ogon i wrócić do cudownego NISu.

Skoro już mowa o konferencjach, ci którzy byli w Dubaju, mieli podzielić się z nami swoimi zdobyczami naukowymi z tego dalekiego i egzotycznego kraju. Prezentacje wyglądały tak:

- Powerpoint, czcionka 8
- Zdjęcia, dużo zdjęć. Nauczycielka przy ścianie. Nauczycielka na Burj Khalifa. Opowieści o tym, że w Dubaju jest czysto.
- Na koniec napiszmy feedback: to była świetna prezentacja, dziękujemy, że przybliżyłyście nam konferencję.

Że niczego nie widziałem, ani się nie dowiedziałem? Nieważne. Polityka „ja zrobię dobrze tobie, a ty mnie” powinna być wpisana do hymnu Kazachstanu. Przez prawie rok życia nie spotkałem tam osoby, która byłaby w stanie dokonać racjonalnej oceny cegokolwiek. Wszystko jest zawsze z gwizdkami i flagami.

Edukacyjnie tendencja była zniżkowa. Zaliczyłem obserwowaną lekcję z Raigul, podczas której zrobiła mi ten sam numer co Tamara. Już mi to latało, zakończyłem okres próbny, a do tego nie wiązałem swojej przyszłości z Astaną w żadnym stopniu. Feedback do lekcji był nic nie wart i w ogóle z nią nie związany, do tego udzielała go Medina-dyrektorka, która nie umiała angielskiego i bełkotała na poziomie A2. Kurwa, „you didn’t taught” powtórzyła ze trzy razy. Taki jest poziom kazachskich kadr. Dyrektorka nauczania angielskiego nie umie past simple. W bardzo drogiej, prywatnej szkole.

Raigul miała swoją ukochaną książkę, Wordwise. Jest to seria do uczenia angielskiego NATYWNYCH dzieci irlandzkich przez czytanki. Słownictwo w tej serii nie jest w żaden sposób stopniowane, podobnie gramatyka. Uparła się i jedną lekcję w tygodniu poświęciliśmy na Wordwise i robili czytanki, w których pojawiał się Past Perfect, drugi warunek, wszystkie możliwe czasy. Raigul uważała, że dzieci wchłoną gramatykę przez obcowanie z nią w ten sposób. Pomysł ten wzięła od irlandzkiej nauczycielki, którą szkoła zwolniła rok wcześniej, a z którą się bardzo przyjaźniła. No cóż, często kończyło się na tym, że uczniowie nie byli w stanie zrobić żadnego reading comprehension (czyli ćwiczeń sprawdzających zrozumienie tekstu), co mnie jakoś nie dziwiło. Sam się nauczyłem jak wymawiać imię Aoife, nasi ośmioletni uczniowie również. Miernik kuriozometru wyjechało mi, gdy wymyśliła, że na koniec semestru uczniowie będą robić przedstawienia oparte o czytanki. O ile jeszcze dało się ogarnąć czytanki w stylu „Kałuże” - o dziewczynce skaczącej po kałużach, o tyle nie bardzo mogłem zrozumieć, jak uczniowie mają dać sobie radę z „Pesto Pasta Salad”, czyli po prostu przepisu kulinarnego. Przyznam, że ich nie doceniłem i trójka dziewczynek zrobiła super przedstawienie z

rekwizytami. Podobnie chłopcom udało się pokonać prezentację listu w butelce. Płeć aktorów nie zgadzała się z płcią autorki, nikt nie miał pojęcia, gdzie znajduje się Nowy Brunszwik, ale jakoś to ogarnęliśmy i wyszło akceptowalnie. Pewnym problemem przy uczeniu z Wordwise były święta irlandzkie, których Raigul nie znała. Ponieważ ja swego czasu trochę w Irlandii mieszkalem, to służyłem pomocą. Niestety, w całej tej serii książek nie pojawiał się Guinness.

Na lekcjach z Tamarą wziąłem lejce w swoje dłonie. Przygotowywałem lekcje, pokazywałem jej i sugerowałem jak to podzielimy. Działo się, do ostatniego tygodnia. Wtedy to Tamara zrobiła gigantyczny burdel: w planie mieliśmy regularny past simple, tryb orzekający. Gdy zacząłem to robić, to po paru minutach wpierdoliła się z jakimś bardzo autorskim projektem nauczania w jednej lekcji absolutnie całego past simple. Powiedziała uczniom, że mają wrębać na pamięć kilkadziesiąt czasowników nieregularnych (w tym weave-wove-woven) i zaczęła znęcać się nad najsłabszym uczniem w grupie, że źle robi negacje w past simple.

Oniemiałem. Stałem i patrzyłem na to wszystko. W głowie latało mi milion pytań, a dominowało jedno: na chuj, w jakim celu? Przecież tak nie można, tak się nie da. Uczenie past simple zajmuje w cholerę czasu, jest kilka szkół podejścia, żeby klientowi wbić do głowy, że w pytaniach i negacjach nie odmienia się czasownika. Żadne ze znanych mi podejść nie zakłada, że robi się to wszystko w CZTERDZIEŚCI minut.

Jednak nie przeszkodziłem jej, oglądałem gigantyczny burdel, którego narobiła i byłem pewien, że dotrze do niej, że to se ne da w ten sposób. Nie zdążyłem się nawet odezwać, ledwo uczniowie opuścili salę, to rozpoczęła na mnie wrzeszczeć, że może ja tam mam jakieś certyfikaty, ale w ogóle nie umiem uczyć i że jak jestem taki mądry, to mam jej pokazać, że zrobię więcej w czterdzieści minut niż ona. Następnego dnia leciałem na wakacje, a na jej wrzaski odpowiedziałem, że mamy plan lekcji, a że seria podręczników „Family and Friends” nie wymaga wprowadzenia takiej ilości materiału w jednej lekcji. Trzymaj się planu lekcji (napisanego przeze mnie) i nie będziesz miała takich problemów. Wyszedłem, a resztę lekcji tego dnia prowadziłem po swojemu.

Opływałem w profesjonalizm na różnych poziomach właściwie każdego dnia. Zażyczyło mi się, że chciałbym dostawać jakieś payslipy, bumażki potwierdzające moje miesięczne dochody, a przy okazji wyliczenia urlopu, odprowadzonych podatków, takie różne. Najpierw dowiedziałem się, że nic nie rozumiem, bo są po rosyjsku. Zapewniłem, że rozumiem. Znowu się wkurwiono, że znam rosyjski – ten problem będzie powracał wielokrotnie. Scenariusz ten powtórzył się ze trzy razy. Po jakichś dwóch miesiącach dostałem kartki A4, które wyglądały tak

JENOT
DUŻO KZT

To według mojej szkoły, księgowości, koordynatorki i nie wiem kogo jeszcze, był dokument urzędowy. Żadnych pieczętek, żadnego rozbicia przychodu. Mogłem sam sobie taki wystawić. Okazało się, że innych dostać się nie da. O ile mnie to interesowało głównie po to, żeby sobie policzyć, na czym mnie mogą kroić, o tyle bardzo ciekaw jestem reakcji amerykańskiej skarbowki, gdy dostała taki dokument.

Drugi semestr był dość krótki, trwał niecałe dwa miesiące. Z radością odkryłem, że z racji nadgodzin (zebrań z rodzicami, nie tego głównianego coachingu do 19), zaoferowano nam pojechanie na urlop już 15 grudnia. Kontrakt głosił, że szkoła płaci za bilety, więc rozpoczął się cyrk pod tytułem „Nice Tours”. Chociaż w naszych kontraktach był



Życie po pracy w Kazachstanie

(źródło:

<https://icanhas.cheezburger.com/lolcats/tag/tax>)

zapis, że bilety mamy kupować sami, a potem rozliczać je ze szkołą, to nagle pojawiła się agencja biletów lotniczych Nice Tours, przez którą mieliśmy rezerwować loty, a ona miała je wykupywać. Po co w roku 2017 komuś agencja biletowa? Nie wiem. Znaczący oczywiście, że wiem, bo przecież oni walili do tego swoją prowizję, a „pan dyrektor podpisał z nimi umowę”. Pieniądze szły z ministerstwa, więc można powiedzieć, że dla pracowników bez różnicy CHOCIAŻ były pewne limity na wysokość zwrotu. W sytuacji lotu np. do Australii, sprawa mogła się wywalić przez tę prowizję. Po pomyśleniu sobie przez chwilę, postanowiliśmy lecieć na Sri Lankę. Wysłałem maila, dostałem voucher, dzień później otrzymałem bilety, kupiliśmy ten sam lot dla Aligatora i pozostawało odliczać dni do końca nauki.

Dużo później odkryłem jak rozliczane są urlopy i chorobowe: skoro masz pięć dni pracy w tygodniu, to znaczący, że jest pięć dni roboczych. A GUCIO! W momencie gdy brałeś urlop, to za każdy tydzień odliczano ci SIEDEM dni urlopu, ale płacono za pięć. Lepiej: jeżeli brałeś urlop na pięć dni, to dowiązywali ci do niego oba weekendy, więc odliczano ci DZIEWIĘĆ dni urlopu, a płacono za pięć. Rozchorować można się było jedynie na wielokrotność TRZECH dni. Jeżeli twój pierwszy dzień choroby wypadł w piątek, to nie miało znaczenia, że w sobotę i niedzielę nie chodziło się do pracy, z wypłaty potrącono ci TRZY dni (za dzień chorobowego płacono jakieś 10% normalnej stawki). Podobno rok wcześniej ktoś się solidnie wkurwił i zaczął drażnić temat. Powiedzieli, że to zarządzenie ministerstwa. Ta osoba była na tyle ciekawa, że napisała do ministerstwa, a to jej odpisało: NIE MA TAKIEGO ZAPISU W KODEKSIE PRACY, NIE WOLNO TAK ROBIĆ! Mając oficjalną interpretację przepisów z MINISTERSTWA EDUKACJI chłop poszedł z tym do dyrekcji. A dyrekcja powiedziała, że swojej praktyki nie zmieni, a jak mu się nie podoba, to może się zwolnić. Takim właśnie państwem prawa jest Kazachstan, lider w rankingu krajów środkowoazjatyckich. Obstawiam, że beneficjentami tych pomysłów byli właśnie dyrektorzy i pracownicy administracyjni, którzy na naszych plecach dorabiali do pensji.

W efekcie siedzący tam kolejny rok RPAńcy przychodzili do pracy przez cały okres przerwy świątecznej, bo chcieli dostać pieniądze za urlop. Uczniów nie było, do roboty za wiele też nie, więc po prostu siedzieli w pustej szkole i czytali gazetkę albo oglądali seriale. Za to wszystko szkoła płaciła solidne pieniądze i nie odliczała im urlopu.

Kilka lat wcześniej była wielka zadyma związana z biletami lotniczymi: po powrocie ze świąt, ludzie dowiedzieli się, że mają oddać pieniądze jeżeli nie polecili do swojego kraju ojczystego. Większość wybrała jakąś Tajlandię, a nie Kanadę w środku zimy – lot tańszy, odpoczynek łatwiejszy. Procedura zwrotu pieniędzy odbywała się tak, że mieli je przynieść do księgowej w żywej gotówce, przelew nie był akceptowany. Nie otrzymali żadnego potwierdzenia. Łącznie można to oszacować na kilkanaście tysięcy dolarów, które szkoła najzwyczajniej w świecie zabrała swoim pracownikom i które skończyły w kieszeniach pracowników administracyjnych. Zastanawia, czy pan prezydent jest świadom, że jego projekt niesienia najwyższych standardów edukacyjnych młodym Kazachom stał się bardzo głęboką kopalnią pieniędzy dla obywateli, którzy edukację już zakończyli.

Swoją przygodę z biletami też zaliczyłem: kontrakt głosił, że zwrot za loty otrzymam do pięciu tygodni. Zaczynał się grudzień, a ja dalej nie dostałem zwrotu za przylot do Astany. Assiya twardo twierdziła, że szkoła mi oddała pieniądze i że mogę zobaczyć w historii konta.

- Oj, ale historia konta jest po rosyjsku, to sobie nie dasz rady!!!

- Dam, nie ma problemu. I właśnie widzę, że nie oddaliście mi za lot, chyba że przylepiliście to do jakiejś pensji, ale nie wygląda na to.

Przez tydzień zaklinała się, że szkoła mi oddała pieniądze i nie mam o co piłować dupy. W końcu pomógł mi przypadek: znalazłem boarding passy, gdzieś na dnie szuflady. Był to czas, kiedy uznałem, że trzeba być lisem, a nie lwem. Lis już wtedy był myśliwym. Podbiłem do gabinetu Assiyi i wróciłem z tematem biletów.

- *Mówiłam ci już, że ci oddaliśmy!!!* - piszczala zirytowana moją upierdliwością.
- *Żeby mi oddać, musiałś wziąć ode mnie boarding passy, nie?*
- *Tak, wzięłam we wrześniu, w pierwszym tygodniu twojej pracy* – rzuciła z pewnością siebie.
- *Hm, no chyba nie* – powiedziałem i położyłem jej dwa boarding passy, jeden na Warszawa-Mińsk, a drugi na Mińsk-Astana.

Zamarła.

- *Czyli oddaliście mi we wrześniu, a ja nie umiem czytać historii konta po rosyjsku?*
- *Oddamy w tym tygodniu!!!*

Rozmowa odbywała się koło 7 grudnia. Ostatecznie 29 grudnia oddano mi za przylot do Kazachstanu.

Jeszcze przed naszym wylotem na Sri Lankę zaliczyłem inną kuriozalną wymianę zdań z Assiyą. Nastał piątek, 15 grudnia. Lot mieliśmy o jakiejś 4 rano 16 grudnia. Więc w ten piątek wieczorem Assiya napisała do mnie, że mam przynieść klucze do mieszkania na szkolną portiernię. Szkoła cały czas obawiała się, że po zwolnieniu Aligatora ja też dam dyla. Mieliśmy tylko jeden komplet kluczy (szkoła nam je dorabiała od września, w końcu sam dorobiłem, ale oni tego nie wiedzieli) i Assiya obudziła się, że jak dam w długą, to nie będę w stanie wejść do mieszkania. Odbyliśmy więc wymianę myśli na WhatsAppie:

- *Przynieś klucze na portiernię przed swoim wylotem.*
- *Mam lot o 4 rano. Jest -26 stopni. Czy mam iść z bagażami do szkoły o jakiejś 1 w nocy, w kopnym śniegu, zostawić klucze, a potem czekać tam na taksówkę?*
- *Tak.*
- *Sorry, nie.*

Dead of Winter

Gdyby chcieć wybrać dwa najbardziej odmienne kraje świata, to jest szansa, że wybrano by Kazachstan i Sri Lankę. Same temperatury są cudownie wręcz kontrastowe: gdy wylatywaliśmy z Astany, było -26. O 2 w nocy Colombo powitało nas +26. Po drodze mieliśmy Dubaj, gdzie było jakieś +23. 16 grudnia rozpoczęliśmy noworoczny odpoczynek. Sri Lanka była w jakichś moich szerokich zainteresowaniach, ale to nie był poziom tego, jak bardzo niegdyś zależało mi na odwiedzeniu Japonii czy Tajlandii. Po prostu, tak się złożyło, że poleciliśmy, bo wychodziło względnie tanio.

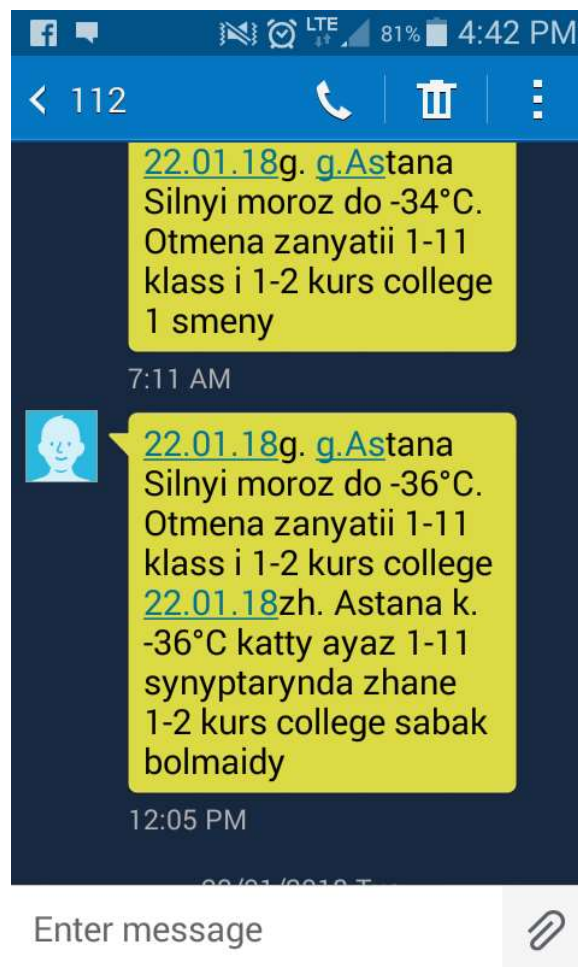
Trzy tygodnie na Sri Lance były pasmem szczęścia, nawet wliczając w to, że ktoś ukradł mi pieniądze z plecaka. Góry, plantacje herbaty, wodospady, a przede wszystkim plaże. Chociaż chyba największy wkład do szczęścia złożyli ludzie, których spotykaliśmy. Hotelarz w Kandy, z którym rozmawialiśmy o oszczędzaniu wody. Najlepszy hotelarz świata w Nilaveli, który częstował nas marihuaną, arakiem, i zabrał na wycieczkę motorową w poszukiwaniu krokodyli (czyli krewnych aligatorów). Po drodze zwiedzanie Dubaju.

Gdy w końcu wylądowaliśmy w Astanie, chciało nam się ryczeć. Była 4 rano, -26 stopni. Już droga z lotniska do naszego mieszkania pozwoliła nam przypomnieć sobie, w jakiej norze żyjemy. Jaki to koniec świata. W planach mieliśmy pożegnanie się z miejscem pracy po drugim semestrze, ale jakoś te trzy tygodnie odpoczynku zmieniły nam percepcję świata. Skoro tak szybko zarobiliśmy na taki urlop, to szkoda nie zarobić sobie na kolejny. Robota jest debilnie głupia, ale pieniądze są prawdziwe, da się je wymienić na radość z życia. Trzeci semestr zaczynaliśmy dość skonfudowani: z jednej strony, trzeba tym pierdolnąć w chuj. Z drugiej strony: to się kalkuluje, a wakacje z pełną pompą są przyjemniejsze od takich, na których liczysz każdą kopiejkę.

Gdy wszedłem do szkoły, spotkał mnie festiwal radości. Ludzie rzucali mi się w ramiona, całowali mnie i opowiadali o tym, jak bardzo się cieszą, że wróciłem. Wszyscy byli pewni, że damy dyla i że tyle się widzieliśmy. RPAńcy, Tamara, Raigul, dyrektorka, wszyscy opowiadali o tym, jak bardzo się cieszą, że zdecydowałem się wrócić. Tylko jedna osoba nie cieszyła się z tego powrotu.

Ja.

Styczeń w Astanie był kombinacją śniegu, wiatru i kilku żalosnych godzin światła słonecznego. Wychodziłem do pracy w nocy, czyli o 7:40. Do jakiejś 9:30 pracowaliśmy przy włączonym świetle, żeby włączyć je ponownie koło 15. Około ośmiu minut jakie dzieliły moje mieszkanie od pracy było walką z żywiołem, oblodzonymi schodami i wiatrem. Przeżyłem zimy w Gruzji, Moskwie, ale nic nie stało nawet blisko tej w Astanie. Nierzadko po dotarciu do szkoły zamykałem się w łazience i wyjmowałem sobie zakrzepy krwi z nosa. Obok nierzadko robił to drugi nauczyciel, pozostawało jeszcze zdrapanie naskórka z twarzy i już można było iść na lekcje. A to wszystko po dziesięciominutowym spacerze. Gdy temperatury zeszły poniżej -26 stopni, większość naszych uczniów przestała przychodzić do szkoły. Siedzieliśmy więc w pustej szkole, czasem mieliśmy jedną lekcję dziennie, więcej o tym [wspomniane już było tutaj](#).



-36 stopni? Co to dla nas!

Gdy jednak uczniowie docierali do nas, to musieliśmy im prowadzić jakieś zajęcia. Znaczy ja tak sobie naiwnie myślałem, bo byłoby mi wstyd, gdybym nie wiedział, co z nimi robić. Lokalna ludność miała nieco odmienne pomysły. Korzystając z czasu wolnego w pracy, przygotowałem zajęcia do przodu na dwa tygodnie. Jaja zaczęły nabierać rozmiarów globusów, gdy uczniowie wrócili do szkoły. Tamara co chwilę robiła numer znany mi z lekcji obserwowanej: rozpoczynałem lekcje, ona przychodziła spóźniona i przerywała mi wprowadzając chaos. Rozmawiałem z nią o tym wiele razy, bez większych efektów. Ilekroć chciałem omówić plany lekcji, to informowała mnie, że musi iść na śniadanie, kawę lub spotkanie do dyrekcji. Chuj, że w dwie minuty po tym jak mi mówiła, że idzie do dyrekcji, widziałem, że gada sobie z koleżanką dwie sale dalej. Jeszcze przez jakiś czas próbowałem ją nakłonić do zrobienia roboty, ale nie działało to w ogóle i w żadnym stopniu.

Pisałem więc plany lekcji, kserowałem materiały i zatwierdzałem to z Tamarą. Potem lekcje szły sobie trybem swobodnym, zazwyczaj w stylu takim, że ja zaczynałem wprowadzać coś nowego i byłem jedynym nauczycielem na sali. W dwudziestej minucie wpadała Tamara i robiła rzeźnię, rozpoczynała odpytywanie z wszystkich trzech przeszłych form czasowników. Na moje uwagi, że to se ne da, Tamara dostawała histerii albo gadała bzdury w stylu, że mój plan lekcji był zły. Ona nigdy nie napisała żadnego i robiła na tzw. spontan. Jej spontan często oznaczał, że kazała uczniom układać swoje teczki datami. Nasi uczniowie musieli mieć foldery, a w nich wszystkie materiały z zajęć. Zapewne idea stojąca za nimi nie zakładała, że nauczyciele im to układają, a robią to oni sami. W realiach NIS ISA, zdolni robili sami, średnio zdolni z naszą pomocą, a za leniwych wszystko robiliśmy

my. Zapewne ktoś, kto wymyślił ideę tego, że uczniowie mają swoje teczki, nie wpadł na to, że można spędzać całe lekcje na układaniu ich datami. A ponieważ nasze worksheets nie miały dat, to robota była niewykonalna. W poniedziałek układali semestrami, a we wtorek rozmiarami papierów. Miało to mniej więcej tyle sensu, co wyrąbanie dwóch przerebli na zamrożonym jeziorze w odstępach 50 metrów. Następnie zaś noszenie wiadrami wody z jednej do drugiej i snucie rozmyśleń, kiedy uda się przelać całe jezioro.

Foldery to było jakieś 20% naszych zajęć, lwią część zajmował past simple w wersji debilnej. Tamara co chwilę odpytywała uczniów z czasowników nieregularnych. W książce czeka going to, czasem je nawet robimy (wiemy za czyją sprawą), a tu testy z nieregularnych czasowników. Czasem po trzy tygodniowo. Tamara nigdy ich nie sprawdzała, przez jakiś czas robiłem to ja, a potem i mnie ta zabawa się znudziła. W efekcie nasi uczniowie pisali hektary testów nikomu do niczego niepotrzebnych. Przepraszam: potrzebnych, żeby zabić czas lekcji, bo pani nauczycielka się nie przygotowała.

Turlało się to trochę, ale w końcu i moje korki wyjechało. Szczerze, to już nawet nie wiem, co mnie tak wkurwiło, ale coś to uczyniło.

20 stycznia wysłałem pismo, w którym opisałem wszystko, co się dzieje. Że ja też mam pewien próg wytrzymałości. Że to jest marnowanie czasu uczniów i mojego. Że niemożliwa jest współpraca z kimś, kto współpracować nie chce. Spisałem jakieś trzy dni naszego uczenia, jej komentarze wygłaszane do uczniów, strukturę lekcji. Zderzyłem to z planami semestralnymi, opisałem, co miało być, a co było. W świetle powyższych wydarzeń, proszę o zabranie ode mnie tej wspaniałej nauczycielki i danie mi innej. Wiedziałem, że tego nie robią. Byłem pewien, że mając wybierać między mną a Tamarą, wybiorą ją. Chciałem po prostu, żeby mnie zwolnili z pracy. Wiedziałem, że kładę jaja pod topór, ale mało mnie to bolało. Miałem tak serdecznie dosyć walk z nią, że jedyne czego chciałem, to miesięczny okres wypowiedzenia, odebranie po tym pieniędzy za urlop i pożegnanie się z Astaną.

Wówczas jeszcze nie znałem przeciwnika, czyli szkoły. Nie wiedziałem, że strumień pieniędzy płynących do szkoły związany jest ze mną, a nie z ogólnym zaufaniem do instytucji NIS ISA.

Odpowiedź na moje pismo dotarła do mnie po trzech tygodniach. Pani od zagranicznych, Assiya, powiedziała mi prosto w ryj, że nie pokazała nikomu mojej ściany płaczu, i że dzięki temu oszczędziła mi kłopotów. Myślałem, że coś się ruszyło, bo jakby poziom naszych zajęć odbił się od dna i chwilami robiliśmy po bożemu. Przypadek, albo Tamara zdała sobie sprawę, że przy jej pomysłach nikt się niczego nie nauczy - bo nawet z tymi nieregularnymi nie szło za dobrze. Gdyby jacyś dociekliwi rodzice zaczęli przeglądać książki swoich pociech, to szybko zauważyliby, że robione jest mało co, więc może i to dotarło do mej współpracowniczkę. Powiedziałem więc Assiyi, że chwilowo jest lepiej, ale nie wiem, co będzie dalej, bo taka sinusoida już się kilka razy przewijała. Dodałem też, że życzylibym sobie, żeby moje desperackie maile ktoś zauważał, bo ja nie pisałem tego dla jaj, tylko uważam, że jest problem. Assiya zwymiotowała na mnie aksamitem bezwartościowych słów z podręcznika coachingu, a ja oczywiście w żadne z nich nie uwierzyłem.

Przez następne dwa miesiące było względnie w porządku. Oczywiście co jakiś czas były manifestacje siły i marnowanie czasu uczniów, ale już nie do tego stopnia, co w styczniu. Było stabilnie i chujowo, bo oczywiście nie robiliśmy niczego sensownego. Raigul przynosiła pomysł numer milion, więc rzucaliśmy pomysłem poprzednim i wprowadzaliśmy nowy, żeby nim też rzucić zanim doprowadzilibyśmy sprawę do jakiegokolwiek sensownego miejsca. Kudos Raigul, bo Tamara nie robiła niczego. Lekcje prowadziłem sam, bo Tamara opierdalała szarlotki sama ze sobą, albo wbijała się w dwudziestą minutę lekcji, żeby pokazać swoją władzę.



Być może w jej żyłach płynęła krew przodków? (

<http://brewminate.com/wp-content/uploads/2018/04/040318-73-Mongol-Empire-History.jpg>)

Najważniejsze w tym wszystkim było jedno: WŁADZA! Żadnym problem był jakikolwiek brak podstaw do roszczenia sobie praw do tejże. Oto trochę dla nakreślenia doświadczenia mojej współpracownicy.

Tamara pochodzi z Uzbekistanu. Zdobyła licencjat w prywatnej szkole w Karagandzie. Jej angielski był na poziomie A2 - z IELTS dostała 4,5. Nigdy i nigdzie nie miała prawa uczyć tego języka. Niestety, w Kazachstanie taki jest właśnie poziom nauczycieli. Co gorsza, ci ludzie wierzą, że są pełnoprawnymi pracownikami, równymi ludziom, którzy trochę już w tym fachu pracowali, a nawet zrobili sobie jakieś międzynarodowe papiery.

Nigdy nie uważałem, że parę papierów, które zrobiłem, to powód do jakiejś wielkiej chwały, czy mówienia komuś, że jak tego nie ma, to nie może uczyć. Poznałem w życiu wielu nauczycieli, którzy nie mieli zbyt wielu kwitów. Moja ulubiona współpracowniczka z Gruzji miała w papierach jakiś słabiutki uniwersytet, ale nie przeszkadzało jej to w byciu jedną z najlepszych nauczycielek, jakie w życiu widziałem. W życiu bym nie wypalił do niej, że ma iść na jakiś kurs. W Chinach mój ulubiony współpracownik w ogóle nie skończył studiów kierunkowych i uczył niejako z doskoku, co nie przeszkadzało mu być w tym bardzo dobrym. Jednak w wypadku Tamary... Nie podejmuję się zgadywania, czy kursy coś by pomogły, bo miałem do czynienia z osobą rocznik 1986, która mentalnie tkwiła w okolicach późnego Stalina.

Jednak Kazachstan dokładała starań, żebym został równy innym. Często można było się dowiedzieć, że certyfikaty o niczym nie świadczą. Ja się jestem w stanie zgodzić, ale jednak, takie pomysły zakładają jakiś poziom cywilizacyjny. Tymczasem NIS ISA dokładała starań, żeby umniejszyć rolę twojej wiedzy i doświadczenia, i zrównać ludzi zachodu do poziomu swoich kadr. Widziałem to już wcześniej w Chinach, a w Kazachstanie miałem powtórkę: celem systemu jest doprowadzenie do równości ludzi z różnych krajów i kontynentów. Tak jak jedne deski w więziennym płocie są równe innym deskom.

Tamara strasznie się wkurwiała, że jej znajomość języka wroga jest odległa od mojej. Sprawy nie wygrało to, że mówię po rosyjsku. Oczywiście moje oferowanie tego, że mogę jej coś pomóc z IELTS,

czy terminologią nauczania języka, pogarszały całą sytuację. Najpierw nienawidziła mnie za moją pensję. Jednak prawdziwym dramatem było odkrycie, że między naszą sumą doświadczeń nauczania języka angielskiego istnieje taka przepaść, że w zderzeniu z jej poziomem wiedzy wychodziło, że jestem uprawniony do pobierania takich pieniędzy. Bo właśnie tak te szkoły pomyślał projekt pana prezydenta - pacan z zachodu przybywa i uczy lokalnych uczenia. Jednak prezydent nie wpadł na to, że lokalni nie położą się pokornie na katafalku wiedzy, tylko znienawidzą w chuj przyjezdnych i będą im rzucali kłody pod nogi, opierdalali za plecami, komentowali do uczniów, a pewnie i rodziców.



Tak trzeba żyć! (Źródło: <https://memy.jeja.pl/42179,klada-ci-kłody-pod-nogi.html>)

W styczniu i lutym lekcje przepadały dość często, więc opanowałem różne techniki zabijania czasu w szkole, wliczając w to oglądanie filmów, a nawet przysypianie. Czytanie jawiło mi się jako banalne zajęcie. Męczyła mnie nuda, poza kolegą z Teksasu trudno mi było z kimkolwiek porozmawiać na jakikolwiek sensowny temat. Dzięki przyjaźni z Amerykaninem udało się jedno wyjście, najbardziej epickie z wszystkich, które zaliczyłem podczas życia w Kazachstanie.

Zacząłem się raczej niewinnie, od wybrania się grupą na "Czarną Panterę" po angielsku. Na seansie spotkaliśmy parę osób ze szkoły, nacieszyliśmy się filmem i poszli do winiarni położonej w tej samej galerii handlowej. Był luty, mrozy wiadome (bodajże -28 tego wieczora), więc oczywiście szło się do najbliższego miejsca, a nie łąziło po mieście o 22:30. Dwie coteacherki Edwarda z dziką radością rzuciły się na wino, a że ogólnie w miarę je lubiliśmy, to nie żalowaliśmy. Koło 1 w nocy wychodziliśmy w stanie typowym dla tej pory w piątek. Ponieważ mieszkaliśmy najbliżej, to pognaliśmy do naszego mieszkania. Tam rozpoczęła się wielka radość naszych koleżanek, czyli odkrywanie różnych alkoholi. Nie mogły uwierzyć, że mieliśmy takie cuda jak tequila, wódka, koniak. Tak, ja zazwyczaj mam jakiś flakon w domu, ale po picciu czerwonego wytrawnego raczej nie wskakuję na tequilę. One jednak były ciekawe i rozpoczęły testowanie wszystkiego, co znalazły, no a trochę tego było (w tym arak ze Sri Lanki). W efekcie o 2 były tak napierdolone, że padały. Wiedzieliśmy, że obie

są zainteresowane naszym kolegą z USA, ale wiedzieliśmy też, że on nie jest zainteresowany żadną z nich. Jedna z nich rozpoczęła podchody w umiarkowany subtelny sposób. W pewnym momencie usłyszałem, że mnie woła do łazienki. Wchodzę trochę niepewnie, a tam taki obrazek: Edward stoi i trzyma spodnie. Ona klęczy i majstruje mu przy rozporku. Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, dowiedziałem się:

- Bo on nie chce, żebym mu zrobiła laskę - powiedziała prawie płacząc. - Powiedz mu coś.

Jakoś sytuację ogarnąłem, to znaczy przekonałem ją, że jak on nie chce laski, to nie wypada go zmuszać. W okolicach 3 położyliśmy się spać. Aligator na kuchennej podłodze, na sofie w salonie Edward, a obok niego dwudziestoczteroletnie zwłoki z Kyzylordy. Ja wybrałem islamski dywan modlitewny i rozłożyłem go na podłodze.

Budzę się o późno rozumianym poranku. Hm, leży na mnie ktoś. O, ten ktoś jest nagi. Jest to kobieta i nie jest to moja żona. Kyzylorda. Tylko o co chodzi??? Patrzę, a ona ma takie gacie po tacie, że w latach pięćdziesiątych w Polsce kobiety na wsiach nosiły ten krój i styl.

Obudziłem ją i z subtelnością właściwą sobie dałem wykład.

- No jak ty na podryw i seksy w takich gaciach wychodzisz? Przecież to wstyd dla całego Kazachstanu. Idź i zapytaj Aligatora, ona ci powie jakie gacie sobie masz kupić, a nie te poźółkle barchany.

Kolega z Teksasu popłakał się ze śmiechu. Wspólnymi siłami ustaliliśmy, że w nocy ona chciała się do niego dobrać, co skończyło się na tym, że się rozebrała. On rzucił ją z wyra, spadła na mnie i tak została.

Od drugiej usłyszeliśmy fajną historię z cyklu "Honor Kazacha". Spotykała się przez miesiąc z chłopem. Ten kwiaty, czekoladki, kolacje. W końcu popuściła mu szpary. Następnego dnia rano zniknął, a jego numer telefoniczny przestał odpowiadać. Ona miała 27 lat i już powoli godziła się z tym, że zostanie starą panną, bo w Kazachstanie śluby bierze się raczej koło 25tki. Jak nie zdąży, to potem ma problem, a jak jeszcze używana, to w ogóle. Domyślam się, że na wioskach sytuacja jest jeszcze zabawniejsza.

Ubaw z wydarzeń nocy był niezły, chociaż główna bohaterka trochę się krępowała. Jako wyznawczyni Allaha zaliczyła dość solidną herezję. Zacząłem ją straszyć, że napiszę do jej imama, żeby wydał fatwę za te gacie. Edwarda straszyłem, że jej brat przyjdzie i mu utnie ptaka, i że trzeba było skusić się na tę gałkę w nocy. Edward w kółko powtarzał moje słowa o gaciach i tarzał się ze śmiechu. Bohaterka w końcu porzuciła się do naszej umywalki - oczywiście ja miałem przyjemność to sprzątać. Jeszcze miesiąc później co jakiś czas rzucał do mnie na korytarzu, że dzisiaj Kyzylorda znowu ma jakieś brzydkie barchany, a wie, bo jej wystają. Zresztą miał ciągle problemy, gdyż ona co chwilę wracała do tematu, że powinien się z nią związać, najlepiej ślubem. On mówił, że ma kogoś w USA i że nie planuje wiązania się z obywatelką Azji Środkowej. Jednym z plusów tego układu było to, że spokojnie mógł sobie prowadzić lekcje, bo ta wpatrzona jak w obrazek tylko stała na końcu sali. Mniej oficjalnie mnie mówił, że nie ma ochoty na relację z osobą młodszą o dwanaście lat, która ma do tego mentalność dziecka. Kilka razy był solidnie wściekły na jej podchody i się na nią obrażał na jakiś czas. Jednak musieli razem pracować więc po paru dniach sytuacja wracała do normy - ona się przystawiała, a on jej mówił, że nie chce.

Kilka tygodni później znowu była u nas impreza. Tym razem było mniej dziko, ale za to druga coteacherka Edwarda porzygała się do umywalki. Ponieważ ponownie mogłem to posprzątać, to była ostatnia libacja w naszym mieszkaniu. Potem wychodziliśmy do restauracji. Kyzylorda opowiedziała mi fajną historię: w pewien poniedziałkowy poranek wezwano ją do pani Koulash. Tamta nakrzyczała na nią, że rodzice donieśli, że w piątkowy wieczór była w knajpie, spożywała alkohol, a co gorsza PALIŁA papierosy. Postraszone ją, że jeżeli to się powtórzy, to pani Koulash ZADZWONI do jej rodziców. Jakim prawem osoba dwudziestoczteroletnia śmie w piątkowy wieczór iść do baru?

Kyzylorda bardzo przeprosiła i obiecała, że nigdy się to nie powtórzy. W pewnym sensie tak się stało, bo od tych wydarzeń bała się chodzić do knajp i piła w mieszkaniach prywatnych. Nikt oczywiście nie postawił pytania: co rodzic robił w barze skoro to takie demoralizujące, straszne i obrzydliwe miejsce? Dowiedziałem się też, że rok temu podobną jazdę miał jeden z obcokrajowców, tylko tam jeszcze doszła taka sprawa, że przystawiała się do niego matka uczennicy. Odprawił ją, więc ona w odwecie zadzwoniła do szkoły i powiedziała jaki to z niego alkoholik, degenerat i w jakich miejscach spędza sobotnie wieczory. Oczywiście i w tym przypadku nie padło pytanie o to, czy rodzice to też patologia skoro chodzą do takich barów.



Nie wygląda przesadnie przekonująco jako inspiracja do ekscesów.

Begging for your fatass dirty Tenge

Powoli, ale skutecznie miały żarna międzynarodowej szkoły w Astanie. Gdy już wpadało się w jej tryby, to miała ona bardzo prostą zasadę: dużo tenga za wejście, jeszcze więcej za wyjście. Robienie takiej zasłony dymnej, kręcenie takiej lipy, walenie głupa na taką skalę, to nie jest budżet, to nie jest nawet klasa średnia. To są koszty na skalę międzynarodową. Skandalu najlepiej, na ze trzy kontynenty. Nie zapominajmy jednak o najważniejszym prawie ludzkości.

O największym pytaniu, które stawiamy sobie od lat.

Kto bogatemu zabroni?

Z braku odpowiedzi, cały interes kręcił się cały czas. Na takiej karuzeli wrażeń można było zwymiotować.



Rosyjski obrazek jak najbardziej adekwatny do kazachskich realiów

Wyobraźmy sobie, że rodzice ucznia płacą jakieś półtora-dwie krajowe średnie za szkołę i pewnego dnia dziecko przychodzi z informacją, że trzeba będzie w domu podrukować, bo w szkole skończył się toner do drukarek. Normalnego człowieka powinien w tym momencie strzelić chuj jasny z błękitnego nieba, bo jak się płaci jakieś dwie krajowe, to chyba można oczekiwać, że będzie druk, papier i klej? No więc nie można, bo po drodze do tego szczęścia parę osób musiało pokraść swoje, więc już na takie drobiazgi nie wystarczyło. W efekcie od końcówki marca w drukarkach brakowało toneru.

Sprawę szybko nam wyjaśniono: firma, której zlecano napełnianie tonerów-kartridży OSZUKIWAŁA szkołę na tuszu. W tej wiadomości było dość dużo prawdy: zgadzało się oszustwo, ale nie na tuszu, tylko na pieniądzach. Oszukiwała nie firma od drukarek szkołę, ale szkoła firmę od drukarek. Poza tym informacja była prawdziwa. Jako osoba bliska końca tego łańcucha pokarmowego, najbardziej

zainteresowany byłem tym, kiedy zapewnią mi toner do drukarki. Henk pocieszył mnie, że w poprzednim roku było to samo, potem jakoś pieniądze się znalazły, więc powrócili do pełni możliwości poligraficznych. Pozostało nam tylko poczekać kiedy wydarzy się to w roku 2018. Do użytku była jedna drukarka publiczna w bibliotece, przy której robiły się kolejki jak za mięsem w latach 70-tych. Sprawa ciągnęła się jakiś miesiąc.



Oni chociaż mieli po co stać... (za <http://histografy.pl/kolejka-do-monopolowego-czasy-prl/>)

Były to jednak pomniejsze dramaty oszczędzenia. Prawdziwym przerażeniem napawały lokalnych pracowników święta narodowe. Po pierwsze, z okazji Nowego Roku w jednym z luksusowych hoteli 24 grudnia zorganizowano coś w stylu wigilii. Była to niedziela, impreza odbywała się w godzinach wieczornych, a w poniedziałek oczywiście wszyscy, którzy nie poszli na urlop, mieli stawić się do pracy. Cena była solidnie zaporowa, bo 21K KZT (jakieś 210 PLN). Dla osoby, która ma poniżej 200K pensji (czyli dla bardzo wielu lokalnych), wyjście to było raczej umiarkowanie atrakcyjne. Już nawet nie mówmy o tym, że impreza bezalkoholowa. Oczywiście niedziela nie jest dniem pracującym, więc można było nie iść. Dla tych, którzy postanowili nie iść, przewidziano opłatę karną w wysokości 10K KZT. Racjonalne wyjaśnienie było chyba takie, że szkoła zarezerwowała miejsca dla wszystkich i jeżeli ktoś nie przyjdzie, to ma opłatę karną. Chciałbym móc na tej zasadzie zaprosić wicedyrektorów do kina lub na partyjkę pokera. Byliśmy pod wrażeniem.

Podobnie potoczyły się celebracje urodzin wicedyrektorów. Ponieważ przybyło ich na rok szkolny 2017-2018 (przyrastali niemal geometrycznie co roku, z dwóch do czterech, a potem z czterech do siedmiu), sumę ustalono na 500 za twarz lub od razu 4000 KZT za cały kolektyw. Całość wpłacił od razu Henk, żeby już w grudniu dowiedzieć się, że nie, nie, na pewno nie. I że musi znowu dać 500. Oczywiście nigdy żadnych potwierdzeń wpłat nie dawano, akurat te pieniądze poszły do kieszeni dyrektorki naszego departamentu.



Nie mamy pańskiego tenge, i co nam pan zrobi?

Z okazji odwiedzin szkoły przez delegację z Uzbekistanu tuż przed Nauryz, postanowiono szkołę udekorować. Niestety, okazało się, że nie ma na to pieniędzy. Tylko głupi oczekiwалby, że jakieś pieniądze mogą się uchronić, gdy miesiąc w miesiąc ponad 1000 uczniów płaci jakieś dwie krajowe na szkołę, przecież to jasne, że te pieniądze gdzieś znikają i że nie wystarcza ich na dekorację szkoły. Z tej okazji lokalni nauczyciele zostali poproszeni o pożyczanie szkole 11500 KZT na rośliny doniczkowe, które to miały uświetnić korytarze. Pożyczkę miano oddać przy następnej wypłacie, czyli w kwietniu. Ja śmiałem się jak dziki, zwłaszcza, gdy Kyzylorda i druga od picia mówiły, że przecież obiecali, to na pewno oddadzą. Edward śmiał się do czasu, bo w końcu przyszli do niego z pytaniem, czy też nie chciałby się dorzucić. Wprawdzie dobrowolna obowiązkowa pożyczka nie dotyczyła nauczycieli z krajów zamorskich, ale nasza szkoła nie zamykała się na inne kraje. Nie zabraniała dawać dyrekcji pieniędzy. Mimo takiej prestizowej możliwości wydania 11500 KZT, Edward nie chciał.



Z okazji Nauryz akceptujemy wszystkie waluty świata! (źródło: https://en.wikipedia.org/wiki/Currency_intervention#/media/File:Exchange_Money_Conversion_to_Foreign_Currency.jpg)

W trzy dni później mój były dzielny koordynator Timur wywołał mnie z lekcji. Przechodząc kilka metrów dzielących biurko od drzwi, przez moją głowę przeleciały różne myśli. Musi to być coś bardzo ważnego, nigdy wcześniej nie robiono takich rzeczy. Wyszedłem z sali, żeby dowiedzieć się, że z

okazji zbliżającego się dnia kobiet będziemy celebrować i z tej okazji każdy mężczyzna będzie miał przyjemność zapłacenia 10K KZT na rzecz kobiet.

Myślałem, że mu przypierdolę. Wyciągasz mnie z lekcji, żeby próbować wyżebrać ode mnie jakąś kopiejkę, no tenge? Mówisz mi o tych 10K KZT jakby to były drobne na wodę mineralną. Czy ty nie widzisz w jakim kraju żyjesz? Ile zarabiają inni nauczyciele w tej szkole? Ile tu ludzie zarabiają? Ty chcesz jakieś diademy ze szlachetnymi kamieniami nauczycielkom kupować? Zamiast tego powiedziałem:

- *Nie.*

- *JAK TO NIE???*

- *Mam dosyć tego, co chwilę są jakieś zrzutki, opłaty. Co chwilę chcecie zostawiania po godzinach, wpierdalacie się w przerwę obiadową, kiedy indziej krzyczycie o pieniądze na kwiatki, albo na wigilię. Teraz znowu dzień kobiet...*

- *Ale jak to znowu? Ja do ciebie przychodzę po raz pierwszy.*

Ty to naprawdę chcesz ciągnąć? Właśnie skończyła się lekcja i koło nas wychodzili moi uczniowie. Niektórzy z nich zrozumieliby większość tej rozmowy.

- *Mogę się tu prywatnie pobawić z nauczycielkami, ale nie chcę iść na żaden spód i nie chcę dawać 10K KZT.*

Timur zdurniał. Przechodził akurat wicedyrektor, więc rzucił do niego płaczliwie:

- *ON NIE CHCE DAĆ 10K KZT!!!*

Przechodzący znał mnie bardzo dobrze, bo do niego chodziłem ze skargami na Tamarę. Popatrzył i on chyba wiedział, że lepiej kurwa mnie nie męczyć za wiele, bo jak eksploduję, to się skończy tak, że wyjdę i nie wrócę.

- *Nie, to nie.*

W ten sposób oszczędziłem 10K KZT. Akurat po tej lekcji była przerwa obiadowa, więc pognałem, bo koniecznie chciałem opowiedzieć Edwardowi o tym, że postawiłem opór Timurowi i że na pewno będę teraz na liście najgorszych kutasów świata, ale nie, ja mu tej kopiejki nie dam. Ledwo wszedłem na stołówkę, wiedziałem już, że Timur przyszedł nie tylko do mnie.

- *Pierdolę, jebany kraj, cały do zburzenia, zbombardowania, chuje, kurwa* - cedził przez zęby Edward rzucając tacką, sztućcami i jakąś niewinną miseczką z sałatką.

Jego wyciągnęli chwilę wcześniej. Oczywiście też się ucieszył. Odpowiada więc:

- *Kilka dni temu chcieliście pieniądze na rośliny...*

- *Ej, ale na rośliny tylko pożyczamy. A te pieniądze chcemy, żebyś nam dał.*

Ich rozmowa doszła ostatecznie do miejsca, w której Edward powiedział, że jeżeli wszyscy dadzą pieniądze, to on też da. Gdy dowiedział się, że ja bezwarunkowo odmówiłem daniny na rzecz Międzynarodowego Dnia Kobiet, to się nie zmartwił.

Oczywiście cała reszta zapłaciła. Przez ponad tydzień mogli też przychodzić na ćwiczenie występu artystycznego. Gdy nadszedł dzień wielkich celebracji, 7 marca, w całym bloku zostały tylko dwie osoby. Ja i Edward. Reszta miała przyjemność posiedzenia sobie do 18 na występach (podobno było

bardzo śmiesznie, mężczyźni przebrali się za kobiety i tańczyli, brzmiało jak mój typ poczucia humoru). Potem był poczęstunek na stołówce. Poprosiłem uczestników imprezy o oszacowanie kosztów tego wielkiego wydarzenia. Mniej niż 2K KZT na twarz. Co się podziało z resztą pieniędzy, Timur raczy wiedzieć.



W ISA pozwalali nie klękać podczas przekazywania daniny. (źródło:
https://pl.m.wikipedia.org/wiki/Plik:Prussian_Homage.jpg)

Marzec w ogóle był ciężkim miesiącem pod względem danin, które nauczyciele musieli ponieść na rzecz szkoły. Zbliżający się Nauruz zaowocował pomysłem zrobienia wspólnych celebracji w szkole. Najpierw założono, że będzie podział: jedni przyniosą jabłka, inni makaron. Chwilę później pojawił się wielki siwy dym wywołany przez lokalne nauczycielki (w tym przez moją ulubioną). Rozpoczęła się chryja, że ceny różnych produktów są różne, jak ktoś przyniesie mandarynki, to więcej niż makaron, a czekolada mniej niż jabłka. Walka zakończyła się tym, że miała nastąpić zrzuta po 4000 KZT. Zrzuta odbyła się o poranku, w trakcie przerwy na lunch parę osób miało iść po jedzenie. Jednak wycofano pozwolenie na ucztowanie, więc imprezę trzeba było odwołać. Z 4000 KZT każdy miał otrzymać 3500 z powrotem, bo 500 poszło na jakieś kawałki ciastek, które udało się skołować. A jeżeli nie otrzymał, to jego problem. Ponieważ nikt nie otrzymał, to problem pozostał wspólnym lub niczym, zależy jak na sprawę patrzeć.

Pod koniec marca pożyczkodawców funduszu kwiatowego poinformowano, że niestety, szkoła pieniędzy im nie odda. Trzy dni później dowiedzieli się, że w tym roku nie dostaną żadnych premii, bo bydlaki nie zasługują. Jednak dzięki temu, że rośliny się pojawiły, nazwałem jedną z nich Kyzylorda i przesiadywałem koło niej. Przedstawiłem ją nawet paru osobom i mówiłem, że jak tęsknię za Kyzylordą to sobie rozmawiam z tym krzaczkiem i od razu mi lepiej. Wielu osobom potwierdziło się, że jestem pierdolnięty bardziej niż ustawa przewiduje. Najmniej ubawiła się fundatorka mojej nowej zielonej przyjaciółki, bo jakoś wyszło jej, że wolałaby za tenge mieć nową torebkę, kieckę, spinki do włosów, albo flaszkę. Ale nie roślinę.

Od wielu lat jednym z moich ulubionych pisarzy jest Aleksander Sołżenicyn. Dzięki mieszkaniu w Rosji i Kazachstanie, odwiedzeniu miejsc związanych z jego życiem, czuję się z nim związany w sposób szczególny. O ile siedzenie w luksusowym mieszkaniu i nudzenie się w pracy jest żadnym

problemem w zderzeniu z tym, co on (i miliony) przeżywały, o tyle jednak pewne zjawiska uległy zmianom co najwyżej kosmetycznym.

Poniższy cytat pochodzi z tomu trzeciego Archipelagu GUŁag:

"Nauczyciele-zesłańcy jeszcze bardziej niż inni (też zresztą zależni od byle kaprysu) drżeli, by nie rozsierdzić miejscowych notabli zbyt niską oceną postępów ich latorośli. Lękali się też gniewu dyrekcji w wypadku, gdyby średnia postępów całej klasy okazała się zbyt niska — i sztucznie podwyższali oceny; ta praktyka sprzyjała procesowi poszerzonej produkcji ignorantów typowej dla całego Kazachstanu. Prócz tego nauczyciele-zesłańcy (a także młodzi nauczyciele-Kazachowie) dźwigać musieli ciężar rozmaitych danin i potrąceń: co miesiąc potrącano im z poborów koło dwudziestu pięciu rubli, nie wiadomo na czyją rzecz; dyrektor (Berdenow) potrafił nagle obwieścić, że jego córeczka ma urodzinki i nauczyciele musieli wysupłać po 50 rubli na upominek; prócz tego — to jeden, to drugi wzywany był do dyrektora albo do kierowniczkę wydziału oświaty, gdzie naciągano go na „pożyczkę” w wysokości 300-500 rubli. (Zresztą — były to cechy całego tamecznego stylu życia, czy systemu. Uczniów-Kazachów też zmuszano, aby składali się po baranie albo po pół barana, gdy zbliżał się bal na zakończenie roku szkolnego; tylko w ten sposób pewni mogli być dobrej cenzurki, nawet, jeśli nic a nic nie umieli; bal ów kończył się gigantyczną pijatyką rejonowego partaktywu). A ponadto — wszyscy notable rejonowi studiowali na jakichś wydziałach zaocznych; do odrabiania ich kontrolnych zadań też zaprzęgano nauczycieli z naszej szkoły; robione to było w feudalnym stylu, przez dyrektora, a nauczyciele — murzyni nie mogli dostąpić zaszczytu poznania „swojego” podopiecznego. A praktyka sprzyjała procesowi poszerzonej produkcji ignorantów typowej dla całego Kazachstanu."

Do przerwy 0:1

Z upływem trzeciego semestru wielką placówkę naukową i kuźnię talentów zaczął dopadać brak pracowników. Oczywiście nie krajowych, Kazachów w Kazachstanie nie brakuje, zawsze można było zrekrutować dowolną liczbę lokalnych nauczycieli. Sprawa trochę się sypała w temacie obcokrajowców. I to się nazywa sztuka, żeby ludziom płacić każdego miesiąca ogromne pieniądze, dawać im mieszkanie, opłacać loty, zdrowotne i wizy pracownicze, ale mieć kłopoty ze znalezieniem pracowników za taki hajs. Znana mi szkoła w Moskwie płaciła znacznie mniej, a z prawem wizowym kopała się podobnym, ale nigdy nie zeszła poniżej pewnego poziomu zatrudnienia, który zapewniał funkcjonowanie szkoły na jakimś poziomie wydolności. W Gruzji zarabiano się ułamek tego wszystkiego, ale też dawali sobie radę i wiele osób zostawało na więcej niż jeden kontrakt. W Kazachstanie musieli płacić bardzo dużo, a rotacja była solidna.



My na lewo, świat na prawo, czyli symbolika dopadła nawet wystawę prac uczniów.

Najpierw odeszła Michelle, która wypowiedzenie złożyła w styczniu. Administracja zdębiała z wrażenia i rozpoczęła nic nie robienie, wierząc, że Michelle na pewno jednak przejrzy na oczy i uzna, że ten hajs wart jest wszystkiego. No cóż, osoba, która ma ponad 50 lat i z paru szkół chleb jadła, a w CV ma wpisy, które pozwolą jej jednak nie przymierać głodem, działa nieco inaczej niż my - młodzież, która jakoś tam zagryzała zęby, bo przecież nie wiadomo, co będzie jutro, a co pojutrze. Michelle zaproszono na rozmowę z Timurem, który ogólnie powiedział, że to ona ma rację i że jest chujowo, a coteaching jest pomysłem katastrofalnie złym, więc jakby została, to może by się coś dało zrobić. Michelle wiedziała, że ma rację, wiedziała też, że posiadanie tejże nie przekłada się na żadne wymierne korzyści w realiach szkoły ISA. Ponieważ po tym czasie pracy знаła ona tę szkołę więcej niż dobrze, to zasugerowała zrobienie czegoś od razu.

Przez kolejne parę tygodni się nie udało to, co Timur mówił, że może się udać, Michelle dalej męczyła się wysłuchując pyskowania dziewczynek, które mogłyby być jej wnuczkami, gdyby dobrze szalała w młodości. Lub córkami, gdyby na dzieci zdecydowała się raczej późno. Od pierwszych dni mnie to interesowało, jak to możliwe, że szkoła zatrudnia ludzi z całego świata, niektórych nawet z kwalifikacjami, po to tylko, żeby rzucać im kłody pod nogi.

Rekord padł chwilę po tym jak Michelle wręczyła dyrekcji swe szlachetne pismo: jej plan zajęć i sale pozmieniano, Michelle na zajęcia nie przyszła, bo nie wiedziała, że takowe się odbywają – jakoś nie uznano za stosowne poinformowanie jej o tym. Jej coteacherka, Zhanar, szybko o sprawie doniosła - w ogóle nie wyglądało to na ustawkę - a w chwilę później nasza koleżanka miała dywanik u pani Koulash, gdzie udzielono jej nagany za nie przyjście do pracy. Oczywiście wyjaśnianie zaistniałej sytuacji ("jak zmieniacie salę lekcyjną, to może mi łaskawie o tym, kurwa, powiecie? Bo nie jestem pierdoloną wrózką, żeby wiedzieć dokąd nagle w lutym przenosicie zajęcia, które leciały ostatnie miesiące w tym, a nie tamtym pokoju") nie przyniosło efektów.

Ostatni dzień pracy Michelle, wypadający w miesiąc po pierdolnięciu papierami, przypadał na 28 lutego. Została naszą bohaterką, znaczy moją i Edwarda. Pokazała wala wielkim pieniądзом, zrobiła coś, na co nas nie było stać. My wybraliśmy upadlanie się za tenge, Michelle wybrała wolność. Poza naszą dwójką wiele osób patrzyło z przerażeniem, co to będzie. Bo jak tak można nagle złożyć wypowiedzenie? Pieniądze, tu są pieniądze!!! A jak oni się obrażą, że ktoś tak nietaktownie potraktował ich i ich pieniądze? Jeszcze nas zwolnią! Tak działał mózg człowieka, który spędzał tam zbyt długo czasu i nie potrafił już sobie wyobrazić, że nawet za połowę takiej pensji da się żyć, i to bardzo wygodnie.

Dla każdego mającego jakieś zrozumienie tych wszystkich dramatów jasne było, że nic nie będzie, bo po tylu miesiącach dobrze było widać, że szkoła jest irracjonalna i nie daje sobie rady z niczym, decyzje podejmowane są niezależnie od zdrowego rozsądku, a nawet od ich ciężaru finansowego – to największa różnica w zderzeniu z Chinami, gdzie pieniądze dyktowały działanie. Michelle nie doczytała sobie tego, że w takiej sytuacji musi oddać premię przesiedleńczą, czyli 1000 USD. Według mojej wiedzy oddała i czekała aż minie czas wypowiedzenia.

26 lutego mówiła, że jeszcze dwa dni tego cyrku i koniec. Widać było, że nie mogła się doczekać.

27 lutego dowiedziała się, że wypowiedzenie skończy się dopiero 16 marca. W ostatni dzień trzeciego semestru.



Wygodniej nawet niż na tej budowie! ("Tu buduje się szczęście")

Bo oni byli pewni, że po rozmowie z Timurem zmieniła zdanie i dlatego anulowali jej rezygnację z pracy. Zresztą nawet 27 lutego namawiali ją do zostania i oferowali, że zapomną o całej sprawie. Ostatecznie, w imię otrzymania referencji, Michelle wysiedziała do piątku 16 marca. Chyba nie robiła już niczego, często spotykałem ją na sofie w korytarzu, gdzie siedziała i mówiła, że jest zmęczona tym wszystkim i że marzy tylko o tym, żeby nie musieć siedzieć przez dziewięć godzin dziennie w takich warunkach. Rozumiałem ją bardzo dobrze.

Na pożegnanie otrzymała od pewnej RPAnki rustykalną, plastikową tacę (ze sklepu z chińskim badziewiem, można w nim było zdobyć takie gadżety za kilkaset tenge). Wszyscy otrzymaliśmy ten artefakt do złożenia podpisów, wstyd było mi strasznie. Gdy wręczano jej ten unikatowy suvenir, zauważyłem, że największymi kulfonami podpisała się Zhanar. Ciekawe, czy Michelle w ogóle to doniosła do domu, czy wypierdoliła do pierwszego śmietnika pod szkołą. Najstraszniejsze jednak było to, że Edward powiedział pomysłodawczyni tego podarunku, że ten prezent jest tak wspaniały, że sam ma ochotę się zwolnić, żeby tylko dostać plastikową tacę w kwiaty ze sklepu z chińskim gównem i z podpisami wszystkich, w tym ludzi, którzy go wkurwiają każdego dnia. Pytała mnie, czy on poważnie to mówił, czy też szydził z niej. Nie miałem serca jej wyjaśnić.



Zawsze mogła dostać coś gorszego... (źródło: <https://serpenturbanclothing.com/product/the-giant-blown-up-face-of-nicolas-cage-hoodie/>)

Nadchodził Nauryz, sam miałem przyjemność uczestniczyć w kilku klasowych imprezach, wszystkie zawierały dość dużo tańca i mało sensu. Niestety, wszystkie oferowały jedzenie. Szczęśliwie pożegnalny gig Michelle zawierał pizzę z serem i colę, a nie żadne kazachskie cuda narodowe w postaci mleczonej zupy z marchewką, gotowanej na mięsie. Michelle pobrała tacę, dowiedzieliśmy się wszyscy, że przewodnicząca departamentu ds. obcokrajowców ma nadzieję, że Michelle poprawi się stan zdrowotny i będzie jeszcze kiedyś mogła wrócić do nich do pracy. Kobieta jeszcze nie odeszła z pracy, a już zaczynali kłamać. Żadne zwolnienie, bo nie szanujecie i ignorujecie, ależ problemy zdrowotne! W pewien sposób powody zwolnienia się były zdrowotne, Michelle mówiła, że tak ją wkurwia chamstwo tych gówniar, że dostaje migren (dodajmy, że ona nie przeklinała i raczej używała słów w stylu 'niewyobrażalny tupet i ignorancja').

We wtorek 20 marca Astanę opuściła inna osoba z Afryki Południowej, która powoli zaczynała wówczas jakiś siódmy miesiąc ciąży. O tym, że po trzecim semestrze się spakuje, było wiadomo od chyba grudnia, no na pewno od stycznia. Tu miejsca na negocjacje nie było, znaczy oczywiście mogła wzorem innej RPAnki przychodzić do szkoły do ostatniego tygodnia ciąży, ale ludzie zdrowi na umyśle starali się ograniczać kontakty z miejscem pracy, gdy tylko było to możliwe.



Żadna istota nie zaokrąglą się z dnia na dzień...

Przerwę międzysemestralną spędziłem w Polsce. Chwilę wcześniej cudowny Kazachstan opuścił Aligator. Postanowiliśmy, że ja wysiedzę już ten kontrakt, a Aligator chwycił pracę w Polsce. Przyjazd na tydzień do Krakowa był doznaniem pełnym skrajnych emocji. Z jednej strony kupiłem rzeczy, których w Astanie dostać nie mogłem – dobry plecak, buty, specyficzne kosmetyki. Z drugiej, pierwszy raz w życiu stwierdziłem, że przez ten styl życia więcej tracę niż zyskuję. O ile wątpliwości ma się zawsze, o tyle jednak przez siedem lat wychodziło mi, że fajnie jest mieszkać gdzieś indziej, poznawać inne miasta, pracować z różnymi ludźmi. Tymczasem w marcu 2018 byłem gotów stawiać pomniki krakowskiemu MPK za to, że ma rozkłady jazdy. Nie mówię nawet o tym, że można było się przejść do jakiegoś lokalu czy do kina na coś sensownego. Wróciłem w sobotę 24 marca, z (w miarę) przyjemnej pogody w Polsce wpadłem z powrotem w kazachską zimę. Wymieniłem wiadomość z Edwardem, który tego samego dnia wrócił z Dubaju.

- Przejazd z lotniska do mieszkania zaowocował depresją.

Odpisał:

- Ja już się zdążyłem wkurwić i nakrzyczeć na pracowników w sklepie.

Czwarty semestr departament PYP rozpoczynał bez dwóch nauczycieli, czyli nieobsadzonych było 48 godzin lekcyjnych tygodniowo. Pod godzinami była jedna osoba, ale to raczej jakieś dziesięć, może dwanaście, a nie 48. Pozostawało więc dobrze ponad trzydzieści lekcji do wzięcia. Nie pojawił się nikt nowy na zakładzie, więc wiedziałem, że coś będą kombinowali. Po lekkiej zabawie moim planem, udało wcisnąć się jedną grupę mniej, za cenę odebrania 2 lekcji z innych grup, które uczyłem. Rozpoczęły się kombinacje w tym stylu, nauczyciele z MYP nagle dowiedzieli się, że będą mogli pouczyć sobie w PYP. Radości z tego powodu nie stwierdziłem. Uczucia krańcowo odmienne owszem.

'To oni są za to odpowiedzialni, że nie ma ludzi do pracy, niech coś z tym zrobią!' - grzmiała pewnego dnia osoba, która nienawidziła uczyć dzieci, a dostała ich trzy klasy.

Zaczynało stawać się jasne, że szkoła obrała taktykę przetrwania pod tytułem "Byle do końca maja". W końcu na samych pensjach to takie oszczędności, że po miesiącu można sobie z tego spokojnie założyć farmę jenotów.

Nastał jednak dramatyczny dzień 27 marca. Lekcje odbyły się bez żadnych zakłóceń, a po nich spotkała się grupa nauczycieli, żeby pograć w piłkę. W tym Edward, który uwielbiał kopać z Kazachami i nie odpuszczał żadnego treningu. Jeszcze po 18 pisałem do niego, czy chciałby się przejść na balet w sobotę i był wstępnie zainteresowany. Dopiero następnego dnia dowiedziałem się, że w najbliższych tygodniach Edward będzie chciał przejść się w wiele miejsc, ale nie ma na to zbyt wielkich szans. Poszła piłka i skoczył do niej, podobnie skoczył drugi zawodnik. Ich nogi się spotkały. Jego zniosła to gorzej. Mówił, że jeszcze zanim upadł, wiedział, że jest pozamiatane.

Zawieźli go do szpitala publicznego, bo nie było czasu na myślenie o prywatnej burżuazji pod szyldem Inter teach. Wzięli go jak był, w stroju piłkarskim. Szpital postsowiecki pokazał, że nie zbudował swojej legendarnej reputacji katastrofy na niczym: w jednej sali przyjmowano cztery osoby, wszyscy mogli być na bieżąco ze stanem pozostałych. Po angielsku mówili śladowo, ale nie przeszkodziło to w rozniesieniu się po szpitalu plotki, że przywieziono kontuzjowanego zawodnika reprezentacji USA w piłce nożnej. Jacyś ludzie przyszli robić sobie z nim zdjęcia i prosić o autografy, bawiło go to słabo, bo płakał z bólu. Ostatecznie zapakowano mu nogę w gips i powiedziano, że do dziesięciu dni musi przejść operację polegającą na wkręceniu w kolano dwóch tytanowych śrub. Edward jakoś dostał się do domu, a rano nawet do pracy. Usiadł w klasie, jakoś ustawił nogę i próbował prowadzić lekcje

siedząc, ale nie mogło być o tym mowy. Szybko zabrano go do szkolnego gabinetu lekarskiego.

Po raz ostatni widziałem się z nim, gdy leżał w gabinecie lekarskim naszej szkoły i czekał, aż zebrane zostaną jego dokumenty ze szpitala. Wiele do roboty nie miał, noga oczywiście go bolała. Miał już kupiony bilet na następny dzień do Dallas. Radosne naście godzin lotu, ale racjonalnie ocenił sytuację. Jego kolega-lekarz w USA powiedział, że nie poleca mu poddawania się tej operacji w Kazachstanie, bo według jego wiedzy nie potrafią i spierdolać. Do tego dostał zwolnienie na miesiąc, przy czym lekarz zaznaczył, że najpewniej będzie przedłużone o kolejny, ale chwilowo dłuższego nie może wystawić, a cuda przecież też czasem się zdarzają, więc zobaczymy. Edward postanowił przechodzić rekonwalescencję w domu rodziców, gdzie ktoś mógłby mu pomóc np. umyć się, a nie na szóstym piętrze mieszkania pośrodku Syrii (jak pieszczotliwie nazywaliśmy okolice jego budynku, czyli wielki plac budowy, pełen wykopów przypominających leje po bombach). Kto mógł, ten deklarował pomoc z zakupami i ogarnianiem życia, ale było jasne, że nikt z nas nie ma na tyle czasu, żeby zajmować się nim poważnie i codziennie. Szkoła mogłaby pewnie ogarnąć jakąś medsiestrę z sympatycznym licem, ale nie rozwiązałoby to problemu przerażających pokładów nudy związanych z leżeniem przez miesiąc w Astanie.

Edwarda odwiedził jeszcze Timur, który mówił, że to straszne, tamta w ciąży wyjechała, nie ma Michelle, a teraz on i że może chciałby sobie poleżeć w szpitalu, to mu załatwią. Nie chciał. Kupił bilet na najbliższy lot, spakował się i tyle. Miałem jeszcze nadzieję na jakieś spotkanie poza szkołą, przywiozłem mu kilka dni wcześniej Lechy z Polski, ale nie udało nam się. Po raz ostatni widziałem go, gdy spał na leżance w szkolnym gabinecie, a za biurkiem Stabat Mater Kyzylorda, z telefonem, która musiała pogodzić się z tym, że obiekt jej uczuć najwyższych wkrótce zniknie z pola widzenia. Oczywiście Edward powiedział Timurowi, że nie wyklucza powrotu, ale nawet Timur rozumiał, że sprawa jest przegrana na wszystkich frontach.

W połowie pierwszego tygodnia czwartego semestru w departamencie PYP brakowało trzech nauczycieli i łącznie było nieobsadzone około 60 godzin lekcyjnych. W efekcie dokonywano hitów transferowych, które przypominały wszystkim zaangażowanym o takich prostych prawdach jak np. ta, że herbata od mieszania nie robi się słodsza. Niemało osób postanowiło też pochorować. Burdel był koncertowy. Oczywiście nikomu to nie przeszkadzało. Sprawa dotarła do rodziców chwilę później, rozpoczęło się szturmowanie szkoły i strzelanie pytaniem "gdzie jest obcokrajowiec, za którego płacimy". Rozpoczęto przepisywanie grafików, przesuwanie ludzi między klasami, ogólny chaos i katastrofa. Czasu na zatrudnienie kogokolwiek nie mieli, proces wyrabiania wizy zajmował jakiś miesiąc, więc świeżynka mogłaby rozpocząć nową pracę najwcześniej w maju, a koniec roku szkolnego wypadał na 25 maja. W końcu Edward przecież nie rozstał się ze szkołą definitywnie, więc można było wierzyć, że dojdzie do cudu w Teksasie i powróci z tytanowymi śrubami w nodze.

Spoiler alert:

Edward nie powrócił, a ostatnie dwa miesiące cechował - niespodzianka ! - chaos i liczne zmiany w planie pracy całej szkoły.

Wszystkich świętych też wzięłaby cholera...

Przez miesiące pracy z Tamarą wyświadczyłem jej niezliczoną liczbę przysług. Oficjalnie mieliśmy współpracować, w praktyce od jakiejś połowy drugiego semestru robiłem większość rzeczy sam. Łaziłem za nią i pytałem, co by chciała zrobić, bo ja mam taki pomysł, i czy ona go kupuje, czy może ma lepszy. Zawsze się zgadzała, a potem bywało różnie – czasem realizowaliśmy mój pomysł, ale znacznie częściej robiła chaos. Przez jakiś czas myślałem, że jeżeli będę jej pomagał, to w końcu pozwoli mi prowadzić lekcje po bożemu. Myliłem się, ale droga do nauczania się tego trochę mi zajęła.

W marcu szkołę obiegł news, że jedna z nauczycielek została stewardessą w Air Astana. Klawiatury rozpały się do czerwoności, stada nauczycielek zgłaszały się do pracy w tej ekskluzywnej linii lotniczej – bo wszystko lepsze niż prestiżowa szkoła imienia prezydenta. Niektórym próbowałem klarować, że praca stewardessy, to nie jest podróżowanie po Paryżach i Bangkokach z napierdaleniem fot na Instagrama, a żmudna orka, dziwne godziny pracy, nocowanie po lotniskach na końcach miast, walka z pasażerami o bagaże podręczne. Oczywiście wiedziały lepiej, chociaż niektóre chyba nigdy nie leciały samolotem. Przez dobry tydzień prawie wszystkie chciały zostać stewardessami i snuły wizje, dokąd będą latać, nie przejmując się za bardzo tym, że Air Astana tam nie lata. Potem zaś obudziły się w świecie, w którym ich aplikacje pozostawały bez odpowiedzi. Tym samym ich nienawiść do szkoły weszła na wyższy poziom, bo rzeczywistość zafundowała im update – nie dość, że jest chujowo, to jesteśmy na to skazane. Podczas tego trendu Tamara postanowiła wskoczyć na wózek Air Astana. Pokazała mi swoje CV i spytała, czy coś da się poprawić.

Hm, wszystko skasować i napisać od nowa?

Słyszałem, że bywają ludzie, którzy wysyłają CV napisane jednolitą czcionką Times New Roman, 12. Słyszałem, że bywają CV, które zdradzają, że kandydat całkowicie nie zna języka angielskiego, a ubiega się o pracę związaną z jego znajomością. Nie wiedziałem, że można mieć tabelkę, w której tekst całkowicie się rozjeżdża. Jednak wtedy pierwszy raz zobaczyłem to na własne oczy. Wiele nie pytałem, znałem już moją współpracowniczkę i jej standardy. Zakasałem rękawy, poprosiłem o klawiaturę i zacząłem poprawiać. Po jakichś dwudziestu minutach oddałem sprzęt i powiedziałem, co jeszcze jest do zrobienia. Chodziło mi głównie o łamanie stron i poprawę dat zatrudnienia – jeżeli urodziłaś się w 1986 roku, to w 2018 nie masz 29 lat. Tamara powiedziała, że inaczej się nie da i że zdanie musi się urywać między stronami. Miałem tak dosyć jej olewactwa, że już jej tego nie poprawiłem. Poszło do Air Astana, a oni nigdy nie odpisali. Wiedzieli, co robią.



Kiedy indziej moja coteacherka aplikowała do szkoły na Syberii. Zmotywowała ją stawka: 2000 USD. Wysłała więc list, że może do nich jechać pracować, ale muszą zapewnić szkołę jej dzieciom i pracę mężowi. Do tego załączyła dyplom z prywatnego uniwersytetu w Karagandzie. Nie odpisali.

Przerobiłem też mniej spektakularne epizody gorączki pracowniczej, na przykład związane z uczeniem dorosłych po godzinach w murach naszej szkoły – tu miałem przyjemność „polecić” jej podręcznik i dać jego skany w pdfie. Po jakimś tygodniu zorientowałem się, że nie zauważyła, że tam jest też Teacher’s Book z oceanem worksheetów, a także ćwiczeniówka. Pokazałem jak tego używać, ale po dwóch tygodniach uczeń zrezygnował. Tu chociaż coś się wydarzyło, bo był też plan dawania lekcji przez internet, za dobre stawki. Nie udało się. Z jednej strony mógłbym przyznać punkty za kombinowanie i próby odmiany swojego życia. Z drugiej, wszystkie te działania cechował słomiany zapał i robienie po linii najmniejszego oporu – szybko, nieskładnie, na odwal się.

W jakimś lutym Tamara pojechała z mężem w podróż służbową do Rosji. Oficjalnie powiedziała, że jest chora, ale mnie poinformowała, że jedzie odkrywać Omsk i – klękajcie narody! - Czelabińsk. W Rosji mieli mieć jakieś zabiegi medyczne, których nie dało się mieć w Kazachstanie. Podczas jej nieobecności zaliczyłem jeden z najprzyjemniejszych tygodni pracy z uczniami. Nie będę skromny, również moi uczniowie widzieli, że czasem warto robić zadania domowe. W ciągu dwóch lekcji wprowadziłem ten kurs na wody po jakich powinien żeglować. Niektórzy byli zaskoczeni, że jest sprawiedliwie. Uczyło mi się cudownie. Gdy spotykałem Henka lub Edwarda między lekcjami, to padałem im w ramiona i rzeziłem: bycie nauczycielem ma sens! Kocham uczyć!



Gdyby Pieter Bruegel był w Omsku... (źródło:

<https://fuckyeahplattenbau.tumblr.com/post/97678332233/pieter-bruegel-the-elder-und-plattenbau>)

Jedną z największych histerii naszej współpracy zaobserwowałem, gdy jej dziecko zachorowało. To znaczy nie wiadomo, czy zachorowało. Przez tydzień nie przychodziła do pracy i przysyłała wszystkim zdjęcia kroplówek. Znowu sam uczyłem nieszczęśników, rozpocząłem nawet projekt semestralny, bo jeszcze wtedy naiwnie wierzyłem, że jak go zacznę, to mi przecież go nie storpeduje jak wróci. Na

kanale pracowniczym ćwiczyłem się w wysyłaniu życzeń zdrowia.

W końcu powróciła i wybuchła bomba. Kilka dni później, była jakś ósma z kopiejkami. Do naszej klasy weszła pracowniczka administracji i powiedziała, że Tamara nie dostanie pieniędzy za czas choroby dziecka, bo świadectwo choroby ze szpitala jest podrobione. Uzbroiłem się w empatię i ledwo pani wyszła, zacząłem mówić, że jakie chuje i bydlaki, że jej tego nie uwzględnili. Nie doceniłem przeciwnika:

- A pewnie, że jest podrobione! Wszyscy przecież przynoszą podrobione, ale to mnie się czepili!!!

Okazało się, że jej dziecko wcale nie było chore. Po prostu uznała, że nie chce się jej chodzić do pracy przez tydzień. Dokumenty choroby podrobiła. Był to ten rzadki przypadek, że naszej administracji zdarzyło się powiedzieć prawdę.

W jakimś sensie jestem wdzięczny Kazachstanowi. To dzięki życiu w tym kraju zrozumiałem jak odrażającym i beznadziejnie głupim tworem był Związek Radziecki. Wtedy pomyślałem sobie, że pokolenia pracowały w ten sposób, że w ten sposób walili głupa, i jak wiele sił ludzkich zostało zmarnowanych na ten burdel.

Wróćmy jednak do ekstazy życia w „prawie najnowocześniejszej stolicy świata”.

12 kwietnia kazachski kolektyw nauczycielski miał bardzo ważną obserwację. Wszystkich lokalnych nauczycieli poinformowano, że od rezultatów tejże będą zależały premie. Ludzie w Kazachstanie są tak przeraźliwie naiwni, że ona w to uwierzyła. Przez trzy dni robiła te zajęcia. Oczywiście ww. lekcja nie miała niczego wspólnego z tym, co zazwyczaj działo się w klasie. Przez dwa popołudnia Tamara wycinała lalki do teatru cieni – trochę przeinwestowany czas na ćwiczenie, które na zajęciach miało zająć góra 20 minut, a raczej 10. Mówiłem jej o tym. Mówiłem jej, że ma przepakowaną lekcję, ale oczywiście, nic nie docierało.

“To będzie dobrze wyglądało, że tyle jest do roboty” – argumentowała.

“To będzie wyglądało zgodnie z rzeczywistością, czyli że w ogóle nie kontrolujesz czasu” - myślałem sam do siebie.

Pomogłem jej z tym wszystkim; gdy mnie poprosiła, to wyciąłem kawałki z trailerów filmów Disneya, które chciała wykorzystać. Wiele roboty nie było, chociaż oczywiście było trochę narzekania, że ten kawałek, a nie inny. Daj mi pełną kopię, to zrobię, co chcesz, a tak muszę bazować na trailerach z Youtube. Zasłużyłem się też kupując jej taśmę klejącą, bo w końcu w szkole biorącej ponad 2K PLN od ucznia, pieniędzy na taśmę klejącą nie było. Tu miał miejsce pewien zgrzyt, bo była niepokojona szerokością taśmy i niemal na mnie nakrzyczała, że ona chciałaby inną. Pokazałem jej, że tą też może polepić, co musiała się przekonać. Tak więc chodziłem po taśmę klejącą, płaciłem za nią ze swoich pieniędzy, a potem mnie opierdalano, że kupiłem złą. Usprawiedliwiałem to myślami, że skoro oni wierzą w te premie, to chcą zrobić tip-top, więc niech sobie robią.

Sama obserwacja przebiegała chujowo, to znaczy włączałem jej filmiki kiedy chciała, ale – niespodzianka! - miała tak wiele ćwiczeń, że dawała uczniom za mało czasu na cokolwiek. Nagle jednak usłyszałem, że pani Tamara prowadzi lekcję po angielsku, szokujące! Od miesięcy takie zjawisko nie miało miejsca, a tu na obserwacji siedzi ten głupawy wicedyrektor, dwa lata doświadczenia w miernym uczeniu, i wierzy, że to zawsze tak wygląda. Nawet słabo doświadczony nauczyciel zobaczyłby, jaka lipa jest robiona. Bo nagle pani odpala system oceniania Class Dojo i mówi uczniom, że teraz im rozda punkty, a jak ich zbiorą odpowiednią ilość, to w nagrodę pojadą na piknik. Uczniowie jęknęli, że słyszą to od miesięcy, a z pikniku póki co nici. Wygrała wszystko Aruzhan:

- Pani sobie włącza to Class Dojo jak pani pasuje, ja w żaden piknik nie wierzę i ja się nie będę o te

punkty starała.

Prawie pierdolnąłem donośnym śmiechem. Brawo Aruka, coś mi tak właśnie mówiło, że ty tu nie pasujesz do tego konformizmu narodowego, nie pierwszy raz słyszę jak pyskujesz. Wiele razy mnie tym irytowałaś, ale dzisiaj wygrywasz. Zrobię wszystko, żebyś nie zapłaciła za to zbyt wygórowanej ceny!

Tamara prawie upadła na tę beczelność. Gówniara śmie wielkiej pani nauczycielce wytykać kłamstwo na lekcji obserwowanej! Za Stalina nie do pomyślenia! Sam wicedyrektor chyba deko zdebiłał. Normalny obserwator zrobiłby za to nauczycielowi jesień, zimę i wiosnę średniowiecza. Znając go, sprawę zignorował. Obserwacja się skończyła, za to uczniowie nie ukończyli żadnego z ćwiczeń. Na samym końcu pani Tamara próbowała zadać zadanie domowe, ale robiła to w taki sposób, że nikt nie był w stanie zrozumieć, trochę dlatego, że połowa uczniów była już za drzwiami. Nieważne, i tak pewnie nie sprawdzi, a jak sprawdzi, to powiecie, że nie macie i nic się nie stanie. Been there, seen that.

Zastanawiające jest to, że w każdym człowieku jest coś, co pewnego dnia pęka. Nastął piątek i miałem właśnie tę grupę, na której moją coteacherkę obserwowali chwilę wcześniej. Nie pierwszy raz podczas mej świetłej kariery w ISA NIS zdarzyło się, że pani Tamara wpierdoliła się na lekcję w jej 30 minucie i przerwała, co robiłem, oczywiście kwestionując przy uczniach zasadność ćwiczenia, które im zleciłem. I jebłem, może dlatego, że zrobiłem im takie dobre wprowadzenie, a oni siedzieli zająwieni jak rzadko i pisali dokładnie co pisać mieli, czyli alternatywne końce do bajek. Jak zwykle, zrobiłem całą lekcję na prowizorke, ale tym razem wyszło jakbym ją przygotowywał dniami i nocami, mogłoby to iść na obserwację, i to nie do pana z NIS, a do poważnych ludzi. A ta wpierdoliła się spóźniona, bo oszukiwała z innymi testy pod salą. Wjebała się spóźniona i nagadziła, marnując ostatnie, kluczowe, minuty lekcji. Gdyby chociaż miała jakiś pomysł, ale gdzie tam! Ostatnie dziesięć minut panował chaos, w którym próbowała sprawdzić zadanie domowe (to zadane w sposób, który uniemożliwił większości zrozumienie go) i rozdać punkty w Class Dojo, które nagle ożyło na nowo. W jakiś sposób wyszło tak, że wyrzuciła Aruzhan pod drzwi i powiedziała jej, że może sobie co najwyżej ze mną gadać, bo z nią to nie. Więc wyszedłem z Aruzhan, a ta mi opowiadała zadanie domowe za brak którego dostała jakieś ujemne punkty. Aruzhan miała na tyle angielskiego, że wybrnęła. Gdy skończyła, chciała wracać do klasy:

- Aruka, poczekaj. Ja tam nie chcę wracać. Opowiedz jeszcze o czymś innym. W co grywasz? Ty masz czwórkę braci, nie?

Nauczyli mnie już mówić, że czarne to białe, a zielone to pomarańczowe. Że fioletowe to seledynowe. Ale w tym momencie poczułem, że chcą zamienić beżowe na niebieskie, i to jakoś mnie wkurwiło, rozjuszyło, złamało i sprawiło, że uznałem, że mam dosyć i że ja to wszystko pierdolę. Postanowiłem jednak nie robić Douglasa z "Falling Down", tylko obrać nieco inną ścieżkę.

Wróciliśmy z Aruką, powiedziałem, że umie i że ma jej dać punkty dodatnie. Ponieważ pani Tamara była łaskawa zapytać mnie o to krzycząc przez długość sali, oczywiście przeświadczona o tym, że powiem, że Aruka niczego nie umie, to odpowiedziałem w ten sam sposób. Bardzo tym zaskoczyłem moją współpracowniczkę. Jeszcze do niej nie dotarło, że przegięła pałę ostatecznie i nieodwracalnie. Nie, nie będę stał po twojej stronie. Nie będę się znęcał na dziesięcioletnim dzieckiem, żeby zrobić dobrze trzydziestoparoletniej kobiecie, która tak sobie spierdoliła życie, że mieszka z mężem, jego rodzicami, dwójką dzieci, a to wszystko w dwóch pokojach. Mam dosyć pracy z człowiekiem, który nienawidzi wszystkiego, co dobre i ciekawe w życiu. Z osobą, który dołoży wszelakich starań, żeby doprowadzić całą ludzkość do jej standardów, uznaje lenistwo za zaletę i co chwilę eksploduje

nienawiścią do całego świata, a nierzadko i do mnie.

Po lekcji spytałem Tamarę, czy robi to wszystko, żeby poczuć, że ma siłę, bo wie, że ja nie będę się kłócił przy uczniach? Że chciałbym zrozumieć dlaczego marnuje czas swój, mój, a przede wszystkim uczniów? Że po co się wygłupia? Żeby zniszczyć coś co działa? Czemu ma to służyć? Bo to nie pierwszy raz, ale obawiam się, że już ostatni.

Oczywiście dostała hysterii. Naszą miłą pogawędkę przerwało przybycie uczniów z kolejnej grupy. Potem pognęła poskarżyć się naszej przełożonej, Medinie, że ja na nią krzyczę. Pani, gdybym ja na ciebie naprawdę nakrzyczał, to by cały departament wiedział, akurat krzyczeć potrafię dość solidnie. Medina nic z tym nie zrobiła, bo w jej mniemaniu idea bycia dyrektorką zasadzała się na nic nierobieniu.

Reszta dnia minęła w atmosferze chujowej, to znaczy pani Tamara marnowała czas uczniów, próbowała sprawdzić zadanie, którego nie zadała dzień wcześniej, a także przekonać ich, że jak zdobędą punkty w Class Dojo to pojedą na piknik. Żadnej lekcji gotowej nie miała, rzecz jasna na biegu nie mogła niczego wymyślić, więc to zabijanie czasu działało tak sobie. Siedziałem na końcu sali i poprawiłem kilkadziesiąt testów, oczywiście zostawiając jej sporne kwestie, bo po co ma podważać to, że śmiem nie akceptować trzech zakreślonych odpowiedzi w teście wyboru ABC. W końcu jedna z tych odpowiedzi jest dobra, a za złe nie dajemy ujemnych punktów.



*Kiedyś za to można było polecić i za dobre odpowiedzi... (źródło:
https://pl.wikipedia.org/wiki/Plik:Joseph_Stalin_and_Kliment_Voroshilov,_1935.jpg)*

Może sprawa jakoś by się rozeszła, może po weekendzie byłyby ze dwa oschłe dni, a potem wszystko wróciłoby do normy, ale zostałem wezwany do mojego ulubionego dyrektora naukowego. Gdybym miał opisać moją percepcję jego osoby, to mniej więcej kształtowała się następująco: zdebilały

kutasiarz, który nie dałby sobie rady ze stadem owiec, ale którego nieszczęśliwie życie w Kazachstanie zmusiło do zajmowania się nauczycielami. A raczej korupcja i patologia, czyli jego kumpel dyrektor, bo facet został mianowany na tę posadę za jego sprawą. Gdy widywałem jak prowadzi lekcje (co wiele osób uważało za czynnik obłędnie zajebisty – dyrektor a uczy! A nie musi, ale ma taką pasję, że uczy!!!), to bolały mnie zęby, śledziona, dupa, jaja, wątroba i mózg. Nie, sześciolatkom nie daje się tabel gramatycznych. A jeżeli już je dajesz, to sprawdź je sobie, czy nie masz w nich błędów. Bo masz.

Oczywiście jak na szefa przybytku w Kazachstanie przystało, wicedyrektor zapomniał sobie, że przez całe piątkowe popołudnie prowadzę English Club, więc wezwał mnie w środku tych zajęć. Odpisałem z bezczelnym pytaniem, czy mam wszystkim pierdolnąć i zostawić uczniów, bo to jego spotkanie jest takie ważne, czy może poczekać. Mógł poczekać, więc w końcu zjawiłem się w jego biurze koło 16:45. Powitał mnie tym samym tekstem, co we wrześniu. Że on tu widzi brak coteachingu i jak oceniam swoją rolę w moich lekcjach z panią Tamarą. Dostałem kurwy, ale zachowałem ją dla siebie. Wycodziłem przez nierówny zgryz, że mówiono nam wszystkim, że obserwacja jest jedynie krajowych i że mamy się w nią nie mieszać. A on, że jak to tak. Sobie myślę: ty tępą chuju, jak nie wysyłasz do mnie nawet informacji, że lekcja będzie obserwowana, a wysyłasz do krajowych, to czego się pierdolony kabanie spodziewasz? Powiedziałem jednak troszkę inaczej; że taka informacja krążyła po całym zakładzie. Powiedział, że ogólnie chciał mnie spierdolić, że pani Tamara musi sama wszystko prowadzić, a ja niczego nie robię, ale jak wie, to łaskawie mnie nie zjebie, ale chciał powiedzieć, że musimy się nauczyć coteachingu.

Wtedy ja pierdolnałem. A raczej uznałem, że nie mam ochoty na kolejny miesiąc dalszego ciągu, bo osiem już wystarczy. Powiedziałem więc spokojnie, że w dniu dzisiejszym prowadziłem sobie swoją lekcję, a ona 30 minut spóźniona wpierdoliła się między wódkę a zakaskę, że o jakim coteachingu mówimy, że to jest ciągły festiwal pokazywania siły przed uczniami, i kwestionowania moich kompetencji. Że to nie jest pierwszy raz, że mówiłem mu o tym jesienią, że zimą pisałem maile, że ile kurwa można mydlić oczy, pierdolić o coteachingu, skoro połowa z dwójki zaangażowanych nie ma najmniejszego zamiaru go realizować? Że ja już mam tego dosyć – pomny byłem słów Henka, żeby nie wspominać, że mam troszkę wyższe kwalifikacje niż lokalni, bo oni tego bardzo nie lubią – i że z tej mąki chleba nie będzie.

Zafrapował się i powiedział, że będzie musiał wezwać panią Tamarę – zrobił to w taki sposób jakby dawał mi szansę na wycofanie się, i chyba licząc, że ja to popełnię. Bo Jezus Maria! Co ty będziesz miał, jak ona przyjdzie, na pewno kłamiesz! Ja tylko go zachęciłem do wezwania ulubienicy. Wiedziałem, że będzie dobrze.

Miło sobie porozmawialiśmy. W trakcie tej rozmowy pani Tamara się nie oszczędzała. Wywaliła z niej wszystko, co się gromadziło od lat, pod adresem całego świata, w sumie najmniej wobec mnie. Dowiedziałem się, że nie potrafię samemu zrobić lekcji. Że obcokrajowcy są tacy leniwi, a tyle zarabiają! Że za dużo mówię po rosyjsku i że tylko ona mówi po angielsku, bo ja wszystko po rosyjsku. Że unikam zajęć dodatkowych i że ona sama. Że ignoruję rodziców i ona sama. Po prostu wywaliła wszystkie swoje problemy, cały gnój, który wykreowała. Sama. Projektowała te problemy na moją osobę. Bo tak, po rosyjsku ona mówiła już do tego stopnia, że



Przesłuchania mają długą tradycję

(źródło:

https://no.wikipedia.org/wiki/Fil:Interrogation_Art.IWMART2234.jpg)

uczniowie nie reagowali na angielski. Zajęcia popołudniowe sama rozpisala tak, że nikt na nie był w stanie przyjść. Spotkania z rodzicami nie odbywały się z powodu jej choroby, a mnie nigdy nie pozwolono iść na nie samemu, chociaż wychowawcy chcieli i nawet zebrałem spierdół swego czasu, że przecież z moim rosyjskim mogę to sam wszystko poprowadzić, więc co ja się zasłaniam brakiem Tamary. Nie ja, a dyrekcja mi zabroniła, ale spierdół od wychowawczynie dostałem ja, nie dyrekcja.

Tak więc wszystkie te zarzuty, które na pewno Tamara słyszała przez miesiące pod swoim adresem, w tamtym momencie przerzuciła na mnie. Zapewne myśląc, że w ten sposób robi manewr na miarę Koniewa, który to ocalał Kraków, i w ten sposób pozbywa się wszystkich zarzutów kierowanych do niej. Może myślała, że wyprowadzi mnie to z równowagi. Na pewno mnie to nie ucieszyło, ale ja pracowałem w firmie z rodzinną atmosferą, więc przerobiłem już większe chamstwo i bezczelność w życiu. Chociaż chyba nie, to był swoisty rekord, ale z samym zjawiskiem zetknąłem się już wcześniej – czy to w Polsce, czy w Chinach – więc łyknałem to niczym spokojny pelikan. Histerii z tych powodów nie dostałem, co ją bardzo zdziwiło. Bo też normalny człowiek zaczyna w takiej sytuacji się tłumaczyć, wyjaśniać, odwoływać do wydarzeń, oferować dokumenty, sprostowania, wyjaśnienia, panikować na każdą niesprawiedliwość. Nie, ja trochę literatury łagrowej czytałem, ja wiem jak działać. Bardzo się nie zdziwiłem, gdy cofnęliśmy się do października 2017, kiedy to podobno śmiertelnie obraziłem wszystkich rodziców świata, bo gapilem się na zegarek przez całe spotkanie z nimi. Zapytałem spokojnie, czemu wcześniej niczego o tym nie słyszałem.

Nie chciano mi robić przykrości. Tak więc pani Tamara z litości nad moją beznadziejną osobą nigdy mi o tym nie powiedziała.

Okazało się też, że nie przeprowadziłem jakiejś obłędnej liczby szkoleń, które według niej przeprowadzić miałem. To miał być koronny dowód na lenistwo moje i innych obcokrajowców. Niestety, nawet bardzo chcący stanąć po jej stronie Kutasiarz, powiedział, że ja tych szkoleń nie miałem prowadzić. Ba, ich w ogóle w tym roku miało nie być. Jedyne, gdzie mnie nieco utrafiła, to że wyszedłem ze spotkania, bo było po 17. Rzucił się na to jak sęp na padlinę, że jak śmiałem. Śmiałem, bo krajowcy spóźnili się jakieś 15 minut. Gdyby się nie spóźnili, to wszystko rozwiązalibyśmy w czasie regulaminowym. Powiedział, że mam siedzieć na spotkaniach i po 17. Powiedziałem, że jak może pamiętać, tydzień wcześniej siedziałem do 18:30, właśnie prowadząc szkolenie, więc chyba nie można mi zarzucić, że nie zostaję po godzinach w razie potrzeby. Zeznał, że tych dwóch przypadków nie można mieszać. Temat jednak szybko spadł z wokandy, bo lista żalów pani Tamary była długa, nie kończyła się na mym chamskim podejściu do spotkań, na które ona zazwyczaj nie przychodziła. Po nabraniu wiatru w żagle była łaskawa oskarżyć mnie, że nie krzyczę na uczniów, że ona musi sama krzyczeć! A ja jej w ogóle nie pomagam i odmawiam podnoszenia głosu.

To był taki piękny prezent...

Opowiedziałem o tym, że są inne metody komunikacji z uczniami niż wrzask. Dyrektor mnie odpytał jakie, więc mu kilka podałem. Kiwał głową, chyba solidnie przerażony, że wychodzi na moje. Cały czas mówiłem spokojnie, że chciałbym porozmawiać o dniu dzisiejszym, w którym ona wjechała się na lekcję i ją przerwała w chuj wie jakim celu. Że gdy o 8 rano zasugerowałem omówienie zajęć na cały dzień, to mi odpowiedziała, że nie ma na to czasu, bo idzie na stołówkę. Ja nie sądziłem, że to może chwycić, ale nie doceniłem poziomu wroga. Tamara powiedziała, że o 8 nie ma czasu ze mną gadać, bo musi sobie zjeść śniadanie i nie będzie z niego rezygnowała na rzecz jakiegoś durnego planowania lekcji. Prawie powiedziałem, że dziękuję. Ten siedział i wiądl, bo na mnie nie miał niczego, no poza moim wcześniejszym wyjściem ze spotkania, a ona sama się podkładała.

Oskarżyła mnie, że pozwoliłem dać swój numer telefonu tylko jednej grupie rodziców. Ba, ja nawet tej jednej nie pozwoliłem. Wiedziałem, że dawanie numeru telefonu rodzicom było bardzo, bardzo zakazane, totalne haram, więc dowaliłem, że to ona go dała, bez konsultacji ze mną. Bo pozwoliłem! Nie pozwoliłem, ale to i tak nie miało znaczenia, za nic nie można było czegoś takiego wywinąć.

Nawet gdybym błagał, to nie miała prawa go podać. Ryzykowało to ustawkami na lekcje prywatne. Ta więc krzyczała, że ja pozwoliłem podać swój numer tylko jednej grupie, a co inni mieli robić? A ten siedział i bezdźwięcznie poruszał ustami. Chyba nawet do jego głupoty dotarło jaką patologię wyhodował na zakładzie.

Poza małą ilość argumentów merytorycznych, pani Tamara ogólnie słabo sobie radziła emocjonalnie w tej konfrontacji, chyba że krzyki, że 'kłamiesz!', uznamy za cywilizowany sposób prowadzenia polemiki i przekonywujący tzw. obiektywnego obserwatora do swoich racji. Chociaż nacjonalizm zebrał srogie żniwo w Kazachstanie, to show, który wywaliła przekraczał wszystkie możliwe granice kompromitacji. Chyba w imię litości, dyrektor w końcu jej przerwał ten festiwal głupoty i sprawozdania ze swojego lenistwa, bo uznał, że wstyd przed inostrąncem. Podziękował nam, zarządził, że przez następny tydzień pani Tamara prowadzi lekcje, a ja jestem asystentem, a potem się zmieniamy. W ten sposób ISA NIS Astana zyskała najdroższego asystenta w historii nauczycielstwa. Gdzie indziej płacą pełną pensję trenera nauczycielskiego za podawanie kserówek i strofowanie pojedynczych uczniów, a nie wymagają od niego przygotowywania lekcji? Ale nie zapominajmy jednej z największych mądrości świata. Nie zapominajmy słów, które sięgają przynajmniej Kaliguli, obecnych także w czasach Marii Antoniny. W jakimś sensie przyświecające latom ZSRR, a także niepodległemu Kazachstanowi:

„Kto bogatemu zabroni?”

Szkołę opuszczałem o 17:29 i pisałem do Henka, że przepraszam, że na mnie czeka – wiadomości na WhatsApp miałem hektar - i że zaraz się widzimy, ale był dym, solidny dym, siwy dym i że zaraz będzie miał pełen update jaki piękny, siwy dym. Wcześniej umówiliśmy się na wspólne zakupy, ja potrzebowałem spodni i koszuli, a on żarcia dla kota. Więc, jak obiecałem, zeznałem jak przed Berią, jaki to był piękny, kłębisty dym. Henk robił już pierwsze weekendowe piwo – wyjazd ciężarnej żony mu służył - ja sobie podziękowałem, bo byłem tak głodny, że nawet jedno złożyłoby mnie jak scyzoryk Victorinox.

Pojechaliśmy do największego namiotu Chana na świecie, bo strzeliło mi do głowy, że znajdę tam sobie spodnie. I nawet znalazłem, spodnie, koszulę i kolację w postaci Burger Kinga. Henk szukał jadła dla psa i kota, to też nam się udało. Udał nam się też monopolowy w piwnicy, więc on wychodził z Jackiem, a ja z paroma piwami. Wróciliśmy, pogadaliśmy, uznaliśmy, że na pewno ta kłanada się skończy spokojnie i że jeszcze się ubawimy. Poszedłem do siebie i gdy kończyłem wrzucać moje żniwa z Khan Shatyr do lodówki, zadzwonił mój telefon. Czasem tak bywa, że telefon dzwoni i się nie zna numeru.

Numer nieznany, pewnie znowu pomyłka - Kazachstan cechuje rekordowa liczba ludzi szukających innych po złych numerach. Odebrałem więc, po angielsku, bo taki mam bydlacki zwyczaj, zakładając, że to jakiś rodzic. W odpowiedzi usłyszałem:

- *Wiem, że znasz rosyjski*
- *Owszem, znam* - nadal spodziewałem się jakiegoś rodzica, który wyczarował sobie, że późne godziny wieczorne w piątek, to czas rozmów o postępach dziecka.

To jednak nie był rodzic.

W ciągu następnych czterech minut dowiedziałem się, że mam siedem dni na opuszczenie Kazachstanu, albo mnie zabiją.

Że Kazachstan mi płaci, a ja tego nie doceniam.

Że za dużo gadam.

Że nie potrzebują takich ludzi jak ja.

Że źle wykonuje moją pracę i on to dobrze wie.

Dzwoniący bardzo chciał mi powiedzieć, gdzie mieszkam, ale nie wiedział.

Wiedział za to, gdzie pracuję. Wiedział, że mieszkam w luksusach, chociaż nie znał ich adresu.

Taki los biedoty, że wie, że ktoś gdzieś mieszka, ale nie wie dokładnie gdzie. Polecilibym im poszukać sprawcy tego dramatu nieco bardziej w centrum Astany, jest nawet taki solidnych rozmiarów pałac zwany prezydenckim.

Dość szybko zdałem sobie sprawę, że facet jest wypity. Profesjonalistą nie był, bo ilekroć mnie pytał, czy rozumiem, to ja odpowiadałem, że nie, a on się powtarzał. W pewnym momencie powiedział mi jakieś cztery razy, że mnie zabije i czy ja to rozumiem. Po każdej zapowiedzi mówiłem, że nie rozumiem, a on powtarzał. Już wcześniej nie myślałem zbyt dobrze o Kazachach, ale ten telefon podbił pieczętkę.

Oczywiście nie znam całego narodu, ale jednak, prawie rok życia i współpraca z ponad setką ludzi pozwala człowiekowi na wyrobienie sobie jakiejś opinii. Kazachowie to debile. Nie chodzi mi o chorobę, która dotyka nieszczęściem ludzi w skali globu. Kazachowie to po prostu wspólnota polityczna kretynów, którzy niczego nie potrafią, są leniwi, a ich wodzem jest emerytowany kacyk z czasów ZSRR. Głównym celem ich życia jest zazdrość – zazdroszczą Rosjanom, Amerykanom, Polakom i Słowakom, ale też Koreańczykom. Kraj, który siedzi na obłędnych złożach ropy i gazu skazuje swoich obywateli na biedę. Obywatele Kazachstanu zawsze wynajdą powód wyjaśniający ich nędzę. Tamara uważała, że to wina USA – bo obywatele USA mogą odwiedzać Kazachstan bez wiz. A Kazachowie potrzebują wiz do USA. Gdyby tylko Zachodowi zabroniono okradać Kazachstan, to poziom życia by się podniósł. Takie pierdolety stanowiły stałą część debaty z mieszkańcami Astany. Powiedziała mi kiedyś, że jej mąż chciał iść na marsz przeciw prezydentowi, ale ponieważ szkoła zagroziła wszystkim pracownikom, że zostaną zwolnieni jeżeli ktoś z ich rodzin zjawi się na tym marszu, to nie poszedł. Czasem mówiła, że prezydent mógłby w końcu ustąpić, ale nigdy tego nie robi, bo jest żądny władzy. To pewnie też była wina obcokrajowców. Nawet złożenie pogroźek przez telefon wypadło groteskowo, a powtarzanie „zbyt wiele gadasz” sprawiało, że osoba za tym stojąca była zbyt oczywista. W filmie czy powieści kryminalnej nie miało się to prawa wydarzyć, wyglądałoby zbyt głupio, ale w Kazachstanie, oczywiście, jak najbardziej.

Chciałbym napisać, że na informację, że chcą mnie zabić zareagowałem opanowaniem. Niestety, nie zareagowałem opanowaniem. Dostałem takiej histerii, że w kilka minut po telefonie wiedziała o nim pani z działu międzynarodowego, a w kilkanaście minut później poszedłem spać do Henka. Pół Astany poinformowałem. Tak na wszelki wypadek. Ojebałem ze szczęścia, że kogoś moje życie w ogóle interesuje. Tyle lat, tyle zim! Henk miał Jacka Danielsa, ja miałem prezent od Almost Paradise z Węgier. Potem dowiedziałem się, że w ciągu pięciu minut owałem trzy banie Jacka i piwo. Znaliśmy się z Henkiem kilka miesięcy, jednak mówił, że widział, że jest u mnie dobrze, Jacka zapijałem węgierskim cudem, a węgierski cud Jackiem. Walnąłem w jego sofę chwilę po północy. Uznaliśmy, że ze względów bezpieczeństwa lepiej, żebym spał u niego.

W sobotę wstałem chwilę po 7, poszedłem do domu przebrać gacie i chwilę po 12 spotkałem się z Assiyą z departamentu spraw międzynarodowych. Poszliśmy na policję. Jakieś 100 minut dzikiej ekstazy w papierze. Musiałem napisać zeznania TRZY razy. Assiya chciała pisać za mnie, ale policja się nie zgodziła, bo okazało się, że ich prawo głosi, że musisz zgłosić osobiście. Zapewne myślano, że

dzięki temu pozbędą się problemu z obcokrajowcem. Wynika z tego, że jak nie znasz rosyjskiego lub kazachskiego, to zbrodni tam nie zgłosisz. Były to dość fajne wprawki pisarskie "i powiedział, że mnie zabije" - czy tu będzie znak twardy? „Nie, nie, ale tu przecinek musisz napisać”. Było to jedno z najdłuższych ćwiczeń pisanie po rosyjsku jakie w życiu przerobiłem. Aż żałuję, że nie wziąłem kopii, myślę, że jakieś B2 bym mógł dostać. Assiya zachwycała się moim rosyjskim, że wiedziała, że znam, ale że aż tak dobrze? Naprawdę, szybko się zorientowaliście.

Potem poszliśmy do szkoły. Pan dyrektor powitał mnie w kamizelce narzuconej na polo. Cała nasza rozmowa skoncentrowała się na tym, jak bardzo mu spierdoliłem wolne, bo chciał iść na koncert syna, a przez takie chamskie bydlę jak ja, musiał przyjść do szkoły. Na swoje własne pytanie, czy wiem kto mógł to wyrzeźbić, odpowiedział sobie sam, że nie wolno mi oskarżać pani Tamary. Tak więc nie oskarżyłem jej, ale i on nie miał jednak zbyt wielu pomysłów kto inny mógłby za tym stać. Z braku innych podejrzanych, zapytałem tylko, czy mam otwierać sprawę w sądzie. Oczywiście dowiedziałem się, że nie, nie ma takiej potrzeby. To jasno wskazywało, że jest to absolutnie konieczne. Problem był jednak taki, że sąd działał w godzinach działania sądu, czyli nie w sobotę, a w dni robocze musiałbym brać wolne niepłatne. Miałem umiarkowaną wiarę w możliwości astañskiej władzy sądowniczej, więc postanowiłem poczekać na rozwój sytuacji.

Podzieliłem się z całym światem tym newsem. W końcu był to mój debiut, pierwszy raz grozili mi śmiercią, więc trochę mnie nosiło. Oszczędziłem parę osób, ale dość szybko miałem wiele komentarzy na portalu społecznościowym, a i moi współpracownicy nie mogli narzekać, że zachowałem to dla siebie. Zwłaszcza wobec nich chciałem być na czasie, bo skoro przytrafiło się to mnie, to mogło każdemu z nich. Może oni są nieco mniej irytujący, ale paru z nich wydarło ryja więcej niż raz. Chociaż chyba z chodzeniem na skargi do dyrekcji byłem debiutantem. Niemniej moja popularność przebiła wszystkie możliwe rejestry. Zaproszeń na spotkania otrzymałem kilkanaście, jak nie restauracje, to mieszkania. Weekend zapowiadał się jako nudny, a stał się jednym z najbardziej wypakowanych wydarzeniami w historii mego życia w Astanie. W niedzielę wieczorem siedziałem w mieszkaniu pastora i odbierałem błogosławieństwa. Na moje uwagi, że jestem ateisto-buddystą, odpowiedział, że nie musiał wiedzieć. Potem padliśmy sobie w ramiona i rzucił na mnie zaklęcie bezpieczeństwa. Otworzył też wino, a ja mu pomogłem kupić glinę do rzeźbienia. Zapraszano mnie na obiady i pytano, co dalej. Otrzymałem takie ilości wsparcia, że byłem w stanie nosić góry i lodowce.

W poniedziałek atmosfera w pracy była cudowna. Oczywiście wszyscy wiedzieli. Nie byłem nawet przesadnie zdziwiony, gdy zapoznano mnie z teorią, że sam do siebie zadzwoniłem. Podobała mi się też ta, która głosiła, że uwikłałem się w narkobiznes na mieście i to jacyś lokalni bossowie chcą mnie zabić. Oczywiście wersja prawdziwa, że pani Tamara ma z tym do czynienia, w oczach lokalnych uznania nie znalazła. W poniedziałkowe popołudnie wszyscy Kazachowie wiedzieli: handlowałem narkotykami, oszukałem dostawców na pieniądzech, więc mnie chcą zabić. Takie informacje spływały do mnie ze wszystkich źródeł. Raigul mnie pytała o moją dealkę. RPAńcy wiedzieli, że to bzdura i się wściekali, a ja im odpowiadałem: to wy stworzyliście te realia. To wasza wina. Nie sprawiło to, że zostałem wodzem zakładu.

Niestety, realia były takie, że żeby założyć sprawę w sądzie, musiałbym się zwolnić z pracy. Moja wiara w kazachskie sądy... Stracić zarobek, to rozumiałem. Więc olałem. Trochę inaczej mówiłem pewnego wtorkowego popołudnia, gdy zadzwoniła do mnie policja, że gdzie sprawa i czemu nie otworzyłem przewodu sądowego? No bo dyrektor mi powiedział, że nie ma po co, że mam poczekać. Wtedy dopiero zrozumiałem, jak to działa i jak bardzo szkoła mnie wychowała. A raczej jak w imię hajsu wybrałem ścieżkę nie tracenia czasu na lokalną biurokrację. Powiedziałem więc, że doradzono mi poczekać na rozwój sytuacji. Policja powiedziała, że doradzono mi wielce chujowo. Chciałbym

powiedzieć, że jakoś mnie to zaskoczyło, ale w sumie nie. Wiedziałem dobrze, że ISA będzie chciała całą sprawę zamieść pod dywan. Policjant powiedział, że mają pewne informacje, ale ponieważ sprawa nie została założona, to nie może ich ujawnić. Jest już za późno, żeby ją założyć teraz. Dość ciekawy system prawny. Bardzo żałuję, że jednak nie poświęciłem się i nie poszedłem do sądu. Mąż, brat lub kolega pani Tamary mógłby mieć solidny problem. Policja zlokalizowała człowieka, który groził mi śmiercią. Jednak nie mogła mi powiedzieć, bo nie założyłem sprawy. W efekcie mieli związane ręce i cały wynik śledztwa mogli sobie spuścić w toalecie mniej lub bardziej publicznej.

Do końca kontraktu miałem około miesiąca. Musiałem go przeżyć pracując z osobą, która chciała mnie zabić.

Tamara Horror Gułag Show

Jeszcze w poniedziałek (kronikarsko: 16 kwietnia) miałem nieprzyjemność bycia wezwanym do dyrekcji. Razem ze mną wezwano jedną z nauczycielek z RPA, która miała być świadkiem tej rozmowy. Głównym punktem naszego spotkania było przekonywanie mnie, że nie wolno mi opowiadać nikomu w szkole o tym, że otrzymałem telefon z pogrózkami. Bo kto wie, czy ja go naprawdę otrzymałem...

Zaoferowałem, że pokażę log połączeń.

- *No tak, ale skoro go nie nagrałeś, to czy warto robić sprawę? Pani Tamara przyszła już na skargę, że szargasz jej opinię w szkole.*
- *Nie szargam, ani razu nie powiedziałem, że to ona.*
- *Ona złożyła skargę, że powiedziałeś.*

Przedstawiono mi pismo, w którym Tamara pisała, że podczas sobotniego obiadu powiedziałem jednemu z nauczycieli z RPA, że to ona mi grozi śmiercią, a przecież jest to niemożliwe, bo mówiłem, że dzwonił mężczyzna. Ucieszyłem się, że ktoś donosi, chociaż bardzo mnie to nie zaskoczyło, miałem takie podejrzenia już wcześniej. Jednak nawet w tym piśmie było, że to nie ja oskarżyłem Tamarę, tylko zrobiła to jedna z naszych współpracowniczek. Była ona na noże z Tamarą od wielu miesięcy i mówiła mi, żebym nie bawił się w okrągłe słówka, bo sprawa jest przecież jasna jak słońce.

Wiedziałem bardzo dobrze, że wchodzimy na kolejny etap rozmyślania problemu i odciągania uwagi od spraw ważnych na rzecz bzdurnych. Jednak absolutnie najważniejszym punktem spotkania było to, że dyrekcja informowała mnie, że nie wolno mi o całej sytuacji z nikim rozmawiać. Na to ja ich poinformowałem, że będę rozmawiał z kim sobie tylko zażyczę. Doszło do impasu, bo dyrekcja nie przewidziała, że ktoś może odpowiedzieć na ich atrakcyjną ofertę coś innego niż "oczywiście!". Koleżanka z RPA zrobiła zaś show na poziomie 1935 roku, gdy powiedziała, że problemy w pracy wynikają z tego, że za mało w naszym życiu osoby tak mądrej i światłej jak nasz dyrektor. Gdyby tylko mógł czasem przyjść i wskazać nam, w którym kierunku żyć! Bez niego jesteśmy tacy zagubieni! Gdyby tak czasem mógł posłużyć dobrą, ojcowską radą.

Z jednej strony było to wchodzenie bez wazeliny i czekanie na dobrego cara. Z drugiej było to też "ogarnij, cepie, sytuację na zakładzie". Oczywiście niczego to nie dało. Z kawałków tego, co usłyszałem, to Tamara wpadła do dyrektora rano, popłakała się i przyznała do stania za tym telefonem. Wprost mi tego nie powiedziano, ale dyrektor zapewniał mnie, że nic mi nie grozi i że to był tylko taki przypadkowy wyglup, którego właściwie nie powinienem był zgłaszać na policję, wręcz sugerował, że moje zachowanie było wielkim nietaktem. Kochany dyrektor zapewnił mnie, że nic mi nie grozi, jakieś naście razy w ciągu dwudziestu minut.

Tylko jeżeli ona mu się tam rzeczywiście wysypała, to chyba wtedy powinien coś zrobić z tym wszystkim. Może niekoniecznie mówić mi, że to mogła dzwonić jakaś przypadkowa osoba, która sobie odgadła, gdzie mieszkam, pracuję, czy ile zarabiam. Dorosły facet mówił mi, że to przecież mógł być ktokolwiek, kto wybrał na chybił-trafił numer i akurat dodzwonił się do mnie. Takiego tupetu nie powstydziliby się nawet kościół katolicki.

Mimo tych świątłych słów, przez następny tydzień miałem oczy dookoła głowy, a do domu chodziłem bardzo pokręconą drogą, z przystankami w sklepach, i solidnie lawirując po parkingach. Tak na wszelki wypadek. Wiedziałem, że nie mam do czynienia z żadnymi fachowcami, ale tym bardziej się

bałem. Domyślałem się, że zawiść i nienawiść skierowana wobec mojej osoby osiąga rejestry poza skalą. Chwycenie łomu i połamanie mi nóg lub danie nim w głowę, byłoby czynnością banalną. Nie było sekretem, że do pracy wchodzę o 8 rano, a wychodzę z niej o 17. Znalazienie mnie było prościutkie. Wiedziałem, że szwagier Tamary ma wieczne problemy finansowe. Słyszałem coś o jakichś ludziach z jej dalszej rodziny, którzy mieli kłopoty z prawem. W realiach Kazachstanu bardzo realne było, że daliby mi w łeb za jakieś 100 PLN. Zazwyczaj miałem coś koło tego w portfelu, więc jeszcze zarobiliby podwójnie. Z jednej strony obcokrajowiec pobity nie wyglądałby dobrze w gazecie. Z drugiej strony, przecież i tak by o tym nie napisali, albo jeszcze dołożyli, że to mafijne porachunki, bo jestem narkomanem, któremu zabrakło na działkę i chciał ukraść heroinę tadżyckiemu dealerowi. Lokalna populacja by to łyknęła.

Była dwójka rodziców, z którymi znałem się trochę lepiej i z którymi trochę w ciągu roku rozmawiałem nieco swobodniej. Napisałem, że mam pewien problem i chciałbym zapytać o parę spraw, głównie z zakresu prawa. Wysłałem po smsie, że proszę, żeby napisali kiedy będą mieli chwilę, żeby porozmawiać.

Nigdy mi nie odpisali.

Cieszyło to w kontekście tego, że wcześniej wielokrotnie prowadziłem z nimi długie rozmowy o postępach i przyszłości ich dzieci. Bywało, że w terminach tak wykraczających poza godziny pracy, jak niedzielny wieczór. Ale taki właśnie był Kazachstan, w którym żyłem: nie istniała przyjaźń, istniały doraźne interesy. Druga osoba to nie człowiek, to jednostka do wykorzystania. Po tym wyrzuca się ją na śmietnik. Nie ma żadnego myślenia, że – jeżeli już nawet nie z powodów przyjaźni, to chociażby dla potencjalnych korzyści w przyszłości – warto udawać, że się z kimś przyjaźnimy. Drugi człowiek to szmata do wyciśnięcia i odrzucenia.

Wielu obcokrajowców dzwoniło i pisało do mnie z różnymi pytaniami. Parę osób rozpoczęło modlenie się w mej intencji. Piękny cyrk. Jeszcze bardziej by mi się podobał, gdyby to nie mnie dotyczył. Co chwilę pytano mnie, jak się sprawa rozwija. Odpowiadałem, że w ogóle i że nie liczyłbym, że się rozwinie. Po informacji zwrotnej od policji dorzucać zacząłem pytanie, czy są pewni, że chcą pracować w miejscu, które udziela błędnych informacji pracownikom, w tak błahych sprawach, jak pogrożki. Ja to jeszcze mogłem sobie sprawdzać przepisy prawne po rosyjsku, ale oni zdani byli na wersje administracji, którą łąpało się na kłamstwie średnio raz na tydzień.

Najbardziej wkurwiła mnie była coteacherka Tamary. Rok wcześniej przy podpisywaniu kolejnego kontraktu postawiła tylko jeden warunek: nie pracować więcej z córą z Uzbekistanu. Oczywiście, była z RPA – ludzie z RPA uważali, że ich kraj jest tak straszny, że sam paszport usprawiedliwi każde skurwysyństwo, debilizm i żenadę za pieniądze. Wiedziałem, że ta pani przez DWA lata kupowała Tamarze prezenty, a do tego zabierała ją z koleżankami na obiady. Pod koniec drugiego roku pracy w Astanie dowiedziała się, że za jej plecami współpracowniczka mówi o niej rzeczy niezwykle pochlebne! Między innymi, że jest beznadziejna, nie umie uczyć i nie zna angielskiego. Dołożyła starań, żeby się uwolnić od niej i zmienić sobie współpracowniczkę. O czymś tak mało istotnym powiedziała mi w maju. Tak więc osoba, która miała takie doświadczenie współpracy z mą coteacherką, pewnego dnia powiedziała mi na poważnie, że myśli, że to nie moja wina, że się nie poukladało. Że rozmawiała z lokalnymi i że Tamara odjechała na całego, zwyzywała parę osób, zachowywała się dziwnie (cokolwiek to znaczy). Więc chyba ma problemy poza szkołą, którymi szczerze dzieli się z całym światem. Ale to nie moja wina, że mnie tak traktowała przez kilka miesięcy, a ostatecznie postanowiła mnie zastraszyć.

Dziękuję bardzo. Bo oczywiście myślałem, że to przeze mnie odwała chałturę, niczego nie robi, a potem obwinia za to cały świat.

Po naszej ostatecznej kłótni Tamara ustawiła na tapecie klasowego komputera wielkiego rekina wyskakującego z ekranu, który miał chyba oznaczać atak na mnie. Był to i tak krok do przodu po jej poprzednim pomysle na tapetę, na której widniała ona i jej koleżanki na pijatyce w klubie. Połowy bym nie poznał, tak się odwalily. Na stoliku kielce, za nimi bar z alkoholem. Idealna tapeta w kraju muzułmańskim. Ktoś chyba im zwrócił uwagę, że trochę nie można tego pokazywać uczniom i były potem kwiatuszki. Rekin pozostał na ponad miesiąc.

Gdy pewnego dnia coś robiłem na naszym pracowniczym komputerze, wpadło mi się w historię wyszukiwania. Znalazłem tam hasła (po rosyjsku rzecz jasna): *przeprowadzka wielkogabarytowa, wyjazd z dzieckiem do Uzbekistanu, wyrobienie paszportu bez zgody ojca*.

Do rozważenia były dwie opcje: albo zostawiła takie wyszukiwania, żeby mnie wkręcić, skonfundować i mieszać, albo naprawdę szukała informacji o tym. Ponieważ nie rozumiała idei trybu incognito (kiedyś jej pokazywałem i mówiłem do czego się przydaje, nie przyjęła tego do wiadomości), to pewnie nie rozumiała też czyszczenia historii wyszukiwań. Mógłbym założyć, że chciała mnie wkręcić, ale wówczas miałbym do czynienia z twierdzeniem o nieskończonej liczbie małp – jeżeli posadzimy małpę za maszyną do pisania i damy jej nieograniczony niczym czas, to gdzieś, kiedyś małpa losowo tłukąc klawisze napisze „Hamleta”. Tu jednak mieliśmy ograniczony czas, ograniczoną liczbę małp i maszyn do pisania. A raczej klawiatur.

Obstawiam, że jej małżeństwo nie było w najlepszym stanie, rozwód z inicjatywy kobiety w tamtej części świata to raczej solidne dziwa, podział opieki na dziećmi to kolejne problemy, więc chciała chyba dać dyla do rodzinnego Uzbekistanu. W tym wszystkim zapewne co chwilę trafiała na różne problemy, więc była wściekła. Klasa była jedynym miejscem, gdzie miała jakąś władzę – w domu na pewno nie, bo kiedyś słyszałem, że najpierw zadzwonił mąż i zrobił jej chryję o to, że nakrzyczyła na jego ojca rano. Przez chwilę walczyła, ale po tej rozmowie zadzwoniła do teścia i przeprosiła go, że rano na niego podniosła głos. Teść wybaczył.

To była taka sytuacja, że było mi jej żal i myślałem sobie o tym, jak kobietom ciężko w tym społeczeństwie. Zamiast jednak myśleć jak poradzić sobie z tymi problemami i nie robić kolejnych, rozpętała piekło ze mną i dołożyła kolejne piętro komplikacji. Najgorsze było to, że widziała w jakiej nędzy i biedzie rzeźbi. Że jej poziom egzystencji nigdy nie zbliży się do tej, którą cieszą się ludzie zachodu. Że już rozegrała swoje karty, ma 32 lata, a wygląda na 50. Dwójka dzieci, mieszkanie z teściami, praca której nie lubi i w której idzie jej fatalnie. Miesiąc w miesiąc dramat finansowy. W życiu bym nie powiedział, że jestem osobą uprzywilejowaną, ale gdy patrzyłem na nią... Wspominałem inne nauczycielki z Gruzji, Chin. Cholera, miałem dobrze i łatwo w życiu, chociaż nigdy bym tak nie powiedział.

Dzień spotkań z rodzicami zapowiadał się koszmarnie. Idea za tym stojąca nie była taka zła - dzieci przyprowadzają rodziców, pokazują im szkołę, klasy w których się uczą, swoje prace. Wszystko to, żeby rodziców uszczęśliwić, żeby im pokazać jaka ta szkoła fajna, jacy ładni, dobrze pachnący nauczyciele i że pakowanie w to pieniędzy ma sens. Spodziewałem się dziewięciu godzin przerażającej nudy i typowego dla tej szkoły pierdolenia o niczym. Bałem się, że będzie tak, że pokażesz jakiego kotka dziecko pokolorowało na szóste urodziny i będę chcieli usłyszeć, że takiego to tylko przyszła dyrektorka banku mogła zrobić, natomiast wyobraźnia ośmioletniego Mansura determinuje go do zostania nafcierzem w KazMunajGazie.

Szczerze mówiąc, pomyliłem się.

Rodzice mieli różne oczekiwania względem tego spotkania. Teoretycznie wszystko mieli robić uczniowie, a my tam byliśmy jako tło. Często jednak zamieniało się to w pytanie jak zrobić z dzieciaka studenta Harvardu. Jeżeli trafiało na mnie, to ogólnie chwaliłem większość uczniów, no może mógłby

częściej robić zadania i nie drzeć ryja przez całą lekcję, ale ma pasję, chce mu się, to najważniejsze! Oczywiście pani Tamara biadoliła w kółko o tym, że trzeba się brać do pracy, że katastrofa, że co to będzie, że może jakieś złe towarzystwo, że wyłączyć telewizor i komputer, żeby pilnować. UCZYĆ SIĘ!!! Nauka to potęgi klucz – mówiła osoba, która z racji z niesienia kaganka oświaty cierpiała na wieczny deficyt pieniędzy. Osoba, która nienawidziła każdej sekundy swojego życia i pracy. Niemniej jednak uważała, że jest uprawniona do dawania porad dotyczących cudzego życia. Wręcz przeciwnie, większość rodziców okazała się rozsądna i realistyczna.

Czasem tak bywa, że trzeba się cofnąć ze dwa semestry, żeby zarysować pewne tło. Kilka miesięcy przed kwietniem odbyłem rozmowę z panią Tamarą. Informowałem ją o pewnych sprawach, bo wtedy jeszcze naiwnie wierzyłem, że może tłą się tam jakieś resztki sumienia i coś do niej dotrze. Klarowałem jej, że ta szkoła jest jednym wielkim wałem i patologią, co przejawia się na wielu płaszczyznach. Na przykład na tej, że dzieci siedzą w grupach, gdzie nie mają prawa się niczego nauczyć. Testy mamy fatalne i niekompatybilne z niczym, nasz syllabus to jeden wielki chaos, lista grzechów jest długa. Mówiłem, że w ten sposób marnujemy czas naszych uczniów i ich potencjał, a także pieniądze ich rodziców. Zwierzałem się, że ogólnie jest to dla mnie dramat i mogiła zawodowa. Pani Tamara odpowiedziała mi, że przecież jest taka uczennica jak Ayana, która jest dobra, króluje zabija i deklasuje, a nie uczyła się poza granicami Kazachstanu i wszystkiego nauczyła się tutaj, więc jak ktoś chce, to może. Mówię, że tak, ma rację. Tyle, że obok niej siedzi dziecko policjantów, które uczy się tu czwarty rok i ledwo alfabet zna.

- Policjanci to śmieci! Złodzieje, cwaniaki, korupcja. A niech ich dziecko ma źle! Gdyby inni uczyli się jak Ayana, to by nie było problemów!

Tak, ale to nieuczciwe wybierać jedną z najlepszych uczennic w grupie i chwalić się nią. Pracujemy z najlepszymi, słabszych zostawiamy w tyle, przepaść tylko rośnie, tak nie można, to nie ma sensu. Co będzie za rok? Za dwa?

Wypada dodać, że Ayana to było takie miłe dziecko, co na angielskim plasowało się w czołówce grupy, ale wolała matematykę, jednak jej prawdziwą pasją były szachy. Typowa dziesięciolatka, zwłaszcza z tymi szachami. Mając uczennicę tej kategorii rzadko się w ogóle o niej myśli – zadania cudownie zrobione, w trakcie lekcji partycypuje w każdym ćwiczeniu, z wszystkimi się lubi, wiedza o świecie ponad standardem. Zdecydowanie nietypowy przypadek na tle naszych podopiecznych.

27 kwietnia w okolicach południa do naszej klasy weszła Ayana z ojcem. Przywitaliśmy się i rozpoczęły się rozmowy. Standardowe pierdoły, ale w pewnym momencie ojciec postanowił dać do pieca. Po pierwsze zaznaczył, że mu nigdy angielski w życiu nie był potrzebny, więc go nie zna i nie będzie się wydurniał. Że on tu przez trzy lata nie był pewien, czy ta szkoła się do czegoś nadaje. Że ta się uczyła angielskiego i bali się, że będzie kasus Himilsbacha, nic z tego nie wyniknie, a tu nagle w tym roku przełom. Że to chwala, że trafił się taki NAUCZYCIEL PROWADZĄCY jak ja. Że oczywiście nauczyciel pomocniczy też na pewno jest ważny, ale wcześniej tak nie było. I że jak ja jestem z Polski, to Lewandowski. Uścisnął mi dłoń i poszedł sobie.

Dobrze, że to było przed lunchem, bo gdyby po, to bym ze śmiechu zwymiotował swój wegetariański posiłek. Myślałem, że umrę, że dostanę spazmów śmiechu, rzucę się na podłogę i tak będę leżał, tarzał się i rzał. Myślałem, że upadnę i powiem, żeby powtórzył: NAUCZYCIEL PROWADZĄCY! Bo tak szkoła sprzedawała rodzicom uczniów nasze funkcje. MY prowadzimy, a lokalni to przydupasy. Tamara była czerwona jak burak, gdy opowiadała rodzicom bajki o tym, że to ja prowadzę lekcje, ale ona czynnie asystuje. Pod koniec kwietnia mijały dwa tygodnie odkąd nie zrobiłem niczego w sali

podczas naszych lekcji (na pociechę Raigul dawała mi prowadzić większość naszych zajęć). Tamara prowadziła wielki projekt teatru cieni i nie miałem za bardzo jak się wciąć, nawet gdybym bardzo chciał. A jakoś przesadnie nie chciałem. Szkoda tylko, że te bajania trwały zaledwie jeden dzień i po 27 kwietnia wszystko musiało wrócić do normy.

Srebro dostała matka Dinary. Oczywiście dziewczyna cudownie dobra z angielskiego, ale w ogóle taki ideał dziewczynki dziesięcioletniej pod każdym względem (pewnie na piętnaste urodziny będzie waliła wino pod mostem, a na szesnaste heroinę...). Matka biegła w angielskim, więc w tym niszowym narzeczu gadaliśmy, w pewnym momencie zapytała o to, czy dzieci mnie rozumieją, gdy ja tylko po angielsku, więc jakoś tam brnąłem, że ja trochę ten ruski ogarniam, ale dzieci mądre, więc też dają sobie radę. Zachwycona odpowiedziami pyta panią Tamarę, czy jako DRUGI nauczyciel ma dużo do tłumaczenia. A ta taka piękna botwinka. Dostałaby nagrodę leninowską na festiwalu na najładniejszą imitację ćwikły w dziejach ZSRR.

Uzbeckie zęby zgrzytają.

Nienawiść leje się z oczu.

W końcu usta niemalże krzyczą: *JA MUSZĘ WYJAŚNIAĆ GRAMATYKĘ, TEJ SIĘ NIE DA PO ANGIELSKU!*

Oczywiście, że się, słóńce drogie, da.

Mama Dinary dowalała jeszcze bardziej, bo spytała, czy może ja bym mógł się z nimi poza szkołą spotkać, przyjść do nich, pokazać jak uczę. O jak mnie kusiło!!! Pro Dinara Bono, wykręciłbym tam najlepszą lekcję świata, ale powiedziałem, że kontrakt, że nie wolno, że bieda. Umówiliśmy się, że przyjdzie na lekcję otwartą, bo koniecznie chce zobaczyć jak to wszystko działa. Nie przyszła. Może dlatego, że lekcji otwartej nigdy nie było.

Przy okazji wyszło, co podejrzewaliśmy wcześniej z paroma osobami: rodzice naszych uczniów byli przeświadczeni, że ci mają z nami wszystkie lekcje, a nie 3 z 4 tygodniowo. Fascynuje ten brak zaufania rodziców do lokalnych pedagogów. Skąd mógł się on brać? Z tego, że sami przeszli przez ten system? Że wiedzą jak nauczyciele traktują uczniów i swoje obowiązki? Nie, na pewno z powodu kształtu ich i naszych oczu.

Spędzałem czas w środowisku krańcowo wrogim. To nie było tak, że nienawidziła mnie pani Tamara. Mnie nienawidziła większość kolektywu lokalnego. W żaden racjonalny, znany mi sposób, nie mogłem do nich dotrzeć. Ci, którzy ze mną rozmawiali, pytali na poważnie o handel narkotykami. Poziom absurdu przebijał wszystko co w życiu przerobiłem. Lekcje prowadziła raz Tamara, raz ja. Nie rozmawialiśmy, więc nasi uczniowie nigdy nie wiedzieli, co będzie – czy ciąg dalszy jej pomysłu, czy mojego. Bo szło to wszystko dwutorowo. Gdy skończył się teatr cieni, to ona nie miała już żadnych pomysłów. Warto dodać, że z teatru cieni nic nie wyszło. Pewnego dnia poprosiła o kamerę, dostała ją. Techniczny chciał zostać i kamerować, ale powiedziała, że nie ma potrzeby. Wszyscy zrobili swój teatr, a ona kręciła. Potem okazało się, że nie nakręciła niczego. Kamera była w pełni profesjonalna, też bym nie wiedział jak się ją obsługuje. Tylko ja bym zapytał, a nie udawał mądrzejszego niż jestem. Potem więc rozpoczął się sezon filmowy, włączała im np. „Króla Lwa” we wtorek, a w środę ja im robiłem kolejne dwie strony z książki. Sam nie wiedziałem kiedy będę uczył, bo decydowała o tym oczywiście ona, przychodząc lub nie do klasy. Dyrekcja oczywiście kazała mi się z nią nie kłócić i jej ustępować. Ona chciała mnie złapać, że jestem nieprzygotowany i w ostatniej chwili nie przychodziła na zajęcia. Paranoja. Na pociechę, z Raigul pracowało nam się całkiem dobrze, ale głównie dlatego, że w porównaniu wszystko byłoby dobrze.

Każdego dnia zastanawiałem się: a może tym pierdolnąć? Może wziąć Ubera na lotnisko i zniknąć? Tu problemem stała się Tamara. Miałem w dupie pieniądze, zarobiłem basen dolarów, większość z nich

była już na moim polskim koncie. Szkoła zyskałaby mój urlop, ale niech by sobie mieli! Cały ten dramat stał się dla mnie polem walki.

Co wieczór paliłem przemysłowe ilości papierosów patrząc na ulicę w stronę lotniska. Tak blisko, tak daleko.

W każdej chwili możesz się z tego wypisać – tak mówił mi głos rozsądku. Nie musisz nikomu niczego nie udowadniać. W każdą sobotę i środę masz bezpośredni lot do Warszawy. Masz już ocean kopiejki. 8/10 z osób, z którymi rozmawiałem, kazało mi się pakować. Nie powiedziałem większości mojej rodziny z czym się zmagam, bo po co się mieli denerwować. Pocieszałem się, że 26 maja kończy się rok szkolny. Po drodze pełno świąt narodowych. Postanowiłem nie odpuszczać. Domyślałem się, że lokalni też cierpią, gdy mnie widzą. To cierpmy razem. Mnie za to płacą znacznie więcej niż wam. Jest jeszcze jedna różnica między nami: ja stąd wkrótce wyjadę, a wy nigdy.

A Walk to Remember

Zbliżał się koniec roku szkolnego. Jak można się było spodziewać, czas ten obfitował w nieprzewidziane atrakcje.

W ramach współpracy z cyklu “Pierwszy świat spotyka trzeci” delegacja z mojej szkoły miała jechać do Niemiec. Żeby tam zobaczyć, jak wygląda szkoła IB i podpatrzeć rozwiązania, które można by wcielić w Astanie (np. implementować pensję niemieckiego dyrektora). Bywały już wcześniej wyjazdy pracownicze – Dubaj, Rosja – ale szybko zrozumiałem, że to jest ten, na który wszyscy najważniejsi w dyrekcji czekali najbardziej. Tydzień u Niemca za darmo! (czyli za: pieniądze rodziców, uczniów, czy też ministerstwa edukacji)

Nigdy nie widziałem pełnej liczby uczestników, ale łącznie miało jechać około piętnastu osób, w tym tacy, co nie znali ani słowa po angielsku czy niemiecku. Kibicowałem im, bo coś mi mówiło, że dam sobie radę przez tydzień bez wsparcia administracji.

Mieli lecieć w poniedziałek rano.

W czwartek tygodnia poprzedzającego podróż za jeden uśmiech na wszystkich spadła wiadomość doprawdy łamiąca: żeby wjechać do Niemiec, obywatele Kazachstanu muszą posiadać wizy.

Niespodziewane, a podstępne!

Jedna z nauczycielek powiedziała, że nie ma się o co martwić: dyrektor zna ludzi w ambasadzie Niemiec, a jak tak nie pójdzie, to zapłacą na lotnisku.

Zwariowałem.

Wyobraziłem sobie jak próbują dać niemieckiemu pogranicznikowi jakieś 50 euro i mówią „funfzehn Visa, bitte!”. Zresztą co ja bredzę, przecież by nawet nie wsiedli do samolotu w Astanie. Wiedza ta chyba dotarła też do nich, bo w poniedziałkowy poranek wszyscy potencjalni uczestnicy wycieczki nadal byli w szkole.

Takie drobiazgi nie są jednak w stanie złamać stepowego ducha. Dyrekcja przebukowała bilety na środe. Delikatnie pytałem kiedy zaaplikowali o te wizy:

- *W czwartek.*
- *A jaki jest czas oczekiwania?*
- *No ze dwa tygodnie, może czasem szybciej.*
- *Zrobią wam taką grzeczność, że dadzą je od razu? Znać tam kogoś?*
- *Nie, nie. Ale nasz dyrektor ma wpływy, to ważny człowiek.*

We środe bilety przebukowano na bliżej nieokreśloną przyszłość, natomiast szkoła w Niemczech delikatnie im powiedziała, że nie zawsze są w stanie spędzać z nimi czas i że jak się nie udało przylecieć teraz, to może jesienią. Mnie pozostawało tylko zgadywać ile kosztowało przebukowanie lotów dwa razy, za każdym razem w dniu wylotu. Przypominam, że podróżować miało jakieś PIĘTNAŚCIE osób.

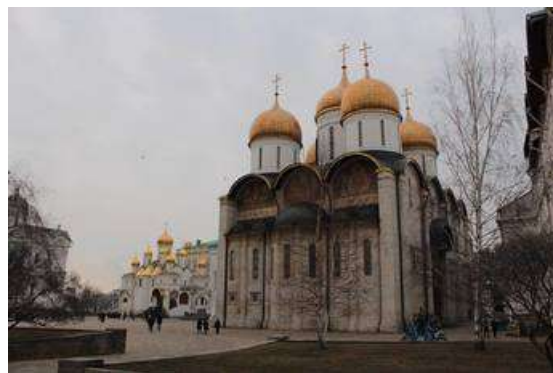
Jednak nie to było największym odlotem. To było tylko preludium do odlotu. Lokalne nauczycielki postanowiły skorzystać z mojej znajomości Moskwy. Miały mieć jedenaście godzin przesiadki w swojej dawnej stolicy i chciały iść zwiedzać. Na szybko wyliczyłem i wymyśliłem, co są w stanie zrobić. Tłumaczyłem: na Kreml bym nie wchodził, bo to kilka godzin, ale oczywiście Plac Czerwony tak, może się uda Lenin, może Tretiakowka na biegu jeżeli kogoś kręci, muzeum Bułhakowa ewentualnie, albo Park Gorkiego, albo spacer brzegami rzeki.

Intensywnie, ale dałoby się. Atrakcji w Moskwie multum, tylko wybierać, sprawdzić godziny otwarcia i zrobić sobie taką trasę, żeby za wiele nie jeździć.

- Z Szeremietiewa jedziecie do centrum Aeroexpressem. Trochę kosztuje, ale leciecie w naście minut na stację Białoruskaja, a tam to już właściwie centrum, ewentualnie metrem podjechać, samo metro odlot. Z powrotem tak samo, wydrukujcie sobie rozkłady, bo bywają przerwy, chociaż nigdy nie są bardzo długie, metro jeździ często – zasypywałem je wszystkimi potencjalnie użytecznymi informacjami.

Niestety, zwiedzanie skończyło się, zanim się zaczęło. Po odkryciu, że Aeroexpress kosztuje 500 rubli (jakieś 28 PLN), współpracownicy stwierdziły, że to drogo.

- Da się autobusami miejskimi, ale zajmie wam to ze dwie godziny. Wyjdzie taniej, ale postoiacie w korkach, potem wysiada się na ostatniej stacji metra, kawał drogi do centrum, możecie się pogubić. Nie, to nie ma sensu. Przecież wydostanie się z lotniska zawsze tyle kosztuje. Płacę wam za loty, to grzech nie dołożyć tyle za zobaczenie jednego z najbardziej charakterystycznych budynków na świecie. Do tego przecież to była kiedyś wasza stolica.



Konsternacja.

- A czy można iść z lotniska na Plac Czerwony na piechotę? - padło.

Pomyślałem. Włączyłem mapę, policzyłem i udzieliłem odpowiedzi dostosowanej do poziomu pytających.

- Tak, można. Jest to tylko jakieś 36 kilometrów. Przy lotnisku nie ma zbyt wielu chodników, ale jak już przebijecie się na Khimki, to jak z płatka. Zajmie wam to tylko z jakieś osiem godzin, nie zdążycie wrócić na piechotę, więc może wydajcie chociaż na autobus. Chociaż nie, idźcie cztery godziny piechotą poboczem autostrady, a potem zróbcie w tył zwrot i z powrotem na Szeremietewo. W ten sposób będziecie mogły wszystkim tu opowiadać, że byliście w Moskwie. Jak dobrze dacie z buta, to nawet może do Ikei na Khimkach dojdziecie.

Ostatecznie to dobrze, że nie udało im się polecieć. Zwłaszcza dla międzynarodowego wizerunku Kazachstanu. Oczyma wyobraźni widziałem już nagłówki w rosyjskiej prasie:

Grupa piętnastu turystów z Azji Środkowej oskarżona o przygotowywanie aktu terrorystycznego dwa kilometry od międzynarodowego lotniska Szeremietewo. Podejrzani zostali zatrzymani dwa kilometry od stolicznego aeroportu, gdy szli poboczem drogi szybkiego ruchu. Zatrzymującym ich funkcjonariuszom FSB wyjaśniali, że wybierali się na Plac Czerwony. Zdecydowali się na spacer, bo szkoda im było na transport publiczny.

Things to do in Astana when you are dead

W ISA NIS Astana nie istniał żenadometr. Nie było więc takiej możliwości, żeby go wyjechało. Gdyby takowy jednak funkcjonował, to 1 maja wystrzeliłby z takim hukiem, że pod Taszkientem ludzie by to słyszeli. Był to oczywiście dzień wolny, dość wcześnie wróciłem z Szymkientu, coś tam ogarniałem sobie w mieszkaniu i gotowałem. Mieszkając bez Aligatora rozwijałem swoje talenta kulinarne. Opanowałem wypiekanie chleba, chaczapuri na kilka sposobów, kremy z warzyw akurat dostępnych w okolicy, do tego oczywiście makarony z różnymi sosami, ryż w nastu wariantach. Był to jeden ze sposobów na zabijanie czasu. Nie myślałem wiele o szkole, bo wiedziałem dobrze, co będzie, czyli nic. Po co miałem sobie psuć wolny dzień rozważaniami, co też głupiego wymyślą? Przewidywalność to jedno z ostatnich słów, jakiego bym użył na opisanie sytuacji w moim miejscu pracy.

Pod wieczór telefon brzęknął, że WhatsApp. Tam okazało się, że na naszym kanale pracowniczym poszło coś takiego:

"Once upon a time there lived a beautiful deer and mean jackal in International Valley. The deer was very smart and hardworking while jackal was jealous, envious and mean. One day jackal decided to make a plan how to make the deer upset. He pooped in the holy place near Lake with fresh water where all other animals were drinking when they were thirsty and said that was the deer. Some animals believed to jackal's word and started smell like him. The other animals didn't see that and didn't believe in that. So jackal was spreading rumors about his own shit all over the valley and those who were messing with him were also stinky.

But the saint animal of that Valley looked into his magic mirror and saw everything what happened and chased out the mean jackal from the valley.

Moral: never believe the words and actions you didn't see and cannot prove, or you will smell like that jackal from the valley. Happy holiday everyone."



Nie jenot, a też inspiruje! (autor zdjęcia: Hans Hillewaert)

Poczułem się jak w podstawówce. Skopiowałem, przesłałem do władz. Z komentarzami o tym, że skoro mnie się mówi, że mam nie eskalować konfliktu, to czy mogliby to też powiedzieć drugiej stronie tego starcia? Że skoro obwiniają mnie o napięcia na linii obywatele Kazachstanu-całego świata, to co powiedzą o tym? Czy może powalą jeszcze trochę głupa, że w sumie to nie wiedzą, co się odpiędała? A może chcieliby mi powiedzieć, że coś tam to moja wina?

Jednak ostatecznie mnie to rozbawiło: Tamara zrozumiała, że nigdzie się nie pakuję i pozostało jej jedynie pisanie bajeczek wątpliwej jakości. Opuściła też demonstracyjnie czat nauczycielski, ale kilka dni później wróciła na niego, zapewne przerażona tym, że ktoś mógłby być tak bezdennie głupi, żeby napisać coś złego o niej.

Na tego maila nigdy nie odpisano. Jakieś trzy tygodnie później powiedziano mi w szybkiej rozmowie na korytarzu, że faktycznie, no jest to nieprofesjonalne i deko siara, ale nie można z tym niczego zrobić. Administracja szkoły powiedział mi, że nie jest w stanie zrobić niczego z tym, że moja współpracowniczka, czyli ich pracowniczka, wypisuje takie brednie do wszystkich nauczycieli. Ja w sumie już się śmiałem, od dawna nie miałem choćby najmniejszych złudzeń co do natury mojego

miejsca pracy. Wiedzy tej wydawali się pozbawieni niektórzy nauczyciele z RPA. Byli solidnie wściekli.

"Skoro nie reagują na coś takiego, na tak otwarty atak na nauczyciela z innego kraju, to lokalni dostają jasny sygnał, że mogą z nami zrobić wszystko, a administracja nigdy nas nie wesprze w żadnym konflikcie!"

Tak, dokładnie. Dlatego ja stąd wypierdalam 23 czerwca. A wy bawcie się kolejny rok i patrzcie, co się wydarzy. Na pewno się poprawi: przez wakacje nasi dzielni koordynatorzy doczytają sobie, jak powinno wyglądać uczenie i wszystko zacznie hulać. Nie mam wątpliwości, tylko po prostu czuję się niegodny uczestniczenia w tej wielkiej inicjatywie.

Jedynym radosnym aspektem tego wydarzenia stało się, że to zacząłem wysyłać obrazki szakali na kanałach, które mogli czytać tylko obcokrajowcy. Jedna osoba podchwyciła pomysł i chwilami stada szakali biegały po naszych rozmowach.

Poważnym argumentem za przemęceniem się z Kazachstanem było to, że do końca semestru nie pozostawało wiele. 25 maja kończył się zasadniczy rok szkolny. Było jasne, że zmarnujemy oceany czasu na tańce narodowe, honorowanie współpracy z jakimś Uzbekistanem, do tego dochodziły święta państwowe 7 i 9 maja. Pierwsze to dzień obrońcy ojczyzny, drugie to oczywiście Wielka Pobeda. Chodziłem do pracy i się nudziłem. Zaznaczyłem na Couchsurfing, że chętnie przyjmę gości i szybko wygrałem rodaków. Było to cudowne rozdanie w tej nędzy nudy i beznadziei. Na nowo odkryłem, że ludzie mają poczucie humoru, że można rozmawiać o religii, muzyce, filmach, podróżach. Nawet moja wiedza o Astanie trochę się przydała, los nas rzucił do miejskiego akwarium, a także do łaźni. Oczywiście nie wygralibyśmy konkursu abstynentów. Było super.

Przez ten jeden dzień.

Tak się składa, że w maju mam urodziny. Osoba, która mnie wylosowała, wręczyła mi o poranku dyżurny prezent (wino i słodczyce, praktycznie wszyscy dawaliśmy sobie dokładnie to samo, zmieniało się tylko wino z wytrawnego na pół- lub słodkie). Wyszliśmy celebrować w piątkowy wieczór, ale były to najsmutniejsze i najnudniejsze urodziny w moim życiu. Nie pomogło nawet to, że w ładnym kraft barze się nie hamowaliśmy i nie schodzili z piwami z poziomu międzynarodowego. Koło 23 wróciłem do domu i stwierdziłem, że dobrze, że mam to z głowy. Nie przypominam sobie, żebym po osiemnastce miał krótsze urodziny.

Dość dużo osób w Polsce wiedziało, jak dobrze się bawię. Dzwonili do mnie co kilka dni i pytali jak tam życie, a ja opowiadałem i pytałem, co u nich. Te rozmowy na jakąś chwilę pozwalały zapomnieć o nudzie i dramacie życia codziennego w tym smutnym mieście. Z drugiej strony, potem robiło się jeszcze gorzej, bo zaczynały się refleksje: ludzie mają normalne życia, coś z nimi robią, tu komuś się rodzi dziecko, tam ktoś pojechał na koncert, tu zaplanowali wakacje. Ja wiedłem każdego dnia, wstawałem o 6:30, o 7:55 odbijałem kartę na zakładzie, a potem siedziałem do 17, tak naprawdę wiele nie robiąc. Od czasu do czasu kino – stałem się bardzo mało wybredny i chodziłem niemal na



Jak wygląda marnowanie czasu w pracy oraz trwonienie pieniędzy sponsorów tego cyrku, czyli rodziców

wszystko, co nie było kazachską komedią romantyczną.

Po jakimś czasie wolałem dni pracujące od weekendów. Wydarzenia takie jak prasowanie koszul to była ekstaza. Układałem puzzle, i to na potęgę. Trochę pomagał otwarty 1 maja luksusowy sklep z piwem i winami. Nierzadko po szkole siadałem z kolegą z RPA na jedno, w piątkowe wieczory na więcej niż jedno. Jednak z czasem i to stało się dość nudne. Wychodzić nie mieliśmy za bardzo dokąd.

Właściwie już całą resztę mojego pobytu w Kazachstanie cechowała szeroko rozumiana nuda. Jedna wielka, przerażająca, wszechogarniająca nuda. 25 maja skończył się rok szkolny. Podobno nawet rodzice mnie szukali i bardzo chcieli mi podziękować, a także dać kwiaty. Akurat siedziałem w jakimś spokojnym zakątku szkoły i oglądałem coś na laptopie albo czytałem – tak wyglądała większość mej pracy przez ostatnie dwa tygodnie zajęć. Zazwyczaj w dniu zakończenia roku szkolnego odczuwa się radość, dumę, jest wiele śmiechu i radości, coś się wspomina, patrzy się, co poszło fajnie, co inaczej. W Astanie były dwie przemowy dyrektora, występy uczniów i dość sztywna atmosfera. Sam czułem wstyd i zażenowanie. Wielu z moich uczniów nie drgnęło z poziomem znajomości angielskiego nawet o milimetr. Tak jak nie umieli za wiele we wrześniu, tyle samo właśnie umieli też na koniec maja. Obowiązkowych testów nie pisali, bo od czasu wielkiego rozłamu w teamie nauczycielskim Tamara im testów nie dawała – ryzykowała, że jeżeli ich nie poprawię, to musiałyby to zrobić sama. Wiadomo, że pracą rąk kalać sobie nie można. Wymyśliła więc projekt teatru cieni, który zjadł sam nie wiem ile lekcji, z miesiąc chyba. Ostatecznie miała nakręcić występy różnych grup, a potem rodzice mieli mieć okazję do zobaczenia jak fajnie ich pociechy zrobiły. Załatwiła nawet profesjonalną kamerę i pewnego dnia ruszyło nagrywanie. Pan techniczny pytał o której ma przyjść. Dowiedział się, że nie jest potrzebny, bo ona sama da sobie radę.

Po czterech godzinach okazało się, że nic się nie nagrało – tak sobie dała radę. Jednak przecież poproszenie o pomoc to utrata twarzy, lepiej robić wszystko samemu. Jeżeli nie ma się pojęcia o obsłudze zaawansowanej kamery, to po co skorzystać z technicznego, lepiej udawać, że się wie. W efekcie żadne filmy z teatru cieni nie powstały, czyli nie bardzo było za co ocenić uczniów. Tak na marginesie tylko wspomnę, że podręcznika na żadnym poziomie nie ukończyliśmy. Nie my jako team, my jako szkoła. Nie był to rezultat planowania, a chaosu. Kryminał nauczycielski za takie rzeczy powinien być.



Nie ma litości!

Nastąpiły dwa tygodnie obozu letniego. Tu już nawet dyrekcja wpadła na pomysł, że może lepiej nie parować mnie z Tamarą i dostałem byle nauczycielki kolegi z Teksasu. Było niewiele lepiej. Sam obóz nie był przesadnie intensywny - mieliśmy uczyć dwa razy po czterdzieści minut dziennie. Tego samego, więc do przygotowania była JEDNA i to raczej krótka lekcja. Jednak i to zazwyczaj okazywało się zbyt wielkim obciążeniem.

Przede wszystkim nie chciało im się niczego. Moje „zaplanujmy to jakoś porządnie, nie zajmie nam wiele”, spotykało się ze ścianą obojętności, graniem na telefonie, koniecznością pogadania z kimś, poplanowania wakacji, przejrzenia katalogu kosmetycznego. Gdy w końcu siadaliśmy do lekcji, to często kończyło się różnicami zdań w stylu „włączenie czterech filmików pod rząd nie ma sensu” kontra „osłuchają się”. Czasem udawało się spotkać w pół drogi i powstawały w miarę sensowne lekcje albo chociaż ich kawałki.

Były to i tak najlepsze dwa tygodnie nauczania w Astanie. Przynajmniej zawsze mieliśmy jakiś plan i nigdy sobie nie przerywaliśmy w pół słowa.

Była jednak nowa ciekawostka: niektórzy lokalni nauczyciele nie lubili się z Tamarą, więc może nie jakoś bardzo otwarcie, ale przychodzili do mnie w sprawach wakacyjnych i rozwoju ich karier. Czyli jak zrobić CELTĘ, jak dostać 8 z IELTS, ile powinien kosztować hotel w Rzymie. Jeżeli tylko ktoś chciał, to uczyłem jak używać strony Cambridge, jak konwertować wyniki testów, jak działa booking.com, jak Airbnb, a jak Skyscanner. Naprawdę, dorośli ludzie nie wiedzieli, że takie cuda istnieją!

Wiele z tych rozmów odbywało się po rosyjsku, bo inaczej odbyć by się nie mogły – nauczycielki samopoznania nierzadko nie mówiły ani słowa po angielsku. Jedna z mych tymczasowych coteacherek uczestniczyła w nich w sposób średnio konstruktywny, to znaczy narzekając na moją rosyjską wymowę. Poprosiłem, żeby mi ją poprawiała, ale odmówiła, „bo to nie ma sensu”. Kilka razy wyglądało to tak, że siedzę z nauczycielką jakiejś biologii i jej opowiadam, że Ryanair w Paryżu ląduje na Beauvais, czyli bardzo daleko od centrum, a tu:

- *O jak źle zaakcentowałaś ‘daleko’!!!*

- *O, źle mówisz ten czasownik.*

Pewnego dnia chciała wyrazić swoją dezaprobatę i powiedziała po angielsku:

- *I can't hear when you speak Russian.*

Poleciłem wizytę u laryngologa. A raczej przygodę z jakimś podręcznikiem, bo zamiast *hear*, to o *listen* jej chodziło. Za takie rzeczy wszyscy w Kazachstanie się strasznie obrażali. Jeżeli ona mi jechała trzy dni w temacie znajomości czegoś, co w ogóle nie wchodziło w zakres moich kompetencji zawodowych, to było w porządku. Jeżeli jednak ja raz się odwinąłem w jej specjalizacji, to już znaczyło, że jestem chamem. Po filologii miała angielski mniej więcej na poziomie mojego rosyjskiego, którego uczyłem się głównie z życia, a nie w szkole czy na kursach. Nie był to pierwszy raz, kiedy przypominał mi się cytat jednego z moich ulubionych pisarzy, tym razem dotyczący pracy w szkole w Kazachstanie:

"W dniu egzaminów piśmiennych z geometrii i trygonometrii nie pozwolił mi otworzyć koperty z tematami w klasie, lecz zaprowadził do gabinetu dyrektora i tam, w obecności wszystkich kolegów-nauczycieli musiałem najprzód sam rozwiązać zadanie; przez cały czas stał za moimi plecami. Gdy okazało się, że rozwiązanie jest właściwe — świąteczny nastrój ogarnął wszystkich matematyków, a zwłaszcza mego wicedyrektora. Jak łatwo było tu zdobyć sławę Kartezjusza! Jeszcze nie wiedziałem wtedy, że co roku podczas egzaminów końcowych w siódmych klasach — szkoły terenowe wciąż

telefonują do rejonu: zadanie nie wychodzi, temat podano nam błędnie! Bo też ci nauczyciele sami ukończyli nie więcej niż siedem klas..."

Aleksander Solżenicyn „Archipelag GUŁag", tom trzeci

Cała koncepcja summer campu stanowiła kolejny sposób na oddzielenie rodziców naszych uczniów od ich tenge. Kosztował on dość solidnie, więc zainteresowanie było raczej umiarkowane, ostatecznie około 10% naszych uczniów zdecydowało się na uczestniczenie w tym świecie edukacji. Wyjątkowo, od strony koordynatorów, obóz nie był źle zaplanowany, każdemu dniu poświęcono inny temat – raz piraci, raz sport, a raz sztuka. Angielski stanowił część wszystkich zajęć, poza tym mieli matematykę i przedmioty z pogranicza biologii-chemii. Uczniowie też byli lepiej pogrupowani niż zazwyczaj. Powiedziałbym, że połowa zajęć nadawała się do czegoś, druga już niekoniecznie. To i tak było o wiele lepiej niż w trakcie poprzednich semestrów, ale też nie było powodów do mruczenia. Pracy było żałośnie mało, a zaangażowani wykonywali ją na pół gwizdka.

Ostatecznie uznano mnie za wariata, bo sam się zgłosiłem do robienia gier plenerowych – wszyscy uciekali od tego jak tylko mogli. Wicedyrektor ścisnął mi dumnie prawicę gratulując, że zgodziłem się na tak wielkie poświęcenie. Rzeczywiście, cała sprawa zajęła trochę ponad godzinę, ze wszystkimi przygotowaniami może dwie. Mnie przynajmniej przez ten jeden dzień nudziło się trochę mniej. W ostatni dzień, piątek, ogłoszono, że obóz był wielkim sukcesem, co stawiało go w jednym rzędzie ze wszystkim innym, co robiliśmy. Zawsze odnosiliśmy wielki sukces, przypominało to nieco Kaligulę, który wysłał swoich żołnierzy do walki z Posejdonem i też mógł odnotować wielkie zwycięstwo.

Pozostawało jeszcze ostatnie starcie: przetrwanie dwóch tygodni w ulubionym trybie funkcjonowania ISA: szkoła bez uczniów.

To już jest koniec, nie ma już nic, jesteśmy wolni, możemy iść!

Koncept szkoły bez uczniów jest dość rzadko spotykany w znanych mi systemach edukacyjnych. Oczywiście wszędzie zdarzają się dni, w których przychodzi się robić głównie administrację, ale jednak programowo, gdy już się zbiera nauczycieli, to wówczas daje im się coś do roboty, choćby zwołuje jakąś radę pedagogiczną, konferencję czy inne dni twórczego myślenia. Szkoły działające w rozsądnie ułożonym świecie oglądają każdą kopiejkę pod światło zanim zdecydują się z nią rozstać i niechętnie sadzają na stanowiskach pracy po nic.

Oczywiście w Kazachstanie było inaczej.

Po zakończeniu summer campu powoli zaczęło do mnie docierać, że nadchodzi ten dzień. Że za 15 dni wyjadę z Astany. Wydawało mi się to niemożliwe. Czy naprawdę istnieje świat inny niż te betonowe osiedla? Ludzie, z którymi można ciekawie rozmawiać i przyjemnie spędzać czas? Sklepy z wegetariańskim asortymentem? Kina z niezależnymi filmami? Nie, to niemożliwe!



There must be some kind of way outta here!

Rozpoczęły się mistrzostwa świata w piłce nożnej. Początkowo związane były z wielką frustracją. Po pierwsze, żadnej ze znanych mi w Astanie osób nie obchodziły, co nie przeszkadzało im w wypowiedzaniu rzeczy w stylu „Rosja pójdzie na mistrza”. Po drugie, różnica stref czasowych sprawiała, że najlepsze mecze wypadały późno w nocy. Po trzecie, przez dwa tygodnie nie udało mi się znaleźć strefy kibica czy baru, w którym można byłoby oglądać chociaż niektóre spotkania.

Jednak sam ze sobą, a czasem z ludźmi na łączach, śledziłem przebieg mundialu tak dokładnie, jak jeszcze nigdy. Przeczytałem ze trzy skarby kibica, w tym nawet całe wskazania używania technologii VAR i nowe interpretacje przepisów. Analizy meczowe czytałem po polsku, rosyjsku i angielsku. Reportaże o budowaniu stadionów oczywiście po kilka razy. Gdy tylko rozmawiałem z Wodzem, to pytał, czy mi jebnąć. Bo on chodzi do pracy i nie ma czasu na przeglądanie statystyk Arabii Saudyjskiej, żeby potem szczerzyć się cudownie bezużyteczną wiedzą o opłaconych wypożyczeniach zawodników tej wspaniałej repy do hiszpańskich drużyn. Żałowałem, że nie jestem w Moskwie, ale mój zapał studzili byli współpracownicy, którzy tam nadal mieszkali. Mówili, że słabo ich stać na pójście na jakikolwiek mecz, nie mówiąc nawet o czymś na poziomie półfinału.

O ile oglądanie meczy nie było przesadnie trudne – niektóre mogłem zobaczyć używając rosyjskich kanałów, inne dzięki kazachskim - o tyle pewnej sobotniej nocy chciałem mordować. Zamiast meczu Chorwacja-Nigeria (wypadał o północy czasu lokalnego), kazachska telewizja zaoferowała mi walki pojebów w klatkach gdzieś pod Szymkientem. Uznali, że jest to ciekawsze niż mecz mistrzostw świata, a przynajmniej, że bardziej zainteresuje to ludność lokalną. Obawiam się, że mieli rację, co nie zmieniło tego, że trafił mnie jasny chuj. W końcu oglądałem z jakiegoś nielegalnego brytyjskiego streamingu, ale moja miłość do Kazachstanu rozkwitła po raz nty.

Zaś co do mojej pracy: przez ostatnie dwa tygodnie roku szkolnego nie miałem NICZEGO do roboty.

Ale tak żywcem-trupcem niczego. W efekcie wynajdywałem różne miejsca w szkole i siedziałem pisząc, czytając, oglądając filmy, śpiąc. Płacili mi za to pełną stawkę. Oglądałem całe serie „The Young Pope”, „Killing Eve”, „Roots”, do tego pełno filmów. Przeczytałem kilka książek, w tym „Sierpień Czternastego” Sołżenicyna. Kiedyś myślałem sobie „rany, jakie to długie, kiedy dam to radę przebrnąć?”. Kilka dni pracy w trybie osiem godzin siedzenia bez sensu załatwiło sprawę. Odświeżyłem sobie również ofertę gier na Androida.

Trudno było wytłumaczyć to wszystko ludziom, którzy nie mieli do czynienia z Kazachstanem. Wiele razy odbywałem rozmowy, które brzmiały mniej więcej tak:

- *Siedzisz i niczego nie robisz? Zakręciłeś coś?*
- *Nie, nie, najlepsze jest to, że takie są oczekiwania szkoły.*
- *Jak to? Płacą ci ten hajs za czytanie książek i oglądanie seriali?*
- *Tak.*
- *Może zapomnieli?*
- *Już trzy razy chodziłem i prosiłem o cokolwiek do roboty. A wiesz co jest najlepsze? Nas tu tak siedzi jakieś dwanaście osób. Każdemu płacą pełną stawkę.*
- *To jest niemożliwe. Przecież mówiłeś, że to biednawy kraj. Czemu by tak marnowali pieniądze? Żeby was wszystkich trzymać i nie mieć z tego żadnego pożytku? To przecież nie ma żadnego sensu.*
- *Wiem. Widzisz, jednak wpadasz w pułapkę zwaną „używanie racjonalizmu do analizy zjawisk azjatyckich”. To tu nie działa. Jest jeden poważny problem: skończyła się woda w saturatorach i muszę sobie przynosić ze sklepu albo chodzić do skrzydła dyrekcji, bo dla siebie oczywiście kupili.*
- *A gdybyś przestał przychodzić do pracy?*
- *Nie, nie, to wtedy byłby dym, siwy dym. Oni na pewno sprawdzają log wejść i wyjść, gdybym sobie wydłużył przerwę obiadową, to by rozpętali piekło i mi obciąli wypłatę. To nie ma znaczenia, że nie robię niczego. Ważne, że nie robię niczego tak jak mi kazali. Jeżeli tylko zacznę kombinować, racjonalizować, to zaczną się problemy.*

Prawdopodobnie najważniejszym, co zrobiłem z punktu widzenia współpracowników, zwłaszcza lokalnych, było dorzucenie się do prezentu ślubnego pani z biura współpracy międzynarodowej - tej

samej, która przekazała Aligatorowi informację o zerwaniu kontraktu drogą mailową; która chciała, byśmy zostawili jej klucze na czas wyjazdu na Sri Lankę; która na początku roku wykreślała się od załatwiania naszych numerów podatkowych, "bo przecież wy mówicie po rosyjsku i sami sobie dacie radę"; która setki razy obiecywała złote góry, setki razy nie wywiązywała się ze swoich obowiązków, i która starała się unikać wykonywania jakiejkolwiek pracy. Oczywiście pieniądze dawałem ze szczerego serca, bowiem okazało się, że to taka zorganizowana akcja, żeby dać trochę pieniędzy. Parę osób z RPA uczyniło z niej rzecz niemal najważniejszą na świecie, prowadzono listę, na której zapisywano, ile to kto daje na jaki cel. Były dwie listy, jedna na prezenty ślubne, druga na koniec roku. Kiedy wręczano prezent przyszłej pannie młodej, reprezentacja RPA bardzo dokładnie podkreśliła, kto się na niego zrzucił.

Szkoda, że nie zaczęli całować rzyci administracji przed wejściem do szkoły. Pieniądze podatnika szły na pensje nauczycieli z obcych krajów, którzy mieli przynieść do Kazachstanu standardy przynajmniej Sorbony. Tymczasem kończyło się to na okazach w najlepszym razie średnich, ale za to karnie oddających co jakiś czas trochę pieniędzy pracownikom administracji z okazji ślubów, urodzin, czy jakiegось święta narodowego.

Dni wlekły się okrutnie. Odliczałem godziny, minuty, a potem przeliczałem je na dolary, złotówki i tenge. Próbowałem znaleźć jakieś opcje wycieczkowe, ale wszystko wyglądało fatalnie. Ekibastuz, gdzie był Gułag i gdzie siedział Sołżenicyn, skomunikowany z Astaną jest dość kiepsko, a i same atrakcje miasta raczej nie pozwolą mu na zostanie Paryżem Wschodu. Nawet byłem ciekaw, choćby tego, że w miejscu gułagu jest obecnie stadion sportowy, a w muzeum mają trochę o Sołżenicynie, ale, patrząc na czasy przejazdów, odpadłem. Są tam też wielkie kopalnie węgla, ale zwiedzanie nie jest łatwe, a jeżeli komuś się udało, to z jakąś lokalną firmą. Podobnie poszło mi z rezerwatem przyrody położonym niedaleko Astany. Okazało się, że dostać można się tam jedynie z wycieczką, koszt tejże to jakieś 150USD za osobę. No trochę dużo za rzut okiem na jakieś ptactwo wodne – a i to jeżeli się poszczęści.



Tak pięknie prezentuje się Ekibastuz (autor: Christopher Herwig, Pressenz Bild)

Wylatywałem w sobotę, na etapie wtorku zacząłem się pakować i sprzątać mieszkanie. Długo mi to nie zajęło, więc z benedyktyńskim zapalem i takąż precyzją czyściłem balustrady balkonowe, płytki w łazience, fugi, okna. Lokalni pracownicy pojechali na wakacje, a my - międzynarodowi - jeszcze siedzieliśmy.

Ostatnia niedziela w Kazachstanie.

Ostatni poniedziałek, wtorek... Z nikim się nawet nie miałem po co żegnać, co najwyżej jakoś tam symbolicznie z ludźmi z RPA.

Środa, jeszcze dwa dni.

Czwartek.

Piątek, wielki finał!

Od kilku dni chciałem odebrać referencje – ostatecznie sam je sobie musiałem napisać, szkoła bez mrugnięcia okiem podpisała, jaki jestem cudowny. W piątek o 16:30 byłem gotów do wyjścia. A raczej nie, bo musiałem jeszcze oddać kartę magnetyczną i odebrać referencje. 16:31, 16:32... Czy ja kiedyś stąd wyjdę? 16:40, jest, są referencje, żegnamy się.

Koniec.

Wyszedłem po raz ostatni z tego piekła. Ruszyłem do śmietnika, zdjąłem wymęczoną przez rok koszulę i wyrzuciłem ją z rozmachem do największego kubła. Potem zobaczyłem wszystkie gwiazdy, bo uderzyłem czołem w daszek stojący nad śmietnikami. Cudowne pożegnanie.

Na etapie godziny 19 byłem spakowany, mieszkanie lśniło, a ja ustawiłem wszystkie możliwe budziki – telefon, laptop, napisałem do czterech osób, żeby do mnie whatsappowały i gdybym do pięciu minut nie odpisał, to mają dzwonić. W zamrażarce kulała się końcówka wódki Wozduch. Co się będzie marnowało... Jednak spać poszedłem o 23. Jak nigdy wcześniej w piątek.



Ostatni rzut okiem na fascynujący widok z okna

W obliczu ostatnich dni i konieczności zdania mieszkania, szkoła uznała, że mój rosyjski jest wystarczająco dobry do tego celu. Umówiłem się sam z siostrą właściciela, miała przyjść o 10. Była zaskoczona, że o 9:30 jestem spakowany i gotów do drogi.

- *Pan tu jeszcze zostawił rzeczy w kuchni...*

- *Świadomie. Nie będę woził soli z Astany do Krakowa. Przeżyję też stratę pieprzu, cukru i paru innych przypraw. Również ocet, odświeżacz powietrza i płyn do naczyń pozwolę sobie zostawić.*

Ucieszyła się, jakby to naprawdę było coś warte!

Autobus, o czasie. Lotnisko. Pewnie odwołają samolot. Nie, nie odwołali, jest. Pewnie opóźnią. Dobra, bagaż nadany. Ostatnie KZT wymienione na euro. Kontrola.

- *Czy wywozi pan jakieś pieniądze z Kazachstanu?*

O kurwa. Czegoś takiego oczekiwałem na pożegnanie. Przecież ja im do jutra nie wyjaśnię, że ja tu pracowałem, płaciłem podatki i mam prawo wywieźć cały ten hajs. Zabiorą jak zadeklaruję.

- *Trochę podróжных pieniędzy.*

- *Ile?*

- *200 USD i 300 euro.*

- *Niech idzie.*

Gdyby mnie sprawdzili... Dzień wcześniej w końcu zapłacono mi za niewykorzystany urlop. Było to nieco więcej niż 200 USD i 300 euro.

Ciekawostka: ludzie z RPA wyjeżdżali 26 czerwca, im zapłacono dużo wcześniej. Mnie zaś dopiero 22 czerwca, po godzinie 14. Liczyli może na to, że ucieknę i ktoś to przytuli. Oczywiście na rozliczeniu urlopu mnie przekręcili, ale nie interesowało mnie to.

Ciekawostka numer dwa: moi południowoafrykańscy współpracownicy zostawiali do wtorku, żeby nie stracić dwóch dni urlopu – mnie odliczono sobotę i niedzielę. Tak, tak, dwa dni wypadające po skończeniu kontraktu potrącono mi z urlopu. Miałem to już jednak głęboko gdzieś. W końcu opłacili mi dwa tygodnie drzemek i oglądania seriali. Nie interesowały mnie te dwa dni.

Jedyne, co mnie interesowało, to samolot linii lotniczych LOT, rejs do Warszawy. Gdy wystartowaliśmy i wzlecieliśmy ponad Astanę, zobaczyłem po raz ostatni Gwiazdę Śmierci i Bayterek. Zobaczyłem swoje osiedle, okolice szkoły, ale też step otaczający prawie najmłodszą stolicę świata. Pomyślałem sobie „Nigdy więcej! Nawet turystycznie.”

Prawdziwe szczęście odczułem na Okęciu.

Wysiadłem, poszedłem na przesiadkę i padłem na krzesła.

Ulga.

Koniec.

Stąd mnie nie można zawrócić do Kazachstanu.



Kazachskie emoji żegna!

Na samym lotnisku dwie restauracje pokazywały mecz Belgii z Tunezją, a zainteresowanych nie brakowało. Tego wieczora oglądałem z Aligatorem, Wodzem i jego rodziną Niemcy ze Szwecją.

Życie powoli zaczęło odzyskiwać kolory. Zaraz grała Polska i otrzymała szlachetny wpierdul od Kolumbii. Potem zaś wyjechaliśmy na wielką trasę koncertową. Wiedeń i okolice Pragi, Nick Cave, Lana Del Rey, Nine Inch Nails. Następnie objazdówka Hiszpania i Portugalia. Po drodze dostałem pracę, którą dostać chciałem. Ba, nawet dwie i musiałem wybrać! Chorwacja wicemistrzem świata, trudno powiedzieć, że celebrowane, ale oglądane w idealnych warunkach, w domu kolegi na obrzeżach Wrocławia.

Rozmawiało mi się cudownie z każdym. Po miesiącach nudy i samotności, odkrywałem na nowo uroki życia. Rozmowa, szczerość, poczucie humoru, wdzięczność, uprzejmość. Uczyłem się tego wszystkiego niemal na nowo. Najbardziej zaś jaką przyjemnością może być obcowanie z innymi ludźmi. Stało się to możliwe dzięki temu, że przez kilka wcześniejszych miesięcy odkrywałem, jaką nieprzyjemnością może być obcowanie z ludźmi.

Fly me to the moon

Jednym z najdłużej ciągnących się dramatów ostatniego semestru była kwestia mojego biletu lotniczego. Sprawa jasna nie była, bo szkole zależało na tym, by była skomplikowana. W listopadzie nasz pracodawca zmienił system refundowania biletów lotniczych i zmusiła nas do używania agencji biletowej Nice Tours. W sezonie zimowym nie było większych problemów, co oczywiście nie oznaczało, że takowych nie przerobię w kwietniu i maju. Gdy rozpoczął się czwarty semestr, powoli zaczęła krążyć giełda terminów – kto i kiedy ma wylatywać. Jedni wcześniej, inni później. Ludzie, którzy mieli wrócić na kolejny rok, szli do biura Nice Tours, gdzie mogli dowiedzieć się, że bilety na lot przez nich wybrany skończyły się. Po jakimś czasie ktoś postanowił mieć do Kazachów ograniczone zaufanie i sprawdził podawane informacje. Oczywiście bilety na wybrany lot były dostępne.

Dość szybko ludzie zrozumieli, że tak musi być, więc po każdej informacji o tym, że biletów nie ma, pokazywali na telefonie, że jednak są. Wówczas obsługa mówiła, że musiał ktoś oddać sekundy temu i że to cud. Potem niechętnie wystawiali blankiet, z którym trzeba było udać się do szkoły, szkoła zatwierdzała zakup i dostawało się na maila wymęczony bilet lotniczy od Nice Tours. Siedzieli na prowizji, więc zależało im na tym, żeby bilety były jak najdroższe. Pewnie nie mogli zrozumieć, że ogół nauczycieli jednak stara się nie przeginać, choćby dlatego, że mieliśmy ograniczone środki na bilety i ludzie z np. USA i RPA nierzadko musieli kombinować, żeby się w nim zmieścić. Potem zaś musieli jeszcze przekonać pracowników Nice Tours, że niekoniecznie chcą lecieć 60 godzin i płacić za to jak za zboże.

Gdzieś w kwietniu zgłosiłem się po bilet powrotny do ojczyzny. W moim przypadku filozofii wielkiej nie było, sobota rano na Astana-Warszawa LOTem, a potem tymi samymi liniami dolotówka do Krakowa. Od biedy mogliby próbować puścić mnie przez Mińsk lub Moskwę, ale i tak w skali cen lotów były to kopiećki, plus ciężko byłoby przekonywać mnie, że lepiej siedzieć na lotnisku dwadzieścia godzin, bo coś tam. Wystawiono papier i powiedziano, że jak szkoła zapłaci, to dostanę bilet. Następnego dnia dowiedziałem się, że niestety nasz dział współpracy międzynarodowej wykupić biletu nie zdążył, a mieli na to ileś godzin, teraz już nie mogą. Poszedłem więc po raz kolejny, znowu wypełniliśmy papiery, poszły do szkoły, a ja czekać. Przy okazji powiedziano mi, że bym przekazał szkole, że na to są widełki i że jeżeli oni tego nie wykupią w ciągu doby, to potem biletu może nie być, bo oni są w stanie zablokować cenę na 24 godziny. Potem może się zmienić, wymaga to wystawienia kolejnego cennego dokumentu, przesłania go do szkoły...

Przez następny tydzień trwała zabawa w „nie zdążyliśmy kupić teraz, ale już dzisiaj-jutro kupimy”. Powody były liczne i bardzo wiarygodne - a to choroby, a to koniec miesiąca, a to święta majowe. Ja miałem swoją zabawę z policją i dyрекcją, do tego rozważałem bardzo poważnie, czy się nie spakować na swój koszt, więc też na chwilę zeszło to na dalszy plan. Bilet w tym czasie nie taniał. Ostatecznie koło 20 maja dopiero powiedziano mi, że mam sam go kupić, a oni mi oddadzą pieniądze. Na moje uwagi – że to niezgodne z kontraktem, że wszystkim innym bilety już dawno kupili, a mnie nie – powiedziano, że ogólnie mam rację, ale nie zmienia to faktu, że mam sobie zapłacić, a zwrot pieniędzy otrzymam, gdy dostarczę fizyczne karty pokładowe. Nie żadne mailowe, nie, nie - wydrukowane na papierze przez przewoźnika. Dowiedziałem się, że księgową uważa, że nie można mi ufać, bo oni mi kupią ten bilet, potem sprzedam go na czarnym rynku, a pieniądze wezmę do kieszeni i tym samym będę miał nieopodatkowany dochód, a tym samym okradnę Kazachstan.

To, co potem powiedziałem, nie miało żadnego znaczenia. Argumenty o tym, że przecież chcę jechać do domu, że cena mojego biletu to trochę ponad 300\$ (tym samym kosztowałem najmniej ze

wszystkich pracowników), że zmiana nazwiska była w ogóle niemożliwa przy podstawowej taryfie, odbiły się od pani z międzynarodowego jak groch od ściany. Nieważne, że bilety do kraju pochodzenia nie były opodatkowane, więc nie miałem jak okraść Kazachstanu. Ona to by mi jeszcze może zaufała, ale księgowa nigdy. Podejrzane jest to, że nie chciałem podpisać kontraktu na przyszły rok, a skoro nie wrócę, to na pewno nie odeślę im kart pokładowych.

Zapytałem, jak planują zwrócić mi te pieniądze, bo w takiej sytuacji rodził się inny problem. Bank prezydencki Altyn Bank (Altyn to złoto), w którym wszyscy mieliśmy konta, miał przejść przemiany i wywalić w gwiazdy cały swój serwis internetowy. Ówczesnie działający system miał funkcjonować tylko do 30 czerwca. Jeżeli chciało się mieć bankowość internetową po tej dacie, trzeba było iść do banku, założyć inny typ konta, dostać nowe dane logowania, poczekać tydzień na nową kartę... Może nie misja nie do wykonania, ale też nie najciekawszy sposób na spędzenie jakiejś godziny, zwłaszcza jeżeli się wie, że się tego wszystkiego w ogóle nie potrzebuje. A raczej nie powinno się potrzebować. Żeby nie było łatwiej, autoryzacja jest przez SMS wysyłany tylko na numer kazachski. Żeby ten numer mi działał, musiałem opłacić go do przodu, jakieś 20 PLN za każdy miesiąc. Płacąc przez internet, bank potrącał dość solidną prowizję. Znowu, nie fortuna, ale po co? Do wykonania jednego przelewu? Zaproponowałem zwrot na moje polskie konto. Zgodzono się, tylko żeby po dwóch dniach wezwać mnie i powiedzieć, że to niemożliwe. Musi być na kazachskie.

W długiej i dość nerwowej debacie dowiedziałem się, że jestem zbyt emocjonalny. Był to jeden z naczelnych argumentów ludności lokalnej, i to nie tylko u nas w pracy. Gdy człowiek rozmawia z Kazachami i zaczyna nieco protestować przeciwko temu, że kłamią, oszukują i zmieniają zasady gry co kilka minut, wówczas może dowiedzieć się, że jest zbyt emocjonalny. Niestety, mogłem odnieść moralne zwycięstwo, mogłem wykazać, że łamią kontrakt, że stosują podwójne standardy wobec pracowników, ale nie mogłem zmusić ich do kupna biletu.

Szanse na zwrot pieniędzy był nikły. Po kilku dniach przepychanek ugrałem tyle, że wyszedłem z pracy wcześniej, żeby iść załatwiać sprawy bankowe, a że szybko mi to poszło, to miałem wolne popołudnie. Akurat do kin wchodził „Solo”, więc z banku przeszedłem do kina, żeby zabić dwie godziny życia w Astanie.

Problemem naczelnym sprawy związanej ze zwrotem za bilety było to, że nie chciało mi się wierzyć, że mi te pieniądze oddadzą – powody uniemożliwiające zakup były tak wydumane, że trudno było mieć choćby cień nadziei, że coś oddadzą. Również moje argumenty o tym, że wypłacanie pieniędzy z kazachskiej karty w Europie oznaczają, że stracę w cholerę, nie interesowały mojej szkoły. Nawet płacąc w sklepach zdecydowanie na tym interesie nie zyskiwałem. Przez opieszałość administracji bilet kosztował jakieś 360 USD, zasadniczy skok ceny wobec jakichś 250 USD, gdy pierwszy raz rozpocząłem poruszanie tematu.

Dwa dni po powrocie do Polski (dokładnie 25 czerwca) wysłałem do Astany moje karty pokładowe – chwała, że LOT jeszcze takowe wydaje. 17 PLN na pocztę do kraju w Azji Środkowej. Tego samego dnia opравиłem też maila, że numer przesyłki jest taki i że będę wdzięczny jeżeli mi napiszą kiedy ją odbiorą, a kiedy oddadzą pieniądze.

W systemie potwierdzenie doręczenia pojawiło się pod koniec lipca. Moje maile z pytaniami zignorowano. Gdybym zapomniał, z jaką beznadzieją pracowałem, to przypomniała mi o tym wiadomość wysłana do byłych pracowników z RPA – napisałem, żeby sobie uważali z biletami, bo ja od ponad miesiąca nie mam żadnych informacji. W odpowiedzi wyjaśnili mi, że przecież są wakacje, więc czemu ja oczekuję, że cokolwiek załatwię. Oczywiście pani do której pisałem w tej sprawie (ta sama której mogłem się dorzucić do prezentu ślubnego) moje maile ignorowała. A tak się w czerwcu wylewnie żegnaliśmy...

Ku memu wielkiemu zaskoczeniu na początku września me kazachskie konto zasilily pieniadze! Rozpoczalem wydawanie tego, przy kazdej transakcji kupna musialem zgodzic sie na pobranie prowizji i na fatalny kurs wymiany tenge. Wylaczylem sobie, ze strace okolo 6% calej sumy. I tak sie cieszyłem, bo po ponad dwóch miesiącach ciszy pożegnałem się duchowo z tymi pieniędzmi. Co kilka dni więc płaciłem za zakupy w dość ekstrawagancki i spowalniający ruch w sklepie sposób. Monitorowałem też co jakiś czas, ile mi zostało.

Pewnego dnia przeżyłem szok.

Na moim koncie pojawil się kolejny zwrot. Drugi raz tyle samo. Tytułem pieniadze za bilety lotnicze.

Nie myślałem długo. Szybkie obliczenia, bankomat, wypłata wszystkiego, co wypłacić można było. Dziękuję. Pierwszy raz skorzystałem na tym kazachskim bajzlu.

Kilka dni później otrzymałem maila – nagle udało im się napisać do mnie. Że pomylili się i że przez pomyłkę przelali mi za dużo pieniędzy. Proszą więc o odesłanie ich na konto szkoły. Biłem się z myślami, miałem dylematy moralne. Traktowałem to jako wielki test mojej uczciwości i wyzwanie moralne postawione mi przez los.

Wyglupiam się. A gucio! Ani przez sekundę nie miałem zamiaru im niczego oddawać. Szczerze się pośmiałem na wspomnienie rozmowy o tym, że to tylko i wyłącznie mój problem, że nie będę miał dostępu do konta i możliwości robienia przelewów. Że innym bilety kupili, a mnie nie chcieli. Wspomniałem to, że byłem zbyt emocjonalny. O, i jeszcze, że na maila nie odpisano mi kilkadziesiąt dni. Już wam biegnę oddawać pieniądze. Za ostatnie kilka tysięcy tenge kupiłem wino w Biedronce, tym samym zostawiając na koncie jedynie 20 KZT, czyli okolo 20 groszy. Tym razem pozwoliłem im odnieść moralne zwycięstwo, a zachowałem pieniądze. Przy okazji oddałem sprawiedliwość księgowej, która oskarżała mnie o nieuczciwe zamiary i nie chciała mi zaufać. Proszę, miała pani rację! Teraz zerzńjcie kogoś innego na tę kwotę. Nie wątpię, że tak właśnie będzie. Więcej maili już nie było.

Żałuję jednego: pod koniec kontraktu mogłem wydać dobre 1700 USD na bilety. Gdybym wiedział, że oddadzą mi podwójnie, to bym poleciał do Warszawy przez Auckland. Zresztą przez chwilę miałem taki plan, ale gdy okazało się, że mam sam za to płacić, to postanowiłem zminimalizować rozmiar potencjalnych strat. Niesłusznie, gdybym zdecydował się na taką wycieczkę, a oni tak pięknie się machnęli, to dopiero bym dorobił. Z drugiej strony, przypadłby mi solidny kawałek mundialu, wesele znajomych, NIN, Cave, oraz Lana.

Ludzie to wilki

Przy całej mojej zadymie przewinęła się postać Julie, o której wcześniej nie wspomniałem ani słowem, z tego prostego powodu, że przez cały rok nasze kontakty wyniosło około zera minut. Julie była Afroamerykanką, która przez cały rok nie odpowiedziała niemal nikomu na ani jedno „hello” i w ogóle uznała, że nas nie lubi zanim nas jeszcze zobaczyła, bo jak ktoś nie jest Amerykaninem, to się nie nadaje na nauczyciela – podobno takie tezy głosiła, oczywiście nigdy oficjalnie, tylko za plecami mogących się na ten temat wypowiedzieć. Przez chwilę przyjaźniła się z kolegą z Teksasu, ale skończyło się w listopadzie: były jej urodziny, zaprosiła kilka zaprzyjaźnionych osób, w tym naszego wspólnego znajomego, do Borowoje. Zapłaciła im za ten wyjazd, co spowodowało, że została boginią w oczach pracowników lokalnych. Tak się złożyło, że nasz druh został królem wieczoru i zepchnął solenizantkę na dalszy plan. Po kilkudziesięciu minutach Julie zamknęła imprezę, nakazując wszystkim udać się do pokojów. Tak bardzo nie mogła przeżyć tego, że jej boski status ucierpiał i że to on jest komendantem melanżu. Z tego co wiem, jej opowieści kierowane do lokalnych koncentrowały się na tym, że Afroamerykanie mają w życiu strasznie ciężko. Równie ciężko mają ludzie z nadwagą, a że spełniała obie te kategorie, to niektórzy nabierali się na to i widzieli w niej Mandelę, i to raczej nie tego z czasów jak mordował ludzi. Do tego w Astanie znajoma o takim profilu dodawała prestiżu na salonach. Nie wiem jakich, ale na pewno na jakichś.

Julie robiła kolejny rok w NIS. Wcześniej zapisała historię dość dobrze wpisującą się w obłąd lokalny i wyjaśniający nieco jeden z dramatów opisywanych wcześniej, czyli pomylenia numerów paszportów w zaproszeniach wizowych nauczycielek z Serbii i z RPA. W czerwcu 2017 roku Julie była niepokieszona: okazało się, że cała jej banda znajomych nie zostawała na kolejny kontrakt. Byli na noże z drużyną z RPA i dotarło do niej, że zostanie sama, bez znajomych. Mogła oczywiście liczyć na zaprzyjaźnienie się z nowymi nabytkami (np. nami), ale po co, skoro można pointrygować. Jakoś tak się złożyło, że powiedziała pani z administracji międzynarodowej, że musi popracować na komputerze stacjonarnym. Ta odstąpiła jej swoje stanowisko pracy i przez kilka dni Amerykanka siedziała przy jej biurku. Poświęciła ten czas na znalezienie odpowiednich dokumentów i zamienienie między nimi numerów paszportów. Dzięki temu dwie osoby zaczęły pracę miesiąc później, straciły czas, pieniądze, a my musieliśmy robić lekcje za nich. Szkoła mogła za to odpowiadać rodzicom na pytanie „gdzie są ci obcokrajowcy za których tyle płacimy?”.



Mniej więcej taką minę zazwyczaj miała Julie niezależnie od pory dnia (źródło: Grumpy Cat)

Co też zrobiła dyrekcja po odkryciu tego?

Nic.

Ostatecznie powiedziano, że za karę Julie nie dostanie nowego kontraktu. Z jednej strony, sprawa wstyd, bo jaka tam była ochrona danych, kontrola wystawianych zaproszeń wizowych? Za taki sabotaż w ZSRR to byłaby wycieczka pod mur, a mieliśmy tyle tradycji sowieckich, że wypadało ją chociaż zwolnić. Julie sama mówiła, że nie chce zostawać na kolejny rok, więc kara spotkała ją wielce umiarkowana.

Tu dochodzimy do pewnego ciekawego, choć dość luźnego związku z moim dramatem biletów lotniczych. Chociaż szkoła chciała, żeby Julie siedziała do któregoś tam czerwca, to ona powiedziała, że nie. Daty na loty powrotne podała całkiem inne niż szkoła oczekiwała. Jej bilet lotniczy kupiono bez problemów, mnie - jak już wiemy - nie. Widocznie administracja stwierdziła, że można było jej zaufać, nie to co mnie, który jeszcze głupio wszystko uzgodnił z pracodawcą.

Wspominając ludzi, którzy pracowali wcześniej, jeden pacjent zaliczył dość ciekawy koniec współpracy. Podpisał kontrakt na kolejny rok (czyli 2017-2018, po zrobieniu 2016-2017), a gdy miała miejsce pożegnalna kolacja i dyrektor pogratulował im przedłużenia współpracy, on wstał i powiedział, że ogólnie jest fajnie, ale jednak nie wszystko jest idealnie. Że ma nadzieję, że kolejny rok przebiegnie w lepszych warunkach i że będzie to wyglądało nieco inaczej, ma nawet parę sugestii.

W nagrodę za takie pomysły natychmiast go zwolniono.

Nawet bez interwencji dziewczyny z Georgii, z pozwoleniami pracowymi bywały jaja jak globusy, głównie dzięki temu, że wiele osób pracujących w Kazachstanie kocha socjalizm i zna się na swojej pracy jak wilk na gwiazdach. Nasza koleżanka odkryła pewnego dnia, że ma zezwolenie na pracę ważne do roku 2108. Odkryła to nawet nie koleżanka, a celniczka na lotnisku Pulkowo w Petersburgu. Powiedziała jej, że ją puści, bo to nie jest sprawa Rosji, ale żeby sobie to zmieniła, bo może mieć poważne problemy, np. nie móc wjechać do kraju. W Astanie na lotnisku nie powiedzieli ani słowa, ale już w biurze wydającym te szlachetne dokumenty dowiedziała się, że to jej wina. Zezwolenia pracowniczego nie dało się wyrobić będąc w Kazachstanie, a w starym nie dało się wprowadzić poprawek. Sprawę rozwiązano tak, jak zwykle się rozwiązywać wszystkie problemy w Kazachstanie, czyli raczej nie w nawiązaniu do tradycji króla Salomona. Po prostu powiedziano jej, że musi jechać do RPA i tam zaaplikować o kolejne pozwolenie na pracę. Problem nie był tak wielki, bo i tak się wybierała do ojczyzny, ale szkoła powiedziała, że nie odda jej pieniędzy za złożenie wniosku, więc musiałyby wydać ponad 100 USD z własnej kieszeni. Ostatecznie pomyślano i zdecydowano się udawać, że problemu nie ma, bo że rosyjska celniczka się zorientowała, to nie znaczy, że Kazachowie się połapią. Taktyka okazała się słuszna, koleżanka przepracowała do końca kontraktu na tym trefnym pozwoleniu na pracę, nigdy nie miała z tego powodu żadnych problemów. Również jakiś organ odpowiedzialny za migrację pracowniczą do Kazachstanu nigdy więcej się nie odezwał, chociaż dobrze wiedzieli, że siedzi na trefnym pozwoleniu na pracę. Wszystkie te nerwy i problemy przez nadgorliwą rosyjską celniczkę!

Wspominany w kontekście zwrotu pieniędzy za bilet Altyn Bank był bankiem unikatowym na skalę światową, pewnie nadal takim pozostaje. W okolicach maja nasza serbska współpracowniczka wystosowała do nas wszystkich wiadomość, że odkryła dwie rzeczy związane z posiadaniem konta w banku prezydenckim. Po pierwsze, od każdej wpłaty bank pobiera 1% prowizji. Czyli jeżeli ktoś płaci nam pensję 100, to na nasze konto wpływa 99. Policzyliśmy to sobie, razy wszystkie pensje, razy bonusy, urlopy, zwroty, wyszło niemało. Pomnóżmy to jeszcze razy wszyscy pracownicy... Po drugie okazało się, że tylko pięć wypłat z bankomatów mamy bezpłatnie, potem nas to kosztuje. Koleżanka poprosiła szkołę o wyjaśnienie dlaczego nas wpakowali w takie bagno, dlaczego nie powiedzieli ani słowa, że to tak działa i wygląda. Przez chwilę traktowano ją poważnie i wyjaśniano, że zrobiono to dla naszego dobra, bo tylko Altyn Bank oferuje obsługę w języku angielskim. Tu wcięła się osoba, która powiedziała, że nieprawda, bo w Halyk Banku też można mieć konto po angielsku, a i pewnie gdzieś indziej doszli do tego poziomu świadczonych usług. Po tym info szkoła nas zignorowała i nigdy nie odpowiedziała na pytanie dlaczego to my mamy tracić pieniądze. Odpowiedź była prosta: bo czemu nie?

W Polsce mamy wieloletnie tradycje związane z dziwowaniem się tym, że ludzie na zachód od Odry za wiele o naszym kraju nie wiedzą. Przez ostatnie kilkanaście lat wiele się zmieniło i trudno znaleźć kogoś, kto pyta, czy białe niedźwiedzie grożą mieszkańcom Warszawy i czy rosyjski jest oficjalnym językiem. Chwilę temu, dokładnie w 2000 roku, moje liceum miało wymianę ze szkołą Stuttgartem. Niektórzy z Niemców przywieźli garnki, inni papier toaletowy, a potem dziwowali się, że w Krakowie nie trwa krwawa wojna i Rewolucja Październikowa.

Współcześnie o takich cudach się nie słyszy, chociaż właśnie w Kazachstanie zapytano mnie o to, czy w Polsce mówimy po rosyjsku. Potraktowałem to jako komplement dla moich zdolności komunikowania się w języku Dostojewskiego. Do jakiegoś stopnia usprawiedliwiałem to różnym dziedzictwem kulturowym i do pewnego momentu myślałem sobie, że Kazachowie nie wiedzą wiele o Europie (do której chcą się zaliczać), ale w końcu Europa za wiele nie wie o Azji Środkowej (do której się nie chce zaliczać).

Moja cierpliwość wywaliła się z łoskotem w okolicach końcówki maja, gdy lokalne nauczycielki planowały wakacje na starym kontynencie. Z pytaniami przychodziły do mnie, więc poza tym, że chciały chodzić na piechotę z Szeremietiewa na Plac Czerwony, to wiele osób celowało w najpopularniejsze miasta Europy. Wywaliło mi korki, gdy usłyszałem, że jedna chce zwiedzać Amsterdam w Austrii. Na moje pytanie skąd pomysł, że Amsterdam jest w Austrii, dowiedziałem się, że przecież jedno i drugie jest na A. Nie rzucałem tematu, że Astana i Ałmaty też są na A, a chyba nie są w Austrii. W Austrii za to jest Amstetten, ale tam turystyki raczej nie ma... Inna osoba planowała tour po europejskich miastach, w ciągu ośmiu dni chciała zaliczyć Wiedeń-Rzym-Wenecję-Paryż i Amsterdam. Oczywiście na moje uwagi, że każde z tych miast jest na tyle ciekawe, że szkoda spędzić w nim mniej niż kilka dni, pozostawała głucha. Nawet gdy pokazywałem, że Ryanair Paryż, to tak naprawdę Beauvais i bardzo daleko od centrum, to nie docierało. Nie wiem jak ten wyjazd wyszedł, ale podejrzewam, że tak sobie, nie wspominając nawet o kosztach.

Pewnego dnia byłem z ekipą z RPA na jakimś obiedzie. Tematy były różne, oni oczywiście nie mieli żadnych oporów, żeby na kilka minut przeskoczyć na Afrikaans – przy tym na jakich zajebistych natywów angielskiego się kreowali było to dość zastanawiające – ja w tym czasie nie mogłem wiele powiedzieć, bo po Afrikaans znam jedno słowo, które oznacza „dobry”, a brzmi jak dość ordynarne i wielce powszechne określenie męskiego (bo przecież nie damskiego) przyrodzenia. Zresztą te ich kompleksy ciągle wylażyły, zwłaszcza jeden wynajdywał sobie zdolności w stylu, że rozumie trochę holenderski, więc to mniej więcej jak mój rosyjski. Holenderski nie jest daleko od niemieckiego, więc może i ten by rozumiał... Nie chciało mi się, ale w końcu norweski to też nie tak daleko.

Prawdziwym ciosem między oczy, a właściwie w inną część ciała były przytoczone podczas obiadu wspomnienia z pracy w Emiratach. Mało mnie zaskoczyły opowieści o tym, że zadeklarowani chrześcijanie udawali muzułmanów – bo tak było łatwiej i dyrekcji się to podobało – i nosili abaję, recytowali Koran, a także brali udział w lokalnych świętach religijnych. To, że bywały takie problemy, że nastoletni chłopcy robili sztuczny tłum na korytarzach i obmacywali nauczycielki, to też jakoś mnie jeszcze nie pokonało. Jednak zabiła mnie refleksyjna opowieść o tym, jaki świat jest niesprawiedliwy: w takich Emiratach i Arabii Saudyjskiej wiele dziewczyn wychodzi za mąż na trzynaste urodziny, ewentualnie trochę później. Jakie one potem mają życie! Tu spodziewałem się feministycznej refleksji nt. ciemnienia kobiet w Islamie, ale nie doceniłem mej współpracowniczk. Kontynuowała: „Jak się tym dziewczynom powodzi! Nigdy nie pracują, ani dnia w życiu, tylko siedzą i nic nie robią. Że też los nie był tak łaskawy, że też nie udało się urodzić w Arabii Saudyjskiej i być tak ustawioną!”

Gdybym usłyszał takie bzdury od kogoś kto ma dwadzieścia lat i pracuje w dyskoncie, to jeszcze bym wyjaśniał, tłumaczył. Ale jak reagować, gdy takie śmiałe idee wygłaszają ludzie 50+? Nauczyciele, którzy mieszkali w tych (k)rajach i których suma doświadczeń doprowadziła do takich wniosków?

Usłyszałem to dopiero w czerwcu, gdy wracałem po tym spotkaniu, to pomyślałem sobie, że przez miesiące musieli mnie mieć za dubeltowego idiotę. W rozmowach z nimi odwoływałem się do jakichś wartości abstrakcyjnych w stylu uczciwość wobec uczniów i rodziców, do tematów, że powinniśmy co jakiś czas buntować się przeciwko reinterpretacjom kontraktu przez szkołę, przeciwko zachowaniom lokalnych pracowników. Jeżeli ktoś ma ustawioną północ na kompasie moralnym na to, że trzynastolatka w aranżowanym związku małżeńskim to uśmiech losu, to może tylko zastanawiać, czy ma w ogóle jakieś południe.



Nastolatki mają takie lekkie życie, a Malala każe im chodzić do szkoły! (źródło: Wikipedia)

Pewnym plusem takiej a nie innej organizacji pracy była liczba podopiecznych, którymi los mnie obdarzył. Łącznie miałem 82 dusze – gdybym uczył sam, nie byłbym w stanie obrobić tylu uczniów w żaden sensowny sposób. Początkowo to nieco przerażało, bo tu jakaś Adiya, a tam Amirzhan, tu klasa trzecia kazachska, a tam czwarta rosyjska. Po jakichś dwóch miesiącach udało mi się połączyć większość imion z twarzami i kompetencjami, a klasy z profilami. Każda grupa liczyła dwunastu uczniów, co na dwóch nauczycieli jest liczbą taką akurat.

Miały miejsca dramaty o różnych obliczach. Poza samym poziomem językowym, miesięczna opłata za szkołę wynosiła fortunę, podobno 2600 PLN, czyli jakieś dwie średnie krajowe pensje. Jeżeli kogoś stać, żeby tyle dać za naukę dziecka (niektórzy nie hamowali i mieli w szkole dwójkę, a słyszałem nawet o czwórce), to wiadomo, że stać go też na inne rzeczy. Łatwo się domyśleć, że uczniowie nie przychodzili w znoszonych gaciach po starszym rodzeństwie, tylko mieli dobre, markowe ciuchy. Najnowsze buty Nike czy Adidasa to był standard. Szkolny mundurak swoje kosztował, ale kto mógł, dokładał do niego kolejne symbole statusu. Dziewięciolatka z torebką od Chanel przestała mnie po jakimś czasie przesadnie dziwić. W tym wszystkim konkurencja i debaty, kto ma lepsze, a kto gorsze. Oczywiście telefony komórkowe – tu debat jakby mniej, bo najgorsze aparaty mieli nauczyciele - ale na co bym nie wpadł: kierowcy! Przeważająca większość uczniów miała prywatnych kierowców, rodzice nierzadko pracowali w jakiejś firmie w stylu QazGaz i zapewne nie mieli ochoty, może i czasu, żeby zajmować się swoimi dziećmi. Nianie też nie były czymś rzadko spotykanym. Standardowe dziecko ze szkoły tworzyło wokół siebie ze trzy etaty, do tego np. personalni trenerzy tańca, sztuk walki, oczywiście kluby językowe i hokejowe. Lista dodatkowych atrakcji, głównie edukacyjnych, dla

dziesięciolatka wydawała się nie mieć końca.

Efekty tego nakładu czasu i sił nie były przesadnie powalające; rozgarnięci dawali sobie radę, inni prezentowali dokładnie taki poziom, jakby chodzili do topornej szkoły dla tzw. plebsu. Poziom nauczycieli to jedno, ale jeżeli w czwartej klasie dziecko ma kłopoty z alfabetem, pisze w sposób krańcowo nieczytelny (a mam doświadczenie z deszyfrowaniem różnych bazgrołów), to albo schrzaniono mu edukację, albo ma specjalne potrzeby edukacyjne, albo też nie jest najmądrzejsze. Oczywiście w historii ludzkości można znaleźć przypadki geniuszy, którym w szkole nie szło, a potem odmieniali świat, ale jednak, są to przypadki. To, że Einsteinowi nie szło w szkole, nie znaczy, że każdemu, komu nie idzie w szkole, będzie Einsteinem. W wielu przypadkach odnosiłem wrażenie, że jakiś prywatny nauczyciel mógłby dokonać cudów i wyciągnąć takiego ucznia (rzadziej uczennicę, ponieważ dziewczynki rzadziej sprawiały poważne problemy) na prostą, ale u nas w szkole to nie działało. Zajęcia indywidualne były robione na odwal się, przysługiwały uczniom rzadko i zazwyczaj polegały na przewaleniu trzydziestu minut na odpisywaniu zadania domowego. Żadnej pracy u podstaw.

Odczuwałem pewną socjalistyczną radość wspominając moich uczniów z Gruzji, gdzie uczyliśmy się w warunkach trzeciego świata, bez ogrzewania, bez dostępu do DRUKARKI, internetu, a nawet kanalizacji. Umiejętności tych samych wiekowo grup nie różniły się przesadnie. Ba, nie zdziwiłbym się nawet, gdyby w testowaniu porównawczym Gruzja wypadła lepiej.

Wracając do samych uczniów, jeżeli ktoś był całkowicie głupi i leniwy, po prostu tępy poza wszelakie wyobrażenie, to niemal zawsze oznaczało, że rodzice pracują dla państwa. Jakiś czołowy prokurator, jakaś policyjna wierchuszka, rzadziej coś mającego do czynienia z ropą. Swoistym rekordem był syn pewnego ministra.

Rusłana* (*imię zmienione) w szkole znał każdy uczeń i każdy nauczyciel. Będąc w trzeciej klasie miał na koncie długą listę osiągnięć, takich jak udekorowanie szkoły we wszystkie możliwe bluzgi - po rosyjsku. Tak pokazał radość z opanowania sztuki pisania. Po tym wydarzeniu rodzice musieli zatrudnić ekipę, która przemalowała śliczną, nowiutką wówczas fasadę szkoły. Chwilę po tym doprowadził do zmiany prawa dotyczącego saturatorów z wodą. Naniósł błota, a potem metodycznie zapchał nim wszystkie możliwe kraniki przy butlach z wodą. Rodzice mieli przyjemność odkupienia ich. Po tym część saturatorów usunięto, ze strachu, że zrobi to ponownie. Z tego też powodu zmieniono politykę „każda klasa ma własną butlę z wodą” na „każdy korytarz ma własną butlę”. Szkoła zapewne się nie popłakała, bo zaoszczędzili.

Celem Rusłana nie było jedynie wyposażenie szkoły: gdy był w pierwszej klasie pociął uczniowi koszulę. Całą. Usiadł za nim, chwycił nożyczki i ciężko pracował przez całą lekcję. Gdy był w drugiej klasie, odgryzł innemu kawałek nogi, podobno była wymagana interwencja chirurgiczna. Został za to wyrzucony, ale kilka godzin później ojciec-minister wpadł do pana dyrektora i przypomniał mu w jakim kraju się to dzieje, więc następnego dnia Rusłan powrócił do szkoły. Pomniejszych rzeczy w stylu wyzywanie nauczycieli, lanie wodą po korytarzu, rysowanie po ścianach nie wspominam, to działa się ciągle.

Nasza współpraca przypadła na jego czas pobytu w klasie trzeciej. Nuda nie groziła, pewnego dnia jeden z uczniów dostał od niego w głowę szklaną butelką. Popłakał się, więc na pociechę poinformowano go, że gdyby zdziesiąłony został przez kogoś innego, to może by z tego była sprawa, ale Rusłan, syn ministra? Nie maźcie się tak obywatelu!

Parę tygodni później bohater naszych czasów wybił zęba dziewczynie. Szóstkę. Pierdolnął ją szklaną butelką w twarz. Tak jakoś się okazało, że to wszystko jej wina, bo ona jakaś taka pyskująca i niemiła, to przecież nie takie dziwne, że jej wałnął.

Rusłan dość dobrze opanował przeklinanie po rosyjsku, więc okrzyki w stylu „Poszła na chuj, suka!”

do koleżanki to nie był może każdy dzień, ale znowu nie jakieś wielkie wydarzenie. Podobnie przyjacielsko potrafił odezwać się do wychowawczyni i innych nauczycielek. Nie zazdrościłem jego rodzicom, jednakże podobno aplikowali wyłącznie klasyczny sposób wychowawczy, czyli bicie. Nie działało, więc bili go bardziej, a to nie działało jeszcze bardziej. Innego podejścia wydawali się nie znać. Doszło do tego, że dziewięciolatek terroryzował całą szkołę. Po tym, gdy kopnął w brzuch ciężarną nauczycielkę z RPA krzycząc „YOU FERTILE PIG!”, szkoła powiedziała poszkodowanej, że oczywiście nie chcą, żeby odchodziła, ale ona nie jest nie do zastąpienia, natomiast on - owszem. W drugiej klasie uczące go angielskiego nauczycielki sadzały go z boku grupy, dawały mu kolorowanki i stawiały najwyższe oceny. Za to, że nie robił rzeźni.

Największym problemem było to, że Rusłan wcale nie był głupi, bardzo dobrze zrozumiał system i wiedział, że wolno mu wszystko. Interesowały go komiksy, zarówno Marvela jak i DC. Jego fatalne pisanie było efektem tego, że odmawiał ćwiczenia czegokolwiek, a że nie dało mu się postawić oceny adekwatnej do osiągnięć i nakładu pracy, to nie ćwiczył, no bo i po co?

Był dość ciekawy tydzień, gdy w okolicach świąt jego brat wpadł z wizytą na lekcje. Chłopak studiował w Singapurze i podobno bardzo się przyjaźnili. Nagle Rusłan stał się innym dzieckiem. Pod koniec swego pobytu brat powiedział, że ma nadzieję, że teraz będzie dobrze. Nie było. Ledwo wychodził, Rusłan powracał do trybu śmierć i zniszczenie.

Gdyby mnie ktoś spytał, co z tym zrobić, zasugerowałbym indywidualny tok nauczania - oparty raczej o jego zainteresowania, a nie o standardowe podręczniki. W ten sposób może coś by z tego było. Na pewno ogrom pracy nauczyciela, ale może i efekty. Ponieważ jednak za wiele osób się do tego nie paliło, a i mnie nuda bez tego nie groziła, Rusłan oblewał każdy możliwy test, a potem otrzymywał czwórkę. Zastanawiałem się, co zrobi Tamara, gdy chłopak wyszedł na środek klasy, rzucił test na środek sali, podeptał go i wyszedł. I proszę, cztery. A Bekzhan, który napisał ile mógł, ale mu nie wyszło, dostał trójkę. Co jakiś czas mówiłem, że uczniowie klasy 3E mają najlepsze przygotowanie do życia w Kazachstanie, właśnie dzięki Rusłanowi. Łamał wszystkie możliwe zasady norm społecznych („Ale się zjebałem!!! ALE SMRÓD!!!”) i nic z tego nie wynikało. Kilka dziewczynek w klasie miało nerwicę, bo się do nich przytulał bez ich zgody. I nic! Proszę się przygotowywać, on się przytula, ale przecież za kilka lat inny pan się może przytulać, a wtedy to się tak niewinnie nie skończy, tylko będzie pełen stosunek. Przyzwyczajajcie się.

Dzięki niemu klasę opuściło łącznie dwanaście osób, wszyscy chcieli usunięcia młodego wojownika, a szkoła mówiła, że nie, bo pewne rzeczy są oczywiste, syn ministra to lepsza karta niż córki jakichś nafciarzy, choćby koreańskich. Sorry, taki mamy klimat, nie. I tyle. Udało się jedynie synowi dziennikarza ogólnokrajowej gazety – po skardze ojca, jego syna przeniesiono do innej klasy, zakładając, że bezpieczniej, żeby tata nie wiedział do końca, co też tam się dzieje. Krążyła nawet plotka, że cała szkoła powstała w tym celu, żeby Rusłan odebrał edukację. Podobno znali go w każdej innej szkole w Astanie i za żadne skarby świata nie chcieli przyjąć, więc dlatego też nie dało się go wydalić na dobre.

Na tle tej gwiazdy reszta była względnie łatwa do uczenia. Przeważająca większość uczniów była dość dobrze ułożona i żyjąca w nabożnej czci żywionej dla całej instytucji szkoły – taka magia dzieci w postsowiecie w wieku 8-10. Problemem największym byli, paradoksalnie, uczniowie którzy bardzo dobrze ten cholerny angielski znali. Było kilka takich osób, dla nich lekcje były wielką stratą czasu. W najlepszym razie mogli nauczyć się kilku nowych słówek, czasem poprawić pisownię. Oczywiście nie pozwolono nam utworzyć żadnej super grupy, bo oznaczałoby to, że uczniowie nie są równi. W imię tak rozumianej sprawiedliwości społecznej, najlepszych rozleniwiano i sprowadzano do poziomu słabszych. Często służyli oni jako konie pociągowe, zmuszani zostawali do pracy w grupach i wykonywali pracę za słabszych i leniwych.

Jeden z takich uczniów powiedział mi kiedyś, że ma dosyć tych ideałów współpracy z kolegami, którym niczego się nie chce i że czy ja nie widzę, że każdy group work wygląda tak, że on wszystko wymyśla, potem wszystko robi, prezentuje, a cała grupa dostaje ładną ocenę. Musiałem mu przyznać rację, ale nie było wyboru – cała reszta bez niego nie dałaby sobie rady.

W niektórych przypadkach rodzice rozważali wysłanie swoich dzieci poza Kazachstan, żeby tam pobierali nauki. Tu często odkrywali, że są jednak słabsi od rówieśników w krajach europejskich. Nawet jeżeli mieli odpowiedni poziom języka, to nie potrafili rozwiązywać testów, więc ich wyniki z egzaminów wstępnych nie pozwalały im na wyjazd do wymarzonego kraju. Oczywiście można byłoby ich wziąć na jakąś chwilę, sięść z nimi i nauczyć systemów testowych i punktowych z innych miejsc na świecie, ale patrz: sprawiedliwość społeczna i równanie do najniższego wspólnego mianownika. Do tego przez jakiś czas nie punktowałiby za dobrze w testach, a że u nas wszystko zawsze na piątkę, więc prawdziwą ocenę swoich umiejętności otrzymywali dopiero próbując dostać się do szkół w innych krajach. Nie przesadzajmy też z tymi ambicjami, pośród tych lepszych nie brakowało osób zachwyconych panującym stanem rzeczy - wiele nie robiąc rządzili i dzielili, nieco w myśl powiedzenia, że w królestwie ślepych jednoooki jest królem.